

Alejo Carpentier

Podróż do źródeł czasu

(Przełożyła: Kalina Wojciechowska)

*Niechaj będzie niebo, które nad tobą jest,
miedziane: a ziemia, którą deptasz,
żelazna.*

*I macaj o południu, jako zwykły macać
ślepy w ciemnościach...*

Rozdział pierwszy

I

Minęły cztery lata i siedem miesięcy, odkąd byłem ostatni raz w tym domu z białymi kolumnami, z frontonem zdobnym w nasępione gzymsy, które mu nadawały surowy wygląd pałacu sprawiedliwości, i teraz, na widok niezmiennie tkwiących na swoim miejscu mebli i przedmiotów, doznałem jakby przykrego uczucia, że czas się cofnął. Koło latarni zasłona koloru wina, w miejscu, gdzie rosła pnąca róża – pusta klatka. Dalej wiązy, które pomagałem sadzić w dniach pierwszego entuzjazmu, kiedy wszyscy pracowaliśmy nad wspólnym dziełem. Wsparta o pień obłupany z kory stała kamienna ławka, z której niegdyś uderzeniem obcasa wy dobyłem drewniany rezonans. Z tyłu, za domem, droga do rzeki, ze swymi karłowatymi magnoliami i ogrodzeniem z wygiętych ozdobnych prętów, w stylu Nowego Orleanu. Jak pierwszego wieczora, przeszedłem pod arkadami nasłuchując tego samego głuchego odgłosu własnych kroków i przeciąłem ogród na ukos, żeby prędzej znaleźć się w miejscu, gdzie grupa niewolników, naznaczonych żelazem, amazonki w spódnicach z trenem przerzuconym przez ramię i ranni żołnierze w łachmanach, prowizorycznie obandażowani, czekali na swoją kolej w ciemności cuchnącej kitem, starym filcem, potem nagromadzonym w tych samych, co przed czterema laty, surdutach. W porę wyszedłem ze strefy światła, gdyż w tej chwili dał się słyszeć strzał myśliwego i na deski sceny upadł ptak strącony ze środkowego fryzu. Krynolina mojej żony sfrunęła mi na głowę, bo znalazłem się akurat w tym miejscu, skąd miała wejść na scenę, zagradzając przejście i tak już dosyć ciasne. Żeby nie zawadzać, wsunąłem się do jej garderoby i tutaj czas wrócił znowu na właściwe miejsce: wszystko mówiło o tym, że te cztery lata i siedem miesięcy nie minęły bez zniszczeń, przygaszenia blasku, utraty świeżości. Koronki z ostatniego aktu jak gdyby poszarzały, czarny atłas ze sceny na balu utracił swoją piękną sztywność szeleszczącą przy każdym ukłonie niby uschłe liście unoszone wiatrem. Nawet ściany pokoju, dotykane stale w tych samych miejscach, nosiły ślady długiej zażyłości z makijażem, przywiedłymi kwiatami, z kostiumem. Siedząc teraz na kanapie, której zielone obicie zmieniło swój odcień wody morskiej na barwę pleśni, myślałem, skonsternowany, jak ciężkie musiało z czasem stać się dla Ruth to więzienie z desek i rekwizytów, ruchomych mostków, pajęczyn ze sznurka, malowanych drzew. W czasie pierwszych przedstawień owego dramatu z wojny secesyjnej, kiedy trzeba było pomagać młodemu autorowi zdanemu na usługi trupy, która świeżo wyszła z teatru eksperymentalnego, przewidywaliśmy nie więcej niż

dwadzieścia wieczorów. Teraz dobiegaliśmy już tysiąc pięćsetnego przedstawienia i aktorzy, związani stale przedłużanymi kontraktami, nie mieli możliwości wycofać się, odkąd stowarzyszenie impresariów, wykorzystujących młodzieńczy zapał dla własnych celów, wzięło sprawę w swoje ręce. Toteż dla Ruth teatr ten – zamiast furtką otwartą na szeroki świat Dramatu dającą możliwość ucieczki – stał się Diabelską Wyspą. Krótkie eskapady, na które jej pozwalano, by mogła zagrać jakąś Porcję czy Ifigenię w przedstawieniach na cel dobroczynny, były niewielką pociechą, bo w każdym stroju Ifigenii czy Porcji publiczność widziała wiecznie tę samą, co dzień noszoną krynolinę, a w głosie, który miał być głosem Antygony, wszyscy odnajdywali infleksje kontraltu Arabelli; teraz na scenie Arabella (w sytuacji uważanej przez krytyków za cudownie inteligentną) uczyła się od Boatha poprawnej wymowy łacińskiej, powtarzając zdanie: *Sic semper tyrannis*. Trzeba było naprawdę talentu wielkiej tragiczki, by uwolnić się od takiego pasożyta karmiącego się jej krwią, od tego gościa, który zamieszkał w jej ciele, czepiając się go jak choroba. Nie brakowało jej chęci zerwania kontraktu. Ale za takie bunty płaciło się w jej zawodzie bezrobociem, toteż Ruth, która zaczęła się uczyć tej roli w trzydziestym roku życia, w trzydziestym piątym powtarzała wciąż te same słowa we wszystkie wieczory tygodnia i wszystkie popołudnia niedzielne, sobotnie i świąteczne, nie licząc przedstawień podczas letnich tournées. Sukces sztuki wyniszczał powoli jej odtwórców, starzeli się w oczach publiczności w swoich niezmiennych kostiumach i kiedy jeden z aktorów umarł na atak serca pewnego wieczora, wkrótce po spuszczeniu kurtyny, cały zespół zgromadzony nazajutrz na cmentarzu wystąpił, może nie zdając sobie z tego sprawy, w żałobnych strojach, które miały w sobie coś z dagerotypu. Z każdym dniem bardziej rozgoryczona i mniej pewna sukcesu w zawodzie, który mimo wszystko instynktownie i głęboko kochała, moja żona uległa automatyzmowi narzuconej pracy, tak jak ja poddałem się temu, którego wymagały moje zajęcia. Dawniej usiłowała przynajmniej ratować swój temperament aktorki przez stałe powtarzanie wielkich ról, w których pragnęła kiedyś wystąpić. Od Nory do Judyty, od Medei do Tessy przechodziła z roli w rolę ze złudzeniem jakiegoś odradzania się na nowo, ale złudzenie to zdławił wkrótce smutek monologów recytowanych przed lustrem. Nie znajdując normalnego sposobu uzgodnienia trybu naszego życia-bo godziny aktorki nie są godzinami urzędnika – w końcu zaczęliśmy sypiać oddzielnie. W niedzielę późnym rankiem spędzałem chwilę w jej łóżku, wypełniając to, co uważałem za swój obowiązek małżeński, ale nie byłem pewien, czy moja inicjatywa odpowiada rzeczywistym pragnieniom Ruth. Prawdopodobnie ona również uważała, że powinna się poddawać tej cotygodniowej praktyce na mocy zobowiązania podjętego w chwili złożenia swego podpisu na blankiecie w urzędzie stanu cywilnego. Ja ze swej strony działałem pod wpływem przekonania, że nie powinienem wykluczać możliwości istnienia potrzeby, którą byłem w stanie zaspokoić, uciszając w ten sposób na cały tydzień pewne wyrzuty sumienia. W każdym razie to zbliżenie, choć machinalne, zacieśniało za każdym razem więzy rozluźnione rozbieżnością naszych zajęć. Ciepło naszych ciał stwarzało na nowo pewną intymność, która jakby pozwalała nam na chwilę powrócić do czegoś, co z początku było naszym ogniskiem domowym. Podlewaliśmy pelargonie zapomnianą od poprzedniej niedzieli, przewieszaliśmy jakiś obraz na inne miejsce, robiliśmy rachunki. Ale wkrótce dzwony w kościele przypominały nam o bliskości godziny obowiązku. I pozostawiając moją żonę na scenie w chwili rozpoczęcia się popołudniówki, miałem

uczucie, że odprowadzam ją z powrotem do więzienia, gdzie odsiaduje dożywotni wyrok. Rozlegał się strzał, wypchany ptak spadał z trzeciego fryzu i kończyło się nasze wspólne życie Dnia Siódmego.

Dziś jednak niedzielny rytuał uległ pewnej zmianie z winy środka nasennego, który wziąłem nad samym ranem, żeby prędko zasnąć, bo przestałem zasypiać, jak dawniej, z chwilą przewiązania oczu czarną opaską zalecaną przez Mouche. Zbudziwszy się spostrzegłem, że moja żona już wyszła. Nieład panujący w garderobie, kostiumy do połowy wyciągnięte z szuflad komody, porozrzucane po kątach tubki szminki teatralnej, pudry i flakony perfum zapowiadały niespodziewany wyjazd w podróż. Ruth wracała już ze sceny, ścigana odgłosem oklasków, rozpinając w pośpiechu haftki stanika. Zamknęła drzwi uderzeniem obcasa – robiła to dość często, by zniszczyć drzewo w tym miejscu – i zrzucona przez głowę krynolina rozpostarła się na dywanie. Uwolnione z koronek jej białe ciało wywarło na mnie przyjemne wrażenie nowości i zbliżyłem się już, by je popieścić, gdy nagość przykrył czarny aksamit pachnący tak jak skrawki tkanin, które moja matka w czasach mego dzieciństwa przechowywała w głębi mahoniowej szafy. Ogarnęła mnie nagła złość na ten głupi zawód aktorski, który stawał między nami niby miecz anielski w obrazkach z życia świętych; na dramat, który rozbił nasz dom popychając mnie do innego, tego, gdzie na ścianie wymalowane były figury astralne i gdzie moje pożądanie zawsze znajdowało nastrój sprzyjający miłosnemu zbliżeniu. I po to, by pomóc tej karierze w jej trudnych początkach, by uszczęśliwić osobę, która wówczas była mi bardzo droga, wykrzywiłem własne przeznaczenie szukając zabezpieczenia materialnego w pracy zawodowej, stając się jej niewolnikiem w tej samej mierze, co i moja żona. W tej chwili odwrócona plecami Ruth mówiła do mnie przez lustro, smarując tłustymi szminkami swoją niespokojną twarz; tłumaczyła mi, że zaraz po przedstawieniu cały zespół ma wyjechać na niespodziewane tournée po drugim wybrzeżu kraju i dlatego zabrała już swoje walizki do teatru. Zapytała mnie z roztargnieniem o film wyświetlany wczoraj. Miałem jej powiedzieć o jego sukcesie, przypomnieć, że skończenie tej roboty oznacza początek moich wakacji, kiedy zastukano do drzwi. Ruth wstała i znów zobaczyłem stojącą przede mną tę, która przestawała być moją żoną, żeby stać się bohaterką sztuki. Przypięła sobie różę do paska i z niewyraźnym gestem usprawiedliwienia wyszła, w chwili gdy kurtyna w stylu włoskim zaczęła się już podnosić, poruszając fale zastygłego powietrza, pośród zapachu kurzu i starego drzewa. Jeszcze raz odwróciła się do mnie z gestem pożegnania i weszła na ścieżkę wysadzaną karłowatymi magnoliami. Nie miałem odwagi czekać na następny antrakt, w czasie którego satyna zastąpi aksamit i nowa warstwa szminki przykryje pierwszą. Wróciłem do naszego mieszkania, gdzie nieład pospiesznego wyjazdu był jeszcze obecnością nieobecnej. Na poduszce odcisnięty ślad jej głowy, na stoliku do połowy opróżniona szklanka wody; fiolka z zielonymi kroplami i książka otwarta przy końcu rozdziału. Wydarta z notesu kartka, której nie zauważyłem przedtem, informowała mnie o nagłym wyjeździe: „Całuję. Ruth. PS W biurku jest butelka kseresu”. Ogarnęło mnie straszliwe uczucie samotności. Pierwszy raz od jedenastu miesięcy znalazłem się w biały dzień sam, nie mając nic do załatwienia i nie potrzebując biec na ulicę w obawie, że się dokądś spóźnię. Byłem z dala od zgiełku, pogrążony w ciszy, której nie mąciły ani dźwięki mechanicznej muzyki, ani podniesione głosy. Nic mnie nie nagliło i wyczułem w tym coś na kształt niejasnej groźby. W tym pustym pokoju, którego zapach zdradzał jeszcze czyjaś obecność, przerażała mnie możliwość

rozmowy z samym sobą. Przyłapałem się na tym, że mówię półgłosem. Leżąc znów w łóżku i patrząc w sufit, odtwarzałem w pamięci ostatnie lata; widziałem je upływające od jesieni do Wielkanocy, od mroźnych wiatrów do uginającego się pod stopami asfaltu, i nie miałem czasu ich przeżyć, dowiadując się tylko z menu w restauracji, że przyleciały znowu dzikie kaczkę, że skończył się sezon ostryg i że są już kasztany. Czasem także o mijających porach roku informowały mnie czerwone dzwony z papieru w oknach sklepowych albo przybycie ciężarówki z choinkami, których zapach w kilka sekund dokonywał przeobrażenia ulicy. Były wielotygodniowe luki w mojej egzystencji, okresy, które nie pozostawiały za sobą żadnego wyraźnego wspomnienia, śladu jakiegoś niezwykłego uczucia, jakiegoś trwałego wzruszenia, dni, kiedy każda czynność wywoływała we mnie obsesyjne wrażenie, że już jej kiedyś dokonałem w identycznych okolicznościach, że siedziałem w tym samym kącie, opowiadałem tę samą historię, patrząc na okręcik w szklanym przycisku do papierów; kiedy uroczyste obchodzono moje urodziny, pośród tych samych twarzy, w tych samych miejscach, przy dźwiękach tej samej chórem śpiewanej piosenki, niezmiennie przychodziła myśl, że dzisiejsza uroczystość różni się od zeszłorocznej tylko liczbą świeczek na torcie, który smakował tak samo, jak poprzednim razem. I wspinając się lub schodząc z pochyłego zbocza dni, wciąż z tym samym ciężarem na plecach, czerpałem siły tylko z impulsu paroksyzmów, z impulsu, który prędzej czy później ustąpi dacie naznaczonej już może w kalendarzu tegorocznym. Ale uciec, w tym świecie, który mi przypadł w udziale wyrokiem losu, wydawało mi się równie niemożliwe, jak spróbować przeżyć na nowo, w naszej epoce, pewne czyny z epoki bohaterów lub świętych. Wyznaczona nam została era Człowieka-Pszczoły lub Człowieka-Zera, kiedy dusz nie sprzedaje się diabłu, lecz Księgowemu lub Dozorcy Galerników. Rozumiejąc daremność buntu, po tym wyrwaniu z korzeniami, które kazało mi przeżyć dwie młodości – tę, co została po drugiej stronie oceanu, i tę, co skończyła się tutaj – nie widziałem, gdzie mógłbym znaleźć wolność, poza burzliwie spędzonymi nocami, kiedy korzystałem z każdego pretekstu, by oddać się najczęściej powtarzanym ekscesom. W dzień moja dusza pozostaje sprzedana Księgowemu, myślałem drwiąc z samego siebie. Ale Księgowy nie wiedział, że nocą rozpoczynam dziwne wędrówki po zaułkach miasta, które jest niewidzialne dla niego, miasta w mieście, gdzie są domy stworzone po to, by zapomnieć o dniu, jak Venusberg albo Dom pod Konstelacjami; jeśli żądza rozniecona przez alkohol nie zawiedzie mnie do sekretnych apartamentów, gdzie wchodząc traci się nazwisko. Przywiązany do mojej pracy pośród zegarów, chronografów, metronomów, w salach bez okien, ze ścianami obitymi filcem i materia izolującą, zawsze przy sztucznym świetle, co wieczór, znalazłszy się w ciemnej ulicy, instynktownie szukałem przyjemności, które pozwalały mi zapomnieć o mijaniu czasu. Piłem, gawędziłem z byle kim, pozwalałem się ciągnąć do pierwszej lepszej knajpy, dopóki nie padłem u stóp budzika, zwyciężony snem; by spać jak najmocniej, zawiązywałem oczy czarną opaską, w której musiałem wyglądać we śnie jak wypoczywający Fantomas. Ten komiczny obraz wprowadził mnie w dobry humor. Wypiłem duży kieliszek kseresu, zdecydowany zagłuszyć to, co za dużo myślało wewnątrz mojej czaszki, i odnalazłszy w winie ciepło alkoholu wypitego wczorajszej nocy, wychyliłem się przez okno w pokoju Ruth, gdzie zapachy perfum zaczęły już zagłuszać uporczywa woń acetonu. Po szarych, chmurnych rankach przyszło lato, a za nim syreny okrętowe nawołujące od rzeki do rzeki ponad domami. Wysoko, w oparach ciepłej

mgły sterczały szczyty miasta: nie osnute jeszcze patyną iglice kościołów chrześcijańskich, prawosławnej cerkwi, wielkie szpitale, gdzie urzędowały Białe Eminencje, pod gzymsami zbyt mocno osadzonymi z racji swej wysokości, według projektu architektów, którzy na początku stulecia zatracili poczucie stylów wobec rozciągnięcia linii pionowej. Ogromne i milczące przedsiębiorstwo pogrzebowe o nieskończenie długich korytarzach wyglądało – razem ze swoją synagogą i salą koncertową w środku – niby replika w szarym kolorze olbrzymiej kliniki położniczej z fasadą bez żadnych ozdób i rzędami podobnych do siebie okien, które zwykle liczyłem w niedzielę, leżąc w łóżku mojej żony, kiedy zabrakło nam tematu do rozmowy. Sponad asfaltu ulic wznosił się błękitnawy, rozgrzany opar benzyny, osiadający na podwórkach cuchnących śmietnikiem, gdzie zziązany pies rozciągał się na całą długość jak obdarty ze skóry królik w poszukiwaniu odrobiny chłodu na ciepłym bruku. Dzwony w kościele biły na Anioł Pański. Nagle nie wiadomo dlaczego zapragnąłem wiedzieć, jakiego świętego czczono w dniu dzisiejszym: 4 czerwca, świętego Franciszka Caracciolo, stwierdzał wydany nakładem Watykanu tom, z którego niegdyś studiowałem hymny gregoriańskie. Święty absolutnie mi nie znany. Odszukałem „Żywoty Świętych”, wydane w Madrycie, książkę mego dzieciństwa, z której matka czytywała mi głośno obszerne wyjątki, ilekroć któraś z zesłanych przez Opatrzność chorób dziecięcych pozwalała mi nie iść do szkoły. Nie było tam nic o świętym Franciszku Caracciolo, Za to znalazłem, przewracając kartki, kilka pobożnie brzmiących tytułów: „Róża przyjmuje odwiedziny niebiańskie”, „Róża broni się przed szatanem”, „Cud posągu, który się pocił”. Była także kwiecista girlanda z łacińskim napisem: *Sanctae Rosae Limanae, Virginis, Patronae Principalis totius Americae Latinae*. I ta strofa, w której święta przyzywała swego boskiego oblubieńca:

*Gdzie jesteś, Panie mego serca,
Któż cię zatrzymał?
Spóźniasz się... i już południe,
A Ciebie nie ma.*

Fala gorzkiego bólu ścisnęła mi gardło, gdy ów język mego dzieciństwa obudził dawne wspomnienia. Wakacje najwyraźniej mnie rozklejały. Wypiłem resztkę kseresu i znowu wychyliłem się przez okno. Dzieci, bawiące się pośród czterech zakurzonych świerków w parku, porzuciły na chwilę swoje zamki z szarego piasku, by z zazdrością przyglądać się starszym chłopcom, którzy wleźli do basenu fontanny miejskiej i pływali między strzępami gazet i niedopałków papierosów. Widok ten nasunął mi myśl, żeby iść gdzieś popływać. Nie powinienem siedzieć w domu sam bez towarzystwa. Po bezskutecznym poszukiwaniu kąpielówek, które zapodziały się w szafach, uznałem, że najmądrzej będzie wsiąść w pociąg i pojechać do jakiegoś lasu, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Idąc na dworzec zatrzymałem się przed gmachem Muzeum, gdzie otwarto dziś wielką wystawę sztuki abstrakcyjnej, jak głośiły ozdobne afisze, kołyszające się w powietrzu wśród zapachu świeżego werniksu. Miałem już wejść na stopnie, gdy ujrzałem zatrzymujący się autobus do Planetarium i pomyślałem, że powinienem

koniecznie je zwiedzić, by udzielić Mouche jakichś rad co do nowej dekoracji jej pracowni. Ale że autobus długo nie odjeżdżał, zacząłem spacerować tam i z powrotem, oszołomiony tyloma możliwościami, i przystanąłem na pierwszym rogu ulicy, by przyjrzeć się rysunkom, które robił kolorową kredką na trotuarze jakiś inwalida z piersią obwieszoną orderami. Wytracony z nedorzecznego rytmu moich dni, wyzwolony na trzy tygodnie z instytucji, która mnie karmiła i kupiła już ode mnie parę lat egzystencji, nie wiedziałem, co robić z wolnym czasem. Byłem jakby chory od tego nagłego wypoczynku, zdezorientowany widokiem dobrze znanych ulic, niezdecydowany wobec pragnień, które pierzchały, nim zdążyły się rozwinąć i sprecyzować. Miałem ochotę kupić „Odyseję” albo najnowsze powieści kryminalne, albo komedie amerykańskie Lope de Vega, wystawione w oknie księgarni Brentano, żeby odnaleźć język mego dzieciństwa, język, którego nigdy nie używałem, mimo że mnożyć i dodawać umiałem tylko po hiszpańsku. Ale był tu także „Prometheus Unbound” i na jego widok czym prędzej uciekłem, gdyż tytuł tego poematu zanadto się łączył z dawnym projektem kompozycji, która po preludium zakończonym chorałem instrumentów dętych nigdy nie wyszła poza *recitativo* wstępne Prometeusza, poza okrzyk buntu: *regard this Earth, made multitudinous with thy slaves, whom thou requitest for kneeworship, prayer and praise and toil and hecatombs of broken heart with self-contempt and barren hope* (Spójrz na tę ziemię, gdzie roją się Twoi niewolnicy, od których żądasz, by Cię czcili, sławili, padali przed Tobą na kolana, składali Ci hekatombę ze swych serc udręczonych pogardą dla samych siebie i prózną nadzieją...). Prawda, że wystawy, teraz, kiedy miałem czas zatrzymać się przed nimi, po wielu miesiącach niespoglądania w ich stronę, mówiły stanowczo za wiele. Tu mapa wysp w otoczeniu hiszpańskich galeonów i Róż Wiatrów, tu traktat na temat organografii, dalej portret Ruth w pożyczonych diamentach – reklama sklepu jubilerskiego. Na wspomnienie jej wyjazdu ogarnęło mnie nagłe rozdrażnienie: to ją ścigałem teraz, jedyną osobę, którą chciałem mieć przy sobie w to mgliste i duszne popołudnie, pod niebem ściemniającym się pośród jednostajnego ruchu pierwszych reklam świetlnych. Ale znowu stawał między nami jakiś tekst, jakaś scena rozdzielająca nasze ciała, które nie potrafiły już we współzyciu Dnia Siódmego odnaleźć radości naszych pierwszych zbliżeń. Za wcześnie jeszcze było, żeby iść do Mouche. Zmęczony torowaniem sobie drogi wśród tłumu, który sunął w przeciwnym kierunku rozwijając srebrne papierki lub obierając pomarańcze palcami, zapragnąłem pójść gdzieś, gdzie były drzewa. Zdołałem już wyminąć tych, co wracali ze stadionów dyskutując wśród ożywionej gestykulacji na tematy sportowe, gdy kilka kropel spadło mi na rękę. Po upływie czasu, którego nie umiałbym dziś określić, tak krótko zdawał się trwać w procesie, wówczas dla mnie niedostrzegalnym, rozszerzania się i kurczenia, przypominam sobie te krople niby igielki rozkosznego dreszczu, przesywające moją skórę, jak gdyby były pierwszą, niezrozumiałą wtedy dla mnie zapowiedzią spotkania. Spotkania banalnego w pewnym sensie jak wszystkie spotkania, których prawdziwe znaczenie ujawni się dopiero później w splocie ich konsekwencji... Początku całej historii należy niewątpliwie szukać w chmurze, która rozerwała się tego popołudnia z taką gwałtownością, że grzmoty burzy zdawały się przybywać z innej szerokości geograficznej.

II

A więc chmura rozdarła się deszczem, podczas gdy szedłem za gmachem wielkiej sali koncertowej wzdłuż trotuaru, który nie dawał przechodniom najmniejszego schronienia. Przypomniałem sobie pewne żelazne schodki prowadzące do wejścia dla orkiestry, a że znałem kilku z tych, którzy tędy wchodzili w tym momencie, łatwo mi było dotrzeć do sceny. Słynny chór właśnie ustawiał się według głosów. Jeden z perkusistów stukając zgięciem palców, uderzał w skóry kotłów, które na skutek upału przybrały wyższy ton. Ściskając skrzypce pod brodą pierwszy skrzypek wydobywał „a” z fortepianu, podczas gdy rogi, fagoty i klarnety tonęły w zmieszanej fali gam, trel i akordów, które poprzedzają ustanowiony porządek nut. Ilekroć widziałem instrumenty orkiestry symfonicznej zajmujące miejsce za pulpitemi, z niecierpliwością wyczekiwałem chwili, gdy czas przestanie wlec za sobą nie powiązane dźwięki i zostanie ujęty w ramy, zorganizowany i poddany woli ludzkiej, przemawiającej gestami tego, który mierzy jego bieg. Ten ostatni często bywa posłuszny nakazom powziętym przed stu lub dwustu laty. Ale pod tytułami poszczególnych części były wydrukowane zlecenia ludzi, którzy – choć ich kości spoczywały we wspianiałych mauzoleach lub rozsypywały się w plugawym bezładzie wspólnego grobu – zachowali swoje prawa własności wobec czasu, narzucając chwile napięcia lub entuzjazmu ludziom przyszłości. Zdarzało się niekiedy, myślałem, że ta zagrobowa władza traciła moc lub, przeciwnie, rosła w sprzyjającym klimacie któregoś pokolenia. Tak więc gdyby ktoś zrobił bilans koncertów symfonicznych, mógłby uzyskać dowody, że w tym czy innym roku najobfitsze plony czasu zebrał Bach lub Wagner w porównaniu z nędznym dorobkiem Telemanna lub Cherubiniego. Co najmniej trzy lata nie byłem na koncercie symfonicznym. Wychodziłem ze studia tak nasycony złą muzyką albo dobrą muzyką użytą w nieznośnym celu, że absurdem wydawała mi się sama myśl zanurzenia się w czasie, który przybrał postać niemal dotykálną, poddaną ramom fugi czy formy sonatowej. Toteż doznałem przyjemności, jaką daje nowość, kiedy znalazłem się prawie niespodziewanie w ciemnym kącie pudeł kontrabasów, skąd mogłem obserwować, co się dzieje na scenie w ciemny, deszczowy wieczór, podczas gdy uspokojone nieco grzmoty zdawały się toczyć nad kałużami sąsiedniej ulicy. Po ciszy przerwanej jednym gestem nastąpiła kwinta rogów przy akompaniamencie drżących trioletów drugich skrzypiec i wiolonczel, a nad nią zarysowały się dwie opadające nuty, jakby spadłe z pierwszych smyczków i altówek z miękkością, która wkrótce przeszła w dręczący niepokój, imperatywną potrzebę ucieczki przed strasliwym natarciem rozpetanej nagle siły... Podniosłem się z przykrością. Teraz, kiedy znajdowałem się w najlepszym nastroju do słuchania muzyki po tak długim okresie jej zaniedbywania, musiało nagle wyskoczyć „to”, rozbrzmiewające teraz crescendo za moimi plecami. Powiniennem się był tego spodziewać, widząc chórzystów wchodzących na scenę. Ale mogło przecież chodzić o jakieś oratorium

klasyczne. Gdybym wiedział, że to IX Symfonia rozłożona jest na pulpitach, szedłbym dalej ulicą w strumieniach deszczu. Bo jeśli nie cierpiałem pewnych utworów muzycznych związanych ze wspomnieniem moich chorób dziecięcych, tym bardziej nie mogłem słuchać *Freude schöner Götterfunken*, *Tochter aus Elysium* i unikałem jej jak ktoś, kto przez całe lata odwraca oczy od pewnych przedmiotów kojarzących się mu z myślą o śmierci. Poza tym, jak wielu ludzi z mego pokolenia, nienawidziłem wszystkiego, co brzmiało wzniosie. Oda Schillera wydawała mi się równie okropna jak wieczerza w Monsalacie i Podniesienie świętego Graala... Oto znów jestem na ulicy w poszukiwaniu jakiegoś baru. Gdybym musiał iść daleko, by wypić kieliszek alkoholu, prędko popadłbym w stan depresji, której ulegałem niekiedy i która zawsze wywołuje we mnie uczucie, że jestem w kręgu bez wyjścia, i rozpaczam, że nic nie mogę zmienić w moim życiu, wiecznie poddanym woli innych, ledwie pozostawiającej mi swobodę codziennego wyboru mięsa czy kaszy, jaką chciałbym zjeść na śniadanie. Zaczynam biec, bo deszcz pada coraz gwałtowniej. W chwili, gdy mam skręcić na rogu ulicy, uderzam głową w otwarty parasol, wiatr wyrwa go z rąk właściciela i parasol wpada po/I koła samochodu. Zmiażdżony wygląda tak komicznie, że wybucham śmiechem. A gdy oczekuję gniewnego okrzyku, czyjś kordialny głos woła mnie po imieniu. „Szukałem cię – mówi głos – ale zgubiłem twój adres”. I konserwator muzeum, z którym nie widziałem się już od przeszło dwóch lat, mówi, że ma dla mnie prezent, niezwykły prezent u siebie w domu, w tym starym domu z początku stulecia, z brudnymi szybami i zwirowanym podjazdem, który w tej dzielnicy wygląda jak anachronizm.

Sprężyny fotela, niejednakowo rozluźnione, wrzynały się teraz w moje ciało niby włosienica, narzucając mi pewną sztywność pozycji, niezgodną z moimi obyczajami. Widzę siebie, nastroszonego jak dziecko zabrane na wizytę, w znajomym lustrze, oprawnym w ciężką rokokową ramę, uwieńczoną herbami Esterhazy. Narzekając na swoją astmę, gasząc papierosa, który go dusi, by zapalić innego, z dodatkiem mięty, po którym zaczyna kaszleć, konserwator muzeum organograficznego drepcze po ciasnym pokoju, pełnym cymbałów i bębenków azjatyckich, przygotowując herbatę, do której na szczęście poda rum z Martyniki. Na ścianie między dwiema półkami wisi quena indiańska. Na biurku w oczekiwaniu na swoją fiszkę leży skarabeusza z czasów podboju Meksyku, niezwykle cenny instrument, który zdobi głowa potwora okryta srebrną łuską, z oczyma z emalii i otwartą paszczą, wyszczerzając na mnie dwa rzędy miedzianych zębów. „Należała do Juana de San Pedro, trębacza nadwornego Karola V i słynnego rycerza ze świty Fernanda Corteza” – tłumaczy mi konserwator sprawdzając, czy herbata naciągnęła. Potem nalewa rumu do kieliszków robiąc uwagę – dość komiczną zważywszy, kto go słucha – że odrobina alkoholu od czasu do czasu jest ze względów atawistycznych bardzo dobrze przyswajana przez organizm, gdyż człowiek na przestrzeni całej historii i na wszystkich szerokościach geograficznych zawsze potrafił wynaleźć jakiś napój, którym mógłby się upić. Ponieważ prezent dla mnie znajduje się na innym piętrze, dość daleko od pokoju, gdzie jesteśmy, i poszła go szukać głucha służąca, która chodzi bardzo powoli, spoglądam na zegarek udając, że przypomniałem sobie nagle o pilnym spotkaniu. Ale mój zegarek, którego nie nakręciłem wczoraj wieczorem, jak to spostrzegam teraz, żeby się oswoić z rzeczywistością moich rozpoczynających się wakacji, stoi na godzinie trzeciej dwadzieścia. Pytam o godzinę tonem zaaferowanym, ale słyszę w odpowiedzi, że godzina nie jest ważna, że z powodu deszczu

ściemnia się przedwcześnie tego czerwcowego popołudnia, jednego z najdłuższych w roku. Pokazując mi swoje najnowsze zdobycze jak „Panguelingua” z czasów mnichów z klasztoru Sankt-Gallen, wydanie princeps „Traktatu o szyfrowanym basie dla gry na gitarze”, jak również rzadkie wydanie „Oktoechos” św. Jana z Damaszku, konserwator próbuje oszukać moją niecierpliwość, wzrastającą jeszcze bardziej pod wpływem niezadowolenia, że pozwoliłem się zaciągnąć do tej graciarni, gdzie nie mam już nic do roboty, pośród tych wszystkich harf hebrajskich, rebafów, fletów i szałamai, kołków do naciągania strun i szyjek skrzypcowych, organów ręcznych o dziurawych miechach, bezładnie nagromadzonych w ciemnych kątach. Już mam oświadczyć tonem stanowczym, że przyjdę po prezent później, kiedy ukazuje się służąca, zdejmując kalosze. Prezent, jaki mi przyniosła, to płyta nagrana do połowy, bez napisu; konserwator nakłada ją na gramofon, starannie wybierając igłę z miękkim końcem. Przynajmniej, mówię sobie, nie będzie to trwało długo: około dwóch minut, sądząc po szerokości pasa z rowkami. Odwracam się, żeby napełnić swój kieliszek, kiedy słyszę nagle za sobą świergotanie ptaka. Zdumiony patrzę na staruszka, który uśmiecha się łagodnym ojcowskim uśmiechem, jakby mi ofiarowywał bezcenny dar. Chcę go spytać, co to jest, ale nakazuje mi milczenie, wskazując na kręcącą się płytę. Teraz na pewno usłyszymy coś innego. Jesteśmy w połowie nagrania, a ten monotony świergot trwa nadal, przerywany krótkimi chwilami ciszy, jak gdyby jednakowej długości. Nawet nie bardzo muzykalny jest ten ptak, gdyż nie ma trylu ani portamento i wydaje z siebie tylko trzy nuty, zawsze te same, a timbre jego głosu brzmi jak alfabet Morse'a w kabinie telegrafisty. Płyta wkrótce się kończy. Nie rozumiem, na czym polega dar tak wychwalany przez człowieka, który w swoim czasie był moim nauczycielem, ani co ja mam wspólnego z tym dokumentem interesującym co najwyżej ornitologa. Niedorzeczna audycja kończy się i konserwator rozpromieniony niewytłumaczalną radością pyta: „Słyszysz? Rozumiesz to?” i tłumaczy, że świergotanie nie jest głosem ptaka, ale instrumentu z terakoty, używanego przez pierwszych Indian na kontynencie do naśladowania głosu ptaka, którego chcą złowić zgodnie z praktyką rytualną, zapewniającą pomyślny wynik łowów. „Oto pierwsze potwierdzenie twojej teorii” – mówi mi staruszek, ściskając mnie wśród ataku kaszlu. A że nie bardzo rozumiem, co chce powiedzieć, ogarnia mnie, podczas gdy płyta zaczyna kręcić się na nowo, wzrastająca irytacja, którą podniecają dwa jednym haustem połknięte kieliszki. Ptak, który nie jest ptakiem, razem ze swoim śpiewem, który nie jest śpiewem, tylko jego magiczną imitacją, znajduje w moim sercu nieznośny rezonans; przypomina mi pracę napisaną przeze mnie już tak dawno – nie przerażają mnie lata, ale raczej niepotrzebna szybkość ich biegu – na temat początków muzyki i organografii pierwotnej. Były to czasy, kiedy wojna przerwała kompozycję mojej ambitnej kantaty „Prometheus Unbound”. Po powrocie czułem się tak bardzo innym człowiekiem, że skończone preludium i szkice pierwszej sceny zostały spakowane i złożone na dnie szafy, podczas gdy moje zainteresowania zwróciły się w stronę techniki i tej namiastki muzyki, jaką dają film i radio. W złudnym zapale, z jakim broniłem tych sztuk stulecia, twierdząc, że otwierają nieskończone perspektywy dla kompozytorów, szukałem prawdopodobnie ulgi w poczuciu winy w stosunku do porzuconego dzieła, a także usprawiedliwienia dla mojej pracy w przedsiębiorstwie handlowym, którą objąłem, kiedy Ruth i ja naszą ucieczką złamaliśmy życie pewnego wspaniałego człowieka. Po wyczerpaniu okresu miłosnej anarchii przekonałem się szybko, że powołanie mojej żony nie da się pogodzić z tym rodzajem

współzycia, jakiego pragnąłem. Dlatego próbowałem uczynić mniej przykrą jej nieobecność związaną z przedstawieniami i sezonem teatralnym, przyjmując pracę, którą mogłem wykonywać w niedzielę i dni wolne, bez tej ciągłości celu, jakiej wymaga praca twórcza. W ten sposób znalazłem drogę do domu konserwatora, którego muzeum organograficzne było chlubą czcigodnego uniwersytetu. Pod tym samym dachem zawarłem znajomość z pierwotnymi instrumentami perkusyjnymi: wydrążone pnie, litofony, szczęki zwierząt i bransolety, z których człowiek wydobywał dźwięki w pierwszych dniach swego pojawienia się na planecie najeżonej jeszcze szkieletami mastodontów, kiedy obrał drogę, która go miała zaprowadzić do „Missa papae Marcelli” i „Kunst der Fuge”. Ulegając tej szczególnej formie lenistwa skłaniającej do energicznego oddania się pracom niezupełnie tym, którymi powinniśmy się zająć, z prawdziwą pasją oddałem się metodom klasyfikacji i studium morfologicznym tych przedmiotów z drzewa, gliny, miedzi, z trzciny, z wnętrzości i skóry kozła, tych pierwszych sposobów wydobywania dźwięków uwiecznionych z tysiącletnią siłą w cudownym werniksie rzemieślników z Cremony albo w uroczystej piszczałce teologicznej organów. Nie zgadzając się z ogólnie przyjętymi koncepcjami na temat początków muzyki, zacząłem opracowywać pomyslową teorię, która tłumaczyła narodziny pierwszej ekspresji rytmicznej chęcią naśladowania kroków zwierząt lub śpiewu ptaków. Jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, że pierwsze rysunki renów i bizonów na ścianach jaskiń należy zawdzięczać magicznemu podstępowi, mającemu zapewnić dobre wyniki polowania – zdobyć łup poprzez uprzednie zawładnięcie jego obrazem – nie byłem daleki od prawdy twierdząc, że pierwsze rytmy były rytmem kłusa, galopu, skoku, świergotania i trylu i że szukano ich, uderzając ręką o przedmiot wydający dźwięk albo dmuchając w pustą trzcinę. Byłem prawie zły teraz, patrząc na kręcącą się płytę i myśląc, że moja ciekawa – a może i słuszna – teoria została odłożona, jak tyle innych rzeczy, do lamusa marzeń, których epoka ze swoją tyranią dnia powszedniego nie pozwala mi zrealizować. Nagle ręka unosi diafragmę znad płyty, gliniany ptak przestaje śpiewać. I następuje to, czego się najbardziej obawiałem: konserwator serdecznym gestem zaciąga mnie do jakiegoś kąta i pyta, jak wyglądają moje studia, dodając, że ma dziś dużo czasu, żeby mnie posłuchać i podyskutować. Chciałby poznać moje odkrycia i moje nowe metody, rozpatrzeć moje wnioski dotyczące początków muzyki, których zamierzałem niegdyś poszukiwać na podstawie mojej teorii mimetyzmu magiczno – rytmicznego. Ponieważ nie mogę mu się wymknąć, zaczynam kłamać, wymyślać przeszkody, rzekomo opóźniające moją pracę. Ale jasne, że nie przyzwyczajony do tej taktyki popełniam śmieszne błędy w użyciu terminów technicznych, plącze klasyfikacje i nie znajduję danych istotnych, choć zdawało mi się, że je znam bardzo dobrze. Próbuję oprzeć się na bibliografii, po to tylko, by się dowiedzieć – z ironicznego sprostowania mego słuchacza – że dzisiaj specjaliści ją zarzucili. I kiedy już mam się ucześcić domniemanej konieczności połączenia niektórych pieśni pierwotnych nagranych ostatnio przez badaczy, doznaję wrażenia, że mój głos brzmi tak fałszywie, odbijany przez miedziane gongi, że grzęznę w pół zdania o niewybaczalnym zapomnieniu wygłosu organologicznego. Lustro pokazuje mi, jak żałośnie w tej chwili wyglądam, niby szuler przyłapany z talią znaczonych kart w rękawie. Wydaję się sam sobie taki brzydki, że mój wstyd zmienia się nagle w złość i wybucham grubiańsko, pytając konserwatora, czy jego zdaniem dużo ludzi w naszych czasach może wyżyć ze studiów nad instrumentami pierwotnymi. Wiadomo mu przecież, że w młodości zostałem wyrwany z

korzeniami z mego środowiska, oślepiony przez fałszywe pojęcia, popchnięty w ramiona sztuki, która żywi tylko najgorszych handlarzy z Tin-Pan-Alley, potem przez wiele miesięcy wleczono mnie jako tłumacza wojskowego przez świat w gruzach, a wreszcie znowu wyrzucono na bruk miasta, gdzie trudniej niż w jakimkolwiek innym miejscu było borykać się z nędzą. Och, znałem z doświadczenia straszliwą dolę tych, co w nocy piorą swoją jedyną koszulę, chodzą po śniegu z dziurawymi podeszwami, palą połówki papierosów i gotują w szafie, a w końcu ulegają takiej obsesji głodu, że ich inteligencja ogranicza się do jedynej myśli: o jedzeniu. To rozwiązanie było równie jałowe, jak sprzedawanie od wschodu do zachodu słońca najlepszych godzin swego życia. A zresztą – krzyczałem teraz – wewnątrz mnie jest pustka, pustka! Niewzruszony, daleki konserwator patrzy na mnie ze zdumiewającym chłodem, jakby oczekiwał tego nagłego wybuchu. Wtedy znowu zaczynam mówić, ale głosem głuchym, z pośpiechem, jakby czerpiąc siłę z jakiejś ciemnej egzaltacji. I tak jak grzesznik wytrząsa przed konfesjonalem czarny worek swoich nieprawości i pożądań, dając się ponieść pewnego rodzaju euforii samooskarżenia, która dochodzi aż do pragnienia przekleństwa, odmalowuję przed moim dawnym mistrzem w najczarniejszych barwach, w najbrzydszych, najbrudniejszych odcieniach całą bezużyteczność mego życia, ogłupionego za dnia, pogrążonego w nieświadomości w ciągu nocy. Tak bardzo przygniatają mnie moje własne zdania – jak gdyby wypowiedziane przez kogoś innego, przez sędziego, którego nosiłem w sobie, nie wiedząc o tym, i który wykorzystywał teraz moje środki fizyczne do wyrażenia swojej myśli – że słuchając ich ze zgrozą widzę, jak trudno stać się na nowo człowiekiem, kiedy się nim być przestało. Między mną obecnym a mną takim, jakim chciałbym być kiedyś, pogłębia się w ciemnościach przepaść straconych lat. Zdawało mi się teraz, że ja umilkłem, a sędzia dalej przemawia przez moje usta. Żyliśmy razem, w jednym ciele, on i ja podtrzymywani jakąś ukrytą konstrukcją, która była już w naszym życiu, w naszym ciele obecnością naszej śmierci. Wewnątrz istoty, której obraz odbijało lustro w barokowych ramach, prowadzili w tej chwili dialog Kaznodzieja i Libertyn, główne postacie każdej budującej alegorii, każdego przykładowego moralitetu. Uciekając od lustrzanej tafli moje oczy wędrują w stronę biblioteki. Ale tam, w kącie przeznaczonym dla muzyki Renesansu, na grzbiecie oprawnego w cielejącą skórę tomu, obok „Psalmów Pokutnych” widzę wydrukowany tytuł, jakby umieszczony tu celowo: „Representazione di anima e di corpo”. Było coś z momentu zapuszczenia kurtyny, wygaśnięcia ognia w milczeniu, które znowu zapadło i któremu konserwator w okrutny sposób pozwolił trwać. Nagle zrobił jakiś dziwaczny gest, który przywiódł mi na myśl nie istniejącą władzę rozgrzeszenia. Wstał powoli i podnosząc słuchawkę nakręcił numer telefonu rektora uniwersytetu, w którego gmachu mieściło się muzeum organograficzne. Ze wzrastającym zdumieniem, nie odważając się oderwać wzroku od podłogi, usłyszałem wielkie pochwały pod moim adresem. Przedstawiono mnie jako człowieka wyjątkowo powołanego do pozyskania kilku eksponatów brakujących w galerii pierwotnych instrumentów muzycznych Ameryki, kolekcji dotychczas niekompletnej, mimo że – jeśli chodzi o wartość dokumentalną – jedynej na świecie. Nie rozwodząc się zbytnio nad moimi zdolnościami, konserwator podkreślił fakt, że moja odporność fizyczna, wypróbowana w wojnie, pozwoli mi dokonać poszukiwań w krajach trudno dostępnych dla starych specjalistów. Poza tym hiszpański to język mego dzieciństwa. Każdy przytoczony argument tak podnosił moje walory, że w oczach niewidzialnego

rozmówcy powinienem urosnąć do postaci na miarę młodego von Horbostela. Z przerażeniem zauważyłem niezłomną ufność, jaką we mnie pokładano wierząc, że potrafię przywieźć stamtąd, pośród innych niezwykłych instrumentów tubylczych, bęben i pałeczkę do wymierzania rytmu, które zignorowali Schaeffner i Kurt Sachs, oraz słynny dzban z trzciny cukrowej, używany przez Indian w czasie uroczystości pogrzebowych opisanych przez Ojca Servando de Castillejos w jego traktacie „De barbarorum Novi Mundi moribus”; dzban ten nie figurował w żadnych zbiorach organograficznych, mimo że fakt przetrwania do naszych czasów szczepu, który według świadectwa mnicha używał tego dzbana jako rytualnego instrumentu muzycznego, wskazywałyby na przetrwanie obyczaju zasygnalizowanego niedawno przez podróżników i kupców. „Rektor czeka na nas” – powiedział mój nauczyciel. Pomysł ten wydał mi się nagle tak niedorzeczny, że miałem ochotę się roześmiać. Próbowałem znaleźć jakiś uprzejmy wybieg, tłumaczyć się moją ignorancją, odejściem od wszelkiej pracy intelektualnej. Utrzymywałem, że nie znam ostatnich metod klasyfikacji opartych na ewolucji morfologicznej instrumentów, a nie na ich rezonansie i sposobie grania na nich. Ale konserwatorowi najwidoczniej tak zależało na wysłaniu mnie tam, gdzie wcale nie chciałem jechać, że uciekł się do argumentu, któremu nie mogłem przeciwstawić nic rozsądnego: praca ta mogła doskonale zostać wykonana podczas moich wakacji. Chodzi tylko o to, czy z miłości do trocin barowych wyrzeknę się możliwości przepłynięcia wzdłuż czarodziejskiej rzeki. Prawdę mówiąc, nie miałem żadnej dostatecznie ważnej racji, by odrzucić tę propozycję. Wprowadzony w błąd milczeniem, które wziął za zgodę, konserwator wyszedł do sąsiedniego pokoju po płaszcz, bo deszcz dzwonił teraz mocno o szyby. Wykorzystałem tę sposobność, by uciec. Chciało mi się pić. W tej chwili interesowało mnie tylko to, by jak najprędzej znaleźć się w pobliskim barze, gdzie na ścianie wisały fotografie koni wyścigowych.

III

Na fortepianie leżała kartka: Mouche prosiła, żeby na nią czekać. Dla zabicia czasu zacząłem bawić się klawiszami, łącząc akordy bez celu, ustawivszy szklanę na brzegu ostatniej oktawy. Pachniało świeżą farbą. Za pudłem fortepianu zaczynały nabierać precyzji szkice Hydry, Okrętu Argo, Łucznika i Warkocza Bereniki, które wkrótce dodadzą pożytecznej oryginalności pracowni mojej przyjaciółki. Po wielu drwinach z jej wiedzy astrologicznej musiałem w końcu schylić czoło wobec korzyści realnych z tego zajęcia. Stawiała horoskopy drogą korespondencyjną, dysponując sama swoim czasem i z wyjątkowo zabawną powagą udzielając niekiedy w drodze łaski konsultacji osobistych, o które zabiegano dość często. Tak więc od Jowisza w znaku Raka do Saturna w znaku Wagi, czerpiąc wiedzę z ciekawych traktatów, Mouche kreśliła pędzelkiem umaczanym w gwaszu albo piórem i atramentem Mapy Przeznaczenia, wędrujące potem do odległych zakątków kraju i opatrzone znakami zodiaku, które pomagałem jej przybrać w bardziej uroczystą szatę napisami w rodzaju „De Coeleste Fisonomica, Prognosticum Super Coeleste” lub inną pięknie brzmiącą łaciną. Ludzie – myślałem niekiedy – muszą być bardzo przerażeni swoją własną epoką, żeby się tyle pytać astrologów, tak pilnie studiować linie swoich rąk, charakter swego pisma, niepokoić wróżbami z fusów kawy, odmładzając najstarsze praktyki czarnoksięskie z braku możliwości odczytywania losów z wnętrzości świętych zwierząt i obserwowania lotu ptaków przy użyciu pałeczki augura. Moja przyjaciółka, która mocno wierzyła we wróżki z zawołaną twarzą i kształtowała swoją umysłowość na wielkiej wyprzedaży surrealistycznej, czerpała nie tylko korzyści, ale i przyjemność z kontemplacji nieba w zwierciadle ksiąg i operowania pięknymi nazwami konstelacji. To był jej sposób uprawiania poezji; po jedynej próbie użycia do tego celu słów, wydrukowanych w cieniutkiej broszurce ilustrowanej fotomontażami potworów i posągów, nie robiła sobie złudzeń co do oryginalności swego talentu, gdy minęło pierwsze odurzenie wywołane zapachem farby drukarskiej. Poznałem ją dwa lata temu, podczas jednej z tych licznych, zawodowych nieobecności Ruth i jakkolwiek moje noce zaczynały się i kończyły w jej łóżku, wymieniliśmy niewiele czułych zdań. Czasem kłóciliśmy się straszliwie, by potem z gniewem złączyć się w miłosnym uścisku, podczas gdy nasze oczy, tak bliskie, że nie mogły się widzieć, ciskały sobie obelgi, które przywrócona zgoda odczuć cielesnych zamieniała w brutalne pochwały doznawanej rozkoszy. Mouche, z natury uprzejma i raczej wstrzemięźliwa, jeżeli chodzi o słownik, używała w takich momentach języka prostytutki i trzeba jej było odpowiadać tak samo, by tym żywsza była przyjemność wyrastająca z tego bagna słów. Trudno mi było powiedzieć, czy łączyła mnie z nią miłość prawdziwa. Czasem doprowadzała mnie do rozpaczmy swoim dogmatycznym przywiązaniem do stylu kawiarń z Saint-Germain-des-Prés i po jałowych dyskusjach na ten temat uciekałem z jej domu z zamiarem niepowracania tam więcej. Nazajutrz jednak roztkliwiałem

się na samą myśl o jej impertynencjach i wracałem do jej ciała, potrzebnego mi, bo znajdowałem w nim tę egoistyczną, żądającą wszystkiego dla siebie zwierzęcość, która potrafiła zmienić rodzaj mego wieczystego znużenia, przenosząc je z płaszczyzny nerwowej na fizyczną. Kiedy to osiągnąłem, czasami przychodził na mnie sen, taki sam jak ten, tak rzadko i tak gorąco upragniony, który zamykał mi oczy po dniu spędzonym na wsi, jednym z tych nielicznych dni roku, kiedy zapach drzew, wywołując rozprężenie całej mojej istoty, odurzał mnie i usypiał. Znudzony oczekiwaniem uderzyłem z furją pierwsze akordy wielkiego koncertu romantycznego, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi i pokój napełnił się ludźmi. Mouche z twarzą zarumienioną, jak zwykle gdy wypła parę kieliszków, wróciła z obiadu w towarzystwie swego malarza. Prócz tego byli dwaj moi asystenci, których nie spodziewałem się tu spotkać, i dekoratorka z parteru, zawsze na straży moralności innych kobiet, oraz tancerka, która w tym czasie przygotowywała balet na zwykłych rytmach wybijanych rękoma. „Mamy niespodziankę” – oznajmiła śmiejąc się moja przyjaciółka. I natychmiast montują projektor z kopią wyświetlanego wczoraj filmu, którego wielki sukces zadecydował o niezwłocznym rozpoczęciu moich wakacji.

Teraz, po zgaszeniu światła, przed moimi oczyma roztaczają się na nowo znane obrazy: połów tuńczyka przy niezrównanym rytmie almadrabas, rozpaczliwy popłoch kłębowiska ryb obłączonych przez czarne łodzie, lampryski wyłaniające się ze szczelin w swoich skalnych wieżycach, rozciągająca się, oplątująca wszystko miazga, przybycie węgorzy i rozległa, miedzianej barwy winnica Morza Sargassowego. A potem martwa natura: ślimaki i haczyki wędek, las koralu i fascynująca bitwa skorupiaków, zdjęcia tak zręcznie powiększone, że langusty wyglądają jak straszliwy zastęp opancerzonych smoków. Była to dobra robota, słyszeliśmy znowu najlepsze momenty partytury, płynne arpeggia celesty, miękkie portamento fal Martenota, przyływy dźwięku harf, orgię ksylofonu, fortepianu i perkusji, w czasie gdy rozgrywała się bitwa. Kosztowało to trzy miesiące dyskusji, wahań, eksperymentów i przykrości, ale rezultat był zdumiewający. Sam tekst, napisany przez młodego poetę przy współpracy z oceanografem i pod kierownictwem specjalistów naszego przedsiębiorstwa, godny był umieszczenia w jakiejś antologii tego rodzaju. A jeśli chodzi o montaż i imaginację muzyczną, nie znajdowałem żadnego zarzutu, jaki mógłbym sam sobie postawić. „Arcydzieło” – mówiła Mouche w ciemnościach. „Arcydzieło” – chórem powtórzyli inni. Gdy zapalono światła, wszyscy zaczęli mi wieszować, domagając się powtórzenia projekcji. A po drugim pokazie, ponieważ ciągle napływali goście, proszono mnie o trzeci. Ale po każdym nowym egzaminie, kiedy widziałem w girlandzie wodorostów słowo „Koniec” wieńczące to wzorowe dzieło, byłem z niego coraz mniej dumny. Pewna prawda zatruwała moją satysfakcję: fakt, że cała ta zaciekle praca, przykładowy pokaz dobrego gustu, opanowania rzemiosła, wybór i koordynacja moich współpracowników i asystentów dały w rezultacie film reklamowy, zamówiony w przedsiębiorstwie, gdzie pracowałem, przez konsorcjum rybackie prowadzące zagorzałą walkę przeciwko sieci kooperatyw. Ekipa techników i artystów męczyła się przez całe tygodnie w ciemnych salach, po to, żeby zrealizować dzieło kinematografii, którego jedynym celem było zwrócić uwagę pewnej publiczności na pewną akcję przemysłową, zdolną doprowadzić do coraz liczniejszego rozmnażania się ryb. Miałem wrażenie, że słyszę głos mego ojca, tak jak w szarych dniach jego wdowieństwa, kiedy tak chętnie cytował Pismo Święte. „To, co jest krzywe, nie może się

wyprostować, a to, czego brak, nie może wchodzić w rachubę”. Zawsze miał tę maksymę na ustach i stosował ją przy każdej okazji. Proza Eklezjasty miała dla mnie w tej chwili gorzki smak, kiedy myślałem, że konserwator na przykład wzruszyłby ramionami na widok tej pracy, uważając, że można ją porównać do kreślenia liter dymem na niebie albo do mistrzowskiego rysunku, który wywołuje ślinkę w ustach gapia stojącego w południe przed ogłoszeniem zapraszającym na chrupiące rogaliki. Uznałby mnie za współnika tych, którzy szpecą pejzaż, rozlepiaczy afiszów, szarlatanów reklamujących cudowny lek. Ale konserwator – myślałem ze złością – reprezentuje pokolenie zatrute kultem wzniosłości, przeżywające wzruszenia miłosne w łóżach Bayreuthu, pachnących wytartym czerwonym pluszem. Przybywali nowi goście, zasłaniając głowami światło projektora. „Właśnie na reklamie rozwijają się technicy” – zawołał tuż koło mnie, jak gdyby odgadując moje myśli, malarz rosyjski, który niedawno porzucił malarstwo olejne dla ceramiki. „Mozaiki w Rawennie nie były niczym innym jak tylko reklamą” – powiedział architekt, który lubił sztukę abstrakcyjną. Nowe głosy wyłaniały się z cienia. „Całe malarstwo religijne to reklama”. „Tak samo jak niektóre kantaty Bacha”. „«Got der Herr ist Sonn und Schild» czerpie źródło z autentycznego sloganu”. „Film to praca zespołu: fresk powinien być wykonywany przez zespoły, sztuka przyszłości będzie sztuką zespołów”. „W miarę jak przybywali inni zaproszeni, z butelkami, rozmowy zaczęły się dzielić. Malarz pokazywał serię rysunków przedstawiających kaleki i ludzi obdartych ze skóry, zamierzał je umieścić na swoich ceramikach jako „plansze anatomiczne symbolizujące ducha epoki”. „Prawdziwa muzyka jest czystą spekulacją na frekwencjach” – powiedział mój asystent od nagrywania, rzucając na klawisze fortepianu chińskie kości do gry, aby wykazać, jak przypadek może nam przynieść temat muzyczny. Wszyscy usiłowaliśmy się wzajemnie przekrzyknąć, kiedy gromkie „Halt”, rzucone od drzwi basowym głosem, unieruchomiło każdego niby statwę w gabinecie figur woskowych, w połowie gestu lub wymawianego właśnie słowa czy też w momencie wypuszczania z ust kłębu dymu. jedni zatrzymali się w pół kroku, inni trzymali w ręku kieliszek, w pół drogi od stołu do ust. („Oto ja. Siedzę na kanapie. Miałem właśnie potrzebę zapalką o pudełko. Klocki Wiktora Hugo przypomniały mi wiersz Mallarme'go. Ale moje ręce miały zapalić zapalkę bez zlecenia świadomości. A więc spałem. Spałem tak samo jak ci, co mnie otaczają”). Padła inna komenda z ust nowo przybyłego i każdy dokończył zawieszzonego w próżni zdania, gestu lub kroku. Było to jedno z licznych ćwiczeń, które XTH (nie nazywaliśmy go nigdy inaczej, jak inicjałami, co w praktyce brzmiało Eks-ti-ejcz) miał zwyczaj narzucać nam, żeby nas „obudzić”, jak mówił, wprowadzić nas w stan świadomości i analizy naszych aktów obecnych, bez względu na ich błahość. Odwracając na swój użytek wyznawaną przez nas powszechnie zasadę filozoficzną, twierdził, że „ktokolwiek działa w sposób automatyczny, jest esencją bez egzystencji”. Mouche z powołania entuzjazmowała się aspektami astrologicznymi jego doktryny, której podstawy były nader atrakcyjne, ale potem zanadto, w moim pojęciu, gmatwały się w mistyce Wschodu, pitagoryzmie tybetańskich „tantr” i nie wiem czym jeszcze. Fakt, że Eks-ti-ejcz potrafił zmusić nas do serii praktyk pokrewnych „asana” jogów, każąc nam oddychać w określony sposób, licząc czas wdechów i wydechów według mantr. Mouche i jej przyjaciele zamierzali w ten sposób dojść do lepszego opanowania siebie i osiągnąć siły, które zawsze wydawały mi się problematyczne, zwłaszcza u ludzi szukających codziennie w alkoholu obrony przed zniechęceniem,

udręką niepowodzeń, niezadowoleniem z własnej osoby, przed obawą odrzucenia rękopisu lub po prostu przed twardą bezwzględnością tego miasta wiecznej bezosobowości wewnątrz tłumu, wiecznego pośpiechu, gdzie spojrzenia spotykały się tylko przypadkiem, a uśmiech osoby nieznanym zawsze krył w sobie jakąś propozycję. Eks-ti-ejcz próbował teraz wyleczyć tancerkę z nagłej migreny przez położenie ręki na czole. Oszołomiony gwarem rozmów obracających się jak w kalejdoskopie, od „dasein” do boksu, od marksizmu do upor, z jakim Wiktor Hugo chciał zmodyfikować dźwięk fortepianu wkładając pod struny kawałki szkła, kule z bibułki i łodygi kwiatów, wyszedłem na taras, gdzie deszcz popołudniowy oczyścił karłowate lipy Mouche z sadzy, nieuchronnie wyrzucanej w lecie przez kominy fabryki po drugiej stronie rzeki. Zawsze bardzo mnie bawiło na tych zebraniach dziwaczne migotanie myśli przeskakującej od kabały do egzystencjalistycznej *angoisse*, poprzez projekty założenia farm na Zachodzie, gdzie sztukę niektórych artystów finansują dochody z hodowli kur rasy Leghorn lub Rhode Island Red. Zawsze lubiłem te nagłe przeskoki od spraw transcendentalnych do dziwactw, od teatru elżbietańskiego do gnozy, od platonizmu do akupunktury. Miałem nawet zamiar nagrać pewnego dnia za pomocą magnetofonu, ukrytego pod którymś z mebli, te rozmowy wykazujące zawrotność eliptycznego procesu myśli i języka. W tej gimnastyce umysłowej, w tych akrobacjach kultury znajdowałem poza tym usprawiedliwienie licznych nieprawidłowości moralnych, które u innych byłyby dla mnie czymś ohydny. Ale wybór między rodzinami ludzi nie nasuwał żadnych wątpliwości. Z jednej strony byli kupcy, przedsiębiorcy, dla których pracowałem w dzień i którzy umieli wydawać zarobione pieniądze wyłącznie na rozrywki tak głupie, tak odarte z wyobraźni, że siłą rzeczy czułem się zwierzęciem przynależnym do innego gatunku; z drugiej – ci, którzy zgromadzili się tutaj, szczęśliwi, że wypróbowali kilka butelek alkoholu, zafascynowani nadprzyrodzoną władzą obiecaną przez Eks-ti-ejcz, zawsze przejści wielkimi projektami. W nieubłaganym porządku nowoczesnego miasta realizowali pewną formę ascezy rezygnując z dóbr materialnych, cierpiąc głód i różne braki w zamian za problematyczne odnalezienie samych siebie w dokonanym dziele. A jednak tego wieczora ci ludzie męczyli mnie zupełnie tak samo, jak ci, którzy reprezentowali cyfry i zysk. To dlatego, że w głębi ducha byłem pod wrażeniem sceny w domu konserwatora i nie dałem się oszukać entuzjastom wzbudzonemu przez reklamowy film, który kosztował mnie tyle wysiłku. Paradoksy wypowiedziane na temat reklamy i sztuki zespołowej były tylko sposobami znęcania się nad przeszłością, szukaniem usprawiedliwienia dla znikomych rezultatów, osiągniętych na własnym polu działania. Tak niewielkie zadowolenie dawało mi ostatnio zrealizowane dzieło przez swój śmiechu godny cel, że kiedy Mouche podeszła do mnie z gratulacjami, zmieniłem szybko temat rozmowy opowiadając, co mnie spotkało tego popołudnia. Ku memu zdumieniu rzuciła mi się na szyję, wołając, że ta wiadomość jest „formidable”, gdyż potwierdza jej niedawny proroczy sen, w którym widziała siebie latającą w powietrzu pośród ogromnych ptaków o szafranowych piórach, co oznacza niewątpliwie podróż i powodzenie, zmianę losu poprzez zmianę miejsca pobytu. I nie dając mi czasu na sprostowanie pomyłki, rzuciła się w odmęty wielkich frazesów o pragnieniu ucieczki, wołaniu Nieznanego, o zesłanych przez Los spotkaniach tonem, który przywodził na myśl holowane okręty i nieprawdopodobne Florydy „Statku pijanego”. Przerwałem jej wkrótce, opowiadając, jak uciekłem z domu konserwatora, nie skorzystawszy z jego oferty. „Ależ to zupełny idiotyzm! – zawołała. – Mogłeś

pomyśleć o mnie”. Zwróciłem jej uwagę, że nie dysponuję odpowiednimi funduszami, by opłacić jej wycieczkę w tak odległe kraje, że zresztą w każdym wypadku uniwersytet pokryłby koszt tylko jednej osoby. Po niemiłej chwili milczenia, kiedy jej oczy przybrały brzydki wyraz niechęci, Mouche zaczęła się śmiać. „I pomyśleć, że mieliśmy tu malarza «Venus» Cranacha”. Moja przyjaciółka wytłumaczyła mi, co jej przyszło do głowy: żeby dotrzeć do krajów, gdzie żyły ludy grające niegdyś na instrumentach poszukiwanych przez muzeum, trzeba najpierw było jechać do wielkiego miasta tropikalnego, słynnego ze swoich pięknych plaż i swego folkloru; chodziło po prostu o to, żeby tam pobyc, urządzając od czasu do czasu wyprawę do lasów, podobno blisko położonych, i żyjąc beztrudnie, póki starczy pieniędzy. Nikt nie będzie wiedział, czy ściśle trzymam się marszruty, jakiej wymaga powierzona mi funkcja. Żeby w końcu wyjść z honorem, po powrocie wręczyłbym zdobyte instrumenty „prymitywne”, autentyczne, naukowo zbadane, wiarygodne i nienagannie wykonane, zgodnie z moimi szkicami i pomiarami, przez zaprzyjaźnionego malarza, zapalonego wielbiciela sztuk prymitywnych i tak szatańsko zręcznego, jeśli chodzi o wszelkie prace rzemieślnicze, kopiowanie i reprodukcję, że żył wyłącznie z podrabiania wielkich stylów, rzeźbił madonny katalońskie z XIV wieku z wytartymi złoceniami, stoczone przez robaki, tu i ówdzie popękane, a najznakomitszym jego osiągnięciem była sprzedaż zarządowi muzeum w Glasgow „Venus” Cranacha, wykonanej i pokrytej patyną wieków w ciągu kilku tygodni. Tak niesmaczna i ubliżająca wydała mi się ta propozycja, że odrzuciłem ją z obrzydzeniem. Oczyma duszy ujrzałem uniwersytet, majestatyczny jak świątynia, której białe kolumny proponowano mi zbrukać. Mówiłem długo, ale Mouche nie słuchała. Wróciła do pracowni, gdzie oznajmiła wszystkim nowinę o naszej podróży, przyjętą okrzykami zachwyty. I teraz nie zwracając na mnie uwagi biegała z pokoju do pokoju, wyciągając walizki, składając i rozwijając bieliznę, wypisując na kartce listę rzeczy, które należało kupić. Wobec takiego lekceważenia, bardziej dotkliwego niż szyderstwo, wyszedłem z jej domu, trzaskając drzwiami. Ale ulica wydała mi się niezwykle smutna w tę niedzielną noc drżącą już z obawy przed udawką poniedziałku. Z kawiarni wychodzili ludzie zaprzątnięci myślą o jutrzejszym ranku i szukający kluczy do swoich drzwi w świetle latarń, które rzucały metaliczne smugi na mokry asfalt. Zatrzymałem się, niezdecydowany co robić. W moim domu czekał mnie nieład, jaki wyjeżdżając zostawiła Ruth; ślad jej głowy na poduszce, zapachy teatru. A kiedy zadźwięczy dzwonek budzika, będzie to przebudzenie bez celu i lęk przed spotkaniem z kimś, kto wyłonił się ze mnie samego i czekał co roku u progu moich wakacji, z osobnikiem pełnym wymówek i gorzkich argumentów, tym samym sędzią, który ukazał mi się kilka godzin temu w barokowym lustrze konserwatora, żeby ze mnie wygarnąć popioły. Konieczność zrewidowania aparatów synchronizacyjnych i urządzenia nowych zamkniętych miejsc, zabezpieczonych materiałami izolacyjnymi, sprzyjała na początku każdego lata temu spotkaniu, którego konsekwencją była zmiana rodzaju ciężaru, jaki dźwigałem. Ledwie zdążyłem zrzucić z siebie kamień Syzyfa, inny obciążał moje plecy, jeszcze nie zabliznione, i nie potrafiłbym powiedzieć, czy w końcu nie wolałem czasami brzemienia bazaltu od tego, które dźwigał sędzia. Mgiełka napływająca z pobliskich wybrzeży unosiła się nad ulicą rozpraszając światła latarń, dzieląc je na tęcze smugi, które niby ostrzem szpilek przekłuwały krople spadające z niskich chmur. Spuszczano żaluzje z karbowanej blachy w drzwiach kin, nad podłogą westybulów zaśmieconą podartymi biletami. Dalej

trzeba było przejść na drugą stronę pustej ulicy w zimnym blasku lamp i wspinać się w ciemnościach pochyłym chodnikiem w stronę Oratorium, i przesuwać palcami wzdłuż ogrodzenia, póki nie naliczę pięćdziesięciu dwóch sztachet. Oparłem się plecami o słup, myśląc o pustce trzech tygodni, zbyt krótkich, żeby coś przedsięwziąć, i wypełniających się, w miarę jak mijają dni, goryczą zaniedbanej możliwości. Nie zrobiłem ani kroku, by wyjść naprzeciw dzisiejszej propozycji. Wszystko przyszło samo i nie byłem winien, jeśli zbyt wysoko oceniono moje zdolności. Ostatecznie konserwator nie wykląda nic z własnej kieszeni, a jeśli chodzi o uniwersytet, trudno, by jego osiwiali wśród książek erudyci, nie mając bezpośredniego kontaktu z rzemieślnikami kultury dzikich krajów, poznali się na oszustwie. Tak czy inaczej instrumenty opisane przez brata Servando de Castillejos nie były dziełami sztuki, lecz przedmiotami stworzonymi przez prymitywną technikę istniejącą dotychczas. Jeśli muzea przechowują jak skarb niejednego Stradivariusa podejrzanej autentyczności, niewielkim przestępstwem będzie w gruncie rzeczy sfalszować bęben dzikich. Wszystko jedno, czy poszukiwane instrumenty będą wyrobu autentycznego, czy dzisiejszego. „Ta podróż była wypisana na ścianie” – powiedziała Mouche, gdy wróciłem, i wskazała nakreślone ochrą szkice Łucznika, Okrętu Argo i Warkocza Bereniki, wyraźniejsze teraz, kiedy przyćmiono światła.

Rano, podczas gdy moja przyjaciółka biegła po konsulatach, poszedłem na uniwersytet, gdzie konserwator, na nogach od wczesnego ranka, pracował nad naprawą viola d'amore w towarzystwie lutniarza w granatowym kombinezonie roboczym. Bez zdziwienia spojrział na mnie sponad okularów. „Bardzo szczęśliwie” – powiedział. Nie byłem pewien, czy chce mi powinszować decyzji, czy odgadł, że jeśli w tej chwili mogę o czymkolwiek myśleć, to tylko dzięki narkotykowi, który Mouche kazała mi wypić po obudzeniu. Po chwili zaprowadzono mnie do gabinetu rektora, który mi kazał podpisać umowę i wręczył pieniądze na podróż z listą wyszczególniającą główne punkty powierzonego zadania. Nieco oszołomiony szybkością załatwienia sprawy, dotąd niezbyt jasno uświadamiając sobie, co mnie czeka, znalazłem się następnie w wielkiej sali, gdzie konserwator poprosił, żebym zaczekał na niego chwilę, gdyż musiał się przywitać z dziekanem filozofii, który wrócił niedawno z kongresu w Amsterdamie. Z przyjemnością zauważyłem, że sala była prawdziwym muzeum reprodukcji fotograficznych i odlewów z gipsu przeznaczonych dla studentów historii sztuki. Nagle uniwersalność pewnych obrazów (jakaś lilia wodna pędzla impresjonistów, „Rodzina” Maneta, tajemnicze spojrzenie Mme Rivière) przypomniła mi odległe czasy, kiedy próbowałem złagodzić smutek zawiedzionego podróżnika, pielgrzyma zgorzonego profanacją Świętych Miejsc, w niemal pozbawionym okien świecie muzeów. Był to okres, kiedy odwiedzałem pracownie rzemieślników, loże operowe, ogrody i cmentarze z romantycznych sztychów, nim zacząłem uczestniczyć wraz z Goyą w bitwach z 2 Maja albo w „Pogrzebie Sardynki”, gdzie niepokojące maski bardziej przypominały pijanych pokutników i diabłów z auto sacramental niż karnawałowe przebrania. Po odpoczynku wśród wieśniaków Le Naina pograżyłem się w pełni Renesansu, studiując portret jakiegoś kondotiera, z tych, którzy cwałują na koniach bardziej marmurowych niż żywych, pośród kolumn zdobnych w chorągiewki. Lubiłem od czasu do czasu dzielić życie średniowiecznych mieszczan, amatorów korzennego wina, tych, co kazali się malować obok ufundowanego przez siebie posągu Madonny (aby uwiecznić swój dar), ćwiartowali różowe prosiaki,

urządzali walki kogutów i wkładali rękę za dekolt wesołych rybałtek, skłonnych do popełniania nowych grzechów w niedzielne popołudnie, zważywszy istniejące tego dnia ułatwienia w uzyskaniu absencji spowiednika. Jakaś żelazna sprzączka, barbarzyńska korona najeżona szpikulcami przenosiły mnie następnie do Europy Merowingów, do krajów nieprzebytych gęstwina leśnych i ziemi bez dróg, w czasy wędrówek szczurów i dzikich bestii, które potrafiły dotrzeć, spienione furją, aż na rynek wielkiego grodu. Potem były kamienie mykańskie, ozdoby grobowe, ciężkie wyroby gliniane prostackiej i awanturniczej Grecji sprzed jej epoki klasycznej, Grecji pachnącej mięsem pieczonym na rożnie, strzyżonym runem, krowim gnojem, końskim potem. I tak krok po kroku docierałem do szaf pełnych siekier, tasaków i noży z krzemienia i tu się zatrzymałem urzeczony mrokami okresu magdaleńskiego, solutrejskiego i chellejskiego z uczuciem, że dotarłem do granicy dziejów człowieka, do granicy zjawisk możliwych, która mogła być, według pewnych prymitywnych kosmografów, brzegiem ziemi płaskiej, tam gdzie pochylając głowę nad astralną przepaścią nieskończoności powinno się widzieć niebo także i w dole. „Cronos” Goyi przywrócił mnie epoce współczesnej dzięki obszernym kuchniom uszlachetnionym obrazami martwej natury. Syndyk zapalał fajkę rozżarzonym węglem z paleniska, służąca oparzała zajęcia nad parą wielkiego kotła, a przez otwarte okno widać było gawędzące prządki na cichym dziedzińcu w cieniu wiązków. Patrząc na te swojskie obrazy zadawałem sobie pytanie, czy ludzie dawniej tęsknili za przeszłością, tak jak ja tego letniego poranka tęskniłem – jak gdybym je kiedykolwiek znał – za pewnymi formami życia, które człowiek utracił na zawsze.

Ha! I scent life!

Shelley

Rozdział drugi

IV

Środa, 7 czerwca

Od kilku minut uszy nas ostrzegały, że opuszczamy się na dół. Nagle chmury zostały nad nami, samolot zaczął się kołysać, jak gdyby przestał ufać zmiennemu powietrzu, które raz po raz niespodziewanie wypuszczało go ze swych objęć i chwyciło na nowo bądź pozostawiało jedno skrzydło bez oparcia i porzucało go na pastwę niewidzialnych fal. Na prawo rysowała się kordyliera barwy ciemnozielonej, nieco zatarta przez deszcz. Dalej, w pełnym słońcu, było miasto. Dziennikarz siedzący obok mnie (Mouche spała za moimi plecami, zajmując całą długość ławeczki) opowiadał mi pół drwiąco, pół z rozczuleniem o tej rozproszonej stolicy bez stylu, z anarchistyczną topografią, i widzieliśmy już zarysowujące się pierwsze ulice. Aby mogła wyrosnąć wzdłuż morza, na wąskiej wstędze piasku obręzionej wzgórzami, gdzie wznosiły się fortece zbudowane z rozkazu Filipa II, naród musiał przez całe wieki toczyć wojnę z plagą mokradeł, żółtej febry, insektów i czarnych bloków skalnych, które sterczały tu i ówdzie samotne, nieprzebyte, połyskujące niby aerolity rzucone ręką niebiańską. Te niepotrzebne masy – tkwiące pośród budynków, anten, kopuł z początków stulecia, antycznych dzwonnicy – fałszowały perspektywę wprowadzając na to miejsce inną, nie na skalę człowieka, jak gdyby to były budowle przeznaczone na jakiś nieznaną użytek, dzieło niepojętej cywilizacji zagubionej w dalekich mrokach. Przez setki lat prowadzono zaciekłą walkę przeciwko korzeniom drzew, podważającym fundamenty i rozsadzającym mury, ale kiedy jakiś bogaty właściciel wyjeżdżał na kilka dni do Paryża, zostawiając swą rezydencję pod opieką nie dość energicznej służby, korzenie wykorzystywały każdy moment, w którym jej uwagę zaprzętała piosenka lub sjesta, by wszędzie prężyć i wyginać w kabłąk swe grzbiety, unicestwiając w ten sposób w ciągu dwudziestu dni najlepsze zamierzenia funkcjonalne Le Corbusiera. Usunięto palmy z przedmieść, których plany kreślili wybitni urbaniści, ale palmy zmartwychwstały na dziedzińcach domów kolonialnych otaczając kolumnadą centralne aleje, pierwsze aleje kreślone ostrzem szpady w najbardziej wskazanym miejscu przez założycieli pierwotnego miasta. Górząc nad mrowiskiem ulic, gdzie mieściły się siedziby giełdy i prasy, nad marmurami banków, przepychem wielkich domów handlowych, bielą gmachów publicznych – wznosił się, pod słońcem w wiecznej

kanikule, świat wag, kaduceuszy, krzyży, skrzydlatych geniuszy, sztandarów, trąb, Famy, zębatych kół, młotów i zwycięstw proklamujących w spiżu i kamieniu rozkwit i dobrobyt miasta, w którym rządziły przykładowe prawa. Ale gdy nadchodziły kwietniowe deszcze, nigdy nie wystarczało rynien i ścieków i centralne place były zalane, co wywoływało takie zakłócenia w komunikacji, że autobusy zmuszone do kursowania po nieznanym dzielnicach przewracały posągi, zbaczały w ślepe uliczki, nierzadko rozbijając się w wąwozach nigdy nie oglądanych przez cudzoziemców ani przez podróżnych wyższej kategorii, gdyż były zamieszkałe przez ludzi, którzy chodzili półnago i pędzili życie dzikusów grając na gitarze, bijąc w bęben i popijając rum z blaszanych stągwi. Światło elektryczne i mechanika przeniknęły wszędzie. Przyswajano tu sobie technikę ze zdumiewającą łatwością, przyjmując jako codzienną rutynę metody próbowane dopiero ostrożnie przez starsze narody. Postęp przejawiał się w strzyżeniu trawników, w olśniewającym zbytku ambasad, w obfitości chleba i wina, w zadowoleniu kupców, których nestorzy pamiętali jeszcze straszliwsze czasy komarów widliszków. Niemniej istniało coś jakby złośliwy pollen unoszący się w powietrzu, substancja o magicznej mocy, jakaś nieuchwytna próchnica, latająca pleśń, która nagle realizowała jakieś tajemnicze plany, otwierając to, co było zamknięte, i zamykając to, co było otwarte, gmatwając obliczenia, zmieniając wagę przedmiotów, niszcząc przedmioty gwarantowane. Któregoś dnia w pewnym szpitalu odkryto grzyb w ampułkach z surowicą, precyzyjne aparaty psuły się, w butelkach zaczynało burzyć się wino, Rubensa w Muzeum Narodowym toczył jakiś nieznaną pasożyt odporny na kwasy, ludzie szturmowali do okienek w banku, gdzie nie nastąpił żaden krach, ogarnięci paniką na skutek przepowiedni starej Murzynki, na próżno poszukiwanej przez policję. Kiedy działy się te rzeczy, jedno tylko tłumaczenie przyjmowane było jako wiarygodne wśród wtajemniczonych w sekrety miasta: Robak. Nikt nie widział Robaka. Ale Robak istniał, oddany swemu dziełu zniszczenia, zjawiający się tam, gdzie najmniej go oczekiwano, by zmylić najbardziej wypróbowane doświadczenie. Prócz tego częste błyskawice rozdzierały niebo, wybuchały suche burze i co dziesięć lat setki domów równały z ziemią cyklon zrywający się gdzieś na oceanie. Ponieważ lecieliśmy bardzo nisko, zbliżając się do strefy lądowania, spytałem mego towarzysza o pewien dom, duży i ładny, otoczony ogrodami”, pełnymi posągów i wodotrysków, opadającymi w terasach aż do wybrzeża morskiego. Dowiedziałem się, że to siedziba nowego prezydenta republiki i że gdybym przybył o kilka dni wcześniej, mógłbym uczestniczyć w uroczystościach narodowych, urządzonych z okazji objęcia przez niego władzy, z pochodami Maurów i Rzymian. Ale oto już piękna rezydencja znika pod lewym skrzydłem samolotu. Potem mile powitany powrót na ziemię, toczenie się kół po twardym gruncie, przejście ogłuszonych pasażerów do biura odprawy celnej, gdzie odpowiada się na pytania z miną winowajcy. Oszołomiony zmianą powietrza, czekając na urzędników, którzy bez pośpiechu będą przeglądać nasze walizki, myślę o tym, że jeszcze się nie przyzwyczałem do takiego oddalenia od moich zwykłych dróg. I nagle odnalezione światło, zapach gorącego espartillo, wody morskiej, którą niebo zdaje się przenikać aż do najgłębszych warstw jej zieleni, a także zmiana bryzy, która niesie przykrą woń gnijących skorupiaków. O świcie, kiedy lecieliśmy wśród brudnych chmur, żałowałem mojej decyzji i miałem ochotę wykorzystać pierwszy postój, by jak najprędzej wrócić i oddać uniwersytetowi pieniądze. Czułem się uwięziony, obezwładniony, niby współnik obrzydliwego przestępstwa, wewnątrz zamkniętego samolotu, rytmicznie drgającego w

zmaganiach z wrogim wiatrem, który uderzał co chwila z lekkim dreszczem o aluminiowe skrzydła. Ale w tej chwili jakaś dziwna rozkosz ucisza moje skrupuły. I z wolna siła odradzająca przenika we mnie uszami, porami skóry: język, którego słucham. To przecież język, którym mówiłem w dzieciństwie, w którym uczyłem się abecadła i solfeżu, język zardzewiały w moim umyśle od długiego nieużywania, odłożony na bok jak niepotrzebne narzędzie w kraju, gdzie nie na wiele mógł mi się przydać.

To, Fabiuszu, niestety, na co patrzysz teraz...

Ten wiersz powraca mi w pamięci po długim zapomnieniu, wierszyk umieszczony jako ćwiczenie interpunkcji w małej gramatyce; muszę ją mieć gdzieś schowaną razem z portretem mojej matki i kosmykiem jasnych włosów, który mi obcięto, kiedy miałem sześć lat. Ten sam język, w jakim napisany został ów wiersz, widziałem teraz przez wielkie okna poczekalni na szyldach sklepowych; śmieje się i wykrzywia w żargonie czarnych tragarzy, skarykaturowanych w napisie „Biva el Precidente”, którego błędy ortograficzne wskazują mojej przyjaciółce z dumą kogoś, kto odtąd będzie jej przewodnikiem i tłumaczem w nieznanym mieście. To nagłe poczucie wyższości nad nią pokonuje moje ostatnie skrupuły. Już nie żałuję, że przyjechałem. I myślę o możliwości, której dotychczas nawet sobie nie wyobrażałem: z pewnością gdzieś w mieście sprzedają instrumenty, które mi kazano zebrać. Nie do wiary, żeby ktoś, jakiś handlarz osobliwości, jakiś badacz zmęczony podróżami nie pomyślał o wykorzystaniu przedmiotów tak poszukiwanych przez cudzoziemców. Potrafię tego kogoś odszukać i zmusić w ten sposób do milczenia ten zgryźliwy głos, który odzywa się we mnie i psuje mi radość. Pomysł ten wydał mi się tak szczęśliwy, że kiedy jechaliśmy do hotelu w ubogiej dzielnicy, kazałem zatrzymać samochód przed sklepikiem antykwariusza, który może miał się stać moją opatrnością. Był to dom z kratami splecionymi w skomplikowane arabeski, w każdym oknie siedział stary kot, a na balkonach drzemały jak gdyby przysypane kurzem papugi o nastroszonych piórach, niby kępy mchu wyrosłe na zielonawej fasadzie. Antykwariusz nic nie wiedział o instrumentach, które mnie interesują. Żeby zwrócić moją uwagę na inne przedmioty, pokazał mi wielką pozytywkę, gdzie złote motyle, które usiadły na młoteczkach, wygrywały na cymbałkach walce i półeczki. Na stołach, zastawionych wazonami rzeźbionymi w krwawniku, były portrety zakonnic w wieńcu kwiatów. Święta z Limy wychylająca się z kielicha róży i otoczona girlandą cherubinów sąsiadowała na ścianie z obrazami walki byków. Mouche zachwyciła się pławikonikiem znalezionym wśród broszek i breloków z koralu, ale zwróciłem jej uwagę, że to może znaleźć wszędzie. „To czarny konik morski Rimbauda” – odpowiedziała mi, płacąc antykwariuszowi za ten zakurzony literacki gracyk. Miałem ochotę kupić umieszczony na wystawie różaniec z filigranowego srebra wyrabianego w koloniach, ale kosztował za drogo, bo krzyż był wysadzany prawdziwymi brylantami. Wychodząc ze sklepu pod intrygującym szyldem „Kram Zaroastry”, musnąłem ręką łodygę bazylii w doniczce. Zatrzymałem się do głębi wzruszony wspomnieniem zapachu: tak pachniała skóra małej dziewczynki, Marii del Carmen, córeczki ogrodnika, kiedy bawiliśmy się w tatę i mamę na podwórku w cieniu rozłożystego tamaryszka, podczas gdy moja matka ćwiczyła na fortepianie nowo wydaną habanerę.

V

Czwartek, 8

Moja drżąca ręka szuka na marmurowym stoliku przy łóżku budzika, który w tej chwili dzwoni może bardzo wysoko na mapie, w odległości tysięcy kilometrów. Muszę na chwilę skupić myśli, spoglądając na plac przez firanki, by zrozumieć, że zadrwiono sobie z mego przyzwyczajenia – praktykowanego co rano tam – i że jestem ofiarą figla wędrownego handlarza grającego na trianglu. Potem słysząc fujarkę ostrzyciela nożyczek, która dziwnie harmonizuje z wołaniem czarnego olbrzyma dźwigającego na głowie kosz z mątwami. Drzewa kołyszące się w porannym wietrze zasypują białym puchem posąg jakiegoś sławnego męża, który przypomina lorda Byrona, sądząc po wzburzonej ondulacji spiżowego krawata, a także trochę Lamartine'a, z ruchu, jakim podaje sztandar niewidzialnym buntownikom. W dali dźwięczą dzwony kościoła w rytmie ubożuchnej parafii, który powstaje przez pociąganie za sznury i którego nie znają elektryczne dzwony fałszywych dzwonnicy gotyckich w moim kraju. Mouche śpi niemal w poprzek łóżka, tak że nie ma prawie miejsca dla mnie. Od czasu do czasu poirytowana niezwykłym upałem usiłuje zrzucić prześcieradło, ale tylko zaplątuje w nim jeszcze gruntowniej swoje nogi. Obserwuję ją długo, nieco rozdrażniony jeszcze wczorajszą historią: tym atakiem alergii od zapachu rosnącego w pobliżu drzewa pomarańczy. Zapach ten sięgał aż do naszego okna na czwartym piętrze, tak że prędko skończyły się uciechy, które obiecywałem sobie po tej pierwszej nocy spędzonej wspólnie pod nowym niebem. Dałem jej środek nasenny, a potem musiałem uciec się do czarnej opaski na oczy, żeby prędeż utopić we śnie moje rozczarowanie. Patrząc znowu przez rozchylone firanki. Za pałacem gubernatorskim o klasycznych kolumnach, podtrzymujących barokowe gzymsy, rozpoznaję fasadę teatru w stylu Drugiego Cesarstwa, gdzie wczoraj wieczorem, w braku spektakli o kolorycie bardziej lokalnym, powitały nas pod kryształowymi żyrandolami marmurowe muzy, których strzegły popiersia Meyerbeera, Donizettiego, Rossiniego i Herolda. Kręte schody z poręczą zdobną w rokokowe girlandy zaprowadziły nas do sali olśniewającej czerwienią aksamitu, z balkonami obrzeżonymi złotą frędzlą, gdzie strojono instrumenty orkiestry, zagłuszane gwarem rozmów na parterze. Wyglądało, jakby wszyscy się tu znali. Wybuchy śmiechu biegły od jednej łoży do drugiej, z ciepłego półcienia wynurzały się nagie ramiona, ręce poruszające przedmiotami z innego stulecia, jak lornetki z masy perłowej, face-à-main, wachlarze z piór. Nagość dekoltów, zarys piersi, pleców, miały w sobie jakąś miękkość pełną i przypudrowaną, przywodzącą na myśl brosze z kamei i koronkowe wstawki do gorsetów. Przypuszczałem, że ubawię się śmiesznym patosem opery, którą zapewne odegrają w duchu wielkiej tradycji brawury, koloratury, fioritury. Ale kiedy uniosła się kurtyna odsłaniająca ogród zamkowy w Lammermoor, staroświecka scenografia fałszywych perspektyw, oszukańcze tricki i feerie

nie wzbudziły we mnie uczucia ironii. Byłem w mocy jakiegoś nieokreślonego czaru, złożonego z niejasnych wspomnień i dalekich nie powiązanych z niczym tęsknot. Ten wielki aksamitny amfiteatr, szczodre dekolty, koronkowe chusteczki wetknięte za gors, uroczyste fryzury, ta scena, na której artyści wyciągali arie, kładąc rękę na sercu, wśród bujnej roślinności z malowanego papieru, ten kompleks tradycji sposobu bycia, ruchów i gestu nie do odnalezienia w wielkiej nowoczesnej stolicy, był to magiczny świat teatru, taki, jakim mogła go znać moja blada i płomienna prababka o zmysłowych i zamglonych oczach, w białej atlasowej sukni z portretu Madraza, który w dzieciństwie tak często pobudzał mnie do marzeń, póki ojciec, przyciśnięty potrzebą, nie sprzedał go w okresie kłopotów finansowych. Któregoś popołudnia, kiedy byłem sam w domu, odkryłem w głębi starego kufra sztambuch oprawny w kość słoniową ze srebrnym zameczkiem, gdzie dama z portretu prowadziła swój dzienniczek z okresu narzeczeństwa. Na jednej ze stron, pod płatkami róży, które z biegiem lat przybrały kolor tytoniu, znalazłem cudowny opis „Gemmy di Vergy” śpiewanej w teatrze w Hawanie. Przypominał dokładnie to, co widziałem dziś wieczorem. Czarni stangreci w cylindrach opasanych wstążką i w botfortach nie czekają już na ulicy; w porcie nie kołyszają się już latarnie na korwetach ani nie będzie „pieśni” po zakończeniu spektaklu. Ale były wśród publiczności te same twarze pałające radością, zachwycone romantycznym widowiskiem; to samo nieuważne słuchanie arii, śpiewanych nie przez główne osoby i służące tylko jako melodyjne tło wielkiej konspiracji, szeptów zza wachlarza, stłumionych śmiechów, wymiany ostatnich sekretów, ciętych aforyzmów, drwin i przycinków, tło gry, której reguł nie rozumiałem, ale obserwowałem ją z radością dziecka wypędzonego z sali, gdzie odbywa się wielki bal maskowy.

W czasie antraktu Mouche oświadczyła, że więcej nie zniesie. „To przedstawienie musi być podobne do «Łucji», którą madame Bovary oglądała w Rouen” – powiedziała. Mimo że spostrzeżenie nie było pozbawione pewnej słuszności, rozdrażniła mnie nagle ta ciasnota upodobań, charakterystyczna dla mojej przyjaciółki, określająca z góry jej wrogi stosunek do wszystkiego, co nie znało haseł i kanonów pewnych środowisk artystycznych, w jakich obracała się w Europie. W tej chwili pogardzała operą nie dlatego, by coś szokowało jej niezbyt wielką wrażliwość muzyczną, tylko dlatego, że hasłem pokolenia była pogarda dla opery. Widząc, że moja zręczna wzmianka o operze parmeńskiej z czasów Stendhala nie zdołała skłonić jej do powrotu na widownię, wyszedłem z teatru bardzo niezadowolony. Odczuwałem potrzebę ostrej dyskusji z moją przyjaciółką, żeby przeszkodzić pewnym reakcjom, które mogły mi zepsuć najlepsze chwile z tej podróży. Chciałem z góry unieszkodliwić pewne zarzuty łatwe do przewidzenia dla kogoś, kto jak ja znał na pamięć rozmowy pełne przesądów intelektualnych, prowadzone w jej domu. Ale wkrótce wyszła na nasze spotkanie noc – głębsza niż ta w teatrze – noc, która narzuciła nam swoje wartości milczenia, uroczysty majestat swej gwiazdzistej obecności. Milczenie, które mógł na chwilę rozedrzeć pierwszy lepszy odgłos komunikacji ulicznej. Później znów noc odzyskiwała swą integralność, wypełniając bramy i przedsionki, gęstniejąc w otwartych oknach domów, jakby wyludnionych, ciężkim brzemieniem kładąc się na opustoszałych ulicach z kamiennymi arkadami. Jakiś dźwięk kazał nam się zatrzymać. Zdumieni musieliśmy przejść kilka razy tam i z powrotem, żeby stwierdzić cud: nasze kroki rozlegały się echem na przeciwległym chodniku. Na placu

przed pogrążonym w cieniu kościołem, zdobnym w stiuki, była fontanna z trytonami; włochaty pies stojąc na zadnich łapach, chleptał wodę wśród pomruków rozkoszy. Wskazówki zegarów nie zdradzały najmniejszego pośpiechu, pokazując godziny według własnego upodobania, od starych dzwonnicy do gmachów miejskich. Schodząc w dół do morza, wyczuwało się ruch w nowoczesnych dzielnicach, ale mimo neonów, mrugających tam niezmiennie nad drzwiami nocnych lokali, było oczywiste, że prawda tego miasta, jego duch i postać istotna wyrażały się tutaj, w jego obyczajach i kamieniach. Przy końcu ulicy znaleźliśmy się naprzeciw obszernego domu z arkadami i omszałym dachem, gdzie przez otwarte okna widać było salon ze starymi obrazami w złotych ramach. Zaglądając do środka przez ozdobną kratę, zobaczyliśmy – w bliskim sąsiedztwie generała w kapiącym od złota mundurze i wysokim czako i obok uroczego malowidła przedstawiającego trzy damy jadące powozem – portret panny Taglioni w sukni przybranej w talii skrzydełkami ważek. Światła błyszcząły w rżniętych kryształach, ale nie dało się zauważyć śladu ludzkiej obecności w korytarzach prowadzących do innych oświetlonych pokoi. Wyglądało to tak, jakby przed stu laty poczyniono wszystkie przygotowania do balu, na którym nikt nigdy nie był. Nagle fortepian, któremu tropiki nadawały dźwięczność szpinetu, rozbrzmiał pompatyczną introdukcją do walca na cztery ręce. Potem wiatr poruszył firankami i cały salon jak gdyby rozplątał się w pianie koronek i tiulów. Czar prysnął, gdy Mouche powiedziała, że jest zmęczona. W chwili kiedy najbardziej dałem się ponieść urokowi tej nocy, ukazującej mi właściwy sens pewnych zatartych wspomnień, moja przyjaciółka niszczyła rozkosze spokoju, który mógł mnie zaprowadzić do świtu bez zmęczenia. Na niebie, ponad dachem, gwiazdy kreśliły kontury Hydry, Okrętu Argo, Łucznika i warkocza Bereniki zdobiące pracownię Mouche. Ale próżno byłoby ją o to pytać, bo równie mało jak ja wiedziała o dokładnym położeniu konstelacji, z wyjątkiem obu Niedźwiedzic. Odkrywając nagle komizm tej ignorancji u osoby, która żyła z gwiazd, roześmiałem się i zwróciłem ku niej. Otworzyła na chwilę oczy nie budząc się, spojrzała nie widząc i z głębokim westchnieniem odwróciła się twarzą do ściany. Miałem chęć znów zasnąć, ale pomyślałem, że warto wykorzystać jej sen na rozpoczęcie poszukiwań instrumentów tubylczych, zgodnie z wczorajszym projektem, gdyż myśl o tym nie dawała mi spokoju. Wiedziałem, że moja gorliwość wyda jej się co najmniej naiwna, toteż ubrałem się pospiesznie i wyszedłem, nie budząc przyjaciółki.

Słońce, zalewające ulice, odbijające się w szyldach, zapalające niespokojne połyskliwe prążki na wodzie sadzawek, wydało mi się tak niezwykle, tak nowe, że chcąc je godnie powitać, musiałem sobie kupić ciemne okulary. Potem usiłowałem się zorientować, jak dojść do dzielnicy, gdzie był wielki dom sztuki kolonialnej, bo w tej okolicy skupiały się zapewne sklepy z osobliwościami. Idąc wąskim chodnikiem zatrzymywałem się co chwila przed wystawami małych sklepików, przywodzącymi na myśl rzemiosło dawnych czasów. Były tu ozdobne litery kosmoramy, Złoty Trzewiczek, Król Midas, Harfa Melodyjna, Planisferium zawieszzone w drzwiach starej księgarenki i obracające się na wietrze. Na rogu ulicy mężczyzna wachlował ogień w piecyku, gdzie piekł się udziec cielęcy, szpikowany czosnkiem, wśród gryzącej woni frytury, pod warstwą oregano, cytryny i pieprzu. Dalej sprzedawano napoje chłodzące na straganie tłustym jeszcze od plam oliwy po smażonej rybie. Gorący zapach chleba, świeżo wyciągniętego z pieca, buchnął przez okna sutereny, w której mrokach krzątało się podśpiewując kilku

mężczyzn umęczonych od stóp do głów. Przystanąłem z zachwytem i zdumienia. Od dawna już zapomniałem, że istnieje coś takiego jak mąka, w kraju, gdzie chleb, wymieszany nie wiadomo gdzie, przywieziony nocą w zamkniętych ciężarówkach niby jakiś wstydlivy towar, nie był już chlebem, który się łamie palcami i który rozdziela przy stole ojciec, pobłogosławiwszy go przedtem. Trzeba go wziąć do ręki z uszanowaniem, zanim odłamie się skórę nad dymiącym talerzem zupy z porów, albo posolić go i umaczać w oliwie, by odnaleźć smak, który bardziej niż smakiem chleba z solą i oliwą jest niezrównanym smakiem Morza Śródziemnego, znanym już Ulissesowi i jego towarzyszom. To spotkanie z mąką i odkrycie witryny z rycinami Metysów tańczących marinierę kazały mi zapomnieć o celu mojej wędrówki po nie znanych ulicach. Tu się zatrzymałem przed obrazem przedstawiającym rozstrzelanie cesarza Maksymiliana, dalej kartkowałem stare wydanie „Historii Inków” Marmontela, której ilustracje miały w sobie coś z masońskiej estetyki „Czarodziejskiego fletu”. Przysłuchiwałem się piosence o Malbruku, którą śpiewały dzieci bawiące się na podwórku, gdzie przyjemnie pachniało śmietanką. Po chwili, zachęcony porannym chłodem starego cmentarza, spacerowałem w cieniu jego cyprysów, między grobami zapomnianymi w gąszczu trawy i dzwonek polnych. Czasami za szkłem porośniętym pleśnią można było dostrzec dagerotyp przedstawiający tego, kto spoczywał pod marmurami: jakiś student z płonącymi oczyma, weteran wojny boliwijsko – peruwiańskiej, poetka w wieńcu laurowym. Oglądałem właśnie pomnik ofiar jakiejś katastrofy okrętowej, kiedy nagle salwa karabinów maszynowych rozdarła powietrze niby pergaminowy papier. Zapewne adepci jakiejś szkoły wojskowej ćwiczyli się we władaniu bronią. Potem nastąpiła cisza przerywana gruchaniem gołębi krążących wokół urn rzymskich.

*To, Fabiuszu, niestety, na co patrzysz teraz,
Owe pustynne pola, ugory jałowe,
Było niegdyś Italią potkną i sławną....*

Powtarzałem ten wiersz, którego strzępy powracały mi na myśl od chwili przybycia, i wreszcie zdołałem go sobie odtworzyć w całości, kiedy znów dało się słyszeć, tym razem głośniejsze, terkotanie karabinów maszynowych. Jakieś dziecko przebiegło obok mnie pędem, a za nim kobieta, przerażona, bosa, z naręczem mokrej bielizny na ramieniu, jakby uciekała przed niebezpieczeństwem. Ktoś krzyknął gdzieś za murem: „Znowu się zaczyna!”. Trochę zaniepokojony wyszedłem z cmentarza i wróciłem do nowej dzielnicy miasta. Prędko spostrzegłem, że na ulicach nie ma przechodniów, że pozamykano drzwi sklepów i spuszczano żaluzje z karbowanej blachy z pośpiechem, który nie zapowiadał nic dobrego. Wyciągnąłem swój paszport z kieszeni, jak gdyby pieczęcie między jego okładkami miały mi zagwarantować bezpieczeństwo, i nagle przystanąłem, słysząc w pobliżu wrzawę, przestraszony nie na żarty, chroniąc się za jakąś kolumnę. Wyjący tłum gnany strachem wypadł z alei, tratując i przewracając wszystko po drodze w ucieczce przed gęstą strzelaniną. Posypały się odłamki szyb, deszcz zbitego szkła. Metalowe przewody elektryczne wibrowały pod uderzeniami kul jak rury organów pod gradem kamieni. Jedna kula trafiła w kabel wysokiego napięcia, wyplaszając, jak smagnięcie biczem, tłum z ulicy, której

asfalt miejscami zaczął płonąć. Tuż obok mnie sprzedawca pomarańczy upadł twarzą w dół, a owoce potoczyły się po ziemi. Pobieglem na róg najbliższej ulicy, by schronić się pod arkadami, za kolumny, na których wisiały girlandy porzuconych w ucieczce biletów na loterię. Od tylnego wejścia do hotelu dzielił mnie jeszcze plac, gdzie był ptasi targ. Wystraszony gwizdem kuli, która przelatując tuż nad moim ramieniem przebiła szybę wystawową apteki, zacząłem biec. Przeskakując przez klatki, płosząc kanarki, depcząc po kolibrach, przewracając grzędy z papugami, ledwie żywymi ze strachu, dopadłem wreszcie tylnych drzwi, których na szczęście nie zamknięto. Za mną podskakując biegł tukan ze złamanym skrzydłem, jakby chciał się schronić pod moją opiekę. Przysiadłszy na kierownicy porzuconego roweru, wspaniała ara kołysała się w słońcu, samotna pośrodku opustoszałego placu. Wbiegłem po schodach do naszego pokoju. Mouche ciągle spała, ściskając w ramionach poduszkę, w koszuli podwiniętej do bioder i z nogami zaplątanymi w prześcieradło. Uspokojony co do niej, zszedłem z powrotem do hallu, by zapytać, co się dzieje. Mówiono tam o rewolucji. Ale to niewiele znaczyło dla kogoś, kto jak ja z historii tego kraju wiedział tylko o jego odkryciu, podboju konkwistadorów i podróży kilku mnichów, którzy opisywali instrumenty muzyczne pierwotnych mieszkańców. Pytałem więc tych wszystkich, którzy, sądząc z obfitości komentarzy i ich gorącego tonu, zdawali się być najlepiej poinformowani. Wkrótce jednak zauważyłem, że każdy z nich podawał swoją własną wersję zdarzeń, cytując nazwiska, które absolutnie nic mi nie mówiły. Spróbowałem więc zorientować się w dążeniach i celach aktualnych partii, ale i z tego niewiele zrozumiałem. Gdy zdawało mi się, że chodzi o walkę socjalistów przeciw konserwatom i radykałom, komunistów przeciw katolikom, mieszano karty, odwracano pozycje i wymieniano nowe nazwiska, jak gdyby wszystko, co się działo, było raczej sprawą osób niż partii. Za każdym razem na nowo pogrążało mnie w ignorancji wyliczanie faktów przypominających historię walki Gibelinów i Gwelfów, przez swój dziwny charakter sprawy rodzinnej, kłótni między braćmi, zatargów wśród ludzi, którzy wczoraj jeszcze żyli w zgodzie. Tam, gdzie widziałem jeden z tych konfliktów politycznych typowych dla naszej epoki, okazywało się, że chodzi raczej o coś w rodzaju wojny religijnej. Waśń między tymi, którzy zdawali się reprezentować tendencje postępowe lub konserwatywne, wskutek niewiarygodnych przesunięć w chronologii robiła na mnie wrażenie batalii rozgrywającej się ponad czasem, między ludźmi żyjącymi w różnych stuleciach. „Słusznie – odpowiedział mi adwokat w staroświeckim tużurku, przyjmujący, jak się zdawało, wydarzenia ze zdumiewającym spokojem. – Niech pan pomyśli, że przez tradycję jesteśmy przyzwyczajeni do tego, by Rousseau żył w doskonałej komitywie z Inkwizycją, a Matka Boska z «Kapitałem»,.. Na to weszła Mouche, zaniepokojona, gdyż obudziły ją syreny karetek pogotowia, coraz liczniej przejeżdżających przez plac z targowiskiem ptaków, gdzie napotykały barykadę z klatek. Szoferzy hamowali gwałtownie, miażdżąc ostanie skrzydlate niedobitki pozostałe jeszcze na placu. Wobec niemiłej perspektywy przymusowego pozostania w hotelu moja przyjaciółka mocno zirytowała się wypadkami, które krzyżowały wszystkie jej plany. W barze cudzoziemcy grali w karty lub w kości, w złym humorze, popijając i narzekając na przekłętą kraje mieszkańców, którzy mieli zawsze w pogotowiu jakąś awanturę. Dowiedzieliśmy się, że znikło kilku kelnerów i posługaczy hotelowych. Zobaczyliśmy ich w chwilę później, jak przechodzili pod arkadami naprzeciwko, uzbrojeni w mauzery i w pasach z ładownicą. Widząc, że mają jeszcze na sobie białe kurtki

kelnerskie, żartowaliśmy z ich marsowego wyglądu. Ale gdy doszli do rogu najbliższej ulicy, dwaj idący przodem zgięli się nagle wpool, trafieni w brzuch serią z karabinu maszynowego. Mouche krzyknęła przeraźliwie, dotykając rękoma własnego brzucha. W milczeniu cofnęliśmy się w głąb hallu, nie mogąc oderwać oczu od tych ciał leżących na poplamionym krwią asfalcie, nieczułych na kule, które się jeszcze nad nimi pastwiły, znacząc krwawe ślady na białym drelichu. Żartobliwe uwagi, któreśmy przed chwilą wypowiadali, wydały się nagle czymś ohydny. Jeśli w tych krajach umierano za namiętności, których nie pojmowałem, śmierć nie przestawała być przez to śmiercią. Wśród gruzów, oglądanych bez triumfu zwycięzcy, nieraz deptałem po ciałach ludzi zabitych w obronie spraw z pewnością gorszych niż te, których broniono tutaj. W tej chwili przejechało kilka czołgów – szmenc z naszej wojny – i kiedy ustał zgrzyt zębatach kół, zdawało się, że walka na ulicy przybrała na sile. W pobliżu fortu Filipa II salwy niekiedy cichły w ogólnym gęstym huku, zagłuszającym odosobnione detonacje. Huk ten wstrząsał powietrzem zbliżając się lub oddalając, zależnie od kierunku wiatru, niby uderzenie fali głębinowej. Raz po raz następowała jednakże przerwa. Można by pomyśleć, że wszystko się skończyło. Słysząc było płacz chorego dziecka w sąsiedztwie, pianie koguta, trzaśnięcie drzwi. Potem nagle karabin maszynowy znowu przystępował do akcji i powracał ogłuszający hałas, spotęgowany jeszcze rozdzierającym wyciem syren. Nie opodal starej katedry zaczęto strzelać z moździerza, kule niby dźwięczne ciosy młota uderzały w dzwon. *Eh bien, c'est gai!* – zawołała koło nas jakaś kobieta głosem melodyjnym i poważnym, o nieco afektowanym brzmieniu. Przedstawiła nam się jako Kanadyjka, malarka rozwiedziona z dyplomata z Ameryki Środkowej. Skorzystałem z tej okazji, żeby zostawić Mouche w jej towarzystwie, i poszedłem wypić kieliszek alkoholu, chcąc zapomnieć o bliskiej obecności trupów sztywniejących tuż obok na chodniku. Po śniadaniu na zimno, które bynajmniej nie wróżyło w przyszłości bankietów, godziny popołudniowe minęły niewiarygodnie szybko na nieuważnej lekturze, grze w karty i sztucznie podtrzymywanych rozmowach z myślą zajętą czym innym i źle ukrywanym ogólnym niepokojem. Gdy nadeszła noc, Mouche i ja piliśmy na umór, zamknięci w naszym pokoju, żeby za dużo nie myśleć o tym, co nas otaczało. W końcu odzyskaliśmy wystarczający stopień beztroski, by oddać się igraszkom ciała, znajdując w nich żywą i dziką rozkosz, podczas gdy inni wokół nas oddawali się igraszkom śmierci. Coś z frenetycznej pasji ożywiającej kochanków z „Tańca Szkieletów” było w tym pragnieniu, by objąć się jeszcze mocniej, posunąć zbliżenie aż do niemożliwości przy wtórze świstu kul, które przelatywały za okiennicami rozbijając stiuki i osiadając niby inkrustacja w murach kopuły wznoszącej się nad budynkiem. Wreszcie usnęliśmy na jasnym dywanie zaścielającym podłogę. Tej nocy pierwszy raz od bardzo dawna spałem mocno bez czarnej opaski na oczach i środków nasennych.

VI

Piątek, 9

Nazajutrz, nie mogąc wyjść, usiłowaliśmy się przystosować do sytuacji oblężonego grodu czy statku odbywającego kwarantannę, jaką narzuciły nam okoliczności. Ale zamiast skłaniać nas do próżnowania, tragiczna sytuacja na ulicach wyrażała się – wśród tych ścian, które chroniły nas przed grozą panującą za nimi – w potrzebie zajęcia się czymkolwiek. Kto miał coś do roboty, próbował zmontować sobie warsztat czy biuro, jakby chcąc dowieść innym, że w sytuacjach anormalnych trzeba czepiać się zajęć stałych. Na estradzie muzycznej w jadalni artysta wygrywał trele i ozdobniki klasycznego ronda, szukając pod zbyt twardymi klawiszami dźwięczności klawesynu. Tancerki trupy baletowej ustawiły się rzędem wzdłuż baru, podczas gdy primabalerina wykonywała powolne arabeski na woskowanym parkiecie pomiędzy stołami odsuniętymi pod ściany. W całym budynku rozbrzmiewało stukanie maszyn do pisania. W salonie do korespondencji biznesmeni przetrząsali zawartość ogromnych teczek z cielejącej skóry. Przed lustrem swego pokoju austriacki Kappelmeister zaproszony przez Filharmonię miejską dyrygował „Requiem” Brahmsa przed niewidzialnym chórem, wspaniałymi gestami wprowadzając głosy fugi. W kiosku ani jednej gazety, ani jednej powieści kryminalnej, żadnej lektury rozrywkowej. Mouche poszła szukać kostiumu kąpielowego, gdyż otworzono furtkę na osłonięte murami patio, gdzie kilku próżnujących opalało się na słońcu wokół wykładanej mozaiką fontanny, pośród araukarii w doniczkach i żab z zielonej ceramiki. Z niepokojem zauważyłem, że co przezorniejsi goście zrobili zapas tytoniu wykupując wszystkie papierosy z kiosku hotelowego. Podszedłem do drzwi hallu z opuszczoną kratą z brązu. Na ulicy strzelanina przerzedziła się trochę. Zdawało się, że małe grupy partyzantów biją się w różnych dzielnicach, że są to bitwy krótkie, lecz nieubłagane, sądząc z przyspieszonych detonacji. Słychać było odosobnione strzały na dachach i tarasach. Od północnej strony miasta zaczął się szerzyć ogromny pożar: niektórzy twierdzili, że to koszary płoną. Ponieważ nazwiska związane z wydarzeniami w dalszym ciągu nic mi nie mówiły, zrezygnowałem z pytań. Pogrzeżyłem się w lekturze starych dzienników, usiłując rozerwać się czytaniem wiadomości, w których była mowa o burzach, o wielorybach wyrzuconych na brzeg i o czarownicach. Wybiła jedenasta: czekałem tej godziny z pewną niecierpliwością, ale zauważyłem, że stoliki w barze nadal stoją pod ścianami. Dowiedzieliśmy się wtedy, że ostatni wierni służący odeszli o świcie, żeby przyłączyć się do rewolucji. Wiadomość ta, która nie wydała mi się specjalnie alarmująca, wywołała prawdziwą panikę wśród gości. Rzucając swe zajęcia przybiegli wszyscy do hallu, gdzie dyrektor hotelu usiłował uspokoić wzburzone umysły. Usłyszawszy, że tego dnia nie będzie chleba, jedna z kobiet rozplakała się. Nagle z jakiegoś otwartego kranu buchnął strumień wody zabarwionej rdzą i rozległ się dźwięk podobny do tyrolskiego jodłowania,

który zaczął krążyć we wszystkich rurach budynku. Widząc, że przestaje bić wodotrysk wypływający z paszczy smoka pośrodku fontanny, zrozumieliśmy, że odtąd możemy liczyć tylko na nasze własne rezerwy wody, nader słabe. Zaczęto mówić o epidemiach, o plagach, tym straszniejszych w tropikalnym klimacie. Ktoś na próżno usiłował połączyć się ze swoim konsulem: z braku prądu telefony były nieczynne, wyglądały jak okaleczone z odwieszoną z haka słuchawką, bezsilnie zwisającą na ścianie i wskutek swej niemoty tak drażniąco niepotrzebną, że niektórzy potrząsali nią lub rzucali o stół, żeby ją skłonić do mówienia. „Robak – mówił dyrektor powtarzając żart, który w końcu stał się w stolicy wy tłumaczeniem wszelkich katastrof. – Nic innego tylko Robak”. Myśląc, jak bezsilny staje się człowiek z chwilą, gdy jego maszyny przestają go słuchać, szukałem jakiegoś taboretu, aby wspiąć się do okienka w łazience na czwartym piętrze, skąd można było bezpiecznie wyjrzeć na ulicę. Zmęczony oglądaniem panoramy dachów, zauważyłem, że coś dziwnego dzieje się na poziomie moich butów. Jak gdyby ujawniło się nagle jakieś życie podziemne wydobywając z cienia tłum dziwacznych stworzeń. Przez puste rury wypełnione dalekim bulgotaniem wylaziły prawdziwe insekty, szare pluskwy, liszki z nakrapianym grzbietem i znecone, zdawałoby się, zapachem mydła, jakieś małe stonogi, które zwijały się w kłębek na najmniejszy alarm i leżały na podłodze niby maleńkie miedziane spirale. Z kranów wystawały nieufnie wyciągnięte macki, podczas gdy ciało, do którego należały, pozostawało w ukryciu. Szafy wypełniały się ledwo dostłyszalnym szmerem przypominającym szelest papieru i drapanie w drzewo. Gdyby nagle otworzyć drzwi, owady rzuciłyby się do ucieczki; te, które spróbowały, nie przyzwyczajone do poruszania się po wywoskowanym drzewie, przewracały się łapami do góry i leżały nieruchomo na ziemi udając trupy. Flakon z jakimś słodkim syropem zwabiał całe karawany czerwonych mrówek. Były jakieś płaskie insekty pod dywanami i pająki wyglądające przez dziurkę od klucza. Kilka godzin zamętu, braku uwagi człowieka dla jego dzieła wystarczyło, by stworzenia ziemne, wykorzystując brak wody w kanalizacji wewnętrznej, zawładnęły obleżoną twierdzą. Bliski wybuch kazał mi zapomnieć o robactwie. Wróciłem do hallu, gdzie zdenerwowanie ludzi doszło tymczasem do najwyższego napięcia. Na szczycie schodów ukazał się Kappelmeister z batutą w rękę, zaalarmowany krzykiem. Na widok jego potarganej głowy, surowego i ponurego wzroku, zapanowało milczenie. Patrzyliśmy na niego z wyczekującą ufnością, jakby był obdarzony nadprzyrodzoną mocą uśmierzenia naszego niepokoju. Używając autorytetu, do jakiego przyzwyczał się z racji swego zawodu, mistrz zgromił panikarzy i zażądał natychmiastowego wybrania komitetu, którego obowiązkiem będzie ściśle sprawozdanie z sytuacji żywnościowej hotelu; w razie potrzeby on sam, przyzwyczajony do komenderowania, wprowadzi system kartkowy. I aby wszystkich podnieść na duchu, przytoczył wzniosły przykład Testamentu z Heiligenstadt. Jakież zwłoki, najpewniej zwierzęce, gniły na słońcu w pobliżu hotelu: odór zgnilizny napływał przez małe, okrągłe okienka baru, jedyne na parterze, które można było pozostawić otwarte bez obawy, gdyż znajdowały się nad gzymsami wieńczącymi mahoniową boazerię ściany. Poza tym od rana rozmnożyły się muchy i uporczywie brzęczały nad głowami. Znudzona opalaniem się na dziedzińcu Mouche weszła do hallu, zawiązując sznur frotowego płaszcza kąpielowego i skarżąc się, że dano jej tylko pół wiadra wody na prysznic po kąpielu słonecznej. Towarzyszyła jej poznana wczoraj malarka Kanadyjka, o melodyjnym głosie, prawie brzydka, a mimo to pociągająca. Znała dobrze kraj i traktowała wypadki z

lekceważeniem, które miało tę dobrą stronę, że uspokajało rozdrażnione nerwy mojej przyjaciółki, i twierdziła, że wkrótce wydobędziemy się z tej sytuacji. Zostawiłem Mouche w jej towarzystwie i zgodnie z poleceniem Kappelmeistra zszedłem do piwnicy razem z innymi członkami komitetu, żeby zrobić inwentarz zapasów żywności. Zorientowaliśmy się szybko, że wytrzymamy oblężenie przez jakieś dwa tygodnie, pod warunkiem, że będziemy gospodarować oszczędnie. Dyrektor z pomocą cudzoziemskiego personelu zobowiązał się dostarczyć nam na każdy obiad i kolację jakąś nieskomplikowaną potrawę z mięsa, przy czym mieliśmy się sami obsługiwać w czasie posiłków. Stąpaliśmy po warstwie świeżych, wilgotnych trocin, a półmrok panujący w piwnicy, nasycony tłustymi zapachami, działał rozleniwiająco i sennie. W znakomitym humorze poszliśmy dokonać inspekcji w drugiej piwnicy, gdzie zapas butelek i beczek mógł wystarczyć na długo. Nie mogąc się doczekać naszego powrotu, inni zeszli za nami do suterenu i zastali nas siedzących na podłodze i popijających z naczyń, jakie każdemu wpadło pod rękę. Nasz raport wywołał zaraźliwą wesołość. Wszyscy zaczęli napełniać butelki i alkohol zawładnął całym budynkiem, od piwnic po najwyższe piętro, co sprawiło, że maszyny do pisania ustąpiły miejsca gramofonom. Napięcie nerwowe ostatnich godzin zmieniło się u większości osób w chęć zagłuszenia trosk pijaństwem, podczas gdy odór zgnilizny dawał się odczuć coraz wyraźniej, a robactwo włądziło wszędzie. Tylko Kappelmeister był w dalszym ciągu wściekły i kłął na czym świat stoi powstańców, którzy swoją rewolucją przeszkadzili mu w próbach „Requiem” Brahmsa. W swoim rozdrażnieniu cytował jakiś list Goethego sławiący ujarzmioną przyrodę „na zawsze wyzwoloną ze swych obłądnych, gorączkowych wstrząsów”. „Chodź tu, dżunglo” – ryczał wyciągając ramiona na całą długość, jakby zmuszał do fortissimo swoją orkiestrę. Słowo „dżungla” kazało mi spojrzeć na patio i araukarie w doniczkach: robiły wrażenie ogromnych, gdy się je widziało pogrążone w cieniu, przy odbłasku ścian, pod bezchmurnym niebem, na którym od czasu do czasu rysował bruzdy sęp zwabiony wonią padliny. Przypuszczałem, że Mouche wróciła na swój fotel w hallu – nie widząc jej tam, pomyślałem, że poszła się przebrać. W pokoju także jej nie było. Czekałem na nią chwilę, ale alkohol, popijany od wczesnego ranka i w znacznych ilościach, pobudzał moją niecierpliwość, tak że postanowiłem jej szukać. Wyszedłem z baru energicznym krokiem kogoś, kto przystępuje do ważnego dzieła, i zacząłem się wspinać po schodach prowadzących z hallu na górę. Dwie stojące u ich stóp kariatydy wyglądały marmurowo i uroczyście. Lokalna wódka o smaku miodu, dodana do znanych koktajli, pozwoliła mi zachować niewzruszony wyraz twarzy, choć poczułem się nagle pijany i szedłem po schodach zygzakiem, od poręczy do ściany, wyciągając ręce, jakbym macał drogę w ciemnościach. Znalazłszy się na stopniach nieco węższych, z imitacji żółtego marmuru, zrozumiałem, że minąłem już po długim marszu czwarte piętro, ale w dalszym ciągu nie miałem pojęcia, gdzie może być moja przyjaciółka. Mimo to mozolnie wspinałem się coraz wyżej, z uporem, którego nie zdołały zachwiać ironiczne uśmiechy osób skwapliwie usuwających mi się z drogi. Przebiegałem nie kończące się korytarze, krocząc po czerwonym chodniku jak po ścieżce, mijając nieznośnie ponumerowane drzwi, które liczyłem w przejściu, jakby to było częścią narzuconej mi pracy. Nagle jakiś znajomy kształt kazał mi się zatrzymać z wahaniem, z dziwnym uczuciem, że nigdzie nie wyjeżdżałem, że wciąż byłem tam, w trakcie jednej z mych codziennych wędrówek w jakimś bezosobowym, bezstylowym domu. Znałem tę gaśnicę z czerwonego

metal, z tabliczką zawierającą instrukcję na wypadek pożaru, znałem ten czerwony chodnik, po którym deptałem, te ozdoby na suficie, te metalowe cyfry, za którymi były te same meble, te same przedmioty rozmieszczone w identyczny sposób, razem z reprodukcją przedstawiającą Jungfrau, Niagarę albo Krzywą Wieżę w Pizie. Pod wpływem myśli, że nie zmieniłem miejsca pobytu, sztywność twarzy przeszła w całe ciało. Wróciwszy do świata uli, uczułem się nagle zduszony, ściśnięty między tymi równoległymi ścianami, gdzie porzucone szczotki do zamiatania przypominały narzędzia pracy opuszczone przez zbiegłych galerników. Było tak, jakbym na mocy jakiegoś straszliwego wyroku miał spędzić całą wieczność pośród cyfr, pośród linijek wielkiego kalendarza wiszącego na ścianie, wśród zagnatwanej jak labirynt chronologii, która mogła być chronologią mego życia przeżytego w obsesji godzin, w pośpiechu, który służył tylko po to, by doprowadzić mnie co rano do tego samego miejsca, skąd wyruszyłem poprzedniego dnia. Nie wiedziałem już, kogo szukam w tej amfiladzie pokoi, gdzie mieszkający w nich kiedykolwiek ludzie nie pozostawili żadnego wspomnienia po swoim pobycie. Czułem się przytłoczony liczbą stopni, które trzeba było jeszcze przejść, żeby dotrzeć do piętra, gdzie nie było już rzeźb ani akantów, tylko szary cement i kawałki papieru zaklejające zbite szyby w pokojach służby dla ochrony przed zimnem. Nedorzecznosc tej mojej wspinaczki przypominała mi teorię Robaka, jedyne wytłumaczenie syzyfowej pracy, którą wykonywałem dźwigając kamień żeńskiego rodzaju na plecach. Ta myśl rozśmieszyła mnie i zrezygnowałem z szukania Mouche. Wiedziałem, że po każdym pijaństwie stawała się bardzo nieodporna na pokusy zmysłów; nie oznaczając prawdziwej chęci upadku, mogło ją to doprowadzić do granic jak najbardziej dwuznacznej ciekawości. Ale to nie było ważne wobec tej kłody, jaką za sobą wlokły moje nogi. Wróciłem do naszego pokoju pogrążonego w półmroku i rzuciłem się na łóżko, twarzą do poduszki. Zasnąłem od razu i wkrótce zaczęły mnie dręczyć koszmary obracające się wokół obsesji upału i pragnienia.

Rzeczywiście miałem spieczone usta, kiedy usłyszałem, że ktoś mnie woła. Przy łóżku stała Mouche z malarką kanadyjską. Trzeci raz znalazłem się w obecności tej kobiety o nieco kanciastej figurze i twarzy, w której prosty nos pod upartym czołem, niewzruszonym jak czoło posągu, kontrastował z ustami niezbyt wydatnymi i łakomymi jak u podlotka. Spytałem moją przyjaciółkę, gdzie się podziewała w południe. „Rewolucja skończona” – odpowiedziała mi. Istotnie, radiostacje nadawały wiadomości o zwycięstwie jednej z partii i aresztowaniu poprzedniego rządu, gdyż, jak mi wytłumaczono, przejście od władzy do więzienia było tutaj rzeczą bardzo częstą. Chciałem się już cieszyć z tego końca naszej klauzury w hotelu, kiedy Mouche oznajmiła, że jeszcze przez czas nieokreślony obowiązuje godzina policyjna od szóstej wieczór i zapowiedziano surowe sankcje dla tych, którzy będą się znajdowali na ulicy po tej godzinie. Wobec tej przeszkody, która odbierała całą przyjemność naszej podróży, wspominałem o natychmiastowym powrocie, co pozwoliłoby mi pokazać się konserwatorowi z pustymi rękoma, a jednocześnie zwolniło z obowiązku zwracania pieniędzy za tę chybioną imprezę. Ale moja przyjaciółka wiedziała już, że biura lotnicze, przeciążone zamówieniami, nie będą mogły dostarczyć nam biletów przed upływem co najmniej tygodnia. Zresztą nie wydawała się tym specjalnie zgnębiona; przypisywałem tę rezygnację w obliczu faktów uczuciu ulgi, jakie z natury rzeczy wywołuje koniec każdej gwałtem narzuconej sytuacji. Wtedy malarka, odpowiadając na jakieś słówko

Mouche, zaprosiła mnie na kilka dni do swego domu w Los Altos, ustronnej miejscowości letniskowej, chętnie odwiedzanej przez cudzoziemców z racji swego klimatu, a także swoich jubilerów, gdzie zarządzenia policji nie były z natury rzeczy zbyt skrupulatnie przestrzegane. Miała tam swoją pracownię w starym domu z XVII wieku, który kupiła za bezcen i w którym patio było dokładną kopią dziedzińca Posada de la Sangre w Toledo. Mouche przyjęła zaproszenie już przedtem, nie porozumiewając się ze mną, i teraz opowiadała o zarosłych dzikimi hortensjami alejach klasztoru, gdzie były barokowe ołtarze i sufity z żebrowym sklepieniem, i sala, w której zakonnicy biczowali się u stóp czarnego Chrystusa, przed mrozącą krew w żyłach relikwią w postaci przechowywanego w spirytusie języka pewnego biskupa słynącego z krasomówstwa. Oszołomiony, nie wiedziałem, co odpowiedzieć, nie tyle z braku ochoty, ile raczej dotknięty do żywego dezynwolturą mojej przyjaciółki. Ponieważ niebezpieczeństwo minęło, otworzyłem okno na ciemniejącą już w zmierzchu ulicę. Zauważyłem, że obie kobiety wystroiły się i zrobiły na bóstwo przed zejściem do jadalni. Już miałem się roześmiać, gdy nagle na ulicy zobaczyłem coś, co mnie zainteresowało. W sklepie spożywczym, który już wcześniej zwrócił moją uwagę niezwykle napisem na szyldzie „Boska Opatrzność”, z różańcami czosnku zwisającymi z belek sufitu, otworzono drzwi, by wpuścić jakiegoś przechodnia skradającego się przy samym murze; po chwili wyszedł stamtąd obładowany chlebem i butelkami, z cygarem w ustach. Po przebudzeniu odczuwałem dotkliwą potrzebę palenia, a w hotelu nie było tytoniu – toteż wskazałem tę scenę Mouche, która była już bliska zbieraniu niedopałków z podłogi. Zszedłem na dół i w obawie, żeby nie zamknięto sklepu, co sił w nogach przebiegłem przez plac. Miałem w rękach dwadzieścia paczek papierosów, kiedy nagle gęsta strzelanina wybuchła u wylotu najbliższej ulicy. Partyzanci odpowiedzieli z dachu strzałami z karabinów i rewolwerów. Właściciel co prędzej zamknął sklep zasuwając wielkie rygle u drzwi. Usiadłem na stołku stropiony, uświadamiając sobie nieostrożność, jaką popełniłem uwierzywszy zapewnieniom mojej przyjaciółki. Rewolucja mogła być skończona, jeśli chodzi o zdobycie najważniejszych pozycji w mieście, ale w dalszym ciągu trwały walki niektórych zbuntowanych grup. W pokoiku za sklepem słychać było głosy kobiece odmawiające różaniec. Zapach solonego sztokfiszka drapał mnie w gardle. Oglądając karty porzucone na ladzie, rozpoznałem dawno zapomniane znaki i figury występujące w grach hiszpańskich. Strzały zaczęły się przerzedzać. Właściciel sklepu patrzył na mnie w milczeniu, paląc cygaro pod zawieszoną na ścianie litografią, która w symboliczny sposób ukazywała ruinę sklepu sprzedającego na kredyt i dobrobyt tego, gdzie sprzedawano tylko za gotówkę. Spokój panujący w domu, zapach jaśminów otaczających krzak granatu na wewnętrznym podwórku, krople wody spadające z prymitywnego filtru nad glinianym dzbanem, ukołysały mnie do snu. Drzemałem budząc się co chwila, przywrócony do rzeczywistości na kilka sekund. Na zegarze wybiła ósma. Nie słychać było już strzałów. Otworzyłem okno i spojrzałem na hotel. Pośród ciemności otaczających budynek błyszczały rzęsistym światłem wszystkie okienka baru i zapalone w hallu kandelabry, które można było dostrzec przez kratę bramy z zawieszoną nad wejściem markizą. Nagle zerwały się oklaski. Słyszac pierwsze akordy „Barricades Mystérieuses”, zrozumiałem, że pianista gra teraz niektóre kawałki ćwiczone przez całe rano na fortepianie w jadalni. Był z pewnością pod gazem, gdyż palce plątały mu się w ozdornikach i apoggiaturach. Tańczono na półpiętrze, za spuszczoneymi żaluzjami z metalu. Cały dom się bawił.

Uściskałem rękę sklepikarzowi i w chwili gdy przestępowałem próg, huknął strzał, jeden jedyny, i o kilka metrów ode mnie przeleciała ze świstem kula, mniej więcej na wysokości moich piersi. Cofnąłem się z dzikim przerażeniem. Jasne, że byłem w swoim czasie na wojnie, ale wojna, jaką przeżyłem jako tłumacz sztabowy, to zupełnie co innego: wtedy ryzyko rozłożone było na wielu ludzi i nie ja sam decydowałem o tym, czy się cofać, czy iść naprzód. Tutaj przeciwnie, śmierć o mały włos nie spletała mi figla z mojej własnej winy. Minęło przeszło dwie minuty i ani jedna detonacja nie rozdarła ciemności. Zastanawiałem się, czy nie spróbować znowu wyjść, kiedy gruchnął nowy strzał. Jakiś samotny partyzant opróżnił swoją strzelbę – z pewnością antyczną strzelbę ze stemplem, pilnując, by ulica była pusta. Żeby dobiec do przeciwległego chodnika, trzeba mi było kilku sekund, ale te kilka sekund wystarczą na rozegranie i przegranie hazardowej gry. Przez jakieś dziwne skojarzenie pomyślałem o graczu Buffona, który rzuca szpilkę na podłogę w nadziei, że nie przetnie ona żadnej z równoległych linii podłogi. Równoległymi były kule, które przelatywały nie celując, obce moim zamierzeniom i rozdzierające powietrze, gdy się najmniej ich spodziewano. Byłem przybity świadomością, że mogę być szpilką gracza i że w jakimś punkcie przy jakimś ewentualnym kącie styczności, moje ciało znajdzie się na trasie pocisku. Co więcej, przeznaczenie nie wchodziło do tego rachunku prawdopodobieństwa, bo tylko ode mnie zależało ryzyko, w którym mogłem stracić wszystko, nie zyskując nic. Musiałem w końcu uświadomić sobie, że to nie ze względu na chęć powrotu do hotelu dręczy mnie to przygwożdżenie do jednej strony ulicy. Była to ta sama przyczyna, która parę godzin temu kazała mi w pijackim zamroczeniu błędzić po tym gmachu o tylu korytarzach. Moją obecną niecierpliwość należało tłumaczyć brakiem zaufania do Mouche. Myśląc o niej tutaj, po tej stronie fosy, z nieznośnej perspektywy prawdopodobieństw, uważałem ją za zdolną do najgorszych perfidii w miłości, mimo że nie mógłbym zarzucić jej nic konkretnego od chwili, gdyśmy się poznali. Nie miałem żadnej podstawy do moich wiecznych podejrzeń. Ale dobrze wiedziałem, że jej wychowanie intelektualne, bogate w poglądy usprawiedliwiające wszystko, mogło ją w tej chwili skłonić do jakiegoś niezwykłego eksperymentu, któremu sprzyjało anormalne środowisko tego wieczora. Mówiłem sobie, że nie warto się narażać na śmierć po to, żeby obalić zwykłe podejrzenie. Mimo to nie mogłem znieść myśli, że ona tam jest w tym budynku zamieszkanym przez pijaństwo, wolna od mego nadzoru. Wszystko jest możliwe w tej siedzibie zamętu z ciemnymi piwnicami i niezliczoną liczbą pokoi przyzwyczajonych do widoku rozpusty, która nie zostawia śladów. Nie wiem, dlaczego przyszło mi na myśl, że to łożysko ulicy, którą rozszerzał każdy strzał, ten wąwóz, który każda kula czyniła trudniejszym do przebycia, były jakby ostrzeżeniem, wyobrażeniem zdarzeń przyszłości. W tej chwili coś dziwnego stało się w hotelu. Muzyka, śmiechy urwały się jak nożem uciął i w całym budynku dały się słyszeć krzyki, łkania i nawoływania. Zgaszono światła w barze, zapalono inne. Jak gdyby głuchy wstrząs nastąpił wewnątrz murów, panika bez ucieczki. I znowu rozpoczęła się strzelanina w najbliższej ulicy. Ale tym razem zobaczyłem kilka nadchodzących patroli zbrojnych w karabiny i automaty. Żołnierze posuwali się wolno za kolumnami arkad i doszli do sklepu. Partyzanci porzucili swe placówki na dachu i oddziały regularnego wojska zapełniły teraz tę przestrzeń, którą musiałem przebyć, żeby dostać się do hotelu. Dotarłem tam wreszcie zażądawszy, by mnie odprowadzono. Gdy otwarto bramę i wszedłem do hallu, zatrzymałem się jak wryty: na wielkim orzechowym stole, przeobrażonym w katafalk, leżał

Kappelmeister z krucyfiksem między wyłogami fraka. Cztery świece paliły się w srebrnych kandelabrach zdobnych w liście i grona winorośli, w braku innych, bardziej dostosowanych do okoliczności. Mistrz został zabity przez zbłąkaną kulę, która trafiła go w skroń w chwili, gdy nieostrożnie zbliżył się do okna w swoim pokoju. Spojrzałem na otaczające go twarze, brudne, nie ogolone, wydłużone grymasem pijaństwa, który zastygł za sprawą śmierci. Robactwo wyłaziło wciąż z rur i ciała cuchnęły ostrym potem. W całym budynku panował smród z latryn. Zmizerniałe, ze zmienioną twarzą tancerki wyglądały jak widma. Dwie z nich, jeszcze w tiulach i trykotach baletowych, szlochały w ciemności na wielkich marmurowych schodach. Muchy zawładnęły wszystkim, brzęczały krążąc wokół lamp, łąziły po ścianach, latały nad głowami. Na zewnątrz odór stęchlizny stawał się coraz silniejszy. Znalazłem Mouche na łóżku w naszym pokoju, histerycznie szlochającą. „Zabierzemy ją do Los Altos jutro jak najwcześniej” – powiedziała malarka. Na podwórkach zaczęły pisać koguty. W dole, na granitowym chodniku, czarno ubrani ludzie wynosili świeczniki żałobne z samochodu przedsiębiorstwa pogrzebowego.

VII

Sobota, 10

Przyjechaliśmy do Los Altos wkrótce po południu małą wąskotorową kolejką, która przypominała wagoniki z wesołego miasteczka, i tak mi się to miejsce podobało, że po raz trzeci tego dnia zatrzymałem się na mostku nad potokiem, żeby obejrzeć w całości i z perspektywy przestrzeni, którą przebiegłem piędziesiątka, zaglądając niedyskretnie do wnętrza domów podczas moich poprzednich spacerów. Nie było nic monumentalnego w tym wszystkim, czemu się przyglądałem, nic specjalnie godnego uwagi, uwidocznionego na widokówkach i w bedekerach. A jednak w tym prowincjonalnym zakątku, gdzie każdy róg ulicy, każde nabijane gwoździami drzwi odpowiadały pewnemu określone mu sposobowi życia, znajdowałem ten urok, który straciły dla mnie w miasteczkach muzealnych kamienie zbyt często dotykane i fotografowane. W nocy wyglądało to jak miasteczko uczone łańcucha skał, a jego aspekty budujące i aspekty gorszące wydobywał z ciemności blask latarni miejskich. Ale te piętnaście latarni, wiecznie otoczonych rojem owadów, pełniło izolującą funkcję świeczników na ołtarzu, reflektorów w teatrze, ukazując w pełnym świetle stacje krętej drogi, prowadzącej na wzgórze z trzema krzyżami. Ponieważ to, co złe, pali się zawsze od dołu, w każdej alegorii życia statecznego czy życia lekkomyślnego, pierwsza latarnia oświetlała tawernę mulników, gdzie sprzedawano wódkę pędzoną z winogron, trzciny cukrowej, z rzeżuchy i morwy. Było to miejsce złej sławy, spelunka, gdzie pijacy spali oparci o beczki przy wejściu. Druga latarnia muskała swymi promieniami dom Loli, gdzie Carmen, Nimfa i Esperanza czekały, ubrane na biało, różowo i niebiesko, pod chińskimi lampionami, siedząc na kanapie z wytartego pluszu, należącej kiedyś do Audytora Trybunału Królewskiego. W blasku trzeciej latarni krążyły wielbłądy, lwy i strusie wokół maneżu, podczas gdy wiszące krzeselka karuzeli unosiły się ku ciemnościom lub się z nich wynurzały – gdyż światło nie sięgało aż do tej wysokości – na przeciąg czasu, którego wymagało rozłożenie perforowanego kartonu „Walca Łyżwiarzy”. Jak gdyby spływając z nieba Sławy, światło czwartej latarni spowijało posąg poety, znakomitego Syna miasta, autora „Hymnu o Rolnictwie”, poety, który nadal składał rymy na marmurowym papierze piórem umoczone w pleśni, posłuszny wskazówkom jednorękiej Muzy. Pod piątą latarnią nie było nic godnego uwagi prócz dwóch śpiących głów. Szósta oświetlała grotę z Lourdes, mozolnie skonstruowaną z cementu i kamieni przywiezionych z bardzo daleka, dzieło tym znakomitsze, że na to, by go dokonać, trzeba było zamurować prawdziwą grotę istniejącą w tym miejscu. Siódma latarnia należała do czarnozielonego świerka i krzaka pnącej róży nad portykiem zawsze zamkniętym. Dalej była katedra o grubych przyporach, wyraźnie odcinających się w mroku dzięki ósmej latarni, zawieszanej na wysokim słupie, tak że jej blask dosięgał tarczy zegara, którego wskazówki zasnęły przed czterdziestu laty na godzinie wpół

do ósmej, czyli, zdaniem starych bigotek i plotkarek, godzinie zbliżającego się Sądu Ostatecznego, kiedy wszystkie bezwstydne kobiety z miasta będą musiały zdać rachunki. Dziewiąta latarnia była latarnią Ateneum, gdzie odbywały się wszystkie uroczystości kulturalne i obchody rocznic narodowych i gdzie zainstalowano małe muzeum, przechowujące wśród innych zabytków żelazne łóżko, na którym pewnej nocy zawieszony był hamak Bohatera Skał, ziarno ryżu, na którym przepisano kilka stron „Don Kichota”, portret Napoleona wykonany na maszynie do pisania i kompletną kolekcję lokalnych węży jadowniczych w słoikach. Zamknięty, tajemniczy w obramowaniu dwóch kolumn salomonowych ciemnoszarej barwy, podtrzymujących kompas otwarty od kapitelu do kapitelu, gmach Łoży wypełniał pole zasięgu dziesiątej latarni. Potem był klasztor sióstr rekoetek pośród drzew niewyraźnie rysujących się pod jedenastą latarnią, gęsto oblepioną martwymi ćmami. Naprzeciwko wznosiły się koszary: dzieliły one światło następnej latarni z altaną w stylu doryckim; kopułę altany strzaskał niegdyś piorun, ale reszta służyła jeszcze do letnich zabaw, na których chętnie bywała młodzież spacerująca przykładowo, dziewczęta po jednej stronie, chłopcy po drugiej. W snopie promieni trzynastej latarni wierzgał koń niosący na grzbiecie spiżowego *caudilla*, który obnażoną szablą przecinał mgłę na dwa powolne prądy. Dalej ciągnęła się czarna wstęga chat indiańskich, drgająca od płomieni świec i piecyków, gdzie na ścianach wisiały małe obrazki przedstawiające sceny betlejemskie i czuwania przy zmarłym. Wyżej, w zasięgu światła przedostatniej latarni, cementowy piedestał czekał na bohaterski gest Dzielnego Łucznika, zabójcy konkwistadorów, którego kamienny posąg zamówili masoni i komuniści na złość księżom. Dalej znowu rozpościerała się ciemna noc, a u jej kresu, tak wysoko, że zdawało się to na innym świecie, tam gdzie najgwałtowniej dał wiatr, aureola ostatniej latarni oświetlała trzy drewniane krzyże na trzech wzgórkach usypanych z kamieni. Tutaj kończył się obraz miasteczka, na tle gwiazd i chmur, nakrapiany mniejszymi ledwie dostrzegalnymi światełkami. Reszta była ziemią dachów, stapiającą się w mrokach z ziemią sierry.

Wypłoszony przenikliwym chłodem płynącym z gór, szedłem teraz krętymi uliczkami do domu malarki. Muszę powiedzieć, że ta osoba, na którą przedtem nie zwróciłem uwagi – przyjmując jej przypadkowe towarzystwo i gościnę w jej domu, tak jak traktowałbym każdy inny przypadek – drażniła mnie coraz bardziej od chwili wyjazdu ze stolicy z powodu wzrastającego stale podziwu, jakim darzyła ją Mouche. Jej bezbarwna z początku postać z każdą godziną wyraźniej przybierała charakter dla mnie nieprzychylny. Wystudiowana powolność, dodająca wagi jej słowom, dodawała jednocześnie drobnym decyzjom dotyczącym nas trojga jakiegoś nieokreślonego, lecz niewątpliwego autorytetu, któremu moja przyjaciółka podporządkowywała się z uległością nie licującą zgoła z jej obyczajami. Ona, która tak lubiła narzucać otoczeniu swoje kaprysy, zawsze teraz przyznawała rację naszej gospodyni, choćby jeszcze przed paru minutami zgadzała się ze mną, rezygnując z powziętego przed chwilą zamiaru z ostentacyjną radością. Wychodząc, kiedy ja wolałem zostać w domu, odpoczywając, kiedy ja proponowałem spacer aż do podnóża gór, wyrażała przez to chęć stałego podobania się tamtej, obserwując jej reakcje i schlebując jej zupełnie otwarcie. Jasne było, że Mouche przywiązuje do tej nowej przyjaźni duże znaczenie, co świadczyło o tym, jak bardzo żałuje, po tak krótkim czasie, pewnych form rzeczywistości, które zostawiliśmy za sobą. Podczas gdy we mnie zmiana wysokości i powietrza,

radikalna zmiana obyczajów i odnalezienie języka mego dzieciństwa budziły jakby jeszcze niezdecydowany, lecz już wyczuwalny powrót do dawno utraconej równowagi, w niej można było obserwować, mimo że tego jeszcze nie mówiła, objawy znudzenia. Ze wszystkiego, co widzieliśmy dotychczas, nic nie odpowiadało temu, co pragnęłaby *znaleźć* w tej podróży, jeśli rzeczywiście czegoś w niej szukała. A przecież Mouche umiała mówić całkiem inteligentnie o swej podróży do Włoch, gdzie była, zanim ją poznałem. Toteż widząc, jak fałszywe lub niefortunne były jej reakcje wobec tego kraju, który zaskakiwał nas na każdym kroku, nie przygotowanych, nie znających jego przeszłości ani ksiązek o nim napisanych, zaczynałem podejrzewać, czy jej wnikliwe uwagi na temat tajemniczej zmysłowości okien w Pałacu Barberinich, obsesji cherubinów w malowidłach u Św. Jana na Lateranie, niemal kobiecej intymności kościoła San Carlo delle Quattro Porte z jego klasztorem pełnym sekretów i półcieni, nie były po prostu trafnie przytoczonymi cytatami z rzeczy przeczytanych lub usłyszanych, czerpanych w małych dozach ze źródeł najbardziej znanych. Jej sądy zgadzały się zawsze z aktualnym hasłem estetycznym. Zachwycała się tym, co omszałe i mroczne, kiedy mówienie o mchach i mrokach uchodziło za oryginalne. Ale w obliczu jakiejś rzeczy nieznannej, jakiegoś faktu, który trudno było z czymś skojarzyć, typu architektury, który nie był interpretowany w żadnej książce, widziałem ją nagle stropioną, wahającą się, niezdolną do sformułowania jakiejś opinii, kupującą zakurzonego pławikonika przez kurtkę do literatury, tam gdzie mogła nabyć prymitywną miniaturę świętej Róży z gałązką palmową. Ponieważ Kanadyjka była w swoim czasie kochanką pewnego poety, słynnego ze swoich esejów na temat Lewisa i Anny Radcliff, Mouche wniebowzięta mogła się znowu swobodnie poruszać na znanym gruncie surrealizmu, astrologii, interpretacji snów itd. Ilekroć znalazła się – co nie należało do wypadków częstych – w towarzystwie kobiety, która według jej określenia „mówiła jej językiem”, okazywała w tej nowej przyjaźni skłonność do poświęceń na każdym kroku, odgadywania myśli i nerwowość, które mnie bardzo drażniły. Te napady sentymentalizmu nie trwały nigdy długo, kończyły się niespodziewanie i równie nagle, jak się zaczynały. Niemniej w czasie ich trwania ogarniały mnie najprzykrzejsze podejrzenia. Teraz, tak samo jak w innych wypadkach, było to po prostu przecucie, niepokój, wątpliwości – nic nie wskazywało na jakieś przewinienie z jej strony. Ale nieznośna myśl opanowała mnie już poprzedniego popołudnia, po pogrzebie Kappelmeistra. Wróciwszy z cmentarza, dokąd udałem się z delegacją gości hotelowych, zobaczyłem podłogę hallu zasypaną płatkami kwiatów z wieńców żałobnych o zbyt mocnym zapachu, jak na ten kraj. Zamiatacze ulic posprzątały trupy, których odór tak ohydnie dawał się we znaki podczas naszego uwięzienia. Kiedy nogi konia, obgryzionego przez sępy, nie mieściły się na wózku, obcinano je tak gwałtownym ciosem maczety, że kopyta razem z podkowami wylatywały w górę w chmarze much wirujących nad asfaltem. W hotelu służący, powróciwszy z wojny po jakimś normalnym zajęciu, przestawiali meble na dawne miejsce i polerowali irchą klamki. Mouche, jak mnie poinformowano, wyszła razem ze swoją przyjaciółką. Wróciły po godzinie policyjnej mówiąc, że spacerowały po ulicach w tłumie, który święcił triumf zwycięskiej partii, ale w ich zachowaniu wyczułem coś dziwnego. Obie mówiły niezwykłym dla nich tonem chłodnej obojętności czy ironii, jak ktoś, kto wrócił z wyprawy w sfery zakazane. Obserwowałem je pilnie, usiłując przyłapać jakieś porozumiewawcze spojrzenie, analizowałem każde zdanie, szukając w nim ukrytego sensu, próbowałem

je zaskoczyć pytaniem, ale bez najmniejszego rezultatu. Długoletnie obracanie się w pewnych środowiskach, cynizm, z jakim się afiszowałem, mówiły mi, że moje postępowanie jest śmieszne. A jednak dokuczało mi coś, co było jeszcze gorsze od zazdrości: nieznośne uczucie, że wykluczono mnie z jakiejś zabawy, która przez to samo musiała być obrzydliwa. Nie mogłem znieść tego perfidnego udawania, tej konspiracji uknutej za moimi plecami przez kobiety. Nagle moja wyobraźnia nadała konkretną formę najobrzydliwszym podejrzeniom; choć powtarzałem sobie po sto razy, że łączy mnie z Mouche tylko pewne przyzwyczajenie zmysłów, nie miłość, skłonny byłem zachowywać się jak zazdrosny mąż z melodramatu. Wiedziałem, że kiedy już po burzy wyznam mojej przyjaciółce moje udreki, wzruszy tylko ramionami twierdząc, że to jest zbyt śmieszne, aby ją mogło złościć, i przypisze „bestialstwo” tego rodzaju reakcji mojemu wychowaniu w środowisku hiszpano-amerykańskim. Mimo to teraz znowu w ciszy pustych uliczek ogarnęły mnie podejrzenia. Przyspieszyłem kroku, chcąc jak najprędzej znaleźć się w domu, gnany obawą – a jednocześnie pragnieniem – oczywistego dowodu. Gdy wszedłem, zaskoczył mnie nieoczekiwany widok: w pracowni panował straszliwy nieład i krążyły kieliszki z alkoholem. Trzech młodych artystów przyjechało tu ze stolicy, uciekając, tak jak i my, przed godziną policyjną, która zmuszała ich do spędzania wieczorów w domu. Muzyk był tak biały, malarz tak czerwonoskóry, a poeta tak czarny, że mimo woli musiałem pomyśleć o Trzech Królach widząc ich zgromadzonych wokół hamaka, z którego Mouche, leżąc w pozie niedbałej, odpowiadała na pytania, niby bóstwo, które pozwala się adorować. Rozmowa toczyła się wokół jedyne go tematu: Paryż. Zauważyłem, że młodzi ludzie wypytyują moją przyjaciółkę o to miasto, tak jak średniowieczni chrześcijanie mogli wypytywać pielgrzyma powracającego z miejsc świętych. Żądali najdrobniejszych szczegółów dotyczących wyglądu tego czy tamtego szefa szkoły, którego znajomością chełpiła się Mouche: chcieli wiedzieć, czy taki a taki pisarz jest bywalcem takiej czy innej kawiarni; czy dwaj inni pogodzili się już po swoim zatargu na temat Kierkegaarda, czy malarstwo niefiguralne miało wciąż tych samych obrońców. Kiedy ich znajomość francuskiego i angielskiego okazywała się niewystarczająca do zrozumienia wszystkiego, co opowiadała moja przyjaciółka, spoglądali błagalnie na Kanadyjkę, żeby raczyła przetłumaczyć jakąś anegdotkę, jakieś spostrzeżenie, których cennej pointy nie zdołali uchwycić. Kiedy przyłączywszy się do rozmowy, w złośliwym celu zaćmienia blasków rozsiewanych przez moją przyjaciółkę, zacząłem pytać młodych ludzi o historię ich kraju, o pierwsze zabytki ich literatury, ich tradycje ludowe, mogłem stwierdzić, jak niemiła była dla nich ta zmiana tematu. Spytałem ich więc, by nie dopuścić Mouche do słowa, czy byli w puszczy tutejszej. Czerwonoskóry poeta odpowiedział, wzruszywszy ramionami, że nie ma tam nic ciekawego do zobaczenia i że takie wycieczki pozostawia cudzoziemcom, którzy chcą kolekcjonować łuki i kołczany. Kultury, twierdził poeta Murzyn, nie należy szukać w puszczy. Według muzyka artysta współczesny mógł żyć tylko tam, gdzie najbujniej rozwijała się myśl twórcza. I wywoływał w duchu wizję miasta, którego intelektualną topografię mieli również przed oczyma jego towarzysze; potrafili, zgodnie z własnym wyznaniem, całe godziny spędzać pogrążeni w marzeniach nad planem metra, gdzie stacje naznaczone były grubym granatowym kółkiem: Solferino, Oberkampf, Corvisard, Mouton-Duvernet. Między kółkami, ponad kreskami ulic przecinających kilkakrotnie jasną arterię Sekwany, linie metra zdawały się splatać i zazębiać jak oczka sieci. W sieć tę

wpadną prawdopodobnie młodzi Trzej Królowie, prowadzeni przez gwiazdę błyszczącą nad żłobkiem Saint-Germain-des-Prés. Zależnie od koloru dnia będzie im się mówić o dręczącym ludzkość pragnieniu ucieczki od rzeczywistości, o korzyściach samobójstwa, o potrzebie bicia po twarzy trupów lub strzelania do pierwszego lepszego przechodnia. Jakiś mistrz w przyływie obłędu każe im wyznawać kult Dionizosa, „boga ekstazy i lęku, dzikiego zapamiętania i wyzwolenia, szalonego boga, którego samo pojawienie się wprawia żyjących w stan delirium”, nie wspominając jednak, że ten który wezwał owego Dionizosa, oficer armii pruskiej nazwiskiem Nietzsche, kazał się fotografować w mundurze Reichswehry z szablą w ręku i hełmem leżącym na monachijskim stoliku, niby zwiastun boga terroru, który rozpęta się nad Europą Dziewiątej Symfonii. Widziałem, jak chudną i bledną w swoich nędznych pracowniach – Indianin, którego skóra przybrała barwę oliwkową, Czarny, który nie potrafi się już śmiać, i Biały w stanie zupełnej deprawacji; widziałem, jak coraz bardziej zapominają o słońcu, które zostawili za sobą, w rozpaczliwych wysiłkach naśladowania innych, z własnej woli schwytyanych w sieć. W wiele lat później, zmarnowawszy młodość, powrócą do kraju z pustym spojrzeniem, z wystygłym zapalem, nie mając dość sił, aby wypełnić swoje jedyne zadanie w środowisku, które teraz z wolna ukazywało mi swoje wartości: zadanie Adama nadającego rzeczom nazwę. Rozumiałem tego wieczora, patrząc na nich, całe zło, jakie im wyrządziło przedwczesne wyrwanie ze środowiska, gdzie żyłem do lat młodzieńczych, jak bardzo przyczyniło się do mojej dezorientacji łatwe zaślepienie ludzi mego pokolenia, popychanych przez pewne teorie do tych samych labiryntów intelektualnych, na pożarcie tym samym Minotaurom. Teraz męczyły mnie pewne idee zbyt długo wyznawane i czułem niejasną chęć powiedzenia im czegoś, o czym nieczęsto mówili tu ci, którzy uważali się za „wtajemniczonych” w to, co będzie wysmiane lub znienawidzone za lat piętnaście. Znowu słyszałem tutaj dyskusje, które nieraz tak mnie bawiły w domu Mouche. Ale teraz stojąc z łokciami opartymi na poręczy tego balkonu, nad potokiem szumiącym głucho w głębi wąwozu, wdychając ostre powietrze pachnące mokrym sianem, w tak bliskim sąsiedztwie stworzeń ziemnych pełzających pod zielono – czerwoną lucerną, ze śmiercią wewnątrz swych maleńkich zębów, w tej chwili, kiedy noc była dla mnie czymś dziwnie dotykającym, niektóre tematy współczesności wydawały mi się nie do zniesienia. Chciałbym uciszyć te głosy za moimi plecami, by znaleźć skalę głosu żab, ostrą tonację świerszcza, rytm wózka, którego osie trzeszczą ponad Calvario de las Nieblas. Zły na Mouche, na wszystkich, z nagłą ochotą napisania czegoś, skomponowania czegoś, wyszedłem z domu i zacząłem schodzić na brzeg strumienia, żeby dalej przyglądać się stacjom, które ukazywał tryptyk miasta. Z góry dobiegło mnie parę powolnych akordów fortepianowych spod palców malarza. Potem zaczął grać młody muzyk: twardość rytmiczna pozwalała wyczuć w akordach rękę kompozytora. Naliczyłem dwanaście kolejnych nut nie powtarzanych aż do powrotu początkowego „es” tego zduszonego andante. Założyłbym się, że tak będzie: do tego doszedł atonalizm; znano jego przepisy w tym kraju. Wędrowałem dalej aż do tawerny i wstąpiłem, by się napić wódki z morwy. Otuleni w płaszcze poganiacze rozmawiali o drzewach, które broczyły krwią pod ciosami siekier w Wielki Piątek, a także o kaktusach, które wyrastają z wnętrzości os zdechłych od dymu z jakiegoś górskiego gatunku drzewa. Nagle, jak gdyby wynurzywszy się z nocy, do kontuaru podszedł harfiarz. Bosy, z harfą przewieszoną przez ramię, z kapeluszem w ręku, prosił, żeby mu pozwolono zagrać. Wracał tu z bardzo daleka, ze wsi w prowincji

Tembladeras, dokąd jak co roku, zgodnie z uczynionym ślubem, poszedł grać na harfie przed kościołem w święto Znalezienia Krzyża. Nie żądał pieniędzy za swoją sztukę, tylko paru kieliszków dobrej wódki z agawy. W tawernie zrobiło się cicho. Z powagą, jakby spełniał jakiś obrządek, harfiarz położył ręce na strunach i dał się ponieść, dla rozruszania palców, natchnionemu preludium, które mnie napełniło zdumieniem. W jego gamach, w jego recytatywach o uroczystym rysunku przerywanym majestatycznymi i szerokimi akordami było coś, co przypominało radosną wspaniałość starych preludiów organowych. Jednocześnie wskutek arbitralnego stroju prymitywnego instrumentu, który zmuszał wykonawcę do utrzymania się w gamie pozbawionej pewnych nut, miało się wrażenie, że wszystko było posłuszne mistrzowskiemu opanowaniu dawnych systemów i tonów kościelnych, by dojść drogami autentycznego prymitywizmu do najistotniejszych poszukiwań pewnych kompozytorów z naszej epoki. Ta wielka improwizacja przywołała mi na myśl tradycje organów, gitary i lutni, wydobywając zarazem nowe drganie życia ze skrzyni rezonansów w kształcie stożka, tkwiącej między wystającymi kostkami u nóg harfiarza. Potem nastąpiły tańce. Tańce o zawrotnym ruchu, w których rytmy dwudzielne łączyły się niewiarygodnie łatwo z taktem trójdzielnym, wszystko to w systemie skal, które prawdopodobnie nigdy nie były poddane takim zabiegom. Miałem ochotę wrócić do domu Kanadyjki i przyciągnąć tu za ucho młodego kompozytora, żeby posłuchał lekcji harfiarza. W tej chwili pojawiły się ceratowe płaszcze i latarnie patrolu policji, który kazał zamykać oberżę. Poinformowano mnie, że tutaj także przez parę najbliższych dni będzie obowiązywała godzina policyjna od zachodu słońca. Ta przykra pewność, zacieśniająca jeszcze nasze współżycie z Kanadyjką, tak dla mnie nieznośne, skłoniła mnie do natychmiastowego podjęcia decyzji, która była wynikiem całej serii refleksji. Właśnie z Los Altos odchodziły autobusy do portu, skąd można było drogą wodną dotrzeć do wielkiej puszczy na południu. Nie będziemy dalej uprawiać oszustwa obmyślonego przez moją przyjaciółkę, skoro okoliczności sprzeciwiają się temu na każdym kroku. Na skutek rewolucji pieniądze, które miałem, zwiększyły znacznie swoją wartość przy wymianie na tutejszą monetę. Najprostszym, najuczciwszym i najciekawszym dla mnie wyjściem było wykorzystać resztę mojego urlopu na wypełnienie zobowiązań wobec rektora uniwersytetu przez uczciwe wykonanie powierzonej misji. Żeby uniemożliwić zmianę tej decyzji, kupiłem u właściciela tawerny dwa bilety na jutrzejszy ranny autobus. Mało mnie obchodziło, co pomyśli o tym Mouche. Czułem się na siłach narzucić jej moją wolę.

*... będzie to czas, kiedy ruszy
w drogę, odłoni swoją twarz,
przemówi i wyrzuci z siebie to,
co przełknął, i uwolni się od
nadmiaru swego brzemienia...*

Rozdział trzeci

VIII

11 czerwca

Dyskusja trwała do późnej nocy. Mouche nagle poczuła, że jest przeziębiona, kazała mi dotykać swego czoła, które było raczej chłodne, kaszlała tak długo, aż wreszcie podrażniła sobie gardło i zaczęła kaszleć naprawdę. Zamknąłem walizki, nie zwracając na nią uwagi, i jeszcze przed świtem wsiedliśmy do autobusu już pełnego ludzi opatulonych w koce, z ręcznikami frotowymi owiniętymi wokół szyi zamiast szalików. Do ostatniej chwili moja przyjaciółka rozmawiała z Kanadyjką, projektując nowe spotkanie w stolicy natychmiast po powrocie z podróży, która potrwa najwyżej dwa tygodnie. Ruszyliśmy wreszcie drogą prowadzącą w głąb gór, wzdłuż wąwozu, we mgle tak gęstej, że gdy wstał dzień, nie widać było czarnych topól rosnących na brzegach. Wiedziałem, że Mouche będzie udawała chorą jeszcze przez kilka godzin, bo należała do ludzi, którzy w końcu zaczynają wierzyć we własne kłamstwa, toteż milczałem zdecydowany w samotności cieszyć się tym, co widzę, i wkrótce zapomniałem o niej, mimo że drzemała wsparta o moje ramię, wzdychając co chwila żałośnie. Dotychczas przejście ze stolicy do Los Altos było dla mnie czymś na kształt powrotu do lat mego dzieciństwa i progu młodości, poprzez zetknięcie się na nowo ze sposobem życia, rzeczami i słowami, które wyryły we mnie ślady głębsze, niż sam myślałem. Znowu przemówiły do mnie krzak granatu i stary dzban z filtrem, figury karciane i patio z doniczkami bazylii. Ale teraz zaczynało się to, co istniało poza obrazami, które napotykał mój wzrok, od czasu gdy przestałem poznawać świat wyłącznie przez dotyk. Gdy wynurzymy się z opalowej mgły, która w blasku jutrzenki przybierała tony zielonawe, zacznie się dla mnie etap Odkrycia. Autobus wspinał się w górę z takim wysiłkiem, zgrzytając osiami, szamocząc się z wiatrem, przechylając się nad przepaściami, że każde pokonane wzniesienie opłacał kosztem niewypowiedzianych cierpień całej swej karoserii. Był to stary grat z dachem pomalowanych na czerwono; piał się pod górę, wpierając koła w pochyłe zbocze, czepiając się kamieni, pośród pionowych niemal zakrętów wąwozu, coraz mniejszy w otoczeniu rosnących gór. Bo góry rosły. Teraz, gdy słońce oświetlało szczyty, zdawało się, że jest ich coraz więcej, wznosiły się z jednej i z drugiej strony, coraz wyższe, coraz bardziej wrogie, niby olbrzymie, czarne topory, skierowane ostrzem przeciwko wiatrowi, który z przeciągłym wyciem wciskał się między

szczeliny. Wszystko dokoła zdawało się rozszerzać, przybierać nowe, coraz potężniejsze, coraz groźniejsze proporcje. Na końcu tej wspinaczki o stu zakrętach i wirażach, gdy spodziewaliśmy się ujrzeć szczyt, odkrywało się przed naszymi oczyma nowe zbocze, jeszcze bardziej strome, bardziej kręte pośród ściętych lodem iglic, narzucających swe wyżyny na te, które już minęliśmy. Autobus w swej mozolnej wędrówce wzwyż kurczył się w głębi wąwozu, zbratany raczej z owadami niż skałami, sunąc niezmordowanie naprzód na swych okrągłych tylnych łapach. Był już dzień i wokół ostrych jak ciosany krzemień szczytów kłębiły się chmury na niebie wstrząsanym podmuchami z głębin. Gdy ponad rzędem czarnych toporów przecinających wichurę ukazały się wulkany, przestał istnieć już nasz prestiż ludzki, tak jak od dawna nie istniał już prestiż roślinności. Byliśmy liliputami o zlodowaciałych twarzach, na pustynnej wyżynie, gdzie tu i ówdzie przetrwał tylko jakiś kaktus z szarego filcu, uczepony nagiej skały jak pleśń lub paproć skamieniała w węglu. Za nami, nisko, nisko w dole zostały chmury ocieniające doliny, a dalej, trochę mniej nisko, inne chmury, których, jako przepływających wyżej niż wszystkie chmury znane, nigdy nie zobaczą ludzie żyjący w świecie stworzonym na ich własną miarę. Byliśmy na samym grzbiecie bajecznych Indii, na jednym z jego kręgów, tam gdzie ostrza Andów, wcięte w kształt półksiężyca pośród zachodzących z boku iglic, niby otwarte paszcze ryb łykających śnieg łamały i odbierały siłę wiatrom próbującym przedrzeć się z jednego oceanu na drugi. Przybyliśmy nad brzegi kraterów wypełnionych szczątkami geologicznymi i straszliwą czernią lub najeżonych posępnymi skałami jak skamieniałe zwierzęta. Ogarnęło mnie nieme przerażenie na widok tej nieskończoności szczytów i przepaści. Każda tajemnica mgieł odkryta po jednej lub drugiej stronie niewiarygodnej drogi nasuwała myśl, że pod jej zwiewną osłoną istnieje próżnia tak głęboka, jak przestrzeń dzieląca nas od naszej ziemi. Bo ziemia, gdy się o niej myślało tutaj, na wysokości nieruchomych bloków lodu bielejących na szczytach, wydawała się czymś innym, obcym temu wszystkiemu, razem ze swoimi zwierzętami, drzewami, łagodnym wiatrem i światem stworzonym dla człowieka, gdzie nie słychać było co noc wycia burz w wąwozach i przepaściach. Strefa chmur oddzielała ten nasyp czarnych gładów od naszej prawdziwej ziemi. Przytłoczony głuchą groźbą teluryczną czyhającą pod wszelkimi postaciami na zwałach lawy i odłamków skalnych, zauważyłem z ogromną ulgą, że nasz nieszczęsny wehikuł posuwał się teraz z mniejszym trudem, skręcając w stronę pierwszego zejścia w dół, jakie zobaczyłem w ciągu kilku godzin. Byliśmy już na drugim zakręcie kordyliery, kiedy autobus gwałtownie zatrzymał się przed małym kamiennym mostkiem, przerzuconym przez potok o tak głębokim łożysku, że nie widzieliśmy wody mimo ogłuszającego szumu kaskad. Na kamieniu granicznym siedziała kobieta otulona w niebieski płaszcz, u jej stóp na ziemi leżał tobołek i parasol. Oszołomiona, z oczyma zaszłymi mgłą, nie odpowiadała na wołania. Jej głowa, ledwie przykryta czerwoną chustką, której węzeł rozwiązał się pod brodą, kołysała się lekko. Ktoś z podróżnych podszedł do niej i włożył jej do ust kawałek brunatnego cukru, zaciskając palcami jej szczękę, tak żeby przełknęła. Jak gdyby zrozumiał, kobieta zaczęła ssać cukier i powoli jej oczy przybrały wyraz normalny. Zdawała się wracać do przytomności, odkrywać świat ze zdumieniem. Spojrzała na mnie jak ktoś, kto mnie poznał, i wstała z wysiłkiem, opierając się o kamień. W tej samej chwili dał się słyszeć odgłos dalekiej lawiny nad naszymi głowami i zaczęły wirować mgły i opary wypływające z krateru, jakby wypchnięte gwałtownym wstrząsem. Kobieta, jak

gdyby budząc się nagle, krzyknęła, chwyciła mnie za rękę i głosem łamiącym się w rozrzedzonym powietrzu zaczęła błagać, żebyśmy jej nie dali znowu umrzeć. Nieostrożnie dała się tu przywieźć ludziom, którzy jechali dalej w innym kierunku i myśleli, że ona wie, jak niebezpiecznie jest zdrzemnąć się na tej wysokości; teraz dopiero zdała sobie sprawę, że ledwo uszła śmierci. Pozwoliła się zaprowadzić do autobusu i przełknęła do końca kawałek brunatnego cukru. Kiedy zjechaliśmy jeszcze trochę w dół i powietrze zrobiło się gęstsze, dano jej łyk wódki i wtedy zaczęła się śmiać z własnego przestרחu, a w autobusie posypały się anegdoty o ludziach, którzy znaleźli śmierć w tej samej przełęczy; zdarzenia opowiadano beztrąsko, jakby chodziło o drobiazgi z życia codziennego. Ktoś nawet utrzymywał, że nieopodal krateru, ukrytego między mniejszymi szczytami, widać było wśród lodu, niby za szybą wystawową, ośmiu członków pewnej ekspedycji naukowej, których zaskoczyła choroba gór. Siedzieli tam wszyscy kołem, każdy z przerwaniem nagle jakimś gestem życia, ze spojrzeniem zastygłym w lodzie, który powlókł ich twarze przezroczystą maską pośmiertną. Zjeżdżaliśmy teraz szybko w dół. Chmury, któreśmy zostawili u naszych stóp w czasie jazdy pod górę, znajdowały się teraz znowu nad nami i mgła rozdzielała się na drobne strzępy, odsłaniając obraz dalekich jeszcze dolin. Wracaliśmy na ziemię ludzi i oddech odzyskiwał swój normalny rytm. Nagle ukazała się wieś położona na małym okrągłym płaskowyżu, otoczonym strumieniami. Wszystko to, mimo barokowego kościoła, dziwnie przypominało mi pejzaż hiszpański, zwłaszcza dachy zgrupowane wokół pałacu, skąd rozchodziły się kręte uliczki, którymi pędzono muły. Ryk osła wywołał nagle w mojej pamięci obrazek w mojej książce z czytankami na klasę trzecią, przedstawiający El Toboso – z osiołkiem na pierwszym planie – dziwnie podobny do miasteczka, które miałem przed oczyma. „W pewnej miejscowości Manczy, której nazwy nie mam ochoty sobie przypominać, żył niedawno temu pewien szlachcic, z tych, co to mają kopię w tulei, starodawną tarczę, chudą szkapę i gończego charta”. Dumny byłem, że pamiętam jeszcze to, czego nauczyciel z takim trudem uczył recytować dwudziestu urwisów w naszej klasie. Ale wtedy umiałem na pamięć cały pierwszy akapit, a teraz nie mogłem wyjść poza „gończego charta”. Złościło mnie to i myślą krążyłem bez przerwy wokół „miejscowości Manczy”, usiłując sobie przypomnieć zdanie następne, kiedy w pewnej chwili kobieta, którą wyratowaliśmy, wskazała szeroki zakręt na grzbiecie góry, którą mieliśmy sforsować, i powiedziała, że ta miejscowość nazywa się La Hoya. „Garnek bigosu, w którym więcej było chabliny niż barana, sałatka mięsna prawie co wieczora, w sobotę «żałosne szczątki», soczewica w piątek, a w niedzielę gołąbek jakiś na dodatek – pochłaniały trzy czwarte jego mienia...” Dalej nie umiałem, ale moją uwagę przyciągnęła teraz ta, która tak w porę wypowiedziała słowo „Hoya” (Nazwę „Hoya” wymawia się tak samo jak słowo „olla” (garnek) rozpoczynające następne zdanie w pierwszym rozdziale „Don Kichota”) i zacząłem jej się przyglądać z sympatią. Z miejsca, gdzie się znajdowałem, mogłem widzieć zaledwie połowę jej twarzy, wystającą kość policzkową, oko skośnie biegnące ku skroni i znikające pod nieustępliwą arkadą brwi. Linia profilu od czoła do nosa była zarysowana niezwykle czysto; ale potem naraz pod tym dumnym i spokojnym konturem ukazały się usta o grubych, zmysłowych wargach u dołu wąskiego policzka, który uciekając w kierunku ucha, podkreślał rzeźbę tej twarzy w obramowaniu czarnych, ciężkich włosów podtrzymywanych tu i ówdzie celuloidowym grzebieniem. Kilka ras spotykało się w tej kobiecie: indiańska w policzkach i włosach, śródziemnomorska w rysunku

czoła i nosa, murzyńska w solidnym zaokrągleniu ramion i szerokości bioder, którą zauważyłem, kiedy wstała, by umieścić swój tobolek i parasol na półce. Nie ulegało wątpliwości, że ta żywa mieszanina ras miała rasę. Jej zdumiewające oczy, niezmiennie czarne, przywodziły na myśl postacie z niektórych fresków starożytnych, patrzące jednocześnie prosto przed siebie i w bok, z czarnym kręgiem wyrysowanym na skroni. To skojarzenie kazało mi z kolei pomyśleć o „Paryżance” z fresków w Knossos i dostrzec, że w tej podróźniczce, która wyłoniła się z pustyni i mgieł, nie więcej było krwi mieszanej niż w rasach krzyżujących się między sobą przez całe wieki w basenie Morza Śródziemnego. Co więcej, zadawałem sobie pytanie, czy pewne amalgamaty ras pomniejszych, powstałe bez przeszczepiania, rzeczywiście są lepsze od wielkich spotkań w węzłowych punktach Ameryki, gdzie łączyli się między sobą Celtowie, Murzyni, Latynowicze i Indianie, a z początku także „nowi chrześcijanie”. Tutaj bowiem stopiły się nie plemiona pokrewne, jak te, które historia przemieszczała na pewnych rozdrożach morza Ulissesa, lecz wielkie rasy świata, najbardziej oddalone, najróżniejsze, te, które przez tysiące lat nic nie wiedziały o sobie nawzajem ani o tym, że zamieszkują tę samą planetę.

Nagle zaczął padać deszcz, monotony, zamazujący szyby. Powrót do atmosfery prawie normalnej pogрузił pasażerów w pewnego rodzaju senności. Zjadłszy trochę owoców, szykowałem się i ja do drzemki myśląc, że wystarczył tydzień podróży, bym odzyskał tę umiejętność zasypiania o każdej porze, jaką pamiętałem z lat młodzieńczych. Zbudziłem się dopiero pod koniec popołudnia. Dojechaliśmy do jakiejś wsi, gdzie domy z kamienia wapiennego ciągnęły się wzdłuż kordyliery, w cieniu lasów i zarośli, które tu i ówdzie przerywała polana przeznaczona do zaorania. Zwisające z drzew grube liany kołysały się na wietrze nad drogą, opryskując nas rosą z mgieł. Za cieniami, które wydłużały się u podnóża gór, noc spowijała już wierzchołki. Mouche bezsilnie uwiesiła się mego ramienia skarżąc się, że wyczerpała ją całodzienna podróż i zmiany wysokości. Czuliła ból głowy i dreszcze, chciała się położyć jak najprędzej po zażyciu lekarstwa. Zostawiłem ją w pobielonym wapnem pokoju, którego cały luksus stanowił dzbanek z wodą i miska, i poszedłem do jadalni oberży. Było to po prostu przedłużenie kuchni z wielkim kominem, gdzie palił się węgiel drzewny. Zjadłszy talerz zupy kukurydzianej i kawałek górskiego sera, który śmierdział capem, czułem się rozleniwiony i szczęśliwy w ciepłe ogniska. Patrzyłem na igrające płomienie, kiedy nagle przysłoniła je czyjaś postać, która stanęła między ogniem a mną, a potem usiadła na drugim końcu stołu. Była to ocalona rankiem podróźniczka. Ponieważ przysłała starannie odświeżona i wystrojona, zabawiałem się obserwowaniem szczegółów tej elegancji. Nie była ubrana ani źle, ani dobrze. Jej strój poza naszą epoką, poza czasem, składał się z kunsztownej mieszaniny koronek, falban i wstążek różowych i błękitnych; wszystko czyściuteńkie, nakrochmalone sztywno jak tektura, przywodziło na myśl romantyczną szkatułkę do szycia, a także kufer prestidigitatora. Do stanika była przypięta aksamitna szafirowa kokarda. Kobieta zażądała potraw, których nazwy były mi nie znane, i zaczęła jeść powoli, w milczeniu, nie podnosząc oczu znad ceraty, jakby pochłonięta jakąś głęboką troską. Po chwili ośmieliłem się do niej odezwać i dowiedziałem się, że będzie nam towarzyszyła jeszcze spory kawałek drogi i że udaje się w te strony celem wypełnienia pewnego pobożnego obowiązku. Przyjechała tu z przeciwległego krańca kraju, przez pustynie i góry, jeziora pełne wysp, lasy i równiny, aby przywieźć swemu ciężko choremu ojcu obraz Czternastu Świętych Doraźnej Pomocy, otaczany

wielką czią w jej rodzinie, która zawdzięczała mu już wiele cudów. Obraz ten miała dotychczas w swej pieczy jedna z ciotek, dostatecznie bogata, aby go umieścić na ołtarzu wspanialej oświetlonym niż u innych krewnych. Kiedy znaleźliśmy się sami w jadalni, podeszła do szafy z przegrodami, skąd dochodził przyjemny zapach ziół leśnych. Na półkach obok słoików z najróżniejszymi maceracjami wypisane były nazwy roślin. Młoda kobieta zbliżyła się do mnie i biorąc garść suchych liści, mchu i gałązek jałowca, aby rozetrzeć je w dłoniach zaczęła chwalić ich własności i określać każde ziele po zapachu. Był tu aloes, który leczył ucisk w piersiach, różowa liana do smarowania włosów, by układały się w pierścienie, liście bretoniki na kaszel, bazylija do odczyniania uroków, było też niedźwiedzie ziele, drzewko anielskie, kaktus i pączki rosyjskie, których właściwości leczniczych już nie pamiętam. Ta kobieta mówiła o ziołach jak o istotach zawsze czuwających w pobliskim, lecz tajemniczym królestwie strzeżonym przez potężnych dygnitarzy. Jej ustami zioła przemawiały, broniły swoich praw. Las miał swego pana, geniusza podskakującego na jednej nodze, i niczego, cokolwiek rośło w cieniu drzew, nie wolno było wziąć bez zapłaty. Ilekroć wchodziło się w głąb lasu w poszukiwaniu mchu, grzyba czy liany, która miała własności uzdrawiające, trzeba było się skłonić i spytawszy wpierw o pozwolenie, włożyć monetę między korzenie starego drzewa. A wychodząc powinieneś starannie spuścić wzrok, gdyż miliony oczu obserwowały twoje gesty spomiędzy pni i liści. Nie umiałbym powiedzieć, dlaczego ta kobieta wydała mi się nagle bardzo piękna w chwili, kiedy wrzucała do ognia garść mocno pachnących ziół, a rysy jej twarzy w cieniu ukazały mi się z tym większą siłą ekspresji. Chciałem jej powiedzieć jakiś banalny komplement, ale nagle powiedziała mi dobranoc i wyszła z jadalni. Zostałem sam, wpatrzony w ogień. Od dawna już nie zdarzyło mi się patrzeć w ogień.

IX

Tego samego dnia, później

Po chwili, gdy siedziałem sam przed kominem, doszły do moich uszu jak gdyby słabe głosy w kącie jadalni. Ktoś otworzył stare radio stojące na kuchennym stole pośród ogórków i kaczanów kukurydzy. Zamierzałem je zgasić, kiedy usłyszałem wydobywające się ze starego aparatu dobrze znajome dźwięki kwinty rogów. Była to ta sama kwinta, która wypłoszyła mnie niedawno z sali koncertowej. Ale tego wieczora, w blasku płonących bierwion, przy akompaniamencie świerszczy w szerniałych belkach pułapu, koncert tchnął jakimś tajemniczym majestatem. Wykonawcy bez twarzy, nieznani, niewidzialni, interpretowali jak gdyby w abstrakcji dawno napisany tekst. Tekst, który spadł u podnóża tych gór, przeleciawszy ponad ich szczytami, przybywał do mnie nie wiadomo skąd wśród dźwięków, które nie były nutami, lecz echem odnalezionym we mnie samym. Przybliżając twarz do aparatu słuchałem. Kwincie rogów towarzyszyło drganie trioletów drugich skrzypiec i wiolonczel, zarysowały się dwie spadające nuty, jakby spadły z pierwszych smyczków i altówek, z miękkością, która wkrótce zmieniła się w niepokój, przemożną potrzebę ucieczki przed rozpełtaną nagle siłą. I rozległ się w rozdarciu cieniów brzemiennej burzą pierwszy temat IX Symfonii. Zdawało mi się, że odetchnąłem z ulgą, słysząc utwierdzającą się tonację, ale gdy nagle ucichły struny i w jakiś magiczny sposób zawalił się wzniesiony gmach, znowu zaczęła mnie niepokoić ta rosnąca fraza. Po tak długim czasie, kiedy nic nie chciałem wiedzieć o jej istnieniu, oda muzyczna wracała do mnie z całą falą wspomnień, które na próżno chciałem oddzielić od rozpoczętego w tej chwili crescendo wahającego się jeszcze i jakby niepewnego swej drogi. Ilekroć metaliczny dźwięk rogu podpierał jakiś akord, zdawało mi się, że widzę profil mego ojca ze spiczastą bródką, pochylającego twarz, by odczytać swoją partię w charakterystycznej pozycji waltornisty, który zdaje się nie wiedzieć, że kiedy gra, jego wargi przywierają do ustnika wielkiej miedzianej woluty, co upodabnia całą jego postać do kapitelu korynckiej kolumny. Na skutek przedziwnego mimetyzmu, który sprawia, że obojści wydają się nagle chudzi i mizerni, a puzoniści weseli i pucułowaci, mój ojciec zaczyna przemawiać głosem miedzianym i nosowym, kiedy usadziwszy mnie obok siebie na trzcinowym krzeselku pokazuje mi ryciny, przedstawiające rodowód szlachetnego instrumentu: olifanty bizantyjskie, buksyny rzymskie, anafily saraceńskie i srebrne puzony Fryderyka Barbarossy. Jego zdaniem mury Jerycha mogły runąć tylko na straszliwy zew „horn” – słowo to wymawiane z wyraźnym „r” przybierało dźwięk spiżu w jego ustach. Kształcony w konserwatoriach niemieckiej Szwajcarii, ojciec głosił wyższość rogu o dźwiękach metalicznych, wywodzącego się w prostej linii od rogu myśliwskiego, który rozbrzmiewał niegdyś we wszystkich Czarnych Lasach, przeciwstawiając się temu, co pogardliwie nazywał po francusku „le cor”, gdyż uważał, że technika

wykładana w Paryżu upodabnia ten na wskroś rycerski instrument do zniewieściałych instrumentów z drzewa. Aby tego dowieść, wznosił róg ku górze i rzucał temat „Zygfryda” ponad niewysokie mury patio z impetem herolda Sądu Ostatecznego. Faktem jest, że o moim urodzeniu po tej stronie oceanu zdecydowała pewna scena polowania z „Rajmundy” Głazunowa. Zamach w Sarajewie zaskoczył mego ojca w pełni sezonu wagnerowskiego w Teatrze Królewskim w Madrycie. Rozgniewany nieoczekiwaną wojowniczością socjalistów niemieckich i francuskich, wyparł się starego, zgniłego kontynentu i przyjął miejsce pierwszego waltornisty w zespole Anny Pawiowej, wybierającym się w podróż po Antylach. Ożenek, którego tło uczuciowe było mi nie znane, sprawił, że przeżywałem moje pierwsze przygody niemowlęce w cieniu wielkiego tamaryszka, podczas gdy moja matka zajęta w kuchni razem z kucharką, Murzynką, śpiewała bajkę o Panu Kocie, który siedział na złotym tronie i którego pytano, czy zechce poślubić dziką kotkę, siostrzenicę geparda. Przeciągająca się wojna i słabe zapotrzebowanie na instrument używany tylko w sezonie operowym, gdy wiały wiatry z Północy, skłoniły mego ojca do otworzenia małego sklepiku muzycznego. Czasem, gdy ogarnęła go tęsknota za orkiestrami symfonicznymi, w których niegdyś grywał, brał z wystawy batutę, otwierał partyturę IX Symfonii i zaczynał dyrygować niewidzialną orkiestrą, naśladując gesty Nikischa lub Mahlera i odśpiewując cały utwór wśród najstraszliwszych onomatopei, mających naśladować perkusję, basy i blachy. Moja matka w popłochu zamykała okna, żeby sąsiedzi nie posądzili jej męża o obłęd, przekonana jednak, zgodnie z tradycyjną uległością kobiet hiszpańskich, że cokolwiek robiłby małżonek, który nie pije i nie gra w karty, należy uważać za dobre, choćby się wydało dziwaczne. Mój ojciec lubił frazować w szlachetny sposób swoim beztonowym głosem wstępujący rytm kody, smętny, żałobny, a jednocześnie triumfujący, który słyszałem teraz, jak się wznosi z głębin basowych na chromatycznym tremolando. Dwie szybkie gamy wypłynęły z powtórnego unisono, jakby siłą wydarte orkiestrze. Potem nastąpiła cisza. Cisza zakłócona hałaśliwą radością świerszczy i trzaskaniem płonących bierwion. Ale oczekiwałem z niecierpliwością początkowych wstrząsających nut scherzo. I już dawałem się porwać, opłatać diabolicznej arabesce kreślonej przez drugie skrzypce, obcy wszystkiemu, co nie było muzyką, kiedy zdwojenie trąb o tak szczególnym dźwięku, narzucone przez Wagnera partyturze beethovenowskiej dla poprawienia błędu w tekście, przywróciło mi znowu złudzenie, że siedzę obok mego ojca w dniach, kiedy nie towarzyszyła nam już, ze swoim pudełkiem do robótek z błękitnego aksamitu ta, która tylekroć śpiewała mi historię o Panu Kocie, romance o Mambro i skargę Alfonsa XII oplakującego śmierć Mercedes („Czterech diuków ją poniosło przez ulice Aldavi”). Ale wtedy wieczory poświęcone były lekturze starej biblii luterńskiej, którą moja katolicka matka tyle lat trzymała w ukryciu, w głębi szafy. Pograżony w smutku po stracie żony, zgorzkniał pod wpływem samotności, której nie mógł wypełnić świat zewnętrzny, mój ojciec zerwał wszystkie więzy łączące go z gorącym i hałaśliwym miastem mego urodzenia i wyjechał do Ameryki Północnej, gdzie na nowo zajął się handlem z bardzo niewielkim powodzeniem. Medytacje nad Eklezjastą i lektura psalmów budziły w jego duszy niespodziewane tęsknoty. Wtedy to zaczął mi mówić o robotnikach, którzy w jego kraju słuchają IX Symfonii. Jego niepowodzenia na tym kontynencie znajdowały coraz silniejszy wyraz w tęsknocie za Europą, którą widział w apoteozie chwały w momentach festiwalu. To, co nazywano Nowym Światem, stało się dla

niego półkulą bez historii, obcą wielkim tradycjom śródziemnomorskim, krajem Indian i Murzynów, zaludnionym przez szumowiny wielkich narodów europejskich, nie zapominając o klasycznych kurtyzanach wysyłanych do Nowego Orleanu przez żandarmów w trój graniastych kapeluszach, przy dźwiękach marszów z piszczałkami – ten ostatni szczegół wydawał mi się zaczerpnięty ze wspomnień z repertuaru operowego. Ze czcią natomiast wspominał ojczyzny starego kontynentu i roztaczał przed mymi zdumionymi oczyma uroki uniwersytetu w Heidelbergu, którego nie mogłem sobie inaczej wyobrazić niż w zielonym welonie czcigodnych bluszczów. Przenosiłem się wyobraźnią od teorbanów koncertu angielskiego do słynnych tablic Gewandhaus, od koncertów minnesangerów do koncertów poczdamskich. Uczyłem się nazw miast, których sam aspekt graficzny wywoływał w moim umyśle miraż w barwach ochry i bieli albo brązu – jak Bonn – albo puszkę łabędziego – jak Siena. Ale mój ojciec, dla którego afirmacja pewnych zasad stanowiła największą zdobycz cywilizacji, szczególny nacisk kładł na szacunek, z jakim odnoszono się tam do uświęconego życia człowieka. Mówił mi o pisarzach, którzy z głębi swego spokojnego gabinetu wstrząsali monarchią i nikt nie ośmielił się ich niepokoić. Wspomnienia „J'accuse”, kampanii Rathenau, które były wynikiem kapitulacji Ludwika XVI wobec Mirabeau, kończyły się zawsze tymi samymi rozważaniami na temat postępu, którego nie można wstrzymać, stopniowej socjalizacji, kultury kolektywnej; potem mówił o wykształconych robotnikach, którzy w jego rodzinnym mieście w pobliżu katedry z XIII wieku spędzali wolne chwile w bibliotekach, a w niedzielę zamiast ogłupiać się słuchaniem nabożeństwa w kościele – gdyż kult wiedzy zastępował tam zabobony – prowadzili swoje rodziny na koncert, by wysłuchać IX Symfonii. Tak też widziałem od lat młodzieńczych oczyma wyobraźni tych robotników w granatowych bluzach i cajgowych spodniach, widziałem ich ożywionych wzniosłym tchnieniem geniuszu Beethovena, słuchających może tego samego trio, którego fraza tak gorąca, tak porywająca wznosiła się w tej chwili głosami wiolonczeli i altówek. Czar tej wizji był tak urzekający, że po śmierci ojca poświęciłem cały spadek po nim – niewielką sumę uzyskaną ze sprzedaży na licytacji partytur i sonat – na poznanie gruntu, z którego wyrosłem, i pewnego dnia przepравиłem się przez Ocean w przekonaniu, że już nie wrócę na przeciwległy brzeg. Ale gdy minęło pierwsze olśnienie, to, co później żartobliwie nazwałem „adoracją fasad”, nastąpiło spotkanie z rzeczywistością, dziwnie kontrastującą z tym, czego mnie uczył ojciec. Dalekie od kultu IX Symfonii tłumy zdawały się zachwycone maszerowaniem w defiladach pod drewnianym Łukiem Triumfalnym, zdobnym w pogańskie znaki słoneczne. Marmur i spiż dawnej apoteozy przeobraziły się w gigantyczny bezład świerkowych gałęzi, desek zbijanych na jeden dzień i emblematów z połączanej tektury – myślałem – i już to samo powinno budzić nieufność tych, co słuchali przemówień zbyt głośno transmitowanych przez megafony. Zdawało się jednak, że tak nie jest. Każdy wierzył, że wyposażono go w straszliwą moc, i wielu zasiadło po prawicy Boga, by sądzić ludzi, którzy odeszli, za to, że nie odgadli przyszłości. Widziałem pewnego metafizyka z Heidelbergu na czele pochodu młodych filozofów maszerujących niezdarnym krokiem, by głosować na tych, którzy deptali wszystko, co można było zaliczyć do sfery intelektu. Widziałem pary wspinające się w noc świętojańską na górę czarownic, by zapalać święte ognie pogańskie, pozbawione już wszelkiego sensu. Ale nic mną tak nie wstrząsnęło, jak proces, pośmiertna kara i profanacja grobu tego, który uwieńczył pewną symfonię „Chorałem Wyznania

Augsburskiego”, lub tego, który wykrzyknął tak czystym głosem, zwracając się do szarozielonych fal Morza Północnego: „Kocham morze jak własną duszę”. Znużony koniecznością recytowania po cichu „Intermezza” i słuchania o trupach zebranych na ulicy, o zagrażających nowych represjach i ucieczkach, szukałem azylu w kojącym półmroku muzeów i zacząłem długie wędrówki poprzez czas. Ale gdy wyszedłem z pinakotek, na świecie działo się jeszcze gorzej. Gazety nawoływały do rzezi. Wierzący drżeli u stóp ambon, gdy biskupi podnosili głos. Rabini ukrywali zwoje Tory, a pastorów wypędzano ze świątyni. Można było oglądać profanację obrządków, nieuszanowanie słowa. Na placach publicznych nocą wychowankowie słynnych uniwersytetów palili księgi na stosach. Nie uszedłeś kroku na tym kontynencie, by nie napotkać fotografii dzieci zabitych w bombardowaniu otwartych miast, nie usłyszeć o uczonych uwięzionych w kąpieliskach morskich, o niewy tłumaczonych prześladowaniach i defenestracjach, o wsiach równanych z ziemią. Byłem zdumiony i rozczarowany, do głębi zraniony tą różnicą pomiędzy światem, za którym tęsknił mój ojciec, a tym, który dane mi było poznać. Tam, gdzie poszukiwałem uśmiechu Erazma, „Rozprawy o metodzie”, ducha humanizmu, pragnień i niepokojów Fausta i apollińskiej duszy, trafiałem na auto-da-fé, na trybunał jakiegoś Świętego Oficjum lub proces polityczny – ordalium nowego gatunku. Nie można już było podziwiać słynnego bębna, dzwonnicy, chimery, uśmiechu anioła, nie słysząc, że to symbole terażniejszości zwiastujące jej cechy; i że pastuszkowie przy żłobku adorowali coś, co właściwie nie było tym, co naprawdę oświetlało stajenkę. Coraz bardziej nużyła mnie epoka współczesna. Straszno było myśleć, że poza wyobraźnią nie ma innej możliwości ucieczki w tym świecie bez kryjówek, gdzie przyroda ujarzmiona była od wieków, gdzie synchronizacja, niemal zupełna, trybów życia skoncentrowała walki wokół kilku najbardziej żywotnych problemów. Mity zastąpiono przemówieniami, hasłami dogmaty. Zmęczony frazesem wykutym w żelazie, oczyszczoną przez cenzurę książką, porzuconą katedrą, zbliżyłem się znów do Atlantyku, tym razem z zamiarem przebycia go w kierunku przeciwnym. Na dwa dni przed wyjazdem oglądałem zapomniany taniec szkieletów, rozwijający swe motywy na cmentarzu Świętego Symforiana w Blois. Był to jak gdyby dziedziniec wiejski zarosły chwastami, pełen odwiecznego smutku. Na jego słupach odmieniał się raz jeszcze niewyczerpany temat próżności i przepychu, szkieletu odnalezionego pod olśniewającym ciałem, spróchniałych żeber pod ornamentem prałata, w który uderzało się dwoma piszczelami, w ksylofonowym koncercie kości. Ale tutaj nędza wsi otaczającej ów wieczny Przykład, bliskość rzeki zmałonej i brudnej, sąsiedztwo fabryk i farm, świń chrząkających jak wieprz świętego Antoniego, u stóp czaszek rzeźbionych w drzewie spleśniałym przez całe stulecia deszczy, dodawały niezwykłego wigoru wizji prochu, popiołów i nicości, umieszczając ją w naszej epoce. Kotły, w które się tyle razy uderza w scherzo Beethovena, przybrały proroczy rezonans w tej chwili, kiedy kojarzyłem je w myśli z obrazem cmentarza w Blois. Tam właśnie, za bramą cmentarną, zastały mnie wieczorne dzienniki podające wiadomość o wybuchu wojny.

Ogień na kominie wygasł. Na zboczu góry, ponad dachami i drzewami, pies wył we mgle. Oddalony od muzyki przez inną muzykę, powracałem do niej drogą świerszczy, oczekując dźwięcznego „b”, które już rozbrzmiewało w moich uszach. Z powolnego wezwania fagotów i klarnetów rodziła się już przedziwna fraza *adagio*, tak głęboka w powściągliwości swego liryzmu. Był to jedyny pasaż

symfonii, który moja matka, przyzwyczajona do lektury habaner i wiązanek operowych, umiała czasem odegrać w transkrypcji na fortepian, wydobytej z szuflady w sklepieniu. Przy szóstym takcie, którego spokojną koroną jest echo przejęte przez drzewo, wracam ze szkoły zmęczony bieganiem i ślizganiem się po chodnikach zaścielonych nasionami topoli. Nasz dom ma szeroki ganek z kolumnami pobielonymi wapnem, umieszczony niby stopień schodów między gankami sąsiednich domów, z których jeden stoi niżej, drugi wyżej na pochyłej płaszczyźnie szosy wspinającej się w kierunku kościoła Jesus del Monte, który wznosi się nad dachami wśród drzew ocieniających nasyp ziemi otoczony poręczą. Dom należał niegdyś do jakiejś arystokratycznej rodziny, są w nim jeszcze meble z czarnego drzewa, przepastne szafy, w świeczniku z kryształowymi wisiorami zapalają się małe tęczowe, gdy padnie nań promień słońca przez szyby niebieskie, białe i czerwone zamykające łuk sieni niby wielki szklany wachlarz. Siadam z podwiniętymi nogami w głębi bujanego fotela, za dużego dla dziecka i otwieram gramatykę Akademii Królewskiej, z której mam powtórzyć lekcję dziś po południu: „To, Fabiuszu, niestety, na co patrzysz teraz” – brzmi zdanie, które przypomniałem sobie niedawno. „To, Fabiuszu, niestety, na co patrzysz teraz...” Murzynka krzątająca się wśród swoich rondli śpiewa jakąś piosenkę, gdzie jest mowa o czasach kolonialnych i wąsach gwardzistów. Klawisz „fa” jak zwykle zaciął się w fortepianie, na którym gra moja matka. W pokoju, w głębi domu, przez okratowane okienko zagląda łodyga arbuza. Wołam Marię del Carmen, która bawi się wśród kaktusów i róż w doniczkach, grządek goździków i słoneczników na tylnym podwórku w domu swego ojca, ogrodnika. Wsuwa się przez szparę w żywopłocie kaktusów i kładzie obok mnie w koszu do bielizny, który ma kształt łodzi i jest Okrętem naszych podróży. Otacza nas zapach wikliny, siana i konopi wydzielających się z tego kosza przynieszonego raz na tydzień przez spoconego Murzyna, który pożera ogromne porcje fasoli i którego nazywają Baudilio. Ściskam przez cały czas dziewczynkę w moich ramionach, ogarnia mnie radosne rozleniwienie, które pragnąłbym przedłużyć w nieskończoność. Ponieważ moja towarzyszka nudzi się, leżąc bez ruchu, uspokajam ją mówiąc, że jesteśmy na morzu i wkrótce dopłyniemy do portu. Portem jest kufer z okrągłą pokrywą z blachy pomalowanej na różne kolory, a do ucha pokrywy przycumowuje się okręty. W szkole mówiono mi o różnych nieczystych sprawach między mężczyzną i kobietą. Z oburzeniem odrzucam te myśli wiedząc, że to paskudztwa wymyślone przez dorosłych, żeby drwić sobie z małych. W dniu, kiedy mi o tym powiedziano, nie odważyłem się spojrzeć matce w twarz. Pytam teraz Marię del Carmen, czy chce zostać moją żoną, a gdy odpowiada, że tak, ściskam ją mocniej, naśladując, żeby nie wyrwała się z moich objęć, dźwięk syren okrętowych. Oddycham z trudem, serce mi bije i to osłabienie jest tak przyjemne, że nie rozumiem, dlaczego Murzynka, kiedy nas tak zastaje, wybucha gniewem, wyrzuca nas z kosza, a kosz stawia na szafie i krzyczy, że już jestem za duży na takie zabawy. Mimo to nie mówi nic mojej matce. W końcu idę do niej na skargę, odpowiada mi, że teraz pora na naukę. Wracam do mojej gramatyki, ale prześladowuje mnie zapach wikliny, siana, konopi. Ten zapach, którego wspomnienie powraca z przeszłości czasem w sposób tak przejmujący, że drzę na całym ciele. Odnajduję go tego wieczora koło szafy z ziołami, kiedy adagio kończy się czterema akordami pianissimo, pierwszym arpeggio, i kiedy drzenie ogarnia chór, którego wejście nastąpi za chwilę. Odgaduję gest niewidzialnego dyrygenta, wprowadzający słuchacza nagle do dramatu przygotowanego przez odę Schillera. Burza trąb i kotłów

zrywa się, by później odnaleźć własne echo i zamknąć się rekapitulacją tematów już wysłuchanych. Lecz tematy te wydają się rozbite, poszarpane na strzępy, rzucone w chaos, który jest zadatkami przyszłości, ilekroć zamierzają się wznieść, uwydatnić, stać się na nowo tym, czym były. Ta symfonia w gruzach, która się przeciwstawia teraz symfonii totalnej, mogłaby być – myślę ulegając deformacji zawodowej – dramatycznym akompaniamentem filmu dokumentalnego, zrealizowanego na drogach, które przebiegłem jako tłumacz wojskowy pod koniec wojny. Były to drogi Apokalipsy wykreślone między murami podziurawionymi w ten sposób, że wyglądały jak litery nieznanego alfabetu; drogi pełne lejów wypełnionych szczątkami rozbitych posągów, drogi biegnące przez opactwa bez dachów, drogi usiane aniołami bez głów zakręcały przed Ostatnią Wieczerzą wydaną przez bomby na pastwę deszczów i wichrów i zatrzymywały się w prochu i popiele przed tym, co przez długie wieki było najpełniejszym, najwspanialszym archiwum hymnu ambrożyjskiego. Lecz okropności wojny są dziełem człowieka. Każda epoka pozostawia swoje własne ślady wyryte w miedzi lub utrwalone w ciemnych barwach akwaforty. Czymś nowym, niesłychanym i ultrawspółczesnym była kancelaria okrucieństwa, ten strzeżony rezerwat okrucieństwa, który poznaliśmy przypadkiem w czasie marszu naprzód: siedziba grozy, gdzie wszystko było świadectwem tortur, masowej eksterminacji, palenia ludzi wśród murów opryskanych krwią i ekskrementami, między stertami kości, szczęk ludzkich zgarniętych łopatami do kątów, nie mówiąc o śmierci gorszej jeszcze, zadawanej na zimno w gumowych rękawiczkach pośród aseptycznej bieli i świateł sal operacyjnych. O dwa kroki stamtąd ludzie wrażliwi i kulturalni nie zważając na ohydny dym z kominów, przez które ulatywały w górę modlitwy w języku żydowskim, nadal spokojnie kolekcjonowali znaczki, studiowali chwałę rasy, grywali „Eine kleine Nachtmusik” Mozarta, czytali dzieciom „Małą Syrenę” Andersena. To także było nowe, ponuro współczesne, eksperymentalne. Coś złamało się we mnie tego dnia, kiedy zmusiłem się do zwiedzenia tego parku zbrodni, by się upewnić, że istniał, i wyszedłem stamtąd ze spieczonymi ustami, z uczuciem, że połknąłem porcję sproszkowanego gipsu. Nigdy nie wyobraziłbym sobie bankructwa człowieka Zachodu tak absolutnego jak to, które objawiło się tutaj wśród szczątków grozy. Gdy byłem dzieckiem, przerażały mnie legendy opowiadane w tym czasie o okrucieństwach Pancho Villi, którego imię kojarzyło się w moim umyśle z włochatym widmem Diabła. „Kultura zobowiązuje” – mówił często mój ojciec na widok zdjęć egzekucji zamieszczanych w prasie, wyrażając w tej dewizie nowego rycerstwa ducha swoją wiarę w zmierzch podłości przez działanie książek. Manichejczyk na swój sposób, widział świat jako pole bitwy między światłem drukarni a ciemnością pierwotnego barbarzyństwa, sprzyjającą wszelkiego rodzaju okrucieństwom, w jakich żyli ludzie nie znający wiedzy, muzyki i laboratoriów. Zło według niego uosabiał ten, kto stawiając swych wrogów pod murem egzekucyjnym, odnawiał po tylu wiekach obyczaje księcia asyryjskiego wykluwającego laną oczy swoim więźniom albo dzikiego krzyżowca, który zamurował Katarów w więzieniach Mont-Ségur. Zło, od którego wyzwoliła się już Europa Beethovena, miało swą ostatnią przystań w Kontynencie o Krótkiej Historii. Ale po zwiedzeniu Pałacu Zbrodni, stworzonego, zorganizowanego przez ludzi, którzy widzieli tyle rzeczy szlachetnych, strzały w Charros de Oro, miasta zajęte po upartej walce, pociągi wykolejone wśród kaktusów i opuncji, rewolwery uświetniające zabawy w świąteczne wieczory wydały mi się ilustracjami fantastycznej powieści, pełnej

słońca, cwałowania po sawannie, bohaterskich gestów, czystej śmierci na grzbiecie spoconego konia, obok namiotu markietanki, która przed chwilą urodziła dziecko na skraju drogi. A najgorsze było to, że w dzień mego spotkania z najzimniejszym barbarzyństwem historii, oprawcy i nadzorcy, ci, którzy wynosili wiadra z zakrwawioną watą, ci, którzy prowadzili notatki w zeszytach oprawnych w czarną ceratę, zaczęli śpiewać wieczorem po kolacji. Siedząc na mojej pryczy, zdumiony, wybity ze snu, słyszałem ich śpiewających to, co w tej chwili śpiewał chór na znak dany przez niewidzialnego dyrygenta.

Freude, schöner Götterfunken

Tochter ans Elysium

Wir betreten Feuertrunken

Himmliche dein Heiligtum.

Wreszcie dotarłem do IX Symfonii, celu mojej pierwszej podróży, ale na pewno nie tam, gdzie by jej szukał mój ojciec. „O radości, córo bogów, gościu elizejskich stron. Odurzeni twym płomieniem, wstępujemy dziś w twój schron. Wszyscy ludzie będą braćmi, gdzie zaszumią skrzydła twe”. Strofy Schillera rozdzierały mi serce, wydawały się szyderstwem. Był to szczytowy punkt drogi stuleci, której nieustannym celem była tolerancja, dobroć, wzajemne zrozumienie. IX Symfonia zawierała w sobie uroczą dobrotliwość Montaigne'a, lazur Utopii, istotę Elzevira, głos Woltera w procesie Calasa. W tej chwili wzbijało się w górę nabrzmiałe radością: *Alle Menchen werden Brüder, wo dein sanfter Flügel weilt* jak tej nocy, kiedy straciłem wiarę w tych, którzy kłamali mówiąc o swoich zasadach, powołując się na teksty, których głęboki sens został zapomniany. Aby nie myśleć o okrążającym mnie tańcu szkieletów, przyswoiłem sobie mentalność jurgielnika, pozwalając się ciągnąć towarzyszom broni po knajpach i burdelach. Zaczęłem pić jak oni, pograżając się w nieświadomości utrzymywanej na granicy upadku, i to pozwalało mi dotrzeć do końca kampanii bez najmniejszego entuzjazmu dla słów i czynów. Po naszym zwycięstwie nadal czułem się zwyciężony. Nie zdołała mną wstrząsnąć nawet noc spędzona w składnicy rekwizytów w teatrze w Bayreuth, pod wagnerowską menażerią łabędzi i zwisających z sufitu rumaków, obok zjedzonego przez mole Fafnera, którego głowa zdawała się szukać schronienia pod moim łóżkiem polowym najeźdźcy. Do wielkiego miasta powrócił człowiek odarty z nadziei i wszedł do pierwszego napotkanego baru, by z góry się opancerzyć przeciwko wszelkim zakusom idealizmu. Człowiek, który próbował samemu sobie dowieść swej siły, odbierając żonę innemu, po to, by w końcu wrócić do pustki łoża nie dzielonego. Człowiek zwany człowiekiem, który wczoraj jeszcze zgadzał się na projekt oszustwa z instrumentami muzycznymi, by okpić kogoś, kto mu okazał zaufanie. I oto nagle ta IX Symfonia zaczyna mi działać na nerwy, drażniąc mnie jej nie dotrzymane obietnice, jej mesjanistyczne aspiracje podkreślone przez jarmarczny arsenał „muzyki tureckiej”, która wybucha tak wulgarnie w końcowym prestissimo. Nie czekam na maestoso Finału „O radości, córo bogów, gościu elizejskich stron”. Zamykam radio i nie rozumiem, jak mogłem wysłuchać prawie całej partytury, zapominając chwilami o sobie samym, kiedy pozwalały na to pochłaniające mnie wspomnienia przeszłości. Moja ręka na stole szuka

ogórka, którego chłód zdaje się sączyć poprzez skórę, druga unosi na dłoni strąk zielonej papryki i rozgniata go dużym palcem, by wycisnąć sok, który usta chłoną z rozkoszą. Otwieram szafę z ziołami, biorę garść zeschniętych liści i długo wdycham ich zapach. Na kominie tli się jeszcze czerwono i czarno ostatnia głównia, jak żywa istota. Wyglądam przez okno – najbliższe drzewa zatarły się we mgle. Gęś na podwórku za domem wysuwa głowę z pierzastego futerału i otwiera dziób, nie budząc się całkowicie. Jakiś owoc spadł z drzewa w ciemnościach.

X

Wtorek, 12

Kiedy Mouche wyszła z pokoju wczesnym rankiem, robiła wrażenie bardziej zmęczonej niż wczoraj. Trudy całodziennego jazdy autobusem po wyboistej drodze, twarde łóżko, konieczność wczesnego wstania i poddania ciała surowym rygorom wystarczyły, by odbarwić całą jej osobę. Ona, która tam wydawała się tak pewna siebie i tak ożywiona wśród męczącego bałaganu naszych nocy, tutaj wyglądała wręcz żałośnie. Wydawało się, że przygasł olśniewający blask jej cery, spod jedwabnej chusteczki na głowie wymykały się kosmyki jasnych włosów z odcieniem jakby zielonawym. Grymas niezadowolenia postarzał ją w dziwny sposób, tworząc brzydkie fałdy w kącikach ust i zwięzając wargi, których z powodu prymitywnego lustra i słabego oświetlenia nie mogła umalować dość starannie. Podczas śniadania opowiedziałem jej o towarzysze podróży, poznanej wczoraj. Ta zjawiała się po chwili, drżąc z zimna, gdyż, jak nam powiedziała ze śmiechem, poszła się umyć do pobliskiego źródła razem z tutejszymi kobietami. Z jej włosów, splecionych w warkocze upięte wokół głowy, spływały jeszcze krople deszczu na smagłą twarz. Zwróciła się do Mouche poufale, mówiąc jej „ty”, jakby ją znała od dawna, z paroma pytaniami, które przetłumaczyłem. W autobusie obie kobiety wynalazły język gestów i słów wystarczający, by się porozumieć. Moja przyjaciółka, znowu zmęczona, złożyła głowę na ramieniu Rosario – tak się nazywała nasza nowa znajoma – skarżąc się na niewygody tej męczącej podróży. Tamta słuchała jej skarg z macierzyńską troską, w której zauważyłem jednakże odrobinę ironii. Zadowolony, że chwilowo uwolniłem się od Mouche, usiadłem na obszernej ławce, z radością rozpoczynając nowy etap podróży. Mieliśmy dojechać jeszcze tego samego dnia do portu rzeczno, skąd odpływały statki do wybrzeży Południowej Puszczy, i od zakrętu do zakrętu, jadąc z boczami ciągle w dół, zbliżaliśmy się ku godzinom bardziej słonecznym. Zatrzymywaliśmy się od czasu do czasu w spokojnych miasteczkach, gdzie niewiele było otwartych okien, w otoczeniu coraz bardziej tropikalnej roślinności. Tu pojawiały się pnące rośliny w kwiatkach, kaktusy, drzewa bambusowe, tam palma wyrastała na środku podwórka, otwierając wachlarze ponad dachem domu, w którym szwaczki pracowały na świeżym powietrzu. W południe lunął deszcz tak rzęsy i uporczywy, że aż do zmierzchu nie mogłem nic dojrzeć przez zamazane szyby. Mouche wydobłała z walizki książkę. Idąc za jej przykładem Rosario także wygrzebała jakąś lekturę ze swego tobołka. Była to wymiętoszona broszurka, wydrukowana na marnym papierze, z okładką w trzech kolorach, na której figurowała kobieta w niedźwiedzim futrze lub czymś podobnym, w objęciach wspaniałego rycerza u wejścia do grotty pod życzliwym wzrokiem łani z długą szyją: „Historia Genowefy z Brabantu”. Uderzył mnie komiczny kontrast między tą lekturą a sławną i modną powieścią, którą trzymała w rękach Mouche, a którą ja rzuciłem po kilku rozdziałach, nie mogąc przewyciężyć

uczucia jakiegoś żalnego wstydu wobec tego steku pornografii. Jakkolwiek byłem wrogiem wstrzemięźliwości seksualnej i wszelkiej hipokryzji we wszystkim, co dotyczyło miłości, drażniła mnie literatura i słownictwo poniżające miłość fizyczną żartami, sarkazmem czy ordynarnością. Uważałem, że człowiek powinien zachować w miłości cielesnej prosty impuls i beztroskę, właściwą zwierzętom w okresie rui, i oddawać się rozkoszy z radością, wiedząc, że izolacja zamkniętych drzwi, brak świadków, współnictwo w poszukiwaniu przyjemności wykluczają wszystko, co mogłoby wywołać żarty lub ironię na temat niedoboru fizycznego czy zwierzęcości pewnych aktów, w których partnerzy nie mogli widzieć siebie oczyma innych. Dlatego nie znosiłem pornografii, jak również tłustych anegdot, brudnych aluzji, pewnych metafor na określenie aktu seksualnego, i nie mogłem patrzeć bez wstrętu na pewną literaturę, bardzo dziś popularną, która zdawała się stawiać sobie za cel degradowanie i zohydzenie wszystkiego, dzięki czemu mężczyzna w momentach udręki i rozgoryczenia mógł znaleźć kompensatę swych klęsk w najmocniejszej afirmacji swej męskości odczuwalnej w pełni za pośrednictwem drugiego ciała. Za plecami obu kobiet próbowałem czytać oba teksty na raz, powieść czarną i powieść różową; wkrótce okazało się to niemożliwe z powodu szybkości, z jaką Mouche przewracała kartki, i powolności Rosario, która przebiegała linijki spojrzeniem bez pośpiechu, poruszając przy tym ustami, jak ludzie nie nazbyt wprawni w czytaniu, podczas gdy pasjonujące przygody rodziły się w porządku słów nie zawsze układających się tak, jak by chciała. Chwilami przerywała lekturę z gestem oburzenia przy opisie jakiejś niegodziwości, wyrządzonej nieszczęsnej Genowefie, i zaczynała akapit jeszcze raz, od początku, nie wierząc w możliwość istnienia takiej podłości. I na nowo odczytywała bolesny epizod, jakby skonsternowana własną bezsilnością wobec faktów. Twarz jej wyrażała coraz większy niepokój, w miarę jak precyzowały się nieczne zamiary Gola. „To dawne historie” – powiedziałem, żeby ją skłonić do rozmowy. Zwróciła się do mnie przerażona, nie wiedząc, że czytam ponad jej ramieniem. „Książki mówią prawdę” – odpowiedziała. Spojrzałem na książkę Mouche myśląc, że jeżeli to opowiadanie, które przestraszony wydawca musiał w kilku miejscach okroić, było prawdziwe, to nie doszliśmy przez to – mimo niewątpliwych wysiłków – do bezwstydu, który rzeźbiarze hinduscy lub prości garncarze inkascy umieścili w płaszczyźnie autentycznej wielkości. Rosario zamknęła oczy. „Książki mówią prawdę”. Dla niej historia Genowefy była prawdopodobnie czymś aktualnym, rozgrywającym się w rytmie lektury w jakimś kraju naszej epoki. Kto nie zna dekoracji, strojów i magazynu z rekwizytami historii, nie potrafi wyobrazić sobie przeszłości. Toteż musiała wyobrazić sobie zamek w Brabancie na podobieństwo bogatych hacjend tutejszych, zazwyczaj obwarowanych zębatym murem. Obyczaje łowieckie i jazda konna przetrwały bez zmian w tych okolicach, gdzie sfory psów rozszarpały małe kozłeta i dziki. A jeśli chodzi o stroje, Rosario musiała widzieć bohaterów swej powieści tak, jak niektórzy malarze wczesnego Renesansu widzieli sceny Ewangelii, ubierając świadków Męki Pańskiej w stroje dostojników swojej epoki i wrzucając do Piekła głową w dół jakiegoś Piłata w galowym stroju sędziego florentyńskiego... Wkrótce ściemniło się tak, że nie można było czytać, i każdy pograżył się we własnych myślach. Długo jechaliśmy po ciemku, aż nagle, minawszy jakąś skałę na zakręcie, znaleźliśmy się w czerwonej głębinie Doliny Płomieni.

Mówiono mi już w czasie podróży o mieście, które tam powstało w ciągu kilku tygodni, kiedy z

błotnistej ziemi trysnęła nafta. Ale z opowiadań nie mogłem sobie wyobrazić wspaniałego widowiska, jakie ukazywało mi się teraz za każdym zakrętem drogi. Był to na ogołoconej równinie olbrzymi taniec płomieni, które chygotały się na wietrze niby sztandary gniewu niebios. W miejscach, gdzie z szybów ulatniał się gaz, płomienie drgały, kołysały się, wirowały w koło, zarazem wolne i uwięzione w bliskości palników trzymających przy ziemi ów ogień buchający w górę, ów ogień-drzewo, ogień, który latał nie mogąc latać, sycząc z rozpaczy w smugach purpury. Nagle powietrze zamieniało płomienne słupy w ognie zniszczenia, w rozwścieczone żagwie, żeby zebrać je potem w snop pochodni, w jeden czerwono-czarny pień wstrząsany drganiem jak tors ludzki. Ale wkrótce snop się rozrywał i płonące ciało dygocące w żółtych konwulsjach zwijało się jak gorejący krzak najeżony iskrami, rozbrzmiewający wyciem, zanim wyciągnęło się płasko w kierunku miasta ze świstem, który przywodził na myśl uderzenia bata chłoszczącego bezbożników. Obok tych spętanych stosów pracowały maszyny wiertnicze niestrudzone, obsesyjne, podobne z profilu do wielkiego czarnego ptaka, zagłębiającego dziób w ziemię automatycznym ruchem. Było coś niewzruszonego, upartego i złośliwego w tych sylwetkach kołyszących się i nie tkniętych ogniem jak salamandry zrodzone z przypływu i odpływu płomieni unoszonych falami przez wiatr aż do kresu widnokregu. Miało się ochotę nazywać je jakimiś szatańskimi imionami i zabawiałem się właśnie, wymyślając dla nich nazwy: Chudy Kruk, Żelazny Sep, Zły Trójzęb, kiedy zatrzymaliśmy się na końcowym przystanku naszej dzisiejszej trasy, na jakimiś podwórzu, gdzie czarne świny błyszczące purpurowym odblaskiem płomieni chlapały się w kałużach, na których powierzchni pływały tęczowe oka nafty i smarów. Jadalnia zajazdu była pełna ludzi, którzy rozmawiali, krzycząc do siebie poprzez chmury dymu z kuchni niby we mgle. W maskach przeciwigazowych zwisających jeszcze pod brodą, w kombinezonach roboczych wyglądali, jakby osiadły na nich najczarniejsze wydzieliny ziemi. Wszyscy pili na umór prosto z butelek, za stołami, na których leżały pomieszane karty i żetony. Nagle karty zatrzymały się w pół drogi i gracze odwrócili się w stronę podwórka z okrzykami radości. Nastąpiło tam *coup de theatre*: przywiezione nie wiadomo jakim wehikułem, ukazały się kobiety w balowych sukniach, w pantoflach na wysokich obcasach, z refleksami ognia na włosach i szyjach; ich obecność na tym zabłoconym podwórzu, ogrodzonym korytami, wydała mi się halucynacją. Szklane paciorki, wstążki i błyskotki, zdobiące ich strój, odbijały na raz wszystkie płomienie, które przy każdym podmuchu wiatru przybierały inny kierunek w swym korowodzie błyskawic. Owe czerwone kobiety biegały zaaferowane pomiędzy czarnymi mężczyznami, taszcząc walizki i tobołki w ogłuszającym zgiełku uwieńczonym paniką osłów i przebudzeniem kur uspionych na grzędach kurników. Dowiedziałem się, że jutro przypada dzień świętego patrona miasta i że te kobiety to prostytutki, które podróżują przez cały rok z miasteczka do miasteczka, z jarmarku na odpust, z odpustu na procesję, żeby wykorzystać dni największej szczodrości mężczyzn. Wędrowały po kraju trasą wyznaczoną przez kalendarz kościelny, uprawiając miłość na intencję świętego Krzysztofa lub świętej Łucji, Wszystkich Świętych i Czterdziestu Młodzianków, na skraju drogi, pod murami cmentarza, w łodziach na rzece lub ciasnych pokoikach wynajmowanych w zajazdach, z miską stojącą na ziemi. Co mnie zdumiało, to życzliwość, z jaką witano nowo przybyłe, bez najmniejszych objawów pogardy ze strony kobiet uczciwych tego domu – małżonki i córki oberżysty. Miałem wrażenie, że traktowano je tak, jak

wędrownych błaznów albo zabawnych wariatów; służące w kuchni śmiały się patrząc, jak wystrojone dziewczęta w balowych sukniach przeskakują przez kałuże, ponad grzbietami świń, i przenoszą swoje bagaże z pomocą kilku górników zdecydowanych korzystać z prawa pierwszeństwa. Przyszło mi na myśl, że te wędrowne prostytutki, wychodzące na nasze spotkanie, wkraczające w naszą epokę, są kuzynkami średniowiecznych rybałtek podróżujących z Bremy do Hamburga, z Antwerpii do Gandawy w okresach świątecznych, by odegnać złe humory mistrzów i czeladników uspokoiwszy po drodze sumienie dzięki jakiemś pielgrzymowi z Composteli, który pozwalał im ucałować przywiezioną z tak daleka relikwię. Po załatwieniu sprawy zajazdu kobiety z hałasem zawładnęły jadalnią. Mouche, zachwycona, chciała koniecznie iść z nimi i przyjrzeć się z bliska ich toaletom i fryzutom. Dotychczas obojętna i śpiąca, jak gdyby uległa nagle przeobrażeniu. Są ludzie, którym zapalają się oczy, gdy czują bliskość seksu. Od wczoraj skarżąca się niemal bez ustanku, moja przyjaciółka odżyła przy pierwszym powiewie nieczystej atmosfery. Oświadczywszy, że te prostytutki są nadzwyczajne, jedyne w swoim rodzaju, stylu, który obecnie już zanikał, usiłowała zawrzeć z nimi znajomość. Widząc, że siada w pobliżu stołu zajętego przez nowo przybyłe i próbuje przy pomocy gestów porozumieć się z jedną z najbardziej rzucających się w oczy, Rosario spojrzała na mnie ze zdumieniem, jak gdyby chciała mi coś powiedzieć. By uniknąć wyjaśnień, których prawdopodobnie by nie zrozumiała, wziąłem nasze bagaże i poszedłem szukać pokoju, który nam wyznaczono. Na ścianach podwórka tańczyły odblaski ognia. Zapisywałem właśnie ostatnie wydatki, kiedy wydało mi się, że słyszę Mouche wzywającą mnie z niepokojem. Zobaczyłem ją w lustrze szafy na drugim końcu korytarza, uciekającą przed jakimś mężczyzną, który za nią gonił. Kiedy nadbiegłem, mężczyzna trzymał ją w pól i popychał do pokoju. Cios mojej pięści kazał mu się odwrócić gwałtownie i odepchnięty z całych sił upadłem na stół pełen pustych butelek, które potoczyły się na ziemię. Nie puściłem jednak mego przeciwnika i obaj zaczęliśmy się tarzać po podłodze, raniąc sobie ręce i ramiona skorupami szkła. Po krótkiej walce, która szybko wyczerpała moje siły, przyciśnięty do ziemi i uwięziony między jego kolanami, ujrzałem dwie potężne pięści wznoszące się w górę, by tym gwałtowniej, niby miazdząca masa, opaść na moją twarz. W tej chwili do pokoju weszła Rosario, a za nią oberżysta. „Yannes! – krzyknął gospodarz. – Yannes!” Schwytny za ręce mężczyzna podniósł się powoli, jakby zawstydzony tym, co zrobił. Oberżysta tłumaczył mi coś, czego w nerwowym podnieceniu nie mogłem zrozumieć. Mój przeciwnik wydawał się upokorzony i przemawiał teraz do mnie tonem pełnym skruchy; „Nie wiedziałem... pomyłka... Powinna powiedzieć, że ma męża”. Rosario wycierała mi twarz chustką zamoczoną w rumie. „To jej wina, trzymała się razem z tamtymi”. Najgorsze, że zły byłem nie na tego, kto mnie pobił, tylko na Mouche, która przez brawurę, zgodną zaiste z jej charakterem, usiadła między prostytutkami. I Rosario, jak gdyby właściwie nic się nie stało, kazała mi wyciągnąć rękę do mego zwycięzcy, który teraz rozplątywał się w przeprosinach. Żeby mnie ułagodzić do reszty, zaczęła o nim mówić tłumacząc, że zna go od dawna, bo on nie jest stąd, tylko z Puerto Anunciación, miasteczka położonego na samym skraju Lasów Południa, gdzie jej chory ojciec czeka teraz na lek w postaci cudownego obrazu. Zawód poszukiwacza diamentów, którym trudnił się mój przeciwnik, wzbudził moje zainteresowanie. Wkrótce znaleźliśmy się w jadalni i po wypiciu pół butelki wódki zapomnieliśmy o naszej głupiej bijatyce. Barczysty, szczupły w pasie górnik miał w spojrzeniu coś

z drapieżnego ptaka, a mała bródka upodabniała jego energiczny profil do rzeźby Łuku Triumfalnego. Dowiedziawszy się, że jest Grekiem (co tłumaczyło jego specyficzną hiszpańszczyznę omijającą rodzajniki), miałem ochotę spytać go żartobliwie, czy nie jest przypadkiem jednym z Siedmiu przeciw Tebom. Na to zjawiała się Mouche z obojętną miną, jak gdyby nie zauważyła bójki, w której obaj poharataliśmy sobie ręce. Zrobiłem jej wymówkę w powściągliwych słowach, nie wyrażających prawdziwie mego oburzenia. Usiadła po drugiej stronie stołu, nie zwracając na mnie uwagi, i zaczęła obserwować Greka – teraz tak pełnego szacunku, że aż odsunął swój stołek, żeby nie siedzieć za blisko mojej przyjaciółki – z zainteresowaniem, które wydawało mi się prowokacyjne w tak drażliwej sytuacji. Na przeprosiny poszukiwacza diamentów, który nazwał siebie „głupim, przeklętym idiotą”, odpowiedziała, że to, co się stało, nie ma żadnego znaczenia. Spojrzałem na Rosario, patrzyła na mnie z ironiczną powagą, którą nie wiedziałem, jak mam rozumieć. Chciałem zacząć jakąkolwiek rozmowę, żeby ulżyć ogólnemu skrępowaniu, ale brakło mi słów. Mouche tymczasem przysunęła się do Greka z nerwowym uśmiechem tak wyzywającym, że aż poczerwieniałem z gniewu. Ledwie zdążyliśmy zatuszować awanturę, która mogła mieć opłakane skutki, Mouche zaczęła się bawić uwodzeniem górnika, który pół godziny temu potraktował ją jak prostytutkę. Ta zabawa była tak „literacka”, tak zaczerpnięta z ducha ożywającego w naszych czasach tawernę marynarską i ludzi za mgłą, że Mouche wydała się nagle niewiarygodnie groteskowa ze swoją niezdolnością zapomnienia w obliczu rzeczywistości o konwencjonalnych hasłach swego pokolenia. Musiała kupić konika morskiego przez pamięć dla Rimbauda, tam gdzie sprzedawano prymitywne dzieła sztuki kolonialnej, musiała śmiać się z romantycznej opery w teatrze, który przywracał zapach ogrodowi w Lammermoor, nie wiedziała, że prostytutka tutaj po prostu sprzedawała swoje wdzięki na jarmarku; była Marią Egipcjanką bez aureoli świętości. Patrzyłem na nią w sposób tak dwuznaczny, że Rosario, zapewne w obawie nowego wybuchu zazdrości z mojej strony, usiłowała mnie uspokoić niejasnym zdaniem, które brzmiało jak przysłowie i sentencja: „Jeśli mężczyzna się bije, niech to będzie w obronie jego domu”. Nie wiem, co Rosario rozumiała przez „mój dom”, ale miała rację, jeśli chciała powiedzieć to, co ja chciałem zrozumieć: Mouche nie była „moim domem”. Przeciwnie, była ową niewiastą swarliwą i niespokojnego ducha, o której Pismo Święte mówi, że nie należy jej wpuszczać pod swój dach. Zdanie to było w pewnym sensie pomostem rzuconym ponad stołem między nią a mną i pozwoliło mi wyczuć sympatię osoby, która nie chciała widzieć mnie znowu zwyciężonym. Poza tym dziewczyna ta urastała w moich oczach, w miarę jak mijające godziny zacieśniały pewne więzy łączące mnie z moim obecnym otoczeniem, więzy coraz dla mnie wyraźniejsze. Mouche, przeciwnie, stawała się przeraźliwie obca w rosnącym stale rozdźwięku między jej osobą, a wszystkim co nas otaczało. Coraz bardziej zaznaczała się atmosfera egotyzmu wokół niej, ustalając dystans między jej postacią a innymi, między jej postępowaniem i sposobem bycia a obyczajami panującymi tutaj. Z wolna przeobrażała się w coś ekscentrycznego, znajdującego się nie na swoim miejscu, coś, co zwracało uwagę, tak jak niegdyś na dworach chrześcijańskich zwracał uwagę turban ambasadorów Wielkiej Porty. Rosario, odwrotnie, była jak Cecylia czy Łucja, która wracała na swoje miejsce w odrestaurowanym witrażu. Z dnia na dzień stawała się bardziej autentyczna, bardziej prawdziwa, lepiej zarysowana w pejzażu, który utrwał swe kontury, w miarę jak zbliżaliśmy się do

rzeki. Między jej ciałem a ziemią, po której stąpaliśmy, ustalały się stosunki, widoczne w skórach ściemniałych od słońca, w podobieństwie włosów, w jednolitości kształtów, nadającej wzrostowi, ramionom, udom, które tu chwalono, wspólny znak fabryczny ceramiki wypalanej w tym samym piecu. Coraz bliższa wydawała mi się Rosario, która piękniała z godziny na godzinę – w porównaniu z tamtą, zacierającą się i szarzejącą, obecnie coraz dalszą – i zgadzałem się ze wszystkim, co mówiła. A przecież czułem się niezręczny, onieśmielony, świadomy mego własnego egotyzmu wobec tej kobiety i jej wrodzonej godności, która zdawała się z góry odierać łatwe ataki. Nie tylko butelki stojące na stole rozdzielały nas w tej chwili szklanym murem; rozdzielały nas także tysiące książek przeczytanych przeze mnie, a jej nie znanych, jej wierzenia, obyczaje, przesady, jej zasady, których ja nie znałem, a które przecież miały swoją rację bytu równie mocną jak moja. Moje wykształcenie, jej przesady, to, czego ją nauczono, to, co nad nią ciążyło – to wszystko były czynniki, które w tej chwili wydawały mi się nie do pogodzenia. Mówiłem sobie, że to wszystko nie ma nic wspólnego z zawsze możliwym współżyciem cielesnym mężczyzny i kobiety – a mimo to przyznawałem, że cała pewna kultura ze swymi deformacjami i wymaganiami oddalała mnie od tego czoła, za którym nie kryło się może dość jasne pojęcie kulistości ziemi ani układu krajów na mapie. O tym wszystkim myślałem przypominając sobie jej wierzenia w jednonogiego ducha lasów. A widok złotego krzyżyka zawieszzonego na jej szyi nasunął mi spostrzeżenie, że jedynym terenem, na którym moglibyśmy się spotkać, jest wiara w Chrystusa, którą moi przodkowie po mieczu porzucili już dawno: od czasu gdy hugonoci wygnani z Sabaudii przez odwołanie Edyktu Nantejskiego przeszli do encyklopedii w osobie mego prapradziadka, przyjaciela barona de Holbach, przechowywano Biblię w mojej rodzinie, nie wierząc już w jej prawdy, tylko dla poezji, jakiej nie jest pozbawiona ta księga... Do oberży zaczęli napływać górnicy z drugiej zmiany. Czerwone kobiety wracały z pokoiaków po drugiej stronie podwórza, wsuwając do kieszeni pieniądze zarobione od pierwszych klientów. Żeby skończyć z sytuacją, która krępowała nas wszystkich przy stole, zaproponowałem spacer nad rzekę. Poszukiwacz diamentów wydawał się speszony wyzywającą swobodą Mouche, na której rozkaz musiał, mimo że ich nie słuchała, opowiadać swoje przygody w puszczy, w tak ubogiej francuszczyźnie, że nie udało mu się dokończyć ani jednego zdania. Na moją propozycję, żeby stąd wyjść, zareagował z wyraźną ulgą i kupiwszy kilka butelek zimnego piwa, poprowadził nas wąską uliczką, która tonęła w mrokach, oddalając się od ognia w dolinie. Wkrótce doszliśmy na brzeg rzeki płynącej w ciemności z nieprzerwanym szumem masy wodnej żłobiącej ziemię. Nie był to wartki strumień wąskich rzeczek ani rwący bieg potoku, ani chłodna łagodność niezbyt głębokich wód, których szum tylekroć słyszałem nocą na innych wybrzeżach – był to tłumiony rozpęd, genetyczny rytm opadania rozpoczętego o setki i tysiące mil wyżej do punktu spotkania innych rzek, przybywających ze stron jeszcze dalszych, z całym ciężarem katarakt i źródeł. W ciemności zdawało się, że woda popychająca wodę od początku swego istnienia nie ma drugiego brzegu i że jej huk zagłuszy odtąd wszystko aż po krańce świata. Idąc w milczeniu, doszliśmy wkrótce do maleńkiego zalewu, miejsca, gdzie była woda stojąca i gdzie znajdował się cmentarz starych łodzi, ze sterami położonymi w dryf i pokładami pełnymi żab. Pośrodku, zaryty w mule, stał stary żaglowiec o szlachetnej sylwetce, z wyrzeźbionym na dziobie galionem przedstawiającym Amfitrytę, której nagie piersi wynurzały się skrzydlatym ruchem z żagli

siegających poza burty. Zatrzymaliśmy się przy wraku, prawie u stóp galionu, który zdawał się latać nad nami, ilekroć ruchomy płomień palnika oświetlił go purpurowym blaskiem. Ukołysani świeżością nocy i nieprzerwanym szumem wody, wyciągnęliśmy się na piasku wybrzeża. Rosario rozplotła włosy i zaczęła je rozczesywać powoli, gestem tak intymnym, tak świadomym bliskości snu, że nie ośmieliłem się do niej odezwać. Za to Mouche paplała, co jej ślina na język przyniosła, zasypywała Greka pytaniami i przyjmowała jego odpowiedzi piskliwym śmiechem, nie zważając, że jesteśmy w miejscu, którego elementy składają się na jedną z tych niezapomnianych scenerii, jakie człowiek rzadko spotyka na swej drodze. Ani posązek, ani płomień, ani rzeka i opuszczone statki, ani gwiazdy, ani nic z tego, co widziała, zdawało się na niej nie robić wrażenia. Myślę, że od tego właśnie momentu jej obecność zaczęła mnie przygniatać jak brzemień, któremu każdy dzień dodaje nowego ciężaru.

XI

Środa, 13 czerwca

Cisza jest słowem mego słownika. Pracując nad muzyką, używałem tego słowa. Częściej niż ludzie innych zawodów. Wiem, jak można spekulować ciszą, jak się ją mierzy i ujmuje w ramy. Teraz jednak, siedząc na tym kamieniu, przeżywam ciszę, ciszę przybyłą z tak daleka, złożoną z tylu innych cisz, że słowo wymówione wśród niej rozbrzmiewa potężnym odgłosem Stworzenia świata. Gdybym coś teraz powiedział, gdybym spróbował rozmawiać ze sobą, jak to często robię, sam siebie bym przestraszył. Marynarze zostali w dole na brzegu, ścinając trawę dla byków rozplodowych, które płynęły razem z nami. Ich głosy nie docierają do mnie. Nie myśląc o nich patrzę na tę olbrzymią równinę, której granice gubią się w ciemnej smudze opasującej widnokrąg. Z mego punktu widzenia ziarnka piasku, żdźbła trawy zajmują prawie w całości powierzchnię stanowiącą część integralną i absolutną planety, na której żyję. Nie potrzebuję podnosić oczu, by odnaleźć chmurę: te nieruchome cirrusy, które wydają się trwać na tym miejscu od początków czasu, są na wysokości ręki, która osłania moje powieki przed słońcem. W dali wznosi się drzewo, rozłożyste i samotne, zawsze w towarzystwie kaktusa, który wygląda jak olbrzymi świecznik z zielonego kamienia, a w jego cieniu odpoczywają jastrzębie, ciężkie, nieruchome jak ptaki heraldyczne. Nic nie szeleści, nic nie uderza o nic, nic się nie toczy ani nie wibruje. Kiedy mucha w locie wpada w pajęczynę, jej przerażone brzęczenie rozbrzmiewa jak huk. Potem znów wraca spokój w powietrzu, od krańca do krańca widnokręgu, bez jednego dźwięku. Leżę tu od przeszło godziny, bez ruchu, widząc, jak bardzo nie warto iść tam, gdzie zawsze będzie się w centrum przedmiotu kontemplacji. Gdzieś bardzo daleko ukazuje się kozłátko pośród sitowia nad wodą. Zatrzymuje się z dumnie podniesioną głową, tak nieruchome na bezkresnej równinie, że jego sylwetka ma w sobie coś z posągu, a jednocześnie amuletu. Jest jak mityczny przodek ludzi jeszcze nie narodzonych, jak założyciel klanu, który z jego rogów przybitych do słupa robi tarczę, hymn i sztandar. Ob wachało mi brzuch i oddała się miarowym krokiem bez pośpiechu, zostawiając mnie sam na sam ze światem. Odwracam się ku rzece. Masa wody jest tak olbrzymia, że nurty, wiry i burzowiska, przyspieszające jej odwieczną wędrówkę w dół, rozplývają się w jednolitości pulsu, który od pory suchej do deszczów zimowych bije zawsze tak samo, z tymi samymi przerwami i paroksyzmami, od czasów poprzedzających narodziny człowieka. Wsiadliśmy na statek dziś o świcie i długie godziny spędziłem na obserwowaniu brzegów, nie odrywając oczu od książki brata Servando de Castillejos, który deptał te ziemie trzysta lat temu. Jego opis zachował dotychczas swą wartość. Tam, gdzie autor sygnalizował skałę o profilu jaszczura, sterczącą na prawym brzegu, widziałem skałę o profilu jaszczura na prawym brzegu. Tam, gdzie kronikarza zdumiewały gigantyczne drzewa, widziałem gigantyczne drzewa, dzieci tamtych, wyrosłe na tym samym miejscu,

zamieszkane przez te same ptaki, rozdarte przez te same pioruny. Rzeka wypływa na przestrzeń, którą obejmują moje oczy, przez coś na kształt wąwozu, rozdarcie, widoczne na horyzoncie od strony zachodu; potem rozszerza się naprzeciw mnie – póki przeciwległy brzeg nie rozplynie się we mgłę zielonej od drzew – i znika z krajobrazu, tak jak się w nim pojawiła, przecinając horyzont na wschodzie, by rozlać się na innym zakręcie, tam gdzie się rozpoczyna nieprzebrana mnogość wysp o sto mil od oceanu. W pobliżu oceanu, który jest spichrzem, źródłem i drogą zarazem, ludzka ruchliwość nie ma żadnego znaczenia i nie liczą się indywidualne pośpiechy. Szyny i szosy zostały daleko za nami. Żegluj się przeciw prądowi albo z prądem: w obu przypadkach trzeba się przystosować do niezmiennych miar czasu. Tutaj podróże człowieka podlegają Kodeksowi Deszczów. Spostrzegłem teraz, że ja, maniak mierzenia czasu, z powołania niewolnik metronomu, a chronografu – z zawodu, od wielu dni przestałem interesować się godziną, oceniając wysokość słońca według wskaźnika apetytu lub snu. Odkrycie, że mój zegarek nie jest nakręcony, pobudza mnie do śmiechu, który rozbrzmiewa hałaśliwie w samotności na tej równinie poza czasem. Nad moją głową przelatuje stado przepiórek; kapitan statku „Monati” wzywa mnie do powrotu na pokład; jego wołanie przypomina śpiew burłaków i wywołuje skrzekliwe echo ze wszystkich stron. Kładę się znowu na stercie paszy i wsuwam pod brezentową płachtę, mając po jednej stronie byki, a po drugiej kucharki Murzynki, które śpiewają przygotowując kolację. Panuje tu ostry, odurzający niemal zapach lucerny, spoconych, siekających paprykę Murzynek i buhajów. Nie ma nic przyjemnego w tym zapachu. A jednak działa na mnie ożywczo, jak gdyby odpowiadał utajonej potrzebie mego organizmu. Dzieje się ze mną coś podobnego jak z wieśniakiem, który wraca po latach do ojcowskiej zagrody i płacze, wdychając zapach gnoju. Coś z tego było – przypominam to sobie teraz – na podwórku mego dzieciństwa: tam także była spocona Murzynka, która mełła paprykę śpiewając, i bydło, które pasło się gdzieś niedaleko. I był przede wszystkim – przede wszystkim! – koszyk z wikliny, łądz moich podróży z Marią del Carmen, i pachniał tak samo jak ta koniczyna, w której zanurzam teraz twarz z niepokojem prawie bolesnym. Mouche leżąc w swoim hamaku, zawieszonym w miejscu osłoniętym przed wiatrem, rozmawia z górnikiem greckim, nie wiedząc nic o mojej kryjówce na stogu siana. Rosario natomiast często wdrapuje się do mnie na górę, nie zważając na strumień wody, która przecieka przez płótno, odświeżając ściętą niedawno paszę. Kładzie się nie opodal, uśmiechając się i gryząc jakiś owoc. Zdumiewa mnie odwaga tej kobiety, fakt, że wyruszyła sama, bez wahań i obaw w tę podróż, którą dyrektorowie mego Muzeum uważali za bardzo niebezpieczną. Ten hart i dzielność kobiet wydają się rzeczą często tutaj spotykaną. Na rufie bierze prysznic młodziutka Mulatka, wylewając wiadra wody na swoją koszulę w kwiaty. Jedzie do swego kochanka, poszukiwacza złota u źródeł jednego z dopływów rzeki w okolicach dotychczas nie zbadanych. Druga, w żałobie, jedzie spróbować szczęścia jako prostytutka – z nadzieją awansowania od prostytutki do konkubinatu – w małej wsi położonej u stóp lasów, gdzie dotychczas sroży się głód w okresach przyboru wód i powodzi. Coraz bardziej żałuję, że zabrałem Mouche w tę podróż. Chciałbym się bardziej zbliżyć do mężczyzn z załogi, jeść tę strawę, którą oni uważają za zbyt prostacką dla naszych delikatnych podniebień, porozmawiać z tymi kobietami i skłonić je, żeby opowiedziały o swoim życiu. Ale przede wszystkim chciałbym nawiązać swobodny kontakt z Rosario, której istotna natura wymyka się mojej obserwacji i doświadczeniu zdobytemu na

podstawie znajomości kobiet, dość podobnych do siebie, z jakimi dotychczas miałem do czynienia. Na każdym kroku boję się ją urazić, znudzić, posunąć się za daleko w poufałości albo okazać moją sympatię w sposób, który mógłby się jej wydać naiwny lub mało męski. Czasami myślę, że chwila odosobnienia na ciasnej przestrzeni w miejscu zarezerwowanym dla bydła, gdzie nikt nas nie może zobaczyć, wymaga jakiegoś brutalnego ataku z mojej strony i wszystko zdaje się mnie do tego zachęcać, a jednak nie śmiem. Zauważyłem, że mężczyźni na statku traktują kobiety z pewną ironiczną szorstkością, która zdaje im się podobać. Ale oni mają swoje reguły, słowa umowne, sposoby wyrażania się, których ja nie znam. Wczoraj na widok mojej wykwintnej koszuli, kupionej w jednym z najsłynniejszych magazynów świata, Rosario wybuchnęła śmiechem mówiąc, że taka bielizna odpowiednia jest raczej dla kobiet niż dla mężczyzn. W jej obecności dręczy mnie stale lęk przed śmiesznością i nic nie pomaga tu myśl, że inni „nie wiedzą”, skoro ci właśnie, ludzie tutejsi, wiedzą. Mouche nie wie, że jeśli jeszcze okazuję zazdrość, jeśli udaję, że obchodzi mnie jej flirt z Grekiem, to dlatego, że jak sobie wyobrażam, Rosario uważa za mój obowiązek pilnowanie osoby, która dzieli ze mną trudy podróży. Czasami dochodzę do wniosku, że jakieś jej spojrzenie, jakiś gest czy słowo, którego sens nie jest dla mnie dość jasny, oznaczają zaproszenie na schadzke. Wdrapuję się na sam szczyt stogu koniczyny i czekam. Ale właśnie wtedy będę czekał na próżno. Ryczą buhaje, Murzynki śpiewają, by sprowokować i zachęcić marynarzy, odurza mnie zapach lucerny; z pulsującymi skroniami zamykam oczy, by pograć się w rozpaczliwym absurdzie marzeń erotycznych.

O zachodzie słońca dopływamy do prymitywnego pomostu, przerzuconego na słupach wbitych w muł przybrzeżny. Wchodząc do miasteczka, gdzie wiele mówiono o bykach przewracanych jednym szarpnięciem za ogon i chwytych na lasso zauważyłem, że przybyliśmy na Ziemię Konia. Przed wszystkim ta woń maneżu cyrkowego i potu, która tak długo panowała nad światem, głosząc kulturę końskim rzeniem. Głuche odgłosy młota zwiastowały bliskość kowala krzątającego się jeszcze w skórzanym fartuchu przy kowadle i miechach; jego sylwetka odbijała czarno na tle ognia i kuźni. Potem syk rozgrzanego do czerwoności żelaza zanurzonego w zimnej wodzie i piosenka określająca rytm wbijania gwoździ w kopyta. Potem nerwowe dreptanie rumaka w nowych bucikach, jego obawa, żeby się nie pośliznąć na kamieniach, stawanie dęba i piruety hamowane powściągnięciem cugli, przed dziewczyną wychyloną z okna, z barwną wstążką we włosach. Wraz z koniem pojawił się na nowo warsztat rymarski, przyjemnie pachnący skórą, gdzie robotnicy pracowali pod zwisającymi z sufitu rzędami popręgów, strzemion, puślisk z wytłaczanego safianu, uzd na niedzielę, nabijanych srebrnymi hufnalami. Na Ziemiach Konia mężczyzna wydawał się bardziej męski, stawał się znowu panem tysiące lat liczącej techniki, która powierzała jego ręką bezpośredni kontakt z żelazem i skórą, uczyła go sztuki ujeżdżania rumaka, rozwijając sprawności fizyczne, którymi mógł się popisać w dzień święta wobec kobiet oczarowanych jeźdźcem, co tak mocno umiał ścisnąć nogami, tyle miał siły w rękach i ramionach. Odradzały się prawdziwe męskie igrzyska: ujarzmić parskającego ogiera, chwycić za ogon i przewrócić byka, słoneczne zwierzę, tarzając w prochu jego dumę i arogancję. Wytworzyła się jakaś tajemnicza solidarność między ognistym ogierem, głębiej od innych zwierząt zdolnym przeniknąć do wnętrza swojej samicy, a mężczyzną, który jako symbol uniwersalnej odwagi przyjmował to, co rzeźbiarze konnych

posągów musieli modelować i odlewać w brązie albo kuć w marmurze, aby rumak godzien był Bohatera, którego dźwigał na grzbiecie, osłaniając swym życzliwym cieniem zakochanych spotykających się w parku miejskim. Wielu mężczyzn gromadziło się w domach, gdzie stało wiele koni uwiązanych przed gankiem, ale tam, gdzie jeden tylko koń czekał ukryty w krzakach, jego pan musiał zdjąć ostrogi, by ciszej wejść do domu, gdzie nań czekał cień. Z zainteresowaniem zaobserwowałem, że koń, który niegdyś był najcenniejszym skarbem człowieka Europy, jego machiną wojenną, wehikułem i posłańcem, piedestałem wielkich ludzi, ozdobą posągów i łuków triumfalnych, nadal pozostał bohaterem swej wielkiej historii w Ameryce, bo tylko w Nowym Świecie spełniał jeszcze znakomicie i na tak szeroka skalę swoje wieczne role. Gdyby je oznaczyć białymi plamami na mapie, jak terytoria nieznane jeszcze w średniowieczu, Ziemie Konia zajęłyby czwartą część półkuli, dając świadectwo wspaniałej obecności Podkowy w strefach, gdzie Krzyż Chrystusowy wkroczył na koniu, nie dźwigany z trudem na plecach, lecz dzierzony w dłoni, wysoko uniesiony w górę przez ludzi, których wzięto za centaury.

XII

Czwartek, 14

Wyruszyliśmy w dalszą drogę przy księżycu w pełni, ponieważ kapitan, który miał zabrać na statek pewnego kapucyna w porcie Santiago de los Aguinaldos, na przeciwległym brzegu rzeki, chciał przebyć wczesnym rankiem kilka szczególnie wartkich nurtów, żeby wykorzystać popołudnie na jakąś transakcję przemytniczą. Po osiągnięciu tego celu dzięki mistrzowskim manewrom sternika, i po szczęśliwym ominięciu kilku sterczących skał, znalazłem się tego popołudnia w cudownym mieście ruin. Były tu długie, puste ulice, niezamieszkałe domy, spróchniałe drzwi zredukowane do swej górnej lub dolnej części; porośłe mchem dachy waliły się niekiedy w samym środku, zależnie od miejsca, w którym się załamywała główna belka stoczona przez termyty, poczerniała od pajęczyn. Filary jakiegoś ganku podtrzymywały jeszcze resztkę gzymsu poderwanego przez korzenie figowca. Były tu schody bez początku i końca, jakby zawieszane w próżni, balkony z filarami, uczone ramy okna otwartego wciąż na niebo. Girlandy białych dzwonek dodawały lekkości firanek wnętrzom obszernych salonów, gdzie zachowały się jeszcze popękane kafelki podłogi; z kątów wзираły brunatnozłote irysy, purpurowe passiflory, kaktusy z ramionami jak świeczniki drgały na wietrze w otwartych korytarzach, jakby wzniesione rękoma niewidzialnego sługi. Na progach drzwi rosły grzyby, w kominach osty. Drzewa pięły się wzdłuż murów, wyrastały w szczelinach. Ze spalonego kościoła zostały tylko fragmenty skarp i filarów i monumentalny łuk, na którym nadal można było rozpoznać zatartą płaskorzeźbę przedstawiającą koncert niebiański z aniołami zbrojnymi w puzony, teorbany, regały, altówki i tykwy. Ten ostatni szczegół tak mnie zdumiał, że chciałem biec na statek po ołówek i papier, żeby przekazać konserwatorowi, przy pomocy kilku szkiców, tę ciekawą wskazówkę organograficzną. Ale w tej chwili rozbrzmiały bębny i piszczałki, na placu ukazało się kilku diabłów zdążających w kierunku ubogiego kościoła, zbudowanego z cegieł i gipsu tuż obok spalonej katedry. Twarze mieli osłonięte czarnymi chustkami jak pokutnicy z konfraterni sewillańskich. Posuwali się wolno, w drobnych podskokach, za jakimś przywódcą czy baletmistrem, który w swej masce diabła z trzema rogami i pyskiem świni mógł grać rolę Belzebuba w Widowisku Pasyjnym, Tarasę albo króla Wariatów. Niewytłumaczony lęk odebrał mi mowę na widok tych ludzi bez twarzy, zasłoniętych jak gdyby płachtą ojcobójców; tych maszkar, które wyłoniły się z misterium czasów, by uwiecznić zamięłowanie, jakie człowiek wszystkich epok miał dla Fałszywego Oblicza, przebrań, masek, udawania zwierzęcia, potwora czy złego ducha. Dziwacznicy tancerze doszli do wrót kościoła i zastukali parę razy młotkiem. Długą chwilę stali pod zamkniętymi drzwiami płacząc i jęcząc. Ale nagle wieżeje otwały się z łoskotem i w chmurze kadzidła ukazał się Jakub Apostoł, syn Zebedeusza i Salome, na białym koniu, niesionym na ramionach wiernych.

Na widok złotej korony diabły cofnęły się przerażone, jakby w ataku konwulsji, wpadając jedne na drugie, przewracając się i tarzając po ziemi. Zza posągu apostoła rozbrzmiewał hymn starym dźwiękiem sakabuszy i szałamai, przy wtórze klarnetu i puzonu.

Primus ex apostolis

Mártir Jerosolimis

Jacobus egregio

Sacer est martirio.

Dzwon unosił się w górę pełnym rozmachem, wprawiany w ruch nogami dzieci siedzących okrakiem na dzwonnicy. Procesja wolno okrążyła kościół, podążając za nosowym falsetem proboszcza, podczas gdy diabły, naśladowując męczarnie egzorcyzmowanych, cofały się wśród jęków przed kropidłem. Wreszcie figura świętego Apostoła z Campus Stellae, pod baldachimem z wytartego aksamitu, znikła z powrotem w głębi świątyni, której drzwi zawarły się z głośnym trzaskiem, ukazując na mgnienie oka błysk drgających płomieni kaganków i świec. Diabły, które zostały za bramą, zaczęły teraz biegać chichocząc i podskakując, z demonów zamienione w błaznów, i rozproszyły się wśród ruin, pytając pod oknami wśród ordynarnych okrzyków, czy kobiety w dalszym ciągu rodzą tu dzieci. Wierni rozeszli się. Zostałem sam na pustym placu wyłożonym kamiennymi płytami, podważanymi przez korzenie drzew. Po chwili zobaczyłem Rosario: przyszła tu zapalić świecę na intencję wyzdrowienia swego ojca, w towarzystwie brodatego kapucyna, który miał wsiąść na statek razem z nami i przedstawił nam się jako Pedro de Henestrosa. W krótkich słowach, wymawianych powoli i sentencjonalnie, mnich wytłumaczył mi, że panuje tu osobliwy zwyczaj obnoszenia figury świętego Jakuba na procesji Bożego Ciała, gdyż w ten dzień, wkrótce po założeniu miasta, przywieziono tu figurę świętego, który miał być jego patronem, dając w ten sposób początek tradycji zachowywanej po dziś dzień. Wkrótce podeszli do nas dwaj grajkowie z lutnią przewieszoną przez ramię i narzekając, że w tym roku święto ograniczyło się do śpiewów i procesji; zapowiedzieli, że nie przyjadą tu więcej. Dowiedziałem się wówczas, że niegdyś było tu bogate miasto, w domach wspaniałe meble i kufry pełne wykwintnych płócien holenderskich, ale ciągle rabunki i długoletnia wojna lokalna zrujnowały pałace i ogrody, a mury porosły bluszczem. Kto mógł, wyemigrował sprzedając siedzibę swych przodków po groszowej cenie. Potem przyszły plagi, roje komarów zlatywały się z opuszczonych ryżowisk, zamienionych w bagna. Tym razem śmierć wydała pałace na łup chwastom i robactwu, zaczęły się walić sklepienia, dachy i mury. Dziś było to już tylko siedlisko cieni, cień tego, co w swoim czasie było kwitnącym miastem Santiago de los Aguinaldos. Zaciekawiony opowiadaniem misjonarza, myślałem o miastach zburzonych przez wojny feudalne, wyludnionych przez zarazę, kiedy muzykanci, których Rosario spytała, czy nie zechcieliby nam umilić czasu jakąś dowolnie wybraną muzyką, zaczęli przygrywać na lutniach. I nagle ich śpiew poniósł mnie jeszcze o wiele dalej w moich wspomnieniach. Ci dwaj kuglarze z czarnymi twarzami śpiewali pieśni o Karolu Wielkim, o Rolandzie i biskupie Turpinie, o zdradzie Ganelona i mieczu ścigającym Maurów pod

Roncevaux. Gdy doszliśmy do przystani, śpiewali o niejakich infantach z Lara; nie znałem tej historii, ale jej starodawny akcent miał w sobie coś fascynującego u stóp tyłu murów popękanych i porośniętych grzybami, jak mury opuszczonych starożytnych zamków. Podnieśliśmy kotwicę dopiero kiedy zmierzch zaczął wydłużać cienie ruin. Oparłszy się łokciami o poręcz pokładu, Mouche oświadczyła, że widok tego widmowego grodu przewyższa tajemniczością i sugestywnością fantazji wszystko, co mogli wyobrazić sobie malarze, których najwyżej ceniła wśród współczesnych. Tutaj tematy sztuki fantastycznej były trójwymiarowe, dotykało się ich, żyło nimi. To nie konstrukcje wzięte z wyobraźni ani poetycka tandeta: tutaj chodziło się po rzeczywistych labiryntach, wspinało się po schodach o zawalonym podeście, wydłużonych poręczą bez balustrady, która pogrążała się w mrokach wysokiego drzewa. Uwagi Mouche nie były głupie, ale doszedłem już w stosunku do niej do tego momentu, kiedy mężczyznę, który ma dość kobiety, irytuje nawet inteligentne odezwania się z jej strony. Ze swym ładunkiem ryczących byków, kur w klatce, świń swobodnie biegających po pokładzie pod hamakiem kapucyna zaplątujących się w jego różaniec, ze śpiewem czarnych kucharek, śmiechem Greka – poszukiwacza diamentów, z prostytutką w żałobie, kąpiącą się na rufie i muzyką grajków, którzy kazali tańczyć marynarzom, nasz frachtowiec przywodzi mi na myśl „Łódź Głupców” Boscha; statek obłąkańców odbijający w tej chwili od brzegu, którego nigdzie nie mogłem umiejscowić, bo choć korzenie rzeczy widzialnych istotnie tkwiły w stylach, przyczynach i mitach łatwych do zidentyfikowania, rezultat ostateczny, drzewo wyrosłe na tym gruncie było dla mnie równie zdumiewające i nowe jak te olbrzymie drzewa, które zaczęły w tej chwili przysłaniać horyzont i zgrupowane przy źródłach strumieni rysowały się na zachodzie – z okrągłością lędźwi w kopule liści i spiczastością psiego pyska u wierzchołków – niby zgromadzenie olbrzymich pawianów. Jasne, że rozróżniałem elementy scenografii, ale w wilgotnej mgłę tego świata ruiny były bardziej ruinami niż gdziekolwiek indziej, rośliny pnące oplątywały kamienie inaczej, owady miały inne obyczaje, a diabły były bardziej diabelskie, kiedy pod rogatą maską skowytali murzyńscy tancerze. Anioł i tykwa same w sobie nie były niczym nowym. Ale anioł grający na tykwie, wyrzeźbiony na dzwonnicy spalonego kościoła, był czymś, czego nigdzie przedtem nie widziałem. Zadawałem sobie pytanie, czy rolą tych ziem w historii ludzkości nie jest stworzenie po raz pierwszy pewnej symbiozy kultur, kiedy oderwały mnie od tych rozmyślań dźwięki, które wydały mi się dobrze znajome i bardzo dalekie zarazem. Obok mnie brat Pedro de Henestrosa dla uczczenia dnia Bożego Ciała nucił półgłosem pieśń gregoriańską, wydrukowaną na żółtych, stoczonych przez mole stronicach „Liber Usualis” o bardzo długiej historii:

Sumite palmum, et date tympanum:

Psalterium iucundum cum citara.

Buccinate in Neomenia tuba

In insigni dei solemnitate vestrae.

XIII

Piątek, 15 czerwca

Gdy przybyliśmy do Puerto Anunciación – wilgotnego miasta stale obłożonego przez roślinność, przeciw której od kilku stuleci prowadzono daremną wojnę – zrozumiałem, że zostawiliśmy za sobą Ziemię Konia, by wkroczyć na Ziemię Psa. Tutaj za ostatnimi dachami wznosiły się pierwsze drzewa puszczy, wspaniała straż przednia, raczej obeliski niż drzewa, jeszcze rozproszone, odległe jedne od drugich na rozległym obszarze kniei, wśród splątanej masy zarośli rozrastających się tak szybko, że niszczyły ścieżkę w ciągu jednej nocy. Koń nie miał nic do roboty w tym świecie bez dróg. A za zieloną masą, zamykającą kierunek południowy, ścieżki i wąwozy zagłębiały się w skłębioną gęstwinę gałęzi, która nigdy by nie przepuściła jeźdźca na koniu. Pies natomiast, mający oczy na wysokości kolan człowieka, widział, co się kryje u stóp zdradliwych malang, w dziuplach zwalonych pni, w stertach zgniłych liści. Pies ze swoim wysuniętym naprzód pyskiem, z subtelnym węchem, z grzbietem, który zjezoną sierścią sygnalizował niebezpieczeństwo, dotrzymywał od wielu stuleci warunków swego pierwotnego sojuszu z człowiekiem. Istniał bowiem pakt, który wiązał tu człowieka i psa: wzajemne uzupełnianie sił skłaniające ich do bohaterskiej współpracy. Pies dawał te zmysły, które u jego towarzysza łowów były już stępione, swój nos, swój chód na czterech łapach, swój użyteczny wygląd zwierzęcia pośród innych zwierząt, w zamian za zmysł przedsiębiorczości, broń, wiosła i pionową pozycję, w jakiej poruszał się jego sojusznik. Pies był jedyną istotą, która dzieliła z człowiekiem dobrodziejstwo ognia, przyznając sobie w tym zbliżeniu do Prometeusza prawo stawiania po stronie człowieka w każdej wojnie wydanej zwierzęciu. Dlatego to miasto było Miastem Szczekania. W przedsionkach domów, za kratami bram, pod stołami psy wyciągały łapy, węszyły, drapały, ostrzegały. Siadały na dziobie łodzi, biegały po dachach, czuwały nad pieczeniem mięsa, uczestniczyły we wszystkich zebraniach i akcjach zbiorowych, bywały w kościele, tak że nawet pewien stary przepis kolonialny, nigdy nie przestrzegany, ponieważ nikomu na nim nie zależało, przewidywał specjalną funkcję „zakrystiana dla psów”, którego obowiązkiem było wyrzucać psy poza obręb kościoła „we wszystkie soboty i wigilie świąt”. W księżycowe noce psy oddawały się swoim adoracjom wyjąc chóralnie, czego już nie uważano za złą wróżbę i przyjmowano konsekwencje w postaci nie przespanych godzin nocnych ze zrezygnowaną tolerancją, która obowiązuje, jeśli chodzi o nieco uciążliwe obrządki krewnych wyznających religię odmienną od naszej.

Miejsce, które w Puerto Anunciación nazywano oberżą, było dawnym budynkiem koszar, o wyszczerbionych murach i pokojach wychodzących na błotniste podwórze, po którym łążyły ogromne żółwie uwięzione tu w przewidywaniu dni głodu. Dwa składane łóżka polowe i drewniana ławka stanowiły całe umeblowanie naszego pokoju, wraz z kawałkiem lustra przybitym do wewnętrznej strony drzwi trzema zardzewiałymi gwoździami. Ponieważ księżyc ukazał się właśnie nad rzeką, rozbrzmiewała na nowo po przerwie jękliwa antyfona psów – od kępy gigantycznych drzew zasadzonych przez misję franciszkańską aż po zanurzone w ciemnościach wyspy – po czym nastąpiły nieoczekiwane repliki z drugiego brzegu. Mouche, w okropnym humorze, nie mogła pogodzić się z faktem, że zostawiliśmy za sobą elektryczność, że tu panuje jeszcze epoka lampy naftowej i świecy i nie ma nawet apteki ani jakiegokolwiek sklepu zaopatrzonego w środki do pielęgnacji jej osoby. Moja przyjaciółka zawsze starannie ukrywała i pomijała milczeniem nieustanne zabiegi wokół swej twarzy i ciała, pragnąc uchodzić w oczach otoczenia za istotę wyższą ponad tę próżność kobiecą, niegodną intelektualistki, i mimochodem dawała do zrozumienia, że jej walory naturalne, młodość i uroda wystarczą, by ją uczynić pociągającą. Znając tę jej strategię, nieraz bawiłem się obserwowaniem Mouche z wyżyn stogu siana na statku i ze złośliwą satysfakcją stwierdzałem, jak często spogląda w lusterko, marszcząc z niezadowoleniem brwi. Nie mogłem się teraz nadziwić, jak dalece cała jej postać, sama materia, z której była zrobiona, przywiedła od świtu tego ostatniego dnia żeglugi. Skóra twarzy, maltretowana twardą wodą, poczerwieniała odkrywając rozszerzone pory wokół nosa i na skroniach. Jasne włosy przybrały zielonkawy odcień siana, tu i ówdzie zdradzając, jak wiele ich miedziany połysk zawdzięczał umiejętnemu zastosowaniu farby. Pod bluzką poplamioną przedziwnymi smołami, które kapały z brezentowych płacht, jej piersi wydawały się mniej jędrne, lakier obłaził z paznokci, połamanych w dodatku, bo ciągle trzeba było chwytać się czegoś, co nam narzucało życie na zastawionym cebrzykami i beczkami pokładzie tej pływającej zagrody dla bydła, jaką był nasz statek. Jej oczy barwy kasztana, ładnie nakrapiane zielonymi i złotymi iskierkami, wyrażały uczucie, które było mieszaniną przykrości, zmęczenia, zniechęcenia do wszystkiego, nudy i hamowanej złości, że nie może krzyknąć głośno, do jakiego stopnia okazała się niezdolna ta podróż, której przecież sama chciała i którą podjęła z radością wyrażoną w literackich frazesach. W przeddzień naszego wyjazdu – teraz to sobie dobrze przypominałem – powoływała się na owo słynne pragnienie ucieczki nadające wielkiemu słowu Przygoda całe jego znaczenie „zachęty do podróży”, oderwania się od dnia powszedniego, szczęśliwych trafów, spotkań, wizji Niewiarygodnych Floryd poety Widzącego. A tymczasem na razie – dla niej, obcej wzruszeniom, które ja co dzień przeżywałem z rozkoszą, odnajdując wrażenia zapomniane od czasów dzieciństwa – słowo Przygoda oznaczało tylko przymusowe zamknięcie w hotelu miejskim, oglądanie widoków o monotonnej wspaniałości, podróż bez incydentów, zmęczenie nocy spędzonej bez lampy przy łóżku i przebudzeń i pierwszego snu przerwane śpiewem kogutów. Leżąc teraz z uniesionymi w górę kolanami i nie troszcząc się o to, co pozwala dostrzec nieład jej spódniczek, kołysała się lekko na swojej nędznej pryczy, popijając drobnymi haustami

wódkę z blaszanego kubka. Mówiła o piramidach meksykańskich, o fortcach inkaskich – które znała tylko z obrazka – o schodach wykutych z Monte Alban, o zbudowanych z gliny wioskach Indian Hopi, ubolewając, że w tych krajach Indianie miejscowi nie stworzyli podobnych cudów. Przybierając ton osoby poinformowanej, kategoryczny, naszpikowany terminami technicznymi, ton, którym tak często posługują się ludzie naszego pokolenia i który ja skrycie nazywam „tonem ekonomicznym”, zaczęła z oburzeniem piętnować sposób życia tutejszych ludzi, ich przesady i wierzenia, ich zacofane rolnictwo, niewłaściwą eksploatację kopalń, co ją doprowadziło oczywiście do tematu nadwartości i wyzysku człowieka przez człowieka. Żeby jej zaprzeczyć, powiedziałem, że jeśli coś mnie zachwyca w tej podróży, to właśnie odkrycie, że są jeszcze na świecie olbrzymie terytoria, których mieszkańcy żyją z dala od gorączek chwili, że jeśli ludziom tutejszym wystarczy do życia dach z roślinnych włókien, dzban gliniany, rondel, hamak i gitara, to w zamian za to przetrwało w nich pewne życie duszy, świadomość prastarych tradycji i żywe wspomnienie pewnych mitów, co w sumie daje kulturę cenniejszą i prawdziwszą niż ta, którą zostawiliśmy za sobą. Ci ludzie wolą przechowywać pamięć „Pieśni o Rolandzie” niż mieć w domu ciepłą wodę. Podoba mi się, że są jeszcze ludzie nie zgadzający się sprzedawać swej duszy za jakieś usprawnienie automatyczne, które, likwidując trud praczki, kazało także zniknąć jej pieśniom, niszcząc w ten sposób jednym uderzeniem tysiącletni folklor. Udając, że nie słyszy czy też że moje słowa nie mają najmniejszego znaczenia, Mouche stwierdziła, że nie ma tu nic, co warte byłoby obejrzenia i przestudiowania, że temu krajowi brak zarówno historii, jak charakteru, i ogłaszając swój wyrok za nieodwołalny wspomniała o wyjeździe nazajutrz o świcie, zwłaszcza że statek, tym razem płynąc z prądem, mógłby przebyć drogę powrotną w znacznie krótszym czasie. Ale teraz mało mnie obchodziły jej życzenia. A że ta moja postawa była dla niej zupełnie nowa, kiedy oświadczyłem sucho, że zamierzam dopełnić moich zobowiązań wobec uniwersytetu i dotrzeć tam, gdzie znajdę instrumenty, które polecono mi odszukać, moja przyjaciółka wybuchnęła gniewem, wymyślając mi od mieszcuchów. Ta obelga – dobrze ją znałem – była reminiscencją epoki, w której wiele kobiet ogłaszało się rewolucjonistkami, usiłując w ten sposób zbliżyć się do walki, która wciągała wielu interesujących rewolucjonistów, i pod osłoną idei filozoficznych i społecznych szukać uciech seksualnych, przedtem osłanianych przez idee estetyczne pewnych kół literackich. Zawsze dbająca o swoje wygody i przedkładająca swoje przyjemności i drobne pasje ponad wszystko, Mouche była, jeśli chodzi o to, typem arcymieszczańskim. A jednak to ona obdarzała epitetem mieszcucha, jak największą obelgą, każdego, kto próbował przeciwstawić jej kryteriom coś, co pociągałoby za sobą pewne obowiązki lub niewygodne zasady, wykluczało pewną swobodę seksualną, łączyło się ze skrupułami natury religijnej lub wymagało jakiegoś ładu i porządku. Ponieważ to, że chciałem postąpić przyzwoicie wobec konserwatora i pozostać w zgodzie z własnym sumieniem, stawało w poprzek jej planom, moja postawa z natury rzeczy musiała zasłużyć sobie w jej oczach na nazwę mieszczańską. Zerwała się ze swego legowiska z rozczochranymi włosami i przyskoczyła do mnie, podnosząc swoje małe pięści na wysokość moich skroni z furią, jakiej nigdy dotąd u niej nie

widziałem. Krzyczała, że chce wracać jak najprędzej do Los Altos, że potrzebuje świeżości górskich szczytów, żeby przyjść do siebie, i że spędzimy tam resztkę naszych wakacji. Sam dźwięk słowa Los Altos doprowadził mnie do wściekłości, gdyż przypomniał mi podejrzaną przyjaźń z malarką kanadyjską. Na ogół dyskutując z Mouche, starałem się nie używać wyrażeń zbyt mocnych, ale tego wieczora, zadowolony, że ją widzę brzydką w świetle lampy, odczułem jakąś nerwową potrzebę, żeby ją zranić, poniżyć i uwolnić się przez to od ciężaru nagromadzonych uraz. Przede wszystkim ubliżyłem Kanadyjce, obdarzając ją epitetem, który podziałał na Mouche jak ukłucie rozgrzanej do białości szpilki. Cofnęła się o krok i rzuciła mi w głowę kubkiem z wódką, chybiając o włos. Przestraszona własnym gestem, przybiegła do mnie skruszona, ale ja, w przekonaniu, że jej brutalność daje mi do tego prawo, wygarnąłem jej wszystko, co miałem na sercu: krzyczałem, że przestałem ją kochać, że nie mogę znieść jej obecności, że nawet jej ciało budzi we mnie wstręt. Ten nieznan mi głos, który zadziwił mnie samego, dla niej musiał brzmieć tak strasznie, że uciekła na podwórze biegnąc co tchu, jakby w obawie, że będę ją bił. Ale nie pomyślawszy w porę o błocie pośliznęła się i upadła w kałużę pełną żółwi. Czując pod sobą mokre skorupy, które zaczęły się poruszać niby pancerze wojowników zasypanych przez lotne piaski, krzyknęła ze strachu tak przeraźliwie, że obudziła psy, które ledwie przed chwilą umilkły. Zaprowadziłem Mouche do pokoju wśród generalnego koncertu szczekania i wycia, zdjąłem z niej ubranie cuchnące błotem, wytarłem od stóp do głów kawałkiem gałgana i zmusiwszy ją do wypicia długiego haustu wódki, zapakowałem do łóżka i wyszedłem, nie zważając na jej wołania i szlochy. Chciałem – potrzebowałem tego – zapomnieć o niej na kilka godzin.

W pobliskiej tawernie znalazłem Greka popijającego obficie w towarzystwie drobnego człowieczka o krzaczastych brwiach, którego mi przedstawił imieniem Adelantado, dodając, że żółty pies, żłopiący obok nich piwo z miski, jest równie wybitną osobowością – wabi się Jastrząb. Górnik podkreślił, że to nader szczęśliwy traf pozwolił mi spotkać osobistość rzadko widywaną w Puerto Anunciación. Puszcza – tłumaczył mi – obejmuje olbrzymie terytoria, gdzie są góry, przepaści, narody koczujące, ślady zaginionej cywilizacji. Mimo to tworzy jeden zwarty świat, który karmi swoją faunę i swoich ludzi, modeluje własne chmury, zrzuca meteory i wywołuje deszcze: ukryty naród, nieodcyfrowana mapa, ogromny kraj roślinny, do którego prowadzi niewiele drzwi. „Coś jak Arka Noego, gdzie były wszystkie zwierzęta świata, ale tylko jedne drzwiczki” – powiedział drobny człowieczek. Żeby przeniknąć do tego świata, Adelantado musiał zdobyć klucze do ukrytych furtek: on jeden tylko znał pewne przejście między dwoma pniami, jedyne na przestrzeni pięćdziesięciu mil, prowadzące do wąskich schodów ułożonych z płaskich kamieni, którymi można było zejść do siedliska wielkich tajemnic telurycznych. Tylko on wiedział, gdzie jest mostek z lian, który pozwala przejść przez strumień pod kaskadą w gęstwinie liści, wejść do jaskini z petroglifami, gdzie jest ukryta zatoczka, którą można się przedostać na drogi dostępne. Umiał czytać szyfry zgiętych gałęzi, nacięcia na korze, gałązek, które nie spadły, lecz zostały w tym miejscu położone. Znikał na całe miesiące i kiedy najmniej go oczekiwano,

wyłaniał się nagle z jakiejś szczeliny w murze roślinnym, przynosząc z sobą różne osobliwości. Raz była to kolekcja motyli, kiedy indziej skóry jaszczurek, worki wypchane piórami czapli, żywe ptaki przedziwnie gwizdzące, okazy ceramiki antropomorficznej albo dziwaczne wyroby koszykarskie, które mogły zainteresować każdego cudzoziemca. Kiedyś po długiej nieobecności zjawił się, prowadząc za sobą dwudziestu Indian obładowanych storczykami. Imię Jastrząb tłumaczyło się niezwykłymi umiejętnościami psa, który potrafił schwytać ptaka w locie i nie uroniwszy ani jednego piórka przynieść go w pysku swemu panu do sprawdzenia, czy nadaje się do jakichś wspólnych celów. Korzystając z chwili, kiedy Adelantado, wywołany przez kogoś z ulicy, opuścił nas, aby pójść się przywitać z poławiaczem delfinów, zajęтым akurat przy którymś ze swoich czterdziestu dwojga nieślubnych dzieci, Grek poinformował mnie z pośpiechem, że według opinii powszechnej ten niezwykły człowiek odkrył w czasie jednej ze swych wędrówek bajeczną żyłę złota i trzymał w najgłębszej tajemnicy zarówno nazwę miejsca, jak i dostęp do niego. Nikt nie wiedział dlaczego, ilekroć zjawiał się ze swoimi ludźmi, ci wracali zawsze z większą ilością prowiantu, niż trzeba było dla wykarmienia niewielkiej załogi jego łodzi, a prócz tego zabierali jakiegoś knura, tkaniny, grzebienie, cukier i inne rzeczy niezbyt potrzebne komuś, kto żegluje po dalekich wodach. Gdy go pytano, dawał wymijające odpowiedzi i krzycząc głośno nakazywał swoim Indianom wracać natychmiast na drogę leśną i nie wałęsać się po miasteczku. Mówiono, że eksploatuje jakieś złoża wspólnie z ludźmi, którzy mają zatargi ze sprawiedliwością, albo że zatrudnia jeńców wykupionych od jakiegoś wojowniczego plemienia, albo że został królem jakiejś osady Murzynów, których przodkowie uciekli tu przed trzystu laty i mieli swoją wioskę otoczoną palisadami, gdzie zawsze rozbrzmiewa odgłos bębnow. Ale w tej chwili wrócił Adelantado i Grek, zmieniając szybko temat, zaczął mówić o celu mojej podróży. Przyzwyczajony do spotykania ludzi przybywających tu w osobliwych celach, zaprzyjaźniony z dziwnym zielarzem, zwanym Montsalvatje, którego pochwałę wygłosił przede mną, Adelantado powiedział mi, że będę mógł znaleźć poszukiwane instrumenty w pierwszych osiedlach szczepu zamieszkałego o trzy dni żeglugi stąd, na wybrzeżach strumienia zwanego El Pintado z powodu zmiennej barwy swych burzliwych wód. Zapytany o pewne obrzędy religijne tubylców, wyliczył mi wszystkie, jakie zapamiętał, instrumenty muzyczne, próbując jednocześnie oddać ich dźwięk przy pomocy onomatopei, którym alkohol dodawał wyrazistości. Naśladując gesty grających, opisał bębny z pni drzewa, fujarki z kości, trąby z rogów i czaszek zwierzęcych, dzbany gliniane służące do naśladowania odgłosu wycia w czasie pogrzebów i bębni czarowników. W tym momencie nadszedł brat Pedro de Henestrosa z wiadomością, że ojciec Rosario umarł. Zaskoczony tą wieścią, a jednocześnie pragnąc zobaczyć dziewczynę, której nie widziałem od przyjazdu, poszedłem do domu zmarłego wąskimi uliczkami pośród rynsztoków, w towarzystwie Greka, kapucyna i Adelantado, a także Jastrzębia, który nie opuszczał żadnej uroczystości żałobnej, ilekroć znajdował się w mieście. Miałem jeszcze w ustach orzechowy smak wódki z agawy, którą piłem z rozkoszą w tawernie pod szyldem z ozdobnie wypisaną, komicznie absurdalną nazwą: „Wspomnienia Przyszłości”.

XIV

Piątek, w nocy

W tym obszernym domostwie z ośmioma zakratowanymi oknami śmierć dalej pełniła swój ponury trud. Była wszędzie, pracowita, skwapliwa, instalująca żałobne dekoracje, organizująca opłakiwanie zmarłego, zapalająca świece, czuwająca, by całe miasto zmieściło się w tych obszernych salach z głębokimi kamiennymi ławkami, z szerokimi progami, i mogło w całej okazałości podziwiać jej dzieło. Na wysokim katafalku, obciążonym szarym aksamitem przeżartym od pleśni, spoczywała już trumna nabijana srebrnymi gwoździami i rozbrzmiewająca jeszcze uderzeniami młotka, gdyż przed chwilą przyniesiono ją od stolarza. Ten nie mylił się nigdy w swojej robocie, gdyż jego przewidująca pamięć rejestrowała jeszcze za życia wymiary wszystkich mieszkańców miasta. Z nocy wyłaniały się kwiaty zbyt mocno pachnące, kwiaty z grzęd na dziedzińcach, z ogrodów wydartych puszczy, nardy i gardenie o ciężkich płatkach, dzikie irysy, magnolie koloru wosku, związane w bukiety wstążkami, które wczoraj jeszcze zdobiły balowe fryzury. W sieni i w salonie mężczyźni rozmawiali uroczystym, przyciszonym głosem, w pokojach kobiety głośno odmawiały antyfonę. Obsesyjne „Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami...” rozbrzmiewało w ciemnych kątach, pośród figur świętych i różańców zwisających z pułapu, rosło i opadało w monotonnym rytmie spokojnych fal przesypujących żwir rafy podwodnej. Wszystkie lustra, w których niegdyś odbijała się żywa twarz i gesty zmarłego, zasłonięte były krepą. Kilku miejscowych notabli – mer, nauczyciel, pilot statku, łowca delfinów, właściciel garbarni – uklękło przy katafalku, wrzuciwszy do kapelusza zgaszony niedopałek cygara. W tej chwili chuda dziewczyna w czerni krzyknęła przeraźliwie i upadła na ziemię w ataku konwulsji. Wyniesiono ją z pokoju. Teraz do katafalku zbliżała się Rosario. W żałobie od stóp do głów, z włosami gładko przyczesanymi, z bladymi wargami, wydała mi się urzekająco piękna. Spojrzała na wszystkich oczami rozszerzonymi od łez i nagle, jakby trafiona w samo serce, zacisnęła ręce przy ustach, jęknęła głucho, nieludzko, jak zwierzę przeszyte strzałą, jak rodząca matka, jak opętana, i otoczyła trumnę ramionami. Głosem ochryłym, przerywanym przez rżenie, mówiła, że podrze na sobie ubranie, że wydrapie sobie oczy i rzuci się do grobu, żeby ją ziemia przykryła. Kiedy chciano ją wyprowadzić, opierała się z furią tym, którzy próbowali oderwać jej ręce od czarnego aksamitu, groziła w jakiejś tajemniczej mowie, dziwnej i strasznej, jakby wyrosłej z głębin mowy proroczej. Zanosząc się łkaniem mówiła o straszliwych kataklizmach, o końcu świata i Sądzie Ostatecznym, o pokucie i biczu bożym. Wyprowadzono ją wreszcie na pół zemdloną, na bezwładnych nogach, z potarganymi włosami. Na widok jej czarnych pończoch podartych w trakcie szamotania, pantofli o zniszczonych obcasach, przemalowanych na czarno i wleczonych po ziemi czubkami do dołu, ścisnęło mi się serce. Ale oto już

następna z sióstr otaczała trumnę ramionami. Wstrząśnięty gwałtownością tego bólu pomyślałem o tragedii antycznej. W tych licznych rodzinach, gdzie każdy przechowywał swe żałobne ubrania złożone w kufrze, śmierć była rzeczą powszednią. Matki, które dużo rodziły, często były przez nią nawiedzane. A jednak te kobiety, które dzieliły między sobą zwykle zabiegi przy agonii, które od dzieciństwa wiedziały, co to znaczy ubierać zmarłych, zasłaniać lustra, recytować odpowiednie do okoliczności modlitwy, protestowały w obliczu śmierci zgodnie z rytuałem pochodzącym z bardzo dalekiej przeszłości. Był to bowiem przede wszystkim rodzaj protestu rozpaczliwego, grożącego, jak gdyby magicznego, przeciwko śmierci w domu. Te wieśniaczki otaczające umarłego krzyczały tonem płaczek, przewodniczek chóru antycznego, rozplatały swe gęste włosy niczym czarne welony, zasłaniające straszne w swym bólu twarze księżniczek krwi: wzniosłe rozpaczą suki, wyjące Trojanki, wygnane ze spalonych pałaców. Uporczywość tej rozpacz, przedziwny zmysł dramatyczny, z jakim dziewięć sióstr – bo dziewięć ich było – wchodziły jedna po drugiej przez drzwi z lewej i z prawej strony, przygotowujące wejście matki, wspaniałej Hekuby, przeklinającej swe osamotnienie, szlochającej na ruinach swego domu, krzyczącej, że nie ma Boga – skłoniły mnie do podejrzeń, że wiele w tym wszystkim było z teatru. Jakiś krewniak ze szczerym zachwytem zauważył, że te kobiety oplakują swego zmarłego wyjątkowo pięknie, aż przyjemnie patrzeć. Mimo to czułem się wstrząśnięty, przejęty do głębi, jakby to wszystko obudziło we mnie niejasne wspomnienia obrządków żałobnych zachowywanych przez ludzi, którzy nawiedzili przede mną królestwo tego świata. Z jakichś zakamarków mojej pamięci wynurzył się teraz wiersz Shelleya, powtarzający się, jak gdyby skupiony na swym własnym sensie:

*... How canst thou hear
Who knowest not the language of the dead?
(... Jakże możesz słyszeć ty
który przecie nie znasz zmarłych mowy?)*

Ludzie w miastach, gdzie dotychczas żyłem, w istocie nie znali już owych głosów, gdyż od dawna zapomnieli mowy tych, co umieli przemawiać do zmarłych. Mowy tych, co znają najgłębszą rozpacz osamotnienia i przeczuwają rozpacz ludzi błagających, by nie zostawiać ich samych na tej niepewnej drodze. Oznajmiając z krzykiem, że chcą rzucić się do grobu razem z ojcem, dziewięć sióstr wypełniało jedną z najszlachetniejszych form tysiącletniego rytuału, który każe wkładać zmarłemu do grobu różne przedmioty, przyrzekać mu rzeczy niemożliwe do spełnienia, aby oszukać jego samotność; wsuwa mu się do ust pieniądze, otacza się go wizerunkami sług, kobiet, muzykantów, zaopatruje się go w święte formułki, hasła, listy uwierzytelniające i przepustki do Przewoźników z Drugiego Brzegu, których taryfy i wymagania zgoła nie są znane. Równocześnie przypominałem sobie, jak wulgarną rzeczą stała się śmierć dla ludzi mego Wybrzeża – moich ludzi; ich ogromne, zimne zakłady pogrzebowe, brązy, pompy i modlitwy, dekoracja wieńców i taflí lodowych źle maskowały zwyczajny syndykat urzędników w żałobnych ubraniach z ich nienagannie uroczystym sposobem bycia, rekwizytami i rękoma

wyciągniętymi nad nieboszczykiem w oczekiwaniu zapłaty. Ten i ów mógłby się uśmiechnąć na widok tragedii tutaj odgrywanej. Ale poprzez to widowisko sięgano do pierwotnych obrządków człowieka. Rozmyślałem nad tym, kiedy poszukiwacz diamentów zbliżył się do mnie i ze złośliwym uśmiechem poradził, żebym poszedł do kuchni, gdzie w tej chwili Rosario była sama i odgrzewała kawę dla kobiet. Zmieszany jego ironicznym tonem odpowiedziałem, że moment nie wydaje mi się odpowiedni. „Idź i nie kłopot się o nic – powiedział Grek, jak gdyby recytował wyuczoną lekcję – bo mężczyzna w tym kraju im jest śmielszy, tym większe ma szczęście we wszystkim, co podejmuje, choćby nawet przybył tu z innego kraju”. Miałem mu odpowiedzieć, że nie potrzebuję takich rad, ale górnik przybierając ton deklamatorski dodał: „Wchodząc na salę, zastaniesz tam najpierw królową, której na imię Arete i która pochodzi od tych, co spłodzili króla Alkinoosa” – i by rozproszyć zdumienie wywołane tymi zaskakującymi słowami, utkwiał we mnie swoje ptasie oczy i dokończył ze śmiechem: „Homer, «Odyseja», – popychając mnie energicznie w stronę kuchni. Tam, pośród dzbanków, filtrów, garnków glinianych i pieców, w których palił się węgiel drzewny, Rosario nalewała akurat wrzątek do dzbanka czerniałego od nagromadzonych przez wiele lat fusów. Wydawało się, że gwałtowny wybuch rozpaczy przyniósł jej ulgę. Spokojnym głosem wytłumaczyła mi, że nabożeństwo do Czternastu Świętych Najpilniejszej Pomocy zostało odprawione zbyt późno, żeby ocalić życie jej ojca. Potem zaczęła mówić o jego chorobie w taki sposób, jakby opowiadała legendę ukazującą mitologiczną koncepcję filozofii ludzkiej. Zaczęło się wszystko od kryzysu nerwowego po zatargu z sąsiadem, skomplikowanego przez udar słoneczny w czasie przeprawy przez rzekę, po czym nastąpił wylew w mózgu, przerwany w połowie nagłym przeziębieniem wskutek silnego przeciągu, co wyniszczyło cały organizm i spowodowało z kolei zapalenie genitaliów, a czterdziestodniowa wysoka gorączka doprowadziła do zwapnienia zastawek sercowych. Podczas gdy Rosario mówiła, przybliżyłem się do niej przyciągany jakimś żarem, który emanował z jej ciała i dosięgał mojej skóry poprzez tkaninę ubrania. Stała oparta plecami o gliniany ogromny dzban stojący na ziemi, łokciami dotykając brzegów tak, że wypukłość dzbanka wyginała jej talię w moim kierunku. Ogień w paleniskach oświetlał jej twarz i zapalał dalekie błyski w ciemnych oczach. Wstydząc się tego przed sobą, czułem, że jej pożądam z upragnieniem, zapomnianym od czasów pierwszej młodości. Nie wiem, czy kierował mną ów ohydny instynkt, o którym mowa w tyłu baśniach i który każe nam pożądać żywego ciała w obecności martwego, ale tak palące musiało być to spojrzenie rozbierające ją z żalobnych szat, że Rosario przesunęła dzban w ten sposób, żeby stał między nami, jak ktoś, kto chroni się za ocembrowaniem studni, i znów oparła łokcie o krawędź, patrząc na mnie z drugiego brzegu czarnej wypełnionej wodą głębiną, ponad którą nasze głosy rozbrzmiewały echem jak w nawie katedry. Raz po raz wychodziła do salonu i wracała, ocierając łzy, do kuchni, gdzie jej wyczekiwałem z niecierpliwością kochanka. Mówiliśmy niewiele. Pozwalała mi siebie podziwiać ponad wodą w dzbanie, z łagodną biernością graniczącą z oddaniem. Niebawem zegary wybiły godzinę świtu, ale nie zaświtało. Zdziwieni wyszliśmy wszyscy na ulicę, na podwórze. W tej stronie, gdzie powinno wzejść słońce, zakrywała niebo dziwna, czerwona chmura, niby smuga dymu, rozżarzonego popiołu lub brunatnego pyłku kwiatowego, wznoszącego się szybko w górę, rozpościerając się od krańca do krańca widnokągu. Gdy chmura znalazła się wprost nad nami, zaczął spadać deszcz motyli na dachy, na nasze

plecy. Były to małe motyle ciemnożółte, nakrapiane fioletowo, napływały w miriadach z jakiegoś nieznanego miejsca kontynentu za olbrzymią puszcza, może wystraszone, wypędzone – po rozmnożeniu się w zawrotnej liczbie – jakimś kataklizmem, jakimś strasznym wydarzeniem, nie mającym świadków ani historii. Adelantado powiedział mi, że te przeloty motyli nie należą w tych okolicach do rzadkości i że niekiedy w czasie takiej inwazji przez cały dzień nie można dojrzeć słońca. Pogrzeb miał się odbyć przy blasku świec, wśród nocy panującej w samo południe, zabarwionej purpurą skrzydeł. W tym zakątku świata znano jeszcze wielkie migracje, w rodzaju tych, jakie opisywali kronikarze Lat Ciemnych, kiedy to widywano Dunaj czarny od szczurów i stada wilków podchodzące aż pod plac targowy w dużych miastach. W zeszłym tygodniu, jak mi opowiadano, zabito jaguara na stopniach kościoła.

XV

Sobota, 16 czerwca

Na pół ukryty w gąszczu zarośli, wdzierających się przez mur, cmentarz, gdzie zostawiliśmy ojca Rosario, jest jak gdyby przedłużeniem dziedzińca kościelnego: oddziela go tylko prymitywna brama i wykładany kamiennymi płytami plac, na którym wznosi się grubo ciosany krzyż o krótkich ramionach z wyrzeźbionymi w szarym kamieniu narzędziami Męki Pańskiej. Kościół jest niski, pękaty, o bardzo grubych murach, których masywność podkreślają jeszcze głębokie nisze i groźne przypory, podobne raczej do stoków fortecy. Arkady są niskie i ciężkie. Drewniany strop z belkami wspartymi na karniszach – niemal bez ozdób – przypomina pierwsze kościoły romańskie. Wewnątrz mimo późnej godziny ranej panuje noc rozjaśniona tylko purpurowym odbłaskiem chmury motyli, tkwiącej wciąż między ziemią i słońcem. W otoczeniu świec i kaganków jeszcze bardziej świątobliwie i ołtarzowo wyglądają starzy święci oddani swoim Rzemiosłom, jakby świątynia była przede wszystkim pracownią. Izidor, któremu do ręki włożono łopatę, aby naprawdę przekopał swój piedestał porośły świeżą trawą i kukurydzą; Piotr z olbrzymim kluczem, do którego co dzień ktoś przywiesza nowe kluczyki; Jerzy atakujący smoka z taką furją, że to, czym wymachuje nad głową nieprzyjaciela, wygląda raczej jak tyczka do skoku niż miecz; święty Krzysztof wsparty o palmę, tak ogromny, że Dzieciątko na jego ramieniu sięga mu ledwie ucha; Łazarz z psami, które oklejono prawdziwą psią sierścią, by wyglądały bardziej przekonywająco, liżąc mu rany. Bogaci w przypisywane im moce, zasypywani prośbami, opłacani w solidnej i autentycznej monecie klejnotów obnoszonych przy lada okazji podczas procesji, święci stanowili w życiu codziennym miasteczka kategorię boskich urzędników, mających dostęp do głównego biura w niebie i zawsze będących do dyspozycji w swoim Ministerstwie Prośb i Reklamacji. Co dzień otrzymywali prezenty i światła oznaczające tyleż prośb o przebaczenie za jakieś grubsze bluźnierstwo. Zwracano się do nich z pytaniami, przedstawiano problemy reumatyzmu, gradu, zbłąkanego bydła. Szulerzy wznosili ku nim oczy w czasie rozgrywki, a prostytutka zapalała świecę przed ich obrazem w dzień dużych zarobków. To wszystko – objaśnione mi ze śmiechem przez Adelantada – godziło mnie ze światem religii, który po zmierzchu złotych legend w kaplicach z metalu i ze zmanierowaną plastyką nowoczesnych witraży stracił całą żywotność w miastach, skąd przybywałem. Tutaj w obliczu Chrystusa z czarnego drzewa, który zdawał się krwawić na głównym ołtarzu, panowała ta sama atmosfera straszliwej hagiografii i auto sacramental, która uderzyła mnie kiedyś w starej bizantyjskiej kaplicy przed obrazami świętych z krzywą szablą, przebijającą czaszkę od ucha do ucha, wojujących biskupów na koniach, których kopyta miażdżyły głowy pogan. W innych okolicznościach byłbym zatrzymał się dłużej w wiejskim kościółku, ale ta sztuczna ciemność chmury motyli zaczynała mi działać na nerwy jak przedłużające się ponad

wszelką wytrzymałość zaćmienie Słońca. Zmęczony tym i nie przespaną nocą wróciłem do oberży, gdzie Mouche nie podejrzewając, że już jest dzień, spała dalej, ściskając oburącz poduszkę. Kiedy się obudziłem po kilku godzinach, nie było jej już w pokoju i słońce uwolnione od brunatnej inwazji znowu świeciło jasno. Zadowolony z uniknięcia nowej, ewentualnej scysji, poszedłem do domu Rosario z gorącym pragnieniem, żeby nie spała. Wszystko tam powracało już do normalnego rytmu codziennego. Kobiety w żałobnych sukniach zajmowały się spokojnie domową robotą, od dawna przyzwyczajone do tego, że trzeba żyć dalej po nawiedzinaх śmierci. Na podwórzu pełnym śpiących psów Adelantado omawiał z bratem Pedro najbliższą wyprawę do puszczy. Na to zjawiała się Mouche w towarzystwie Greka. Wyglądało, że zapomniała o swojej chęci powrotu, z taką furią wyrażonej poprzedniego wieczora. Przeciwnie, na jej twarzy malowała się jakaś złośliwa i wyzywająca radość, co Rosario, zajęta szyciem sukni żałobnej, zauważyła jednocześnie ze mną. Moja przyjaciółka uznała za stosowne wytłumaczyć, że spotkała się z Grekiem na przystani, przy żaglowcu zbieraczy kauczuku; wybierali się w górę rzeki, nie zważając na niebezpieczne wiry Piedras Negras, przez wąską odnogę możliwą do przebycia łodzią o tej porze roku. Poprosiła górnika, żeby jej pokazał ten próg z granitu, stanowiący kres każdej większej wyprawy, od czasu gdy pierwsi odkrywcy rozplakali się z bezsilnej wściekłości na widok straszliwych lejów, spienionych zwalów wody i zwalonych pni porzuconych w poprzek ryczących paszcz. Zaczęła właśnie literacki opis tego niezrównanego spektaklu, pokazując nam dziwne kwiaty, podobne do dzikich irysów, zerwane rzekomo nad brzegiem przepaści, kiedy niecierpliwym gestem Adelantado, który nigdy nie zwracał uwagi na to, co mówią kobiety, przerwał to przemówienie, którego zresztą nie rozumiał. Uważał, że powinniśmy skorzystać z łodzi zbieracza kauczuku, żeby przebyć jak najwygodniej spory kawałek drogi. Yannes zapewnił, że w ten sposób jeszcze tej samej nocy dopłyniemy do kopalni diamentów, gdzie mieszkają jego bracia. Wbrew moim przewidywaniom Mouche słysząc o kopalni diamentów, olśniona zapewne wizją groty połyskującej gemmami, przyjęła ten projekt z radością. Uwiesiła się na szyi Rosario prosząc, żeby nam towarzyszyła na tym tak niezwykle wygodnym etapie naszej podróży. Jutro odpocznemy w kopalni Greków i tam może zaczekać na nasz powrót, podczas gdy my popłyniemy dalej. W ten sposób, jak przypuszczałem, Mouche chciała sobie wyrobić pojęcie o niebezpieczeństwie przepraw, jakie nas czekały, ryzykując tylko jednym dniem podróży i zapewniając sobie towarzystwo w drodze powrotnej do Puerto Anunciación, na wypadek gdyby się zdecydowała wycofać z gry. Tak czy inaczej, projekt zabrania Rosario z nami dogadzał mi jak najbardziej. Spojrzałem na nią i napotkałem jej wzrok podniesiony znad roboty, jakby w oczekiwaniu mego zdania. Wyczytawszy w moich oczach zgodę, poszła zaraz do swoich sióstr, które podniosły jednogłośnie protest twierdząc, że taki pomysł to szaleństwo. Ona jednak, nie przywiązując do tego najmniejszej wagi, wróciła po chwili ze swoim tobołkiem, otulona w grubą chustę. W drodze do oberży wykorzystując chwilę, kiedy Mouche wysunęła się naprzód, powiedziała mi prędko, takim tonem, jakby wyznawała jakąś ważną tajemnicę, że kwiaty zerwane przez moją przyjaciółkę nie rosną na Piedras Negras, ale na pewnej wyspie, którą mi wskazała ręką, w dawnej siedzibie misji, obecnie opuszczonej. Chciałem ją poprosić o dalsze wyjaśnienia, ale ona począwszy od tego momentu starała się nie pozostawać ze mną sam na sam, dopóki nie zainstalowaliśmy się w łodzi zbieraczy kauczuku. Po przebyciu płytkiego strumienia za pomocą

drąga, łódź płynęła teraz w górę rzeki, przybliżając się trochę do brzegu, by uniknąć potężnego naporu fal. W trójkątnym żaglu antycznej galery, luźno przytwierdzonym do rei, odbijały się blaski zachodu. W tym przedsiönku puszczy pejzaż wydawał się posępny, a zarazem uroczysty. Na lewym brzegu widać było ciemne, uderzająco smutne wzgórza łupkowe, porysowane strugami wilgoci. Na zboczach leżały bloki granitu, kształtem podobne do jaszczurów, tapirów, skamieniałych zwierząt. Nad zastygłą taflą bagniska wznosiła się masa złożona z trzech brył niby barbarzyński grobowiec, uwieńczony owalnym głazem, który przypominał żabę w chwili skoku. Wszystko tchnęło tajemnicą w tym kamiennym pejzażu prawie bez drzew. Od czasu do czasu ukazywało się jakieś wzgórze bazaltowe pośród nędznych, rozproszonych krzaków, przywodzące na myśl ruiny starożytnych świątyń, menhiry i dolmeny – szczątki zagubionego nekropolis, gdzie wszystko było milczeniem i bezruchem. Jak gdyby kwitła tam niegdyś jakaś dziwna cywilizacja ludzi odmiennych od tych, których znamy, i zagubiwszy się w pomroce wieków pozostawiła ślady architektury stworzonej w nieznanym celu. Pewna ślepa geometria znalazła swój wyraz w rozproszeniu tych głazów sterczących pionowo lub przewróconych i opadających ku rzece seriami: serię głazów prostokątnych, płasko toczonych, mieszanych, łączyły drogi wyłożone płytami, pełne strzaskanych obelisków. Były też wyspy pośrodku rzeki, niby zwały bloków erratycznych czy usypisko przedziwnych kamyków, pozostawionych tu i ówdzie przez fantastycznego przebijacza gór. Na widok każdej z tych wysp powracała do mnie na nowo obsesyjna myśl, dręcząca mnie od chwili dziwnego wyjaśnienia Rosario. Wreszcie, udając ton obojętny, spytałem o wyspę, która była dawniej siedzibą misji. „To Santa Prisca” – powiedział brat Pedro, jak gdyby zmieszany. „Powinna się nazywać wyspą świętego Priapa” – dodał Adelantado ze śmiechem, któremu zawtórowali natychmiast zbieracze kauczuku. W ten sposób dowiedziałem się, że od kilku lat ruiny dawnego klasztoru franciszkanów służyły jako schronienie dla par poszukujących ustronnego miejsca, którego nie mogły znaleźć w mieście. Tyle się w tym miejscu odbyło miłosnych schadzek – twierdził sternik – że sam panujący na tej wyspie zapach wilgoci, grzybów i dzikich irysów wystarczał, by obudzić żądzę w najenotliwszym mężczyźnie, choćby był kapucynem. Przeszedłem na dziób łodzi, aby usiąść koło Rosario, która miała taką minę, jakby czytała historię Genowefy z Brabantu. Mouche leżąc na worku kumaryny na środku łodzi, nie słyszała naszej rozmowy i nie miała pojęcia, że w tej chwili stało się coś, co zadecydowało o naszym wspólnym życiu. Nie odczuwałem żadnej przykrości ani ochoty – w tym momencie przynajmniej – żeby ją ukarać. Przeciwnie, w zmierzchu rozbrzmiewającym głosami ropuch w kępach trzciny i brzęczeniem owadów, które przyleciały zwolnić ze służby owady dzienne, czułem się dziwnie lekki, uspokojony zasłyszana w tej chwili haniebną wiadomością, jak człowiek, który nareszcie zrzucił z siebie ciężar dźwigany zbyt długo. Na brzegu ukazały się kwitnące magnolie. Pomyślałem o drodze, którą codziennie przebywa moja żona. Ale jej sylwetka niezbyt wyraźnie rysowała się w mojej pamięci, była jakby zatarta, zamazana. Okrągły brzuch łodzi przypominał mi koszyk, który w czasie mego dzieciństwa był łodzią moich cudownych podróży. Ramię Rosario tuż obok mego promieniowało ciepłem dziwnym i rozkosznym.

XVI

Noc sobotnia

W sposobie budowania swego domostwa ujawnia człowiek swoje pochodzenie. Dom Greków zbudowany jest z tych samych materiałów, które służą Indianom do wznoszenia szałasów, i te fibroidy, te liście palmowe, te ściany z trzciny i ubitej ziemi narzuciły mu swoje normy, które są funkcją ich odporności, tak samo jak w każdej architekturze świata. Ale wystarczyło minimalne podniesienie okapów, nieco większa szerokość podtrzymujących je krokwi, aby fasada przybrała wygląd frontonu i aby powstał architrav. Na pilastry wybrano pnie o szerokiej średnicy u podstaw, przez instynktowną chęć naśladowania kolumny doryckiej. Otaczający nas kamienisty krajobraz także dodaje swoją część do tego nieoczekiwanego hellenizmu. Jeśli chodzi o trzech braci Yannesa, których teraz poznałem, to ich twarze powtarzają, z wariantem kilku lat mniej lub więcej, ten sam profil płaskorzeźby z Łuku Triumfalnego. Dowiaduję się, że w sąsiedniej chatce, przeznaczony na nocne schronienie dla kóz, doktor Montsalvatje, o którym opowiadał mi już wczoraj Adelantado, porządkuje i odświeża swoje zbiory rzadkich roślin. Ale oto już idzie do nas, gestykulując i mówiąc przesadnym, afektowanym akcentem, ten uczony awanturnik, zbieracz kurary, liści yopo, korzeni peyotl i wszelkich znajdujących się w puszczy trucizn i środków oszałamiających o niezbyt dokładnie znanym działaniu, które on jednak pragnie zbadać i wypróbować. Nie interesując się specjalnie, kim jesteśmy, zielarz oszałamia nas z punktu terminologią łacińską, przeznaczoną dla zaklasyfikowania grzybów nigdy dotychczas nie widzianych, których jeden okaz rozciera między palcami, tłumacząc nam jednocześnie, dlaczego tak, a nie inaczej je nazwał. Nagle spostrzega, że nie jesteśmy botanikami, zaczyna śmiać się sam z siebie mówiąc, że powinien się nazywać Panem Wszechtrucizn, i pyta o wiadomości ze świata, z którego przybywamy. Odpowiadam coś, ale sądząc po roztargnionym wyrazie twarzy obecnych, moje informacje nie interesują tu nikogo. Doktor Montsalvatje w rzeczywistości chciał się czegoś dowiedzieć o faktach związanych z życiem samej rzeki. Połyka teraz proszek chininy, o który poprosił brata Pedro de Henestrosa. W poniedziałek wybiera się do Puerto Anunciación ze swymi zielnikami i wkrótce zamierza powrócić, gdyż znalazł nieznaną gatunek kalwarii, której sam zapach wywołuje halucynacje wzroku, a także kucyferę powodującą rdzewienie pewnych metali. Grecy dotykają wskazującym palcem skroni, jakby szukając tam kamienia obłądu. Adelantado śmieje się z dziwnego brzmienia, jakie przybierają w ustach zielarza niektóre słowa tubylcze. Zbieracze kauczuku natomiast twierdzą, że to wielki lekarz, i opowiadają o wrzodzie, który Montsalvatje przeciął ostrzem wyszczerbionego noża. Rosario zna go dobrze i uważa jego niezwykłą rozmowność po długich miesiącach milczenia za coś nader charakterystycznego dla jego osoby. Mouche, która przezwała zielarza panem Makbetem i rozmawia z nim po francusku, znudziła się w końcu jego

paplaniną i prosi Yannesa, żeby zawiesił jej hamak wewnątrz domu. Brat Pedro tłumaczy mi, że zielarz, absolutnie przy zdrowych zmysłach, lecz obdarzony bujną wyobraźnią, dla urozmaicenia sobie długich miesięcy samotności wymyślił długą listę swoich przodków, słynnych alchemików i heretyków, i uważa się za potomka w prostej linii Raimunda Lulio – którego uparcie nazywa Ramon Llull – twierdząc, że obsesja drzewa, wyraźna w traktatach Doktora Jasnowidzącego, nadawała mu już w czasach Ars Magna podobieństwo rodzinne. Ale gwar pierwszych rozmów i powitań milknie wokół misek z nie polewanej gliny, w których Grecy przynoszą kozi ser, rzodkwie i pomidory ze swego miniaturowego ogrodu warzywnego razem z kassawą, solą i wódką, którą podają najpierw – reminiscencja, być może mimowolna, odwiecznego obrządku soli, chleba i wina. Siedzimy teraz wokół pieca kuchennego, zjednoczeni odziedziczoną po przodkach potrzebą pilnowania ognia, żeby nie wygasł przez noc. Jedni opierają się na łokciu, inni siedzą z rękoma splecionymi pod brodą, kapucyn klęczy w swoim zakonnym habicie, kobiety rozciągnęły się na rozłożonym na ziemi kocu. Jastrząb z wywieszonym językiem ułożył się obok Polifema, jednookiego psa Greków. Wszyscy patrzymy w płomienie, które buzują pośród zbyt wilgotnych gałęzi, umierają w kolorze żółtym, by odrodzić się na nowo w niebieskim z blasku jakiejś przychylniej główki, podczas gdy w dole pierwsze polana spalają się na popiół. Ogromne, płaskie głazy na łupkowym zboczu, gdzie stoi dom Greków, przybierają fantastyczny aspekt stel, obelisków i monolitów, stercząc na tarasie, którego najwyższe stopnie nikną w ciemności. Dzień był ciężki. A jednak nikt nie decyduje się iść spać. Siedzimy tu jak urzeczony ogniem, odurzony jego żarem, każdy zamknięty w sobie, zamyślony bez udziału myśli, solidaryzujący się z innymi w uczuciu błogiego spokoju, który z sobą dzielimy i którym cieszymy się z przyczyny zasadniczej. Wkrótce na widnokrąg erratycznych bloków wypływa zimna jasność i księżyc ukazuje się za gęstym, oplecionym lianami drzewem, które zaczyna śpiewać głosem swoich świerszczy. Dwa białe ptaki przelatują, krzycząc, urywanym lotem. Przy rozpalonym ogniu rozwiązały się języki. Jeden z Greków narzeka, że kopalnia wydaje się już wyczerpana. Na to Montsalvatje wzrusza ramionami, twierdzi, że dalej w kierunku Wielkich Płaskowizy są diamenty we wszystkich łożyskach strumieni. W swoich ogromnych okularach, z łysiną spaloną od słońca, z piegowatymi rękoma o krótkich, grubych palcach, które przypominają rozgwiazdy, zielarz w mojej wyobraźni podnieconej jego słowami przybiera postać ducha ziemi, gнома strzegącego pieczar. Zaczyna mówić o złocie i w tej chwili wszyscy milkną, ponieważ człowiek chętnie słucha o Skarbach. Narrator – snujący swoją opowieść przy kominku, jak przystoi – wyczytał w dalekich bibliotekach wszystko, co na tym świecie napisano o złocie. I wkrótce pojawia się oddalony, lśniący księżycową poświatą miraż El Dorado. Brat Pedro uśmiecha się szyderczo. Adelantado słucha z kamienną twarzą, raz po raz dorzucając gałązek do ognia. Dla zbieracza ziół mit jest tylko refleksem rzeczywistości. Tam, gdzie szukano miasta Manoa, niżej i wyżej, na całym obszarze, jaki zajmuje rozległa i fantastyczna prowincja, diamenty znajdują się na wszystkich wybrzeżach i w głębi wód. „Aluwia” – sprzeciwia się Yannes. „A więc – ciągnie dalej Montsalvatje – istnieje masyw centralny, którego nie znamy, laboratorium alchemii telurycznej w olbrzymim spiętrzeniu gór o dziwnym kształcie, usianych kaskadami, gór pokrywających najmniej zbadaną na całej planecie strefę, na której pograniczu się znajdujemy. Tutaj należy szukać tego, co Walter Raleigh nazywał złożem głównym, matką złóż,

rodzicielką nieprzebranych ilości drogich kamieni rozrzuconych po setkach rzek. Wzmianka o tym, którego Hiszpanie nazywają Serguaterale, każe zielarzowi powołać się na świadectwo legendarnych awanturników, którzy wyłaniają się teraz z cienia, nazwani po imieniu, aby rozgrzać swe kolczugi i escaupiles (Escaupiles – kaftany wypchane watą, noszone przez Indian meksykańskich dla ochrony przed strzałami z łuku) przy naszym ogniu: Federman, Belalcazar, Spira, Orellana, a za nimi ich cymbaliści i gracze na sakabuszach, pod eskortą nekromantycznej trupy cyrulików, znachorów i buchalterów księgi zmarłych. Są tu jasnowłosi Niemcy o falujących brodach i Estremadurczycy z bródkami przyciętymi w szpic, owinięci w swe sztandary, na koniach, które jak rumaki Gonzala Pizarro otrzymały szczerozłote podkowy zaraz po wkroczeniu na ruchomą ziemię El Dorado. A przede wszystkim jest tu Filip Utrechtski, kastyljski „Urre”, który pewnego pamiętnego wieczora z wyżyn pagórka podziwiał miasto Manoa i jego cudowne alkazary, olśniony, oniemiały ze zdumienia pośród swych ludzi. Od tego czasu rozeszła się nowina i przez cały wiek trwało sondowanie puszczy, tragiczne klęski wypraw, błądzenie, kręcenie się w koło, zjadanie siodeł, chleptanie krwi końskiej, wielokrotna śmierć Sebastiana przebitego żądłami strzał. To wszystko odnosi się tylko do słynnych wypraw, gdyż kroniki zapomniały nazwisk tych, którzy w małych grupkach ginęli w płomieniu mitu, zostawiając swój szkielet wewnątrz zbroi u stóp jakiejś nieprzebytej ściany skał. Osłaniając ogień niby ekranem Adelantado przysunął do kominka siekiere, która zwróciła moją uwagę niezwykłością swego profilu: był to topór hiszpański z oliwkowym drzewcem, które szerniało nie odrywając się od metalu. Na drzewcu data z epoki konkwistadorów wygrawerowana nożem przez jakiegoś żołnierza-wieśniaka. Kiedy podawaliśmy sobie broń z rąk do rąk, milcząc, jakby pod wpływem tajemniczego wzruszenia, Adelantado powiedział nam, że znalazł ten topór w najgłębszym ostępie puszczy, pośród kości ludzkich, posępnego śmietnika rozrzuconych hełmów, mieczów i rusznic splątanych korzeniami drzewa. Tkwiąca pośrodku halabarda na wysokości człowieka wyglądała tak łudząco prawdziwie, jakby podtrzymywały ją niewidzialne ręce. Chłód ostrza przyniósł nam i złożył na dłoni rycerską baśń. Ulegliśmy czarowi legendy, spragnieni cudów. Po chwili na wezwanie doktora Montsalvatje przybyli znachorzy, którzy zablizniali rany, recytując magiczną formułkę z Bogoty, królowe olbrzymów Cicanohora, ludzie – amfibia śpiący na dnie jeziora i karmiący się zapachem kwiatów. Wkrótce powitaliśmy też Pieski-Karbunkuły, które miały diament między oczyma, Hydre, którą widzieli ludzie Federmanna, kamień Bezar o cudownych własnościach, znaleziony w brzuchach koźląt, potwory *tatunacha* o gigantycznych uszach, pod którymi mogło się schronić pięciu ludzi, inne dzikie bestie, które według opowiadania pewnego świątobliwego zakonnika miały nogi zakończone strusimi kopytkami. Przez dwa stulecia ślepcy na szlaku do Komposteli opiewali dzieje Harpii Amerykańskiej, wystawionej w Muzeum w Konstantynopolu, gdzie zginęła w paroksyzmie furii. Brat Pedro uważał za swój obowiązek uznać takie historie za dzieło Złego Ducha, kiedy relacje, jako pochodzące od mnichów, miały akcent prawdopodobieństwa, a jeśli były to opowiadania żołnierskie, przypisywał je chęci rozgłaszania bajek. Ale Montsalvatje bronił cudów twierdząc, że realność królestwa Manoa uznali misjonarze, którzy wyruszyli na jego poszukiwanie w pełni wieku Oświecenia. Siedemdziesiąt lat temu pewien sławny geograf stwierdził w swoim opisie naukowym, że na terenie Wielkich Płaskowyży znalazł coś, co przypominało baśniowe miasto, oglądane niegdyś przez Urre.

Istniały także naprawdę Amazonki i były to żony Indian zabitych przez Karaibów w czasie tajemniczych migracji do Imperium Kukurydzy. Z puszczy Majów wyłaniały się terasy, przystanie, pomniki, świątynie zdobne w cudowne malowidła, przedstawiające obrzędy kapłanów-ryb i kapłanów-szarańcz. Olbrzymie głowy ukazywały się spoza zwalonych drzew, spoglądając na swoich odkrywców oczyma o półprzymkniętych powiekach, straszniejszymi jeszcze niż martwe źrenice, przez swą wewnętrzną kontemplację śmierci. Były też szerokie Aleje Bogów, ustawionych obok siebie twarzą w twarz, bogów, których imiona na zawsze pozostaną nieznane, obalonych, zamordowanych po wielu stuleciach symbolizowania nieśmiertelności odmówionej ludziom. Na wybrzeżach Pacyfiku odkrywano olbrzymie rysunki, tak olbrzymie, że odkąd istniały, deptano po nich, nie wiedząc, że są pod stopami, rysunki nakreślone jakby po to, by je widziały z innej planety ludy, które pisały przy pomocy węzłów, karząc wynalezienie alfabetu śmiercią. Co dzień w puszczy ukazywały się nowe głazy pokryte rzeźbami, zjawiał się Wąż Upierzony, wyryty na dalekich urwiskach, i nikt nie zdołał odcyfrować tysięcy petroglifów przemawiających obrazami zwierząt, konstelacji gwiazd i tajemniczych znaków u wybrzeży Wielkich Rzek. Stojąc przed ogniem doktor Montsalvatje wskazywał odległe mesety ciemniejące głębokim szafirem w kierunku zachodu księżyca. Nikt nie wie, co się znajdowało za tymi górami – mówił tonem, który nam przypominał emocje zapomniane od czasów dzieciństwa. Wszyscy mieliśmy ochotę wstać i iść, dotrzeć przed świtem do wrót Cudów. Znowu rozbłysły wody Laguny Parima, znowu wyrosły w nas alkazary Manoa. Wiara w istnienie tych cudów znowu odżyła, gdyż ich mit żył w wyobraźni tych, którzy pozostali u progu puszczy, to znaczy u Wrót Nieznanego. I nie mogłem powstrzymać myśli, że Adelantado, górniczy greccy, dwaj zbieracze kauczuku i wszyscy ci, którzy rokrocznie po zimowej przerwie zapuszczali się w gęstwinę lasów, są w rzeczywistości tylko poszukiwaczami Eldorado, jak ci pierwsi, którzy wyruszyli w drogę przez morze na dźwięk magicznej nazwy. Doktor otworzył szklaną tubkę pełną ciemnych grudek, które po chwili rozbłysły na naszych dłoniach w blasku ognia. Dotykaliśmy Złota. Przybliżaliśmy jego bryłki do oczu, żeby stały się większe, ważyliśmy je w dłoniach gestem alchemika. Mouche polizała je nawet, żeby poznać ich smak. A kiedy kamyki wróciły do probówki, zdawało się, że ogień przestaje grzać, a noc ciemnieje. W rzece skrzeczały gigantyczne żaby. Nagle brat Pedro wrzucił do ognia swój kij, który zmienił się w różdżkę Mojżesza, gdy zakonnik podniósł z ziemi zabitego przed chwilą węża.

XVII

Niedziela, 17 czerwca

Wracam z kopalni i cieszę się z góry na myśl o rozczarowaniu Mouche, kiedy zobaczy, że bajeczna pieczara lśniaca od klejnotów, skarbiec Agamemnona, który z pewnością spodziewała się zobaczyć, jest w rzeczywistości dawnym łożyskiem potoku, wydrążonym, wydrapanym i przetrząśniętym na wszystkie strony, błotnistą jamą, którą łopaty przekopały z boków, w głębi, z góry na dół po dwadzieścia razy wracając do miejsca pierwszego odkrycia, w nadziei, że pozostał jeszcze gdzieś w błocie, na skutek poślizgnięcia się ręki, w odległości kilku milimetrów, cudowny kamień Bogactwa. Najmłodszy z poszukiwaczy diamentów opowiada mi po drodze o gorzkich trudach i udrękach tego zawodu, o przeżywanych co dzień rozczarowaniach i o dziwnym fatalizmie, który odkrywcy wielkiej gemmy, pogrążonemu w nędzy i długach, zawsze każe powracać do miejsca, gdzie ją znalazł. A przecież wszystkie złudzenia odżywają, ilekroć wyłoni się z ziemi niezwyklej diament i jego przyszły blask, przewidywany jeszcze przed oszlifowaniem; promieniujący poprzez lasy i kordyliery, wywołuje żywszy obieg krwi w żyłach tych, którzy po dniu daremnych poszukiwań zeskrobuja skorupę błota pokrywającą ich ciało. Pytam o kobiety i słyszę w odpowiedzi, że kąpią się w pobliskiej odnodze, gdzie nie ma niebezpiecznych zwierząt. Tymczasem już tutaj słysząc ich głosy. Głosy, które przybliżając się budzą we mnie niepokój, tak że wybiegam z domu zdumiony gwałtownością tych niezrozumiałych krzyków. Z początku przypuszczamy, że ktoś przyłapał je na brzegu bez ubrania albo obraził jakąś nieprzystojną propozycją. Ale oto nadbiega Mouche w przemoczonej sukni, wołając o pomoc, jakby uciekała przed strasliwym niebezpieczeństwem. Zanim mam czas się ruszyć, widzę Rosario, ledwie przykrytą jakimś grubym szlafrokiem, jak dogania moją przyjaciółkę, jednym pchnięciem powala ją na ziemię i zaczyna okładać kijem. Z włosami rozpuszczonymi na ramiona, ziejąc obelgami, bijąc jednocześnie kijem i drugą wolną ręką, kopiąc nogami, wygląda tak groźnie i dziko, że biegniemy wszyscy, żeby ją poskromić. Wyrwa się, kopie tych, co ją trzymają, z furją, która wyraża się już nie w słowach, ale w ochryplych pomrukach, w drganiu, które wstrząsa jej ciałem. Mouche, kiedy ją podnoszą, ledwie może utrzymać się na nogach. Ma dwa zęby złamane, krew jej cieknie z nosa, cała jest pokryta sińcami i zadrapaniami. Doktor Montsalvatje prowadzi ją do szałas z ziołami, żeby jej udzielić pomocy. Otaczamy tymczasem Rosario i próbujemy się dowiedzieć, co zaszło. Ale odmawia odpowiedzi i pogrąża się w upartym milczeniu. Usiadła na kamieniu ze spuszczoną głową i potrząsa nią przecząco z rozpaczliwym uporem, odrzucając przy tym na prawo i lewo czarne włosy, które zasłaniają jej twarz, wciąż jeszcze wykrzywioną gniewem. Idę do szałas. Oblepiona plastrami, cuchnąca apteką Mouche jęczy w hamaku zielarza. Na moje pytania odpowiada, że nie zna przyczyny tego napadu furii i że tamta chyba oszalała. Nie nalegając

zresztą zbytnio na ten ostatni punkt, pogrąża się we łzach i woła, że chce natychmiast wracać, że ta podróż ją zabije, że nie zniesie więcej i czuje się bliska obłędu. Zaczyna teraz mówić tonem błagalnym i wiem, że jeszcze do bardzo niedawna tym tonem, tak niezwykłym w jej ustach, byłaby ode mnie uzyskała wszystko. Ale w tej chwili widok jej ciała wstrząsanego łkaniem rozpacz, która wydaje się szczerą, nie budzi we mnie żadnego wzruszenia, czuję się opancerzony jakąś skorupą nieczułości, której sam sobie gratuluję, tak jak komuś obcemu wieszkuje się silnej woli. Nigdy bym nie przypuszczał, że Mouche po tak długim pożyciu stanie mi się kiedyś do tego stopnia obojętna. Po wygaśnięciu miłości, którą niegdyś może ją darzyłem – w tej chwili miałem nawet wątpliwości co do tego – mogłaby pozostać przynajmniej jakaś więź tkliwej przyjaźni. Ale refleksje, zmiany, powroty, które się we mnie dokonały w ciągu ostatnich dwóch tygodni, dodane do odkrycia z dnia poprzedniego, czynią mnie głuchym na jej prośby. Zostawiając ją we łzach i lamentach nad własną bezsilnością, wróciłem do chaty Greków, gdzie Rosario, trochę już uspokojona, zwinęła się w kłębek w swoim hamaku, z twarzą zasłoniętą rękami. Jakieś niezadowolenie marszczyło brwi mężczyzn, mimo że udawali zajętych czym innym. Grecy zbyt nerwowo krzżeli się przy gotowaniu zupy rybnej, wrzającej w ogromnym rondlu, a ożywione dyskusje na temat czosnku, oliwy i pieprzu nie brzmiały zbyt przekonująco. Zbieracze kauczuku w milczeniu naprawiali sandały. Adelantado zajęty był kąpieniem Jastrzębia; pies obżarł się padliną i bynajmniej nie zachwycony strugami wody wylewanymi na jego grzbiet, szczyrzył zęby na wszystkich, którzy mu się przyglądali. Brat Pedro przesuwiał paciorki swego różańca. U wszystkich wyczuwałem milczącą solidarność z Rosario. Czynnikiem niezgody, instynktownie odpychanym przez wszystkich, była tu Mouche. Wszyscy odgadywali, że gwałtowna reakcja tamtej była wywołana czymś, co ją upoważniało do takiego ataku furii – czymś, co zbieracze kauczuku mogli tłumaczyć na przykład zazdrością Rosario, zakochanej być może w Yannesie i rozwścieczonej dwuznacznym zachowaniem mojej przyjaciółki. Minęło parę godzin dusznego upału, w czasie których każdy zamknął się w sobie. W miarę jak przybliżaliśmy się do puszczy, obserwowałem w ludziach coraz większą skłonność do milczenia. Tym tłumaczył się może poważny, niemal biblijny ton pewnych uwag wygłaszanych w skąpych słowach. Mówiono powoli i z rozważą, każdy wysłuchał i wyciągnął wniosek, zanim odpowiedział. Kiedy cienie skał zaczęły gęstnieć, doktor Montsalvatje przyniósł nam z szałasów najmniej spodziewaną wiadomość: Mouche miała wysoką gorączkę. Przebudziwszy się z głębokiego snu, próbowała się podnieść majacząc, po czym zapadła w półsen wstrząsana drgawkami. Brat Pedro upoważniony długoletnim doświadczeniem, nabytym podczas swoich wędrówek, rozpoznał malarię, chorobę, do której zresztą w tych krajach nie przywiązywano zbyt wielkiej wagi. Wsunęto do ust chorej kilka pastylek chininy. Usiadłem przy niej wściekły. Na dwa dni przed zakończeniem mojej misji, kiedy już przekraczaliśmy próg Nieznanego i bliskość przeczuwanych cudów upiększała wszystko, co nas otaczało, Mouche musiała rozchorować się tak głupio, ukłuta przez jakiegoś insekta, który wybrał sobie właśnie ją, najmniej odporną na chorobę.

W ciągu ostatnich dni tutejsza przyroda, mocna, głęboka i nielitościwa zabawiała się tym, żeby ją rozbroić, zmęczyć, zesześcić i złamać, i wreszcie dziś ją dobiła. Zdumiewała mnie szybkość tej klęski, która była jak gdyby przykładną karą, odwetem autentyczności, prawdy. Mouche zdawała się tutaj postacią absurdalną, wziętą z przyszłości, w której nieprzebyte gęszcze leśne zastąpi topolowa aleja. Jej

czas, jej epoka były inne. Dla tych, wśród których żyliśmy teraz, wierność mężczyźnie, szacunek dla rodziców, prawość postępowania, dane słowo, honor, który obowiązywał, i obowiązki, które przynosiły honor, były wartościami stałymi, niewątpliwymi, wykluczającymi wszelką dyskusję. Uchybić pewnym kanonom znaczyło utracić prawo do szacunku innych, chociaż zabicie człowieka w porywie męskiego gniewu należało do przestępstw lżejszego kalibru. Jak w najbardziej klasycznych teatrach osoby na tej wielkiej scenie, obecnej i realnej, były wyciosane z jednej bryły Dobrego lub Złego, z materiału na Małżonkę Przykładną lub Wierną Kochankę, na Łotra lub Lojalnego Przyjaciela. Matkę Szlachetną lub Niegodziwą. Pieśni śpiewane na tych wybrzeżach opiewały w rytmie romansu historię małżonki zgwałconej, co umarła ze wstydu, i wiernej Mulatki, co przez dziesięć lat czekała na powrót męża, o którym wszyscy myśleli, że pożarły go mrówki w najgłębszej gęstwinie puszczy. Nie ulegało wątpliwości, że Mouche zawadzała tylko na tej scenie, i musiałem to uznać, jeśli nie chciałem się wyrzec wszelkiej godności, odkąd mi powiedziano o jej wyprawie na Santa Prisca w towarzystwie Greka. A jednak teraz, kiedy zwałił ją z nóg atak malarii, jej powrót pociągał za sobą i mój, co znaczyło, że muszę zrezygnować z mego jedyne go zadania, zadłużony, z pustymi rękoma stanąć przed jedyną osobą, na której szacunku mi zależało, wszystko po to, żeby eskortować kogoś, kogo teraz nienawidziłem. Odgadując być może przyczyny udręki, która musiała malować się na mojej twarzy, doktor Montsalvatje wystąpił z opatrnościową pomocą, podejmując się wywieźć stąd Mouche choćby jutro. Odstawiłby ją do jakiegoś miejsca, gdzie mogłaby w dobrych warunkach czekać na mój powrót. Zmuszać ją do dalszej podróży, póki nie odzyska sił po pierwszym ataku, byłoby niemożliwe. Nie jest biedaczka stworzona do takich wypraw. *Anima vagula, blandula* – zakończył ironicznie. Odpowiedziałem mu uściskiem.

Księżyc wypłynął znowu na niebo. Tam, u stóp wielkiego głazu, dogasa ogień, który zgromadził mężczyzn w pierwszych godzinach nocy. Mouche raczej wzdycha niż oddycha, w gorączce wymawia jakieś słowa, które brzmią jak bełkot. Czyjaś ręka dotyka mego ramienia: Rosario siada obok mnie na macie. Nie mówi ani słowa. Rozumiem jednak, że zbliża się moment wyjaśnień, i czekam w milczeniu. Krakanie ptaka, który krąży nad rzeką, budząc świerszcze na suficie, zdaje się skłaniać ją do decyzji. Głosem tak cichym, że ledwie mogę dosłyszeć, opowiada mi to, co podejrzewałem od pierwszej chwili. Kąpiel na brzegu rzeki. Mouche, dumna z piękności swego ciała, nigdy nie traci okazji, żeby jej dowieść, usiłuje więc skłonić Rosario, udając, że nie wierzy w jędrność jej kształtów, żeby zrzuciła szlafrok, którego nie zdjęła przez chłopską wstydlivość. Potem naleganie, zręczna prowokacja, ukazująca się nagość, pochwała jędrności jej piersi, twardości brzucha, gest pieszczoty i jeszcze jeden gest zbyteczny, który ujawnia Rosario zamiar oburzający wszystkie jej najgłębsze instynkty. Mouche, nie zdając sobie z tego sprawy, dopuściła się zniewagi, która dla kobiet tutejszych gorsza jest niż najgorsze wyzwisko, bardziej obraźliwa niż lżenie matki i ojca, niż wypędzenie za drzwi, niż wyklęcie łona, które rodziło, gorsza niż posądzenie o niewierność mężowi, gorsza niż najwulgarniejsze wyrazy oznaczające ładacznice. Tak mocnym blaskiem płoną jej oczy w ciemnościach na wspomnienie tej kłótni, że lękam się nowego wybuchu. Chwytam Rosario za przeguby obu rąk, a wskutek gwałtowności tego gestu przewracam nogą jeden z koszyków, w których zielarz przechowuje swoje zasuszone rośliny między warstwami liści malangi. Zасыpuje nas siano, gęste, szeleszczące, ogarnia nas falą zapachów, które

przypominają kamforę, sandał i szafran zarazem. Nagłe wzruszenie odbiera mi oddech: tak właśnie, prawie tak samo pachniał kosz czarodziejskich podróży, w którym przytulałem się do Marii del Carmen, gdy byliśmy dziećmi, obok grządek, gdzie jej ojciec siał bazylię i miętę. Patrząc na Rosario z twarzą przy twarzy, wyczuwam pod palcami pulsowanie jej żył i nagle dostrzegam tak silne, niecierpliwe pragnienie, coś tak pełnego oddania w jej uśmiechu – więcej niż uśmiechu, w uśmiechu stłumionym i zastygłym w oczekiwaniu – że rzucam się na nią ogarnięty żądzą ślepą na wszystko, co nie jest gestem posiadania. Łączy nas akt pospieszny i brutalny, podobniejszy do walki o zwycięstwo niż do miłosego zespolenia. Ale gdy znów odnajdujemy się jedno obok drugiego, dysząc ciężko, i odzyskujemy świadomość tego, cośmy zrobili, ogarnia nas ogromne zadowolenie, jak gdyby nasze ciała zawarły pakt, który stanie się początkiem nowego sposobu życia. Leżymy na zgniecionych ziołach, nieświadomi niczego poza naszą rozkoszą. Światło księżycy wpadające do szalasu przez otwarte drzwi obejmuje z wolna nasze stopy, sięga do kostek, a teraz ogarnia już łydki Rosario, która pieści mnie niecierpliwą ręką. Tym razem to ona rzuca się na mnie, wyginając kibić w niespokojnym pożądaniu. Ale jeszcze szukamy się wzajemnie, kiedy ochrypli głos, urywany głos zaczyna miotać obelgi tuż nad naszymi głowami, dociera do naszych uszu i rozłącza nas natychmiast. Potoczyliśmy się pod hamak zapominając o obecności Mouche jęczącej w gorączce tuż obok. I oto jej głowa pochyla się nad nami, roztargana niby głowa Gorgony, twarz wykrzywiona grymasem, cieknąca z ust ślina. „Świntuchy! – krzyczy Mouche. – Świntuchy!” Rosario, nie wstając z ziemi, kopie nogą hamak, żeby ją zmusić do milczenia. Wkrótce głos z góry rozplywa się w obłądnym bełkocie. Rozłączone ciała odnajdują się z powrotem i pomiędzy moją twarzą a trupioblada głowę Mouche, zwisającą z hamaka wraz z opuszczonym bezwładnie ramieniem, spada burza czarnych włosów. Rosario wpiera się łokciem w ziemię, by mi narzucić swój rytm. Kiedy znów zdolni jesteśmy słyszeć głosy tego świata, nic nas nie obchodzi kobieta jęcząca w ciemnościach. Mogłaby konać w tej chwili, wijąc się w bólach, i nie wzruszyłaby nas jej agonia. Żyjemy w innym świecie. Rzuciłem nasienie pod puszek, który głaszczę ręką władcy, przy wtórze radosnego pulsowania krwi.

XVIII

Poniedziałek, 18 czerwca

Wyprawiliśmy Mouche w drogę z okrucieństwem kochanków, którzy dopiero się odkryli, niepewni jeszcze cudu, nienasyчени sobą i gotowi zniszczyć wszystko, co mogłoby przeszkodzić ich połączeniu. Wsadziliśmy ją do łodzi Montsalvatjego, opatuloną w koc, szlochającą, niezupełnie przytomną, wmawiając, że jadę tuż za nią następną łodzią. Dałem zielarzowi znacznie więcej pieniędzy, niż było trzeba na opłacenie jej podróży, zainstalowanie i pokrycie wszystkich kosztów leczenia, zostawiając sobie zaledwie parę wybrudzonych banknotów i kilka monet, które zresztą na nic się nie przydadzą w puszczy, gdzie cały handel ogranicza się do przedmiotów najprostszych i artykułów pierwszej potrzeby, jak igły, noże, szydła. W tej szczodrości jest zresztą ukryta chęć uśpienia ostatniego skrupułu: tak czy inaczej Mouche w żadnym razie nie może jechać z nami i w ten sposób, co się tyczy strony materialnej, spełniam mój ostatni obowiązek. Bardzo zresztą możliwe, że skwapliwość, z jaką Montsalvatje podejmuje się zająć chorą, łączy się z nadzieją wynagrodzenia sobie wielu miesięcy abstynencji i pocieszenia się z kobietą bynajmniej niebrzydka. Nie tylko mnie to nie obchodzi, ale nawet ubolewam w głębi ducha nad brzydota botanika, która z góry skazuje go na niepowodzenie. Łódź odpłynęła już i znikła w dali, zamykając swoim zniknięciem pewien etap mojej egzystencji. Nigdy nie czułem się tak bardzo lekki, tak wygodnie zainstalowany we własnym ciele jak tego ranka. Yannes wydaje mi się nieco markotny, na moje ironiczne klepięcie po ramieniu odpowiada mi spojrzeniem pytającym, a zarazem pełnym wyrzutu, który jest nowym usprawiedliwieniem mojej bezwzględności. Poza tym wszyscy zdają sobie sprawę, że Rosario, jak się tutaj mówi, „zeszła się ze mną”. Otacza mnie staraniami, przynosi jedzenie, doi dla mnie kozy, ociera pot czystymi chusteczkami, czujna na moje słowa i moje milczenie, dbająca o mój odpoczynek z troskliwością, która napawa mnie dumą z tego, że jestem mężczyzną: tutaj przecież kobieta „służy” mężczyźnie w najszlachetniejszym sensie tego określenia, każdym swoim gestem stwarzając wspólne ognisko domowe. Ponieważ Rosario i ja nie mamy jeszcze wspólnego dachu, jej ręce są moim stołem, a kubek z wodą – który przybliży do moich ust, wyjąwszy zeń źdźbło trawy pływające na wierzchu – to filiżanka naznaczona moimi inicjałami pana domu. „Zobaczmy, czy się zdecyduje na jedną tylko żonę” – żartuje brat Pedro za moimi plecami, dając do zrozumienia, że wie, co się święci. Zmieniam temat rozmowy, nie chcąc wyznać, że już jestem żonaty i to w heretyckim obrządku, i podchodzę do Greka, który zbiera swoje manatki, żeby wyruszyć razem z nami w górę rzeki. Pewien, że tutejsze złoża są wyczerpane, jeszcze raz czując się oszukany przez los, chce się rozejrzeć gdzieś dalej, za Caño Pintado w strefie górskiej, o której jeszcze bardzo niewiele wiadomo. Honorowe miejsce w swoim tobołku rezerwuje dla jedynej książki, z którą podróżuje

wszędzie; taniego wydania „Odysei” w dwóch językach, oprawnego w czarną ceratę, ze stronicami spleśniałymi od wilgoci. Zanim na nowo rozstaną się z tą książką, bracia Yannesa, którzy umieją na pamięć całe partie tekstu, szukają przekładu hiszpańskiego na odwrocie stronicy i czytają fragmenty twardym, rąbanym akcentem, często wymawiając „u” zamiast „v”. W szkole powszechnej w Kalamata uczono ich także nazwisk tragiczków i znaczenia mitów, ale niejasne pokrewieństwo charakterów zbliżyło ich do awanturnika Ulissea, który podróżując w krainach cudów bynajmniej nie gardził złotem, zdolny obojętnie potraktować syreny, byleby nie utracić swego mienia w Itace. Pies, który postradał oko w walce z małym peccari, nazwany został Polifemem na pamiątkę Cyklopa, którego żalosną historię odczytywali po sto razy głośno przy ogniu w swoich obozowiskach. Pytam Yannesa, czemu porzucił ziemię swoich przodków, których odległą historię zna tak dobrze. Wzdycha i odmalowuje przede mną świat śródziemnomorski jako pejzaż ruin. Mówi o tym, co zostawił za sobą, tak samo jak mógłby mówić o muzeach mykeńskich, o pustych grobach, perystylach zamieszkałych przez kozy. Morze bez ryb, niepotrzebne *murices*, pomieszanie mitów, wielkie nadzieje zburzone. Potem morze, odwieczne rozwiązanie problemów dla ludzi jego krwi, i inne większe morze, które prowadzi dalej. Opowiada mi, że kiedy ujrzał pierwszą górę po tej stronie Oceanu, rozplakał się, gdyż była to góra czerwona, naga, podobna do surowych gór w jego kraju, porośłych ostami i tarniną. Ale tutaj dosięgła go miłość do cennych metali, zew podróży handlowych, który tyle mil morskich kazał przemierzyć jego przodkom. Kiedy znajdzie gemmę swoich marzeń, wybuduje sobie na brzegu morza, gdzieś, gdzie będą skały o stromych zboczach, dom z kolumnami – jak świątynia Posejdona. Znow zaczyna ubolewać nad losem swego narodu, otwiera tom na początku pierwszej księgi i woła: „O nędzo! Słuchajcie, jak śmiertelni sądzą bogów! Mówią, że od nas pochodzą ich klęski, kiedy to oni sami przez własną głupotę pogarszają nieszczęścia, jakie zsyła im Los”. „Zeus mówi” – dodaje górnik od siebie i prędko porzuca książkę, bo zbieracze kauczuku niosą na drągu jakieś dziwne zwierzę z kopytami, przed chwilą zabite. Z początku myślę, że to dzika świnia olbrzymich rozmiarów. „Tapir! Tapir!” – woła brat Pedro, składając ręce ze zdumienia, zanim podbiegnie do myśliwych z radością, która zdradza, jak bardzo mu się przejadł maniok rozpuszczony w wodzie, stanowiący jego główne pożywienie w puszczy. Potem następuje uroczyste rozpalenie ognia, obdarcie zwierzęcia ze skóry, poćwiartowanie. Widok udźców, poledwic i żeberek budzi w nas wilczy apetyt, zazwyczaj przypisywany dzikim. Obnażony do pasa, z całą uroczystą powagą, jaką wkłada w tę pracę, górnik grecki wydaje mi się w tej chwili straszliwie archaiczny. Gest, jakim wrzuca w ogień kilka włosków szczeciny z głowy zwierzęcia, ma w sobie coś wieszczego, coś, co mogłoby mi może wytłumaczyć którąś ze strof „Odysei”. Sposób nadziania mięsa na rożen po namaszczeniu go tłuszczem, sposób podania go na desce po skropieniu wódką odpowiada tak starym tradycjom śródziemnomorskim, że w chwili gdy mi kładą na talerz najlepszy kawałek pieczeni, na przeciąg sekundy Yannes przeobraża się w moich oczach w świniopasa Eumeusza. Nie skończyliśmy jeszcze uczyty, kiedy Adelantado wstaje od stołu i wielkimi krokami schodzi do rzeki, a za nim biegnie Jastrząb, preraźliwie szczekając. Dwie pirogi – dwa prymitywnie wydrążone pnie drzew – płyną z prądem, przy wiosłach siedzą Indianie. Zbliża się moment odjazdu i każdy dołącza swój tobołek. Prowadzę Rosario do chaty i kładziemy się znowu na podłodze, na której doktor Montsalvatje,

porządkując swoje kolekcje, rozsypał zioła wydzielające ostry, drażniący zapach, znany nam od wczoraj. Tym razem poprawiamy niezręczności i pośpiech pierwszych zbliżeń, lepiej opanowując składnię naszych ciał. Ciała lepiej dopasowują się jedno do drugiego, ramiona znajdują najdogodniejszą pozycję. Wybieramy i ustalamy po cudownym poszukiwaniu pozycje, które określą rytm i sposób naszego współżycia na przyszłość. Z wzajemnej nauki, której wymaga powstanie dobranej pary, rodzi się jej tajny język. Oto wyłaniają się z rozkoszy intymne słowa, wzbronione innym, które będą językiem naszych nocy. Jest to inwencja na dwa głosy, obejmująca terminy rozkoszy, tajników płci, słowa wyobrażane przez skórę, nazwy nieznane – wczoraj jeszcze nie do przewidzenia – które nadajemy sobie dzisiaj, kiedy nikt nas nie może usłyszeć. Dziś po raz pierwszy Rosario wymówiła moje imię, powtarzając je wiele razy, jakby trzeba było wymodelować jego sylaby – i moje imię w jej ustach przybrało dźwięk tak szczególny, tak nieoczekiwany, że czuję się jakby urzeczony czarem tego słowa, znanego mi najlepiej ze wszystkich, słysząc je wypowiedziane w sposób tak nowy, jak gdyby dopiero zostało stworzone. Przeżywamy niezrównaną radość pragnienia podzielanego i nienasyconego, a patrząc na to, co nas otacza, mamy wrażenie, jakbyśmy wspominali kraj nowych rozkoszy. Wskakuję do wody, żeby zmyć suche liście, które przyczepiły mi się do spoconych pleców, i śmieję się na myśl, że nasza historia zadaje kłam najstarszym tradycjom, ponieważ dla nas czas miłości przypadł w połowie pory suchej. Ale już moja kochanka schodzi nad rzekę, żegnamy się ze zbieraczami kauczuku i ruszamy w drogę. W pierwszej łodzi płynie Adelantado, Rosario i ja, w drugiej brat Pedro z Yannesem i bagażami. „Z Bogiem” – mówi Adelantado, siadając obok Jastrzębia, który węszy wiatr. Jego pysk wygląda jak maskotka na dziobie łodzi. Odtąd nie będziemy już płynąć pod żaglem. Słońce, księżyc, ogień, czasem błyskawice będą jedynymi światłami, które nam pozwolą widzieć nasze twarze.

*A więc tylko milczenie i bezruch
będą u stóp drzew, pośród lian?
Wobec tego trzeba, żeby byli tam
stróże.*

Popol-Vuh

Rozdział czwarty

XIX

Popołudnie, poniedziałek

Po dwóch godzinach żeglugi pośród wysp, półwyspów i pagórków z płaskich głazów odmieniających swą geometrię z różnorodnością, która już przestaje nas zadziwiać, roślinność średnich rozmiarów, niewiarygodnie gęsta – niezmiennie falujący i gorący masyw bambusów, dominujący nad sztywnością traw – zastępuje głazy nieskończoną monotonią intensywnej zieleni. Wymyślam sobie dziecinną zabawę zasugerowaną przez czarodziejskie opowieści doktora Montsalvatje przy kominku: jesteśmy konkwistadorami i płyniemy na poszukiwanie królestwa Manoa. Brat Pedro jest naszym kapelanem, który nam udzieli rozgrzeszenia, gdybyśmy zostali niebezpiecznie ranni w czasie wyprawy. Adelantado może być Filipem Utrechtskim. Grek to Micer Codro, astrolog. Jastrząb przeobraża się w Leoncico, psa Balboi. Co do mnie, to przypisuję sobie w tej wyprawie rolę trębacza Juana San Pedro, który podróżuje wraz z żoną porwaną w czasie zdobycia miasta. Indianie są Indianami i choć może wydać się to niezrozumiałe, przyzwyczailem się do dziwnego rozróżnienia kondycji, którą wyraża Adelantado, kiedy, bez najmniejszej zresztą złośliwości, opowiadając o którejś ze swoich wypraw, mówi: „Było nas trzech ludzi i dwunastu Indian”. Wyobrażam sobie, że to kwestia chrztu decyduje o tym rozróżnieniu, dodając cech realizmu powieści, którą układam, przejęty autentycznością dekoracji. Kępy bambusów na lewym brzegu, wzdłuż którego płyniemy, ustąpiły miejsca niewysokiemu lasowi, bez kolorowych plam. Las zanurza swe korzenie w wodzie, tworząc nieprzebytą zaporę sterczącą prosto, niby palisada, niby bezkresna ściana drzew wznoszących się pień po pniu aż po granice prądu, bez jednej szczeliny, bez jednej dostrzegalnej wzrokiem szpary. W świetle słońca rozproszonego nad wilgotnymi liśćmi ten mur roślinny przedłuża się do absurdu, tak że w końcu zdaje się dziełem człowieka zrobionym z teodolitu i ołowiu. Piroga zbliża się coraz bardziej do tego niedostępnego i wrogiego brzegu, który Adelantado obserwuje piędź za piędź, z wyteżoną uwagą. Trudno mi uwierzyć, żebyśmy mogli czegoś szukać w tym miejscu, a jednak Indianie wiosłują coraz wolniej, a pies ze zjeżoną sierścią patrzy w to samo miejsce, co jego pan. Uśpiony oczekiwaniem i kołysaniem łodzi, zamykam powieki. Nagle budzi mnie krzyk Adelantada: „Tu jest wejście!” O dwa metry od nas był pień, zupełnie taki sam jak inne, ani

szerszy, ani bardziej sękaty. Ale na korze był wyryty znak w kształcie trzech liter V, wyrysowanych pionowo, tak że jedna wchodziła w drugą, tworząc wzór, który mógłby się powtarzać w nieskończoność, ale tutaj mnożyło go tylko odbicie w wodzie. Obok tego drzewa otwierało się sklepione przejście, tak wąskie, że nie wyobrażałem sobie, jak piroga zdoła się tędy przecisnąć. A jednak wcisnęliśmy się w ten wąziutki tunel, tak ciasny, że brzegi czołna zawadzały o powykręcane korzenie. Rękoma i wiosłem trzeba było odpychać przeszkody i zapory, żeby kontynuować tę niewiarygodną żeglugę pośród splątanych zarośli. Ostro zakończona gałąź uderzyła mnie w ramię z taką gwałtownością, że aż krew popłynęła z szyi. Z drzew padała na nas nieznośna sadz roślinna, chwilami nieuchwytna jak pyłek kwiatowy błędzący w powietrzu, kiedy indziej ciężka niby garście trocin rzucane przez kogoś z góry. Prócz tego nieustająca kaskada włókien drażniących skórę, zgniłych owoców, włochatych nasion wyciskających łzy z oczu, odpadki cuchnącego pyłu brudzącego twarz. Silne uderzenie dziobu łodzi rozbiło gniazdo termitów, które rozlały się niby lawina brunatnego piasku. Ale to, co było pod nami, wydawało się jeszcze gorsze niż to, co rzucało cień. Między dwiema wodami kołysały się wielkie podziurawione liście, niby maski z brunatnego aksamitu, osłaniające pozorami roślinności utajony świat zwierzęcy. Pływały grona brudnych pęcherzy oblepionych warstwą czerwonego pyłku i spłoszone bliskim uderzeniem śmigła niezdecydowanie poruszającej się holoturii znikwały nagle w kanale stojącej wody. Dalej widać było niby strzępy gęstej, opalizującej gazy, zbierające się w wydrążeniach jakiegoś niby zamaskowanego głazu. Głucha wojna toczyła się w głębinach najeżonych kolcami i hakami, w miejscu, gdzie wszystko wydawało się ohydny kłębowiskiem węży. Niespodziewany plusk, nagłe fale na powierzchni, jak odgłosy policzków wymierzonych nad wodą, zdradzały ucieczkę niewidzialnych istot zostawiających za sobą bruzdy zmaconej zgnilizny, szarawe wiry powstające u stóp czarnych pni stoczonych przez robaki. Wyczuwało się bliskość ogromnej, pełzającej fauny, zastygłego bagna i wieczystej fermentacji pod tymi ciemnymi wodami, które wydzierały ostry zapach niby błoto zaprawione octem i zgnilizną, a na ich tłustej powierzchni spacerowały insekty, jakby stworzone do poruszania się po płynnych taflach: pluskwy, niemal przezroczyste białe pchły, muchy o powykręcanych łapach, drobnutkie pluskwiaki niby drgające punkciki w zielonym świetle, gdyż zieleń przetykana nielicznymi promieniami słońca była tak intensywna, że jasność, spływając z liści, powlekała się tonami mchu, który z kolei, w poszukiwaniu korzeni roślin, przybierał kolor dna bagien. Po pewnym czasie żeglugi po tej ukrytej odnodze podróżnik dostrzegł zjawisko podobne do tego, jakie znają górale zbłąkani wśród śniegów: zatracało się poczucie kierunku pionowego w jakiejś dezorientacji, aberracji wzrokowej. Nie wiadomo już było, co jest drzewem, a co jego odbiciem w wodzie. Nie wiadomo, czy jasność napływała z dołu, czy z góry, czy strop nad nami był wodą, a woda ziemią, czy szpary w gęstwinie liści to nie świetliste szyby wywiercone w zalanym wodą gruncie. Pnie, konary, liany odbijały się w wodzie pod kątem rozwartym lub ostrym, tak że w końcu zaczynało się wierzyć w jakieś złudne przejścia, korytarze, przełęczce, brzegi nie istniejące. Wraz z przewrotem w zewnętrznym wyglądzie rzeczy, w tej serii drobnych miraży w zasięgu ręki, rosło we mnie uczucie niepokoju, całkowitego gubienia się, niewypowiedziane przykre i dręczące. Tak jakby mi się kazano kręcić w kółko, żeby mnie zdeorientować przed wprowadzeniem na próg domu, którego położenie topograficzne miało być tajemnicą. Zadawałem sobie pytanie, czy wiosłarze zachowali

właściwe pojęcie długości czółna. Zaczynałem się bać. A przecież nic mi nie groziło. Wszyscy naokoło mnie wydawali się spokojni. Mimo to pod wpływem nieokreślonego lęku, rodzącego się z głębi instynktów, dyszałem ciężko, nie mogąc złapać powietrza. Do wszystkich przykrości dołączała się jeszcze wilgoć przyklejająca ubranie do skóry, ciepła, lepka wilgoć przenikająca wszystko niby tłusta maść i tym dotkliwsze stawały się nieustanne ukłucia komarów, rozlicznych owadów władających powietrzem w oczekiwaniu widliszków, które sprowadzi zmierzch. Na czoło spadła mi ropucha i po pierwszym odruchu wstrętu doznałem rozkosznego uczucia chłodu. Gdybym nie wiedział, że to ropucha, przytrzymałbym ją w rękę, by odświeżyć sobie skronie chłodnym dotykiem jej ciała. Teraz atakowały łódź z góry małe, czerwone pająki. I miliony pajęczyn rozpostartych wszędzie tuż nad wodą, wśród najniższych gałęzi. Przy każdym wstrząsie pirogi jej boki pokrywały się szarymi strzępami pajęczyn, w których pozostały jeszcze uschnięte osy, szczątki ważek, na pół ogryzione czółki, pancerze. Wszyscy byli brudni, lepiący się od brudu; koszule pociemniałe od potu, pochłapane błotem, żywicą, sokami drzew; twarze miały już woskowy odcień twarzy leśnych, rzadko widujących słońce. Gdy wypłynęliśmy na mały, wewnętrzny staw, którego wody umierały u stóp żółtego, płaskiego głazu, czułem się jak schwyty w potrzask, uciskany ze wszystkich stron. Adelantado zawołał mnie, żeby mi pokazać nieopodal miejsca, gdzie zatrzymały się pirogi, coś straszego: zdechły kajman, na pół zgniły, w chmurze zielonych much, których stada roiły się pod jego skórą. Z wnętrza ścierva rozbrzmiewało brzęczenie tak donośne, że chwilami brzmiało jak żałosna skarga: jakby głos ludzki – może głos płaczącej kobiety – wychodził z paszczy jaszczura. Uciekłem od tej ohydy, szukając ciepła mojej kochanki. Bałem się. Cienie gęstniały już w przedwczesnym zmierzchu i ledwie zdołaliśmy rozbić prowizoryczny obóz, zapadła noc. Każdy schronił się w zagłębieniu swego hamaka. Rechotanie żab rogatych zawładnęło lasem. Ciemność wypełniły szelesty, szepty, spłoszone ucieczki. Ktoś, nie wiadomo gdzie, zaczął wypróbować ustnik oboju. Groteskowa trąba zaśmiała się z głębi wód. Tysiące fletów o dwóch nutach, w różnych tonacjach, odpowiadało sobie poprzez gąszcz liści. Słysząc było coś jakby krzyk pawia, jakieś burczenie, świsty wznoszące się i opadające w dół, coś przebiegało pod hamakami, pełzało po ziemi, coś trzeszczało, skrzypiało, jakieś stworzenia brzęczały i piszczały jak małe dzieci, rżały na wierzchołkach drzew, potrzęsały grzechotkami w głębi nor. Byłem ogłuszony, przerażony, dygotałem w gorączce. Zmęczenie tego dnia, nerwowe wyczekiwanie wyczerpały moje siły. W chwili gdy sen przewyciężył trwogę, byłem już gotów skapitulować – krzyknąć ze strachu – byle usłyszeć głosy ludzkie.

XX

Wtorek, 19 czerwca

Gdy znów zajaśniał dzień, zrozumiałem, że przeszedłem Pierwszą Próbę. Ciemności zabrały ze sobą nocny strach. Myjąc twarz i piersi w rozlewisku wody stojącej, obok Rosario, która czyściła piaskiem naczynia do śniadania, miałem wrażenie, że dzielę w tej chwili wraz z tysiącem ludzi żyjących u niezbadanych źródeł Wielkich Rzek pierwotne uczucie, które rodzi się z każdych narodzin słońca, uczucie Piękna, piękności postrzegalnej fizycznie, radującej zarówno ciało, jak i intelekt; Piękności, której świadomość przeobraża się w tych dalekich stronach w dumę człowieka głoszącego się panem świata, najwyższym użytkownikiem stworzenia. W puszczy świt, jeśli chodzi o grę barw, jest znacznie mniej piękny od zmierzchu. Nad ziemią, która paruje odwieczną wilgocią, nad roślinnością spowitą w mgły, świt objawia się z szarzystą deszczu, w niezdecydowanej jasności, która nigdy nie wróży pogodnego dnia. Trzeba czekać parę godzin, nim słońce, już wysoko na niebie, ponad kopułami drzew, zdoła rzucić promień wyzwolonego światła na zieloną równinę. A jednak świt w puszczy zawsze odnawia wrodzoną, atawistyczną radość przodków, którzy przez tysiące lat w każdym poranku widzieli koniec swoich nocnych lęków, rejteradę groźnych ryków, ucieczkę cieni, porażkę widm i rozgromienie złych mocy. Z początkiem dnia odczuwam jak gdyby potrzebę przeproszenia Rosario za to, że nie możemy widywać się sam na sam podczas tej podróży. Rosario śmieje się. Zaczyna nucić coś, co musi być ludową romancą:

*Ledwie od wczoraj zaślubiona,
A tonąć muszę już we łzach.
Na tę żalostną moją dolę,
Na którą pomoc nie ma jak.*

Zwrotki romanicy złośliwe, pełne aluzji do narzuconej nam wstrzemięźliwości, rozbrzmiewały w moich uszach, kiedy wyruszywszy w dalszą drogę wypłynęliśmy na szeroki nurt, zagłębiający się w część puszczy, którą Adelantado określił jako puszcę prawdziwą. Woda, występująca ze swego łożyska, zatopiła olbrzymie połacie ziemi, tak że niektóre drzewa, powykręcane, oplecione lianami, zagłębionymi w mule przypominały zakotwiczone okręty; inne o czerwono – złotych pniach zdawały się przedłużać w mirażu głębin, a te z najstarszych wymarłych lasów, zbieleiałe, podobniejsze do marmuru niż do drzew, sterczały niby wysokie obeliski zburzonego miasta. Za okazami gatunków rozpoznawalnych, palm,

bambusów, namorzyn rzecznych, rozciągała się bujna roślinność, splątana gmatwanina lian, krzewów, roślin pnących, kolców, dzikich figowców. Od czasu do czasu migała pośród zieleni brunatna skóra tapira poszukującego strumienia, by zanurzyć w nim trąbę. Setki czapli na wysokich nogach czekało na brzegach lagun z wyciągniętym dziobem i szyją schowaną między skrzydła, póki nie nadleciał zagniewany samiec i nie wygiął grzbietu. Nagle tęcza kolorów objęła najwyższe gałęzie, na których z hałaśliwą radością trzepotały się papugi rozświetlając gwałtownym błyskiem mrok panujący w dole, gdzie od tysięcy lat wrzała głucha walka gatunków o to, by wspiąć się na górę, zepchnąwszy innych w dół, wydostać się na światło, dosięgnąć słońca. Niezwykła wybujałość niektórych wątych palm, rozłożystość pewnych drzew, które zaledwie jeden listek zdołały wysunąć ku słońcu, po wyczerpaniu soków kilku innych pni – były różnymi fazami prowadzonej nieustannie bitwy na płaszczyźnie pionowej, pośród rzadko rozsianych drzew zwycięskich, najwyższych, jakie kiedykolwiek widziałem. Drzewa te pozostawiały w dole, niby pełzający motłoch, rośliny upośledzone przez brak światła, i wychylały korony na czyste niebo, ponad wszelką walką, budując ze swych gałęzi gaje napowietrzne, nierealne, jakby zawieszane w przestrzeni, z festonami przezroczystych mchów przypominających podarte koronki. Czasem, po kilku setkach lat życia, któreś z tych drzew traciło liście, opadały zeń porosty, gasły orchidee. Ich tkanki starzały się, upodobniały do różowego granitu, a konary sterczały uroczyście w swej milczącej nagości, zachowując prawa niemal kamiennej architektury, która miała swoje symetrie, rytmy i kryteria równowagi, swoją krystalizację. Smagane deszczami, stawiając czoło burzom drzewo żyło jeszcze kilka setek lat, dopóki pewnego dnia piorun nie zepchnął go do nietrwałego świata na dole. Wówczas kolos, na zawsze związany z prehistorią, walił się z hukiem, jęcząc wszystkimi swymi drzazgami, rozrzucając swe szczątki na wszystkie strony, rozłupany na dwoje, wypełniony węglem i ogniem niebios, by tym skuteczniej niszczyć i palić wszystko u swoich stóp. Sto drzew ginęło z nim razem, zmiażdżonych jego upadkiem, przewróconych, wyrwanych z korzeniami, ciągnąc za sobą liany, które pękając rzucały się w niebo niby zerwane cięciwy łuku. W końcu martwy olbrzym leżał na tysiącletniej ściółce puszczy, jego wyrwane z ziemi korzenie tak były powikłane i rozgałęzione, że dwa strumienie wody dotychczas płynące osobno łączyły się nagle po wyrwaniu z ziemi tych głęboko tkwiących lemieszki, które wyłoniły się ze swych mroków, niszcząc gniazda termitów, otwierając kratery, zwabiając rzesze mrówkojadów biegnących w pośpiechu z wysuniętym rozdwojonym językiem.

Co mnie zdumiewało najbardziej, to niewiarygodny mimetyzm dziewiczej przyrody. Wszystko tu wydawało się czymś innym, niż było w istocie, stwarzając świat pozorów ukrywający rzeczywistość, poddając wątpliwościom wiele prawd. Kajmany czatujące w głębinach zatopionego lasu, nieruchome, z wyczekującą paszczą, wyglądały jak spróchniałe obalone pnie pokryte łuskami; liany zdawały się węzami, a węże lianami, jeśli nie miały na skórze deseni przywodzącego na myśl słoje drogocennych drzew, oceli, kraterów i krawędzi szkieletów koralu. Rośliny wodne tworzyły gęstą tkaninę, niby puszysty dywan ukrywający płynącą pod nim wodę, i udawały roślinność mocno tkwiącą korzeniami w ziemi; obłupana kora natychmiast przybierała konsystencję bobkowego listka w marynacie, a grzyby wyglądały jak nalot miedzi, jak rozsypana siarka, obok kameleona – oszusta, zbyt podobnego do uschłej gałęzi, barwy zbyt przypominającej lapis lazuli lub ołów w gorącożółte plamy, udające teraz plamy słońca

usiłującego przedrzeć się przez liście, które nigdy nie przepuszczały słońca w całości. Puszcza to świat kłamstwa, pułapek, oszustwa, i wszystko tu jest maską, podstępem, grą pozorów, metamorfozą. Świat jaszczurki-ogórka, kasztana-jeża, chryzalidy-stonogi, larwy z ciałem marchewki, ryby-torpedy rzucającej pociski w głębi lepkiego mułu. Gdy płynęliśmy przy brzegu, cienie roślinnych sklepień przesyłały łodziom powiew świeżości. Wystarczyło zatrzymać się na parę sekund, by to uczucie ulgi ustąpiło miejsca nieznośnemu swędzeniu, jakby nagle oblażło nas robactwo. Wszędzie, jak się zdawało, były kwiaty, ale w rzeczywistości prawie zawsze barwę kwiatów naśladowały liście o różnym stopniu dojrzałości lub rozkładu. Zdawało mi się, że widzę owoce, ale okrągłość, dojrzałą barwę owoców imitowały mokre bulwy, cuchnące aksamity, wargi roślin owadożernych, podobne do bratków zroszonych kroplami syropu, nakrapiane kaktusy niby wyrastające o piędź nad ziemią szafranowożółte tulipany z wosku. A gdy ukazywała się orchidea, gdzieś wysoko ponad bambusami, ponad gąszczem yoposów, zdawała się tak niedosiężna jak szarotka alpejska rosnąca na brzegu najgłębszej przepaści. Ale były też drzewa niezielone, które opasywały brzeg wstęgą barwy amarantu lub płonęły żółtym blaskiem gorejącego kwiatu. Nawet niebo czasem kłamało, kiedy przelewając swe wyżyny w rtec lagun, nurzało się w głębinach niewymiernych jak firmament. Tylko ptaki były tu prawdziwe w jasnej tożsamości swoich piór. Czaple nie kłamały, gdy ich szyja wyginała się w znak zapytania lub gdy zrywały się na krzyk stróżującego samca, wśród przerażonego furkotu białych piór. Nie kłamał zimorodek w czerwonej czapce, tak kruchy i maleńki, że sama jego obecność, podobnie jak fantastyczna wibracja kolibra, wydawała się rekwizytem z czarodziejskiej baśni. Nie kłamały też w odwiecznym pomieszaniu pozorów i błazeństw, w barokowej obfitości lian, wesołe małpki-wyjce, budzące nagłe zgorszenie swymi figłami i nieprzystojnym zachowaniem dużych dzieci o pięciu rękach. A ponad tym wszystkim, jak gdyby nie dość było oszałamiającego wszechświata w dole, odkrywałem nowy świat chmur, chmur tak odmiennych niż nasze, tak swoistych, zapomnianych od ludzi, utkanych z wilgoci olbrzymich lasów wezbranych wodą, jak pierwsze rozdziały Genesis; chmury jakby ze starego marmuru, poziome u podstaw, lecz wznoszące się do niewiarygodnych wysokości, nieruchome i posągowe jak bryła gliny, która przy pierwszych ruchach rąk garncarza zaczyna przybierać kształt amfory. Te chmury, rzadko z sobą połączone, zatrzymały się w przestrzeni, jakby zbudowane na niebie, podobne do siebie od niepamiętnych czasów, kiedy przydowały dzieleniu wód i tajemnicy pierwszych zlewisk.

XXI

Wtorek po południu

W południe zatrzymaliśmy się w cienistej zatoce, żeby dać wypocząć wioślarzom i rozruszać zdrtwiałe nogi. Korzysta z tej przerwy Yannes; odłączył się od nas, chce zbadać łożysko potoku, w którym według niego powinny się znajdować diamenty. Ale już od dwóch godzin wołamy go na próżno, odpowiada nam tylko echo na zakrętach błotnistego strumienia. Rozgniewany wzrastającym niepokojem oczekiwania brat Pedro rzuca gromy na tych, którzy dali się olśnić blaskowi złota i drogich kamieni. Słucham tego z niemiłym uczuciem, przekonany, że Adelantado, któremu przypisuje się odkrycie bajecznych złóż, może się obrazić. Ale on uśmiecha się tylko pod krzaczastymi brwiami i pyta drwiąco misjonarza, dlaczego w skarbcach Watykanu złoto i kamienie lśnią tak przepysznym blaskiem. „Ponieważ słuszne jest – odpowiada don Pedro – by najcenniejsze materie stworzone służyły ku czci tego, który je stworzył”. Potem, aby dowieść, że jeśli jest zwolennikiem przepychu ołtarzy, to jednak od kapłana wymaga pokory i skromności, występuje jak zwykle z ostrą krytyką światowych księży, nazywając ich nowymi handlarzami indulgencji i krzykaczami z ambony, łasymi na godności kościelne. „Odwieczna rywalizacja piechoty i artylerii” – śmieje się Adelantado. Jasne – myślę – że kler miejski musi wydawać się próżny i rozleniwiony, żeby nie powiedzieć skorumpowany, eremiecie pełniącemu przez czterdzieści lat apostołskie posłannictwo w puszczy. I żeby mu sprawić przyjemność, popieram jego słowa przykładami niegodnych księży i przekupniów w świątyni. On jednak przerywa mi szorstko: „Żeby mówić o złych, trzeba także znać innych”. I zaczyna mi opowiadać o ludziach nieznanach, o mnichach zamęczonych przez Indian z Marañon, o niejakiem błogosławionym Diego, okrutnie zamordowanym przez ostatniego z Inków, o Juanie de Lizardi przeszytym strzałami paragwajskimi, o czterdziestu zakonnikach zarżniętych przez heretyckiego pirata, których święta z Avila w jednej ze swych ekstatycznych wizji widziała wstępujących do nieba wśród paniki aniołów przerażonych ich straszliwymi twarzami. O tym wszystkim mówi brat Pedro, jakby się to działo wczoraj, jakby miał władzę nieograniczonego poruszania się w czasie. Może to dlatego, że pełni swoją misję w pejzażu bez daty – mówię sobie. Ale brat Pedro, widząc, że słońce skryło się poza górami, przerywa swoją hagiografię misjonarzy, żeby znów krzyknąć na Yannesa, i kieruje doń apostrofy, w których nie brak epitetu używanego zazwyczaj przez poganiaczy mułów w poszukiwaniu zbiegłego zwierzęcia. A gdy Grek zjawia się wreszcie, mnich zaczyna uderzać laską o kamień tak energicznie, że w mgnieniu oka wszyscy z powrotem siedzimy skurczeni w pirodze. Kiedy ruszamy, pojmując przyczynę gniewu brata Pedro na to spóźnienie górnika. Nurt staje się coraz bystrzejszy pomiędzy urwistymi brzegami, które wyglądają jak czarne skały, zapowiadając odmianę pejzażu. I nagle prąd rzuca nas na szeroką, żółtą rzekę, która spływa

wzburzona, przerywana przez wiry

I kłębowiska do Wielkiej Rzeki, przynosząc jej wody całej sieci rzecznej po jednej stronie Wielkich Płaskowyży. Napór wód wzrasta dziś niebezpiecznie pod ciężarem, który musiał gdzieś spaść. Podejmując rolę przewodnika, brat Pedro, wsparłszy stopy o dwie burty, kieruje pirogami przy pomocy swojej laski. Ale opór jest straszny – zapada noc, nim udaje nam się minąć najniebezpieczniejsze miejsca. Nagle coś dziwnego dzieje się z niebem, zrywa się zimny wiatr, podnosząc straszliwe fale, a drzewa sypią istną zamiecią zeschniętych liści. Tworzy się trąba powietrzna i nad wyjąca puszcza wybuch orkana. Wszystko się zapala zielonym płomieniem. Pioruny biją bez przerwy, jedna błyskawica nie zdążyła rozświetlić horyzontu, kiedy już druga wybiega naprzeciwko niej, w zygzakach, które znikają za ukazującymi się znowu górami. Migotliwa jasność napływająca z tyłu, z przodu, z boków, rozdierana co chwila konturami wysp, których drzewa sterczą nad spienioną wodą, to światło kataklizmu, deszczu aerolitów, wzbudza we mnie nagły strach, ukazując bliskość przeszkód, furie prądu, mnogość niebezpieczeństw. Nie ma ratunku dla tego, kogo ogarnie rozpętany żywioł, który chłoscze, unosi, wlecze naszą łódź. Oszolomiony, niezdolny stłumić trwogi, obejmuję ramionami Rosario, szukając ciepła jej ciała już nie gestem kochanka, lecz dziecka czepiającego się matki, i pozwalam się ułożyć na dnie czółna, wtulając twarz w jej włosy, żeby nie widzieć, co się dzieje, i uciec do niej od furii, która nas otacza. Ale trudno o tym zapomnieć, bo na dnie pirogi jest już pół piędzi ciepławej wody, chlupiącej od dziobu po rufę. Ledwie utrzymując równowagę czółen, płyniemy od kłębowiska do kłębowiska, zagłębiając dziób w leje, wspinając się po okrągłych głazach, podskakując naprzód, dokonując zawrotnych skrętów, by opaść w dół bokiem, wciąż na krawędzi przepaści, w otchłaniach piany, kurczowo uczepleni burt udręczonych łodzi, które trzeszczą na całej długości kilu. Na domiar złego zaczyna padać. Strach mój wzrasta na widok kapucyna z rozwianą brodą, rysującą się czarno w świetle błyskawic, który już nie kieruje czółnem, tylko się modli. Z zaciśniętymi zębami, osłaniając dłonią moją głowę, tak jak się podtrzymuje czaszkę niemowlęcia, Rosario wydaje się zdumiewająco spokojna. Adelantado leży na dnie łodzi, twarzą do dna, i przytrzymuje naszych Indian za pasy, żeby fala nie wyrzuciła ich za burtę i żeby dalej mogli bronić nas wiosłami. Straszliwa walka trwa jeszcze przez pewien czas, który moja trwoga przedłuża w nieskończoność. Pojmuję, że niebezpieczeństwo minęło, kiedy brat Pedro wraca na dziób i opiera stopy na burtach. Burza oddala się, zabierając swoje ostatnie pioruny tak nagle, jak je przyniosła, zamykając straszliwą symfonię swoich gniewów akordem długiego grzmotu i ciemność wypełnia się rechotem żab, które wyśpiewują swoją radość na wszystkich brzegach. Rozprostowując grzbiet, rzeka płynie dalej w stronę dalekiego oceanu. Wyczerpany napięciem nerwów usypiam na piersi Rosario. Ale już po chwili łódź wypoczywa na ławicy piasku i wiedząc, że znalazłem się znów na twardym gruncie, na który wyskakuje brat Pedro z głośnym „Chwała Bogu!”, rozumiem, że przeszedłem Drugą Próbę.

XXII

Środa, 20 czerwca

Po wielu godzinach snu pochwyciłem dzban gliniany i długo piłem wodę. Odstawiając go na bok i widząc, że znajduje się na wysokości mojej twarzy, jeszcze nie całkiem przebudzony, zorientowałem się, że leżę na ziemi na cienkiej słomianej macie. Pachniało dymem z palącego się drewna. Nad moją głową był dach. Przypomniłem sobie wylądowanie w małej zatoczce, drogę do wioski Indian, uczucie całkowitego wyczerpania i zimno, które skłania Adelantada do wmuszenia we mnie kilku łyków bardzo mocnej wódki – nazywają ją tu „ognisty żołądek” i Adelantado używa jej tylko jako lekarstwa. Za mną kilka Indianek, zupełnie nagich, nie licząc białej przepaski na biodrach, umocowanej sznurkiem przeciągniętym między pośladkami, miesiło ciasto przygotowując kassawę. Na ścianie z liści palmowych wisiały łuki i strzały do łowienia ryb i polowania, sarbatany, kołczany ze strzałami o zatrutych ostrzach, tykwy wypełnione kurarą i łopatki w kształcie lusterka, które służyły, jak się później dowiedziałem, do macerowania ziaren neutralizujących skutki odurzenia alkoholem. Proszek zażywało się przez rurki z kości ptaków. Naprzeciw wejścia, między ułożonymi na krzyż gałęziami, trzy wielkie czerwono-fioletowe ryby piekły się na warstwie żaru. Suszące się przed ogniem hamaki przypominały mi, dlaczego spaliśmy na ziemi. Nieco obolały po niewygodnie spędzonej nocy wyszedłem z chaty, rozejrzałem się wokół i przystanąłem olśniony, z okrzykiem, który nie był w stanie oddać mego zdumienia. Tam, za gigantycznymi drzewami wznosiły się olbrzymie złomy czarnej skały o bokach stromych, jakby skonstruowanych przy użyciu pionu: realna i żywa obecność pomników baśniowych. Musiałem przywołać na pamięć świat Boscha, wymaginowane wieże Babel, malarzy fantastycznych, obdarzonych największą zdolnością halucynacji, malarzy kuszenia świętych, by znaleźć coś podobnego do tego, na co teraz patrzyłem. I nawet gdy znalazłem jakąś analogię, prędko musiałem z niej zrezygnować ze względu na proporcje. To, co widziałem, było miastem tytanów, miastem rozlicznych i obszernych budowli: schody cyklopów, mauzolea tonące w chmurach, olbrzymie place w cieniu dziwacznych fortec z obsydianu bez strzelnic i mostów zwodzonych, fortec jakby wzniesionych po to, by bronić wejścia do jakiegoś królestwa niedostępnego dla człowieka. A dalej, na tle cirrusów, rysował się kształt kształtów: niewiarygodna katedra gotycka wysokości tysiąca metrów, z dwoma wieżami, nawą, absydą, z łukami przypornymi, ustawiona na stożkowatej skale z jakiegoś dziwnego minerału o ciemnych błyskach węgla. Dzwonnice tonęły w gęstych mgłach wirujących wokół granitowych iglic; w proporcjach tych kształtów, uwieńczonych zawrotnie opadającymi tarasami, otoczonych po obu bokach rurami organów, było coś tak nierealnego – siedziba bogów, trony i fotele przeznaczone dla obrad jakiegoś Sądu Ostatecznego – że urzeczony umysł nie próbował nawet interpretować tej oszałamiającej architektury telurycznej i nie

rozumiejąc akcentował jej pionowe, niezbadane piękno. Słońce rzucało w tej chwili refleksy rtęci na tę przedziwną świątynię raczej zawieszoną w niebie niż stojącą na ziemi. Na zwiewnych płaszczyznach, zarysowanych przez spowijający je cień, można było dostrzec inne kształty z tej samej rodziny geologicznej; z ich brzegów spływały stупiętrowe kaskady rozlewające się deszczem, nim dotarły do wierzchołków drzew. Przytłoczony tym ogromem zrezygnowałem po chwili i opuściłem wzrok do poziomu mojej własnej wysokości. Kilka chat stało na brzegu stawu o czarnych wodach. Zaczepiło mnie jakieś dziecko, niepewnie trzymające się na nogach, i pokazało mi maleńką bransoletkę zrobioną z nasion piwonii. Dalej, tam, gdzie biegały wielkie, czarne ptaki z pomarańczowymi dziobami, ukazało się kilku Indian niosących ryby na kij, przewleczone przez skrzela. Jeszcze dalej matki rodzin, z dziećmi przy piersi, zajęte były tkaniem. U stóp wielkiego drzewa Rosario prała moją bieliznę, otoczona staruszkami, które wrywały z ziemi mączyste korzenie. Klęcząc nad wodą z rozpuszczonymi włosami, z kością zamiast kijanki w ręku, miała w ruchach i sylwetce coś antycznego, co ją zbliżało dużo bardziej do kobiet tutejszych niż do tych, których skóra zbielała w ciągu wielu pokoleń. Zrozumiałem, dlaczego ta, która była teraz moją kochanką, wywarła na mnie takie wrażenie w dniu, kiedy ją ujrzałem, zawracającą od progu śmierci, na brzegu górskiej drogi. Jej tajemnica była emanacją dalekiego świata, którego światło i czas były mi nieznane. Dokoła mnie każdy zajęty był jakąś robotą, wypełniając w spokoju i za zgodą powszechną zadania, jakie dyktowało życie, poddane rytmom pierwotnym. Ci Indianie, których zawsze widziałem przez pryzmat opowieści mniej lub bardziej fantastycznych, niby istoty umieszczone na marginesie życia, wydawali mi się w swoim własnym środowisku absolutnymi panami swej kultury. Nic bardziej obcego ich rzeczywistości niż nedorzeczna koncepcja „dzikiego” człowieka. To, że nie znali rzeczy dla mnie niezbędnych i istotnych, bynajmniej nie świadczyło o ich prymitywizmie. Niezrównana precyzja, z jaką jeden z nich przeszywał strzałami ryby w stawie, choreograficzna zręczność, jaką wykazywał inny przy manewrowaniu sarbanem, zdyscyplinowana technika grupy mężczyzn pokrywających fibrem roślinnym zręby wspólnego domu, wskazywały na istotę ludzką, która osiągnęła stopień mistrza we wszystkich rzemiosłach, do jakich ją zmuszał teatr jej egzystencji. Pod kierownictwem starca tak pomarszczonego, że na całym ciele nie pozostało ani kawałka gładkiej skóry, gromada chłopców ćwiczyła się w strzelaniu z łuku, z zachowaniem najsurowszych reguł. Mężczyzn charakteryzowały mocne ramiona i barki rozwinięte wiosłowaniem, kobiety miały brzuchy stworzone do macierzyństwa, szerokie biodra i wysoko osadzone miednice. Można było dostrzec profile zdumiewająco szlachetne, z orlim nosem i wspaniałymi warkoczami. Rozwój ich ciała dokonywał się jako funkcja użyteczności. Palce-narzędzia do chwytania – były mocne i szorstkie, nogi-narzędzie do chodzenia – miały solidne kostki i wiązania. Nie było tu rzemiosł bezużytecznych jak te, którymi ja od tylu lat się trudziłem. Pogrążony w tych myślach szedłem w kierunku Rosario, kiedy nagle Adelantado ukazał się na progu jakiejś chaty, wołając mnie radośnie. Znalazł to, czego poszukiwałem w tej podróży i co było celem mojej misji. Na ziemi, koło czegoś na kształt pieca, leżały instrumenty muzyczne, których odszukanie powierzono mi na początku miesiąca. Ze wzruszeniem pielgrzyma dotykającego relikwii, dla której przeszedł piechotą dwadzieścia krajów cudzoziemskich, położyłem rękę na cylindrze z wypalonymi w ogniu ozdobami, z rączką w kształcie krzyża. Instrument ten oznaczał przejście od

pałeczki rytmicznej do prymitywnego bębna. Potem zobaczyłem rytualną tykwę, przebitą pośrodku pierzastą gałązką, trąby z rogów kozich, obręcze z grzechotkami i gliniane *botute* do zwotywania rybaków zbłąkanych na bagnach. Były tam też fujarki w ich pierwotnej formie, poprzedniczki organów. A przede wszystkim, tchnący tą nieprzyjemną powagą, którą przybiera wszystko, cokolwiek z bliska styka się ze śmiercią, dzban o dźwięku ochryłym i posepnym, z grobowym rezonansem, z dwoma dziobami po bokach, taki, jakim przedstawia go książka, gdzie jest opisany po raz pierwszy. Po dokonaniu transakcji, która uczyniła mnie posiadaczem tego arsenału przedmiotów stworzonych przez najszlachetniejszy z instynktów ludzkich, miałem wrażenie, że rozpoczynam nowy cykl mojej egzystencji. Misja była wypełniona. Dokładnie w dwa tygodnie osiągnąłem wyznaczony cel w sposób naprawdę godzien pochwały i dumny z tego z rozkoszą dotykałem trofeów spełnionego obowiązku. Zdobyte dzbana dźwięczącego wspaniałego okazu – było pierwszym wyjątkowym, godnym zapamiętania czynem, jaki dotychczas zapisał się w historii mego życia. Przedmiot ów wzrastał w mojej własnej ocenie jako coś związanego z moim losem, usuwając w tej chwili odległość dzielącą mnie od kogoś, kto mi powierzył to zadanie i może myślał o mnie teraz, ważąc na dłoni jakiś prymitywny instrument takim samym gestem jak ja. Milczałem przez pewien czas, który wewnętrzne zadowolenie wyzwoliło z wszelkiej miary. Gdy odzyskałem ponownie świadomość czasu, przeciągając się leniwie jak śpiący, który dopiero otworzył oczy, zdawało mi się, że coś we mnie dojrzało, objawiając się w osobliwej formie jak gdyby wielkiego kontrapunktu Palestriny, rozbrzmiewającego w mej głowie majestatem wszystkich swoich głosów.

Wychodząc z chaty w poszukiwaniu lian do związania mojej zdobyczy, zaobserwowałem, że jakieś niezwykle zamieszanie przerwało rytm pracy we wsi. Brat Pedro poruszał się z lekkością tancerza, wchodząc i wychodząc z domu gminy, a za nim Rosario w gronie rozszczebiotanych Indianek. Naprzeciw wejścia, na desce wspartej na wbitych w ziemię gałęziach, misjonarz rozłożył koronkowy obrus, zniszczony, cerowany nićmi różnej grubości, a po obu bokach ustawił dwa wazony z żółtymi kwiatkami. Pośrodku umieścił krzyż z czarnego drzewa, który nosił zawieszony na szyi. Potem z brązowej skórzanej teczki bardzo wytartej, z którą nie rozstawał się nigdy, wydobyl naczynia liturgiczne, wyszczerbione i zardzewiałe, i oczyściwszy je mankietem rękawa, rozłożył na obrusie. Ze wzrastającym zdumieniem patrzyłem, jak Kielich i Hostia zajmują swoje miejsce na ołtarzu, jak puryfikaterz rozkłada się nad Kielichem, a Korporał między dwiema rytualnymi świeczkami. Wszystko to w tym miejscu wydało mi się niedorzeczne i wstrząsające zarazem. Wiedząc, że Adelantado uważa się za wolnomyśliciela, rzuciłem mu pytające spojrzenie, jak gdyby chodziło o coś zupełnie innego i nie mającego związku z religią, wspomniawszy coś o mszy dziękczynnej, przyrzeczonej w czasie burzy wczorajszego wieczora. Zbliżył się do ołtarza, tam gdzie już stali Rosario i Yannes, który zapewne czcił jakąś ikonę i stanął obok mnie mówiąc coś półgłosem o tym, że Chrystus był jeden. Indianie przyglądali się z daleka. Wódz gminy, pomarszczony jak pieczone jabłko i obwieszony naszyjnikami z kłów zwierzęcych, obserwował ceremonię z nieco mniejszej odległości, w pozie pełnej szacunku. Matki uciszały krzyżące dzieci. Brat Pedro zwrócił się do mnie: „Mój synu, ci Indianie odmawiają łaski chrztu świętego. Nie chciałbym, żeby cię widzieli obojętnym. Jeśli nie chcesz tego uczynić w imię Boga, zrób to

dla mnie”. I wykorzystując najbardziej uniwersalną z przyczyn wahania, dodał surowo: „Przypomnij sobie, że byłeś z nami w tej samej łodzi i także się bałeś”. Nastąpiła chwila ciszy. Potem: *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen.* Uczułem w gardle jakąś bolesną suchość. Te niezmiennione od wieków słowa przybierały cudowny majestat w sercu puszczy, jakby wyrosłe z katakumb pierwszego okresu chrześcijaństwa, z bractw jego początków, odnajdując na nowo pod tymi drzewami, nie tkniętymi ręką człowieka, funkcję heroiczną, dawniejszą niż hymny triumfalne intonowane w katedrze, starszą niż dzwonnice wzniesione w świetle dnia, Sanctus, Sanctus, Sanctus, Dominus, Deus Sabaoth... Pnie drzew były kolumnami, które rzucały cień. Liściaste sklepienie nad naszymi głowami roiło się od niebezpieczeństw. A wokół nas stali niewierni, czciciele bożków, podziwiając misterium spoza firanki, z przedsionka świątyni, spoza przegrody lian. Wczoraj wyobrażałem sobie dla zabawy, że jesteśmy konkwistadorami w drodze do Manoa. Ale oto nagle jak objawienie uderza mnie myśl, że nie ma żadnej różnicy między tą mszą a tymi, których słuchali konkwistadorzy, poszukiwacze El Dorado w równie dalekich ziemiach. Czas cofnął się o cztery wieki. Oto jest msza Odkrywców, którzy przybyli do bezimiennych wybrzeży i znaczą ślady swej wędrówki na Zachód, ku zdumieniu Ludzi Kukurydzy. Ci dwaj – Adelantado i Yannes – klęczący po obu stronach ołtarza, wychudli i szerniali, jeden z twarzą estremadurskiego wieśniaka, drugi z profilem znachora świezo wpisanego do rejestrów Casa de Contratacion, to dwaj żołnierze Konkwisty, przywykli do solonego mięsa i zjełczałych pokarmów, odporni na febrę, pogryzieni przez bestie, modlą się teraz w pozie tych, co złożyli ofiarę, nie opodal hełmu konkwistadorów porzuconego wśród traw o cierpkich sokach. *Miserere nostri, Domine, miserere rostr. Fiat misericordia* – śpiewa jałmużnik Ekspedycji z akcentem, w którym zatrzymał się czas. Może jest teraz rok 1540. Nasze okręty uszkodziła burza i teraz opowiada nam mnich słowami Pisma Świętego o tym, jak na morzu zerwał się wichur tak silny, że fale zalewały łódź. A On spał. „I przystąpili do Niego uczniowie Jego i obudzili Go mówiąc: Panie, ratuj nas, giniemy. I rzekł im: czemu jesteście bojaźliwi, małej wiary. Wtem powstawszy rozkazał wiatrom i morzu i stała się cisza wielka”. Może mamy teraz rok 1540. Ale to nie jest pewne. Lata kurczą się, rozpraszają, zacierają w zawrotnym biegu wstecz. Jeszcze nie weszliśmy w wiek XVI. Żyjemy znacznie wcześniej. Żyjemy w Średniowieczu. Bo nie człowiek Renesansu dokonuje Odkrycia i Konkwisty, lecz człowiek Średniowiecza. Uczestnicy wielkiej wyprawy opuszczają Stary Świat nie przez bramę z antycznymi kolumnami, przechodzą pod łukiem romańskim, którego wspomnienie zabrali ze sobą, by zbudować pierwsze kościoły po drugiej stronie Oceanu, na skrwawionych fundamentach teocalli. Krzyż romański, zdobny w obcęgi, dzidy i gwoździe, został wybrany do walki przeciw tym, którzy podobnych atrybutów używali do swoich ofiar całopalnych. Średniowieczne są zabawy w diabłów, parady błaznów, tańce Parów Francji, ballady o Karolu Wielkim, tak wiernie przechowane w tyłu miastach, jakie zwiedziliśmy ostatnio. I w tej chwili uświadamiam sobie tę zadziwiającą prawdę: od tego dnia Bożego Ciała w Santiago de los Aguinaldos żyję we wczesnym Średniowieczu. Jakiś przedmiot, część garderoby czy lekarstwo mogą należeć do innej epoki. Ale rytm życia, środki żeglugi, kaganek i rondel miedziany, długość godzin, istotne funkcje konia i psa, sposób oddawania czci świętym są średniowieczne – tak samo prostytutki wędrujące od wsi do wsi w dni odpustu, jak dzielni patriarchowie, dumni, że mogą uznać czterdziestu swoich synów z różnych matek –

wszyscy proszą świętych o błogosławieństwo. Rozumiem teraz, że żyłem wśród owych mieszczan, chętnie zagląających do kielicha, zawsze gotowych poszczypać jakąś służebną czy oberżystkę, ludzi, których beztroska egzystencja tak często pobudzała mnie do marzeń w muzeach; krajałem różowe prosiaki przy ich stołach biesiadnych i dzieliłem ich upodobanie do ostrych przypraw korzennych, to upodobanie, które kazało im szukać nowych dróg do Indii. Znałem z setki obrazów ich domy z czerwoną, kaflową podłogą, ich ogromne kuchnie, nabijane gwoździami drzwi. Znałem ich zwyczaj noszenia pieniędzy w sakiewkach u pasa, tańczenia nie trzymając za rękę tancerki, ich zamięłowanie do instrumentów smyczkowych, do walki kogutów, do tęgich pijatyk wokół pieczeni na rożnie. Znałem ślepców i kaleki z ich ulic, maści, plastry i balsamy, którymi leczyli swoje dolegliwości. Ale znałem ich poprzez werniks pinakoteki, jak dokument przeszłości minionej bezpowrotnie. I oto nagle ta przeszłość stała się terażniejszością. Dotykam jej i wdycham ją. Widzę już z daleka oszałamiającą możliwość podróżowania w czasie, tak jak inni podróżują w przestrzeni. *Ite missa est. Benedkamus Domino, Deo Gratias.* Msza kończyła się, a wraz z nią Średniowiecze. Ale cyfry dat zmniejszały się nadal. Cofając się w popłochu, lata opróżniały swój ładunek, zawracały, zacierają się wypełniając kalendarze, zwracając miesiące, od stuleci o trzech cyfrach przechodząc do wieków jednocyfrowych. Święty Graal utracił swój blask, gwoździe odpadły z krzyża, przekupnie powrócili do świątyni, gwiazda betlejemska zgasła i nastąpił rok Zero, w którym Anioł Zwiastowania powrócił do nieba. I znów zaczęły rosnać daty po drugiej stronie roku Zero do dwóch, trzech, pięciu cyfr, aż do dnia, kiedy człowiek, zmęczony wędrowaniem po ziemi, wymyślił rolnictwo, zakładając swe pierwsze osiedla na brzegach rzeki i odczuwając potrzebę poważniejszej muzyki, przeszedł od pałeczki rytmicznej do bębna, który był cylindrem drewnianym z wypalonymi w ogniu ozdobami, wynalazł organy dmuchając w prostą łodygę trzciny, i zaczął oplakiwać zmarłych każąc ryczeć amforze glinianej. Jesteśmy w epoce paleolitu. Ci, co dyktują tu prawa, sprawują nad nami władzę życia i śmierci, posiadają sekrety pożywienia i trucizny; ci, którzy obmyślają technikę, to ludzie używający noża i widelca z kamienia, haczyka z cierni, a strzały z kości. Jesteśmy intruzami, ciemnymi cudzoziemcami, przybłędami bez przeszłości, w mieście, które się rodzi o świcie Historii. Gdyby ogień, który w tej chwili wachlują, zgasł nagle, nie potrafilibyśmy go rozpalić na nowo gołymi rękami.

XXIII

Czwartek, 21 czerwca

Znam sekret Adelantada. Wczoraj mi go wyznał przy ognisku, tak żeby Yannes nie mógł nas słyszeć. Mają tu go za odkrywcę skarbów, za króla murzyńskiego, za właściciela niewolników; inni wyobrażają sobie, że trzyma kilka kobiet w jakimś leśnym gineceum, że podróżuje samotnie tylko dlatego, żeby jego kochanki nie widywały innych mężczyzn. Prawda jest dużo piękniejsza. Kiedy mi ją powiedział w kilku słowach, olśniła mnie wizja możliwości, której nigdy by sobie nie wyobraził – jestem tego pewien – żaden człowiek mego pokolenia. Przed zaśnięciem, w ciemnościach izdebki, gdzie z rytmicznym zgrzytem lin lekko kołysały się nasze hamaki, mówię do Rosario przez siatkę, że nasza podróż potrwa jeszcze parę dni. A gdy obawiam się spotkać z jakimś niezadowoleniem z jej strony, zmęczeniem lub niepokojem o powrót, Rosario bez zastrzeżeń wyraża swoją zgodę. Nie obchodzi jej, dokąd jedziemy, i nawet nie pyta, czy to daleko, czy blisko. Dla Rosario nie istnieje takie pojęcie, jak „być daleko” od jakiegoś miejsca, które ją pociąga, które w jakiś szczególny sposób sprzyja pełni życia. Dla Rosario, która przywykła przekraczać granice, nie przestając mówić tym samym językiem i nigdy nie myślała o przebyciu oceanu, centrum świata jest tam, gdzie słońce w południe rzuca promienie pionowo. Rosario jest kobietą tej ziemi i dopóki się chodzi po twardym gruncie, je się, jest się zdrową i istnieje mężczyzna, któremu można służyć w nagrodę za to, co w jej języku nazywa się „przyjemnością ciała”, wypełnia się przeznaczenie, którego lepiej zanadto nie analizować, gdyż rządzą nim „sprawy wielkie”, a mechanizm tych spraw jest niejasny, w każdym razie nie do zrozumienia dla człowieka. Toteż, twierdzi Rosario, niedobrze jest myśleć o pewnych rzeczach. Mówiąc o sobie zawsze używa trzeciej osoby: „twoja kobieta”, „twoja kobieta już spała”, „twoja kobieta szukała cię”... I w tym stałym powtarzaniu zaimka dzierzawczego odnajduję jak gdyby trafność koncepcji, ścisłość określenia pewnych sytuacji, czego nie oddałoby nigdy słowo „żona”. Pojęcie „twoja kobieta” jest afirmacją dawniejszą niż wszystkie intercyzy, wszystkie sakramenty. Wyraża pierwotną prawdę owego słowa „macica”, które wstydlivi tłumacze Biblii zastępowali słowem „wnętrzości”, tłumiąc niekiedy donośne głosy proroków. Zresztą ta prostota i ścisłość słownika jest zwyczajem Rosario. Mówiąc o pewnych intymnych sprawach naturalnych, o których jako kochanek powinienem wiedzieć, używa wyrażeń jednoznacznych, przywodzących na myśl owe „obyczaje kobiet”, o których Rachel mówi Labanowi. Tego wieczora „twoja kobieta” żąda tylko, żebym ją zabrał ze sobą, gdziekolwiek pójdę. Chwyta swój tobołek i idzie za mężczyzną, nie pytając o nic więcej. Bardzo mało wiem o niej. Nie mogę zrozumieć, czy ma krótką pamięć, czy też nie chce mówić o przeszłości. Nie ukrywa, że żyła z innymi mężczyznami. Ale ci oznaczali w jej życiu etapy, których sekretu broni z godnością – albo może dlatego, że uważa za

niedelikatne pozwolić mi przypuszczać, że cokolwiek, co istniało przed naszym spotkaniem, może mieć jakieś znaczenie. Życ w ten sposób, wyłącznie w terażniejszości, nie posiadając nic, nie wlokąc za sobą dnia wczorajszego, nie myśląc o jutrze – to coś, czego nie rozumiem. A jednak nie ulega wątpliwości, że taka mentalność musi znacznie rozszerzać godziny od wschodu do zachodu słońca. Rosario mówi o dniach bardzo długich i bardzo krótkich, jak gdyby następowały po sobie w różnych czasach – czasach symfonii telurycznej, która także ma swoje andante i swoje adagio pośród dni wypełnionych ruchem presto. Najdziwniejsze jest to, że teraz – kiedy nigdy nie kłopotzę się, która godzina – dostrzegam i ja również odrębne wartości jednakowych okresów czasu, przedłużenie niektórych ranków, drobiazgową elaborację zmierzchu, zdumiony wszystkim, co zawierają w sobie pewne momenty tej symfonii, którą odczytujemy na odwrót, od prawej do lewej, w kierunku przeciwnym do klucza słonecznego, cofając się do miar i taktów Genesis. O zmierzchu bowiem trafiliśmy na habitat ludzi o kulturze znacznie wcześniejszej niż ci, u których byliśmy wczoraj. Z okresu paleolitu – okresu rzemiosł równoległych do rzemiosł okresu magdaleńskiego i orinjaceńskiego, które tylekroć kazały mi się zatrzymywać nad kolekcjami narzędzi litycznych, z jakimś „dalszych stawek nie ma” zawracającym mnie na nowo do początków dziejowej pomroki – wkroczyliśmy w świat cofający granice życia ludzkiego do najciemniejszych zakątków tej pomroki. Te stworzenia, które tu widzę – z rękoma i nogami tak bardzo podobnymi do moich – te kobiety o płaskich piersiach zwisających na wydęte brzuchy, te dzieci skręcające się w kłębek i prostujące grzbiety kocim gestem, ci ludzie, którzy nie znają uczucia pierwotnego wstydu nawet na tyle, by zakryć organy rozrodcze, którzy chodzą nago, nie wiedząc nic o tym, jak Adam i Ewa przed popełnieniem grzechu, są mimo wszystko ludźmi. Nie pomyśleli jeszcze o tym, by wykorzystać zdolności rozwoju nasienia roślinnego, nie osiedlili się na tej ziemi i nie wyobrażają sobie nawet takich czynności, jak siewy czy żniwa. Wędrują przed siebie bez celu, odżywiając się rdzeniem palmowym, który wydzierają małpom, wdrapują się wysoko, na sam dach puszczy. Kiedy przybór wód na całe miesiące więzi ich w jakiejś okolicy otoczonej rzekami i kiedy już objedzą drzewa jak termyty, pożerają larwy os, żują mrówki i inne owady, grzebią w ziemi i połykają wszystkie robaki, jakie w niej znajdują, póki nie zaczną łykać garściami samej ziemi. Ledwie znają dobrodziejstwa ognia. Ich psy, nieufne, z oczyma lisa i wilka, to przodkowie naszych psów. Patrząc na ich twarze bez żadnego uchwytnego dla mnie wyrazu, rozumiejąc bezużyteczność każdego słowa, wiedząc z góry, że nie potrafimy porozumieć się nawet gestami. Adelantado chwyta mnie za ramię i każe mi się pochylić nad błotnistą jamą. Jest to raczej cuchnący śmietnik, pełen obgryzionych kości, wśród których na dnie jamy widzę poruszające się najohydniejsze stwory, jakie kiedykolwiek oglądałem: dwa żywe embriony, pomarszczone karły o białych brodach i olbrzymich brzuchach, pokrytych błękitnymi żyłkami niby plansze anatomiczne. Ich spojrzenie ma wyraz bojaźliwy i służalczy, z ust o grubych wargach wydobywa się bełkot przypominający kwilenie noworodka, uśmiechają się głupio, wpychając sobie palce między zęby. Jest w nich coś tak ohydnego, że co prędzej odwracam się plecami z obrzydzeniem i zgrozą, „jeńcy – wyjaśnia mi ironicznym tonem Adelantado. – Jeńcy tamtych, którzy mają się za rasę wyższą, jedyną uprawnioną do władania w puszczy”. W głowie mi się mąci na myśl o jeszcze niższych stopniach tej hierarchii, na myśl, że te larwy ludzkie, o takich samych organach płciowych jak moje, to jeszcze nie jest

stopień najniższy, że jeszcze mogą istnieć jeńcy tych jeńców, stanowiących z kolei rangę wyższą, otoczoną prestiżem i autorytetem, ludzie, którzy nie umieją nawet ogryźć kości zostawionych przez psy, wydzierają padlinę sępom, a swoje żądze miłosne ogłaszają wyciem w noc rui, jak zwierzęta. Nie ma nic wspólnego między tymi istotami a mną. Nic. Nie mam też nic wspólnego z ich władcami, pożeraczami robaków i ziemi, którzy mnie teraz otaczają. A jednak pośród hamaków – z trudem można to określić jako hamaki, raczej kołyski z lian – w których śpią, cudzołożą i płodzą dzieci, jest przedmiot z gliny wypalanej na słońcu, rodzaj dzbana bez uszu, z dwoma otworami wydrążonymi po obu stronach u góry i pępkiem w wypukłej części naczynia, wyrzeźbionym przez naciśnięcie palcem gliny, kiedy jeszcze była miękka. To jest bóg. Więcej nawet: to jest matka boga. Matka, pierwotne pojęcie wszystkich religii. Symbol utrwalenia gatunku, łono zawarte w tajnym prologu wszystkich teogonii. Matka o wypukłym brzuchu, brzuchu, który jest zarazem piersiami i łonem, i naczyniem, pierwszy wizerunek ulepiony przez ludzi, gdy ich ręce zaczęły wyrabiać pierwsze przedmioty. Miałem przed sobą matkę małych bogów, totemów danych ludziom, by przyzwyczaili się do obcowania z bóstwem, przygotowali się do kultu bogów starszych. Matka „samotna poza przestrzenią, a bardziej jeszcze poza czasem”, ta, której imię dwukrotnie z przerażeniem wymówił Faust. Widząc skierowane na siebie spojrzenia wszystkich staruszek z pomarszczonymi brzuchami, ciężarnych kobiet i chłopców skaczących po drzewach, robię jakiś niezadarny gest, wyrażający szacunek dla świętego naczynia. Jestem wśród ludzi i powinienem szanować ich bogów... Ale oto wszyscy zaczynają biec pędem. Za mną, pod osłoną liści zwisających z gałęzi, które służą jako dach, ułożone na ziemi, wzdęte i szczerzące ciało myśliwego ugryzionego przez grzechotnika. Brat Pedro mówi, że Indianin zmarł przed kilkoma godzinami. Mimo to czarodziej zaczyna potrząsać wydrążoną tykwą, pełną kamyków – jedyny instrument muzyczny, jaki mają ci ludzie – próbując odstraszyć wysłanników śmierci. Zapada rytualna cisza przed rozpoczęciem formułek magicznych wyczekiwanych w najwyższym napięciu. I oto w ogromnej puszczy, wypełniającej się już lękami nocy, rozbrzmiewa Słowo, Słowo, które jest już czymś więcej niż słowem. Słowo naśladujące głos mówiącego, a także ten, który się przypisuje duchowi zmarłego. Jeden wydobywa się z gardła kapłana, drugi z jego brzucha. Jeden jest poważny i głuchy jak podziemne wrzenie lawy, drugi, niezbyt donośny, jest wzburzony i gniewny. Odzywają się na przemian. Jeden odpowiada drugiemu. Jeden grozi, podczas gdy drugi jęczy. Głos z brzucha przybiera tony sarkazmu, kiedy ten z gardła zaczyna nalegać. Słychać coś jakby gardlane portamenti, które przechodzą w ryk, sylaby, które nagle zaczynają się powtarzać częściej, stwarzając w końcu rytm; coś jakby trele przerywane nagle przez cztery nuty, które są załączkiem melodii. Ale potem następuje wibrowanie języka między wargami, tłumiony ryk, synkopowane dmuchanie w tykwę. Coś, co wznosi się o wiele wyżej niż mowa, a zarazem jest jeszcze bardziej dalekie od śpiewu. Coś, co nie ma wokalizy, ale jest już czymś więcej niż słowo. Po kilku minutach ten krzyk nad trupem, otoczonym przez nieme psy, robi się straszny. Teraz czarownik staje naprzeciw trupa, krzyczy i tupie w ziemię piętami w rozdzierającym ataku furii, która jest już głęboką próbą buntu przeciw mocom zniszczenia, krzyżującym plany człowieka. Usiłuję trzymać się z dala od tego, zachować dystans. A jednak nie mogę nie poddać się straszliwemu czarowi, jaki wywiera na mnie ta uroczystość. Wobec nieprzejednania śmierci, która nie chce, wypuścić z rąk swej zdobyczy, Słowo nagle się załamuje, traci

siły. W ustach czarownika, kapłana orfickiego, chrypie i urywa się Tren – bo nie jest to niczym innym jak trenem – pozostawiając mnie oszołomionego odkryciem, że przed chwilą byłem świadkiem Narodzin Muzyki.

XXIV

Sobota, 22 czerwca

Od dwóch dni przemierzamy armaturę planety, zapominając o Historii, a nawet o ginących w pomroce migracjach epok bez kroniki. Powoli, maszerując wciąż pod górę, żeglując po dostępnych częściach potoków, między jednym a drugim wodospadem, po rzekach spokojnych między jednym a drugim nurtem, zmuszeni do wyciągania łodzi na brzeg w rytm pieśni wioślarzy, piędź za piędzią dotarliśmy na teren Wielkich Płaskowyży. Obmyte ze swej szaty roślinnej – jeśli ją miały – przez tysiąclecia deszczów, są to Kształty nagiej skały, zredukowane do elementarnej i wzniosłej geometrii telurycznej, pierwsze pomniki, jakie powstały na skorupie ziemskiej, w okresie, gdy nie było jeszcze oczu, które mogły na nie spoglądać: sama ich niezrównana starożytność przyoblekła ją w onieśmielający majestat. Są wśród nich takie, które wyglądają jak olbrzymie cylindry spiżowe, ścięte piramidy, wielkie kryształy kwarcu, które utkwily między wodami. Są inne, szersze u wierzchołka niż u podstawy, podziurawione alweolami jak olbrzymie madrepery. Inne jeszcze mają uroczystą tajemniczość bramy otwierającej kraj nieznaną i straszliwą, dokąd muszą prowadzić te tunele wyżłobione w skale o sto piędzi nad naszymi głowami. Każda meseta ma swoją własną morfologię, złożoną ze stromych boków, z nagłych ścięć profilów prostych lub łamanych. Jeśli nie zdobi jej czerwony obelisk czy bazaltowa iglica, to ma opadającą z boku terasę lub wieńczą ją dziwaczne pilastry, podobne do istot ludzkich idących w procesji. Nagle, przerywając tę surowość, jakaś arabeska z kamieni, jakaś fantazja geologiczna szuka porozumienia z wodą, by wprowadzić pewien element ruchu do tego niezmiennego kraju. Dalej, z jakiejś granitowej skały barwy czerwonawej, spływa siedem kaskad przez zębate otwory gzymsu wieńczącego jej szczyt. A oto rzeka, która spada w pustkę, rozplywa się w łukach tęczy na wybrzeżu, gdzie sterczą skamieniałe drzewa. Piany potoku burzą się pod olbrzymimi naturalnymi arkadami, rozszerzonymi jak gdyby przez grzmiące echo, zanim rozdzielią się i opadną w serię rozlewisk wody stojącej, często zachodzących jedno na drugie. Odgaduję, że w górze, na szczytach, w spiętrzeniu ostatnich księżycowych płaszczyzn są jeziora, które sąsiadują z chmurami i kryją swe dziewicze wody w samotniach, nigdy nie tkniętych ludzką stopą. O świcie widać szron, zamarźle głębie, opalizujące wybrzeża, które spowija noc na długo przed zmierzchem. Są tu monolity na brzegu wierzchołków, iglice, dziwaczne znaki, rozpadliny wchłaniające mgły, chropawe głązy podobne do zastygłych brył lawy – może meteoryty spadły z innej planety. Wędrujemy w milczeniu, oszołomieni niezrównanym przepychem i ogromem dzieł natury, mnogością profilów, zasięgiem cieni, rozległością równin. Czujemy się intruzami, których za chwilę wyrzucą z zakazanego terytorium. To, co się roztacza przed naszymi oczyma, jest światem ery przedludzkiej. Na dole, w wielkich rzekach pozostały jeszcze monstrualne jaszczury, anakondy, ryby z

brodawkami, węgorze elektryczne o wielkich głowach, rekiny słodkowodne, stwory głębinowe i lepido-syreny ze swym aspektem zwierząt przedhistorycznych z epoki trzeciorzędu. Tutaj, mimo że coś porusza się w ucieczce pod paprociami drzewiastymi, mimo że pszczoła pracuje w kawernach, żywa istota wydaje się czymś nieznanym. Przed chwilą rozdzieliły się wody, na osuszonej ziemi wyrosła zielona trawa i po raz pierwszy zaświeciły światła, które odtąd będą panowały nad dniem i nocą. Znajdujemy się w świecie Genesis, pod koniec Czwartego Dnia Stworzenia. Gdybyśmy się cofnęli jeszcze trochę, doszlibyśmy do epoki, w której rozpoczęła się straszliwa Samotność Stwórcy, kosmiczny smutek czasów bez kadzideł i chwały, kiedy ziemia była pusta i pogrążona w chaosie, a ciemność zasłaniała oblicze przepaści.

Pieśniami były mi ustawy twoje...

Rozdział piąty

XXV

24 czerwca

Adelantado wzniesionym w górę ramieniem wskazał drogę ku Złotu i Yannes żegna się z nami, by wyruszyć na poszukiwanie skarbu ziemi. Samotny musi zostać górnik, który nie chce się dzielić owocami swoich poszukiwań; skąpy w swoich podarunkach, kłamliwy w mowie, zacierający za sobą ślady niby zwierzę ogonem. Chwila wzruszenia, kiedy ściskamy tego wieśniaka o achajskim profilu, Greka, który zna Homera i zdążył się już przywiązać do nas. Dziś kieruje nim ta sama żądza cennego kruszcu, która uczyniła Mykeny miastem Złota, więc podejmuje na nowo szlak awanturników starożytności. Chce nam coś ofiarować na pamiątkę, a że nie posiada nic prócz ubrania, które nosi, podaje nam teraz, Rosario i mnie, tom Odysei”. „Twoja kobieta” bierze go z radością, myśląc, że to Pismo Święte, które nam przyniesie szczęście. Nie mam czasu wyprowadzić ją z błędu, bo już Yannes oddala się od nas, idąc w kierunku swojej łodzi, z nagim torsem lśniącym w blasku poranka, z wiosłem na ramieniu, zadziwiająco podobny do Ulissesa. Brat Pedro błogosławi go jeszcze z daleka i wyruszamy w dalszą drogę wąską rzeczką, która nas zawiedzie do wybrzeży Miasta. Bo teraz, gdy Grek już odplłynął, można mówić głośno o sekrecie. Adelantado założył miasto. Powtarzam to sobie bez ustanku od chwili, gdy tajemnica została mi powierzona, podniecając moją wyobraźnię mocniej niż wszystkie nazwy gemm najbardziej poszukiwanych. Założyć miasto. Zakładam miasto. On założył miasto. Można odmieniać ten czasownik. Można być Założycielem Miasta. Stworzyć miasto i rządzić miastem, które nie figuruje na mapach, którego nie obejmują okropności naszej epoki, które powstało właściwie z woli jednego człowieka w tym świecie Genesis. Pierwsze miasto. Miasto Henocha, zbudowane zanim narodzili się kowal Tubelcain i Jubal, grający na harfie i organach. Kładę głowę na kolanach Rosario myśląc o bezkresnych terytoriach, o niezbadanych strefach, niezliczonych mesetach, gdzie można by założyć miasta na tym kontynencie przyrody nie ujarzmionej jeszcze przez człowieka. Monotonny plusk fal kołysze mnie do snu i usypiam szczęśliwy wśród żywych wód, w pobliżu roślin, które odnajdują górski aromat. Oddycham lekkim powietrzem, które nie zna rozpaczliwych plag puszczy. Godziny mijają w spokoju i żeglujemy wzdłuż meset, wypływając z nurtu na nurt, przez kręte labirynty spokojnych wód, które nagle każą nam odwrócić

się plecami do słońca, a potem znów je mieć przed oczyma po okrążeniu wzgórzka porośniętego dziwnymi bluszczami. Zmierzch zapada, gdy wreszcie łódź przybija do brzegu i mogę z bliska obejrzeć cud, jakim jest Santa Mónica de los Venados. Ale prawdę mówiąc zatrzymuję się zbity z tropu. To, co widzę tam, w głębi małej doliny, jest dwustumetrową przestrzenią, ogołoconą z trawy przy użyciu maczety. Na krańcu wznosi się obszerny dom zbudowany z trzciny zlepionej gliną, z drzwiami i czterema oknami; prócz tego są dwa mniejsze domki, podobne w konstrukcji do pierwszego, po obu stronach jakiegoś składu czy szopy. Widzę też około dziesięciu chat indiańskich, z których unosi się białawy dym. Adelantado objaśnia z drżeniem w głosie: „To jest Plac Główny. A to Dom Rządowy; tu mieszka mój syn Marcos. A tam moje trzy córki. W szopie trzymamy ziarno, narzędzia i kilka sztuk bydła. Dalej jest dzielnica Indian”. I dodaje zwracając się do brata Pedro: „Przed Domem Rządowym zbudujemy katedrę”. Jeszcze nie skończył mi pokazywać plantacji warzyw, pól kukurydzianych, zagród, gdzie rozpoczęto hodowlę świń i kóz, dzięki knurom i capom sprowadzonym z niewiarygodnym trudem z Puerto Anunciación, kiedy mieszkańcy wylęgają na ulice z okrzykami powitania. Przybiegają żony, Indianki i Metyski, i syn, burmistrz, by przywitać swego Adelantado, który przywiózł pierwszego Biskupa. „Santa Mónica de los Venados” – tłumaczył mi brat Pedro – bo znajdujemy się w kraju rudego kozłęcia; a Mónica to imię matki założyciela; Mónica, matka świętego Augustyna, święta, była „żoną jednego męża i sama wychowywała swoje dzieci”. Wyznaję mu, że słowo „miasto” nasunęło mi jednakże na myśl coś większego lub bardziej interesującego. „Manoa?” – pyta mnich szyderczo. To nie to. Ani Manoa, ani El Dorado. Ale myślałem o czymś innym. „Tak wyglądały w swoich pierwszych latach miasta, które założyli Francisco Pizarro, Diego de Losada albo Pedro de Mendoza” – zauważył brat Pedro. Moje milczenie nie wyklucza nowych pytań, ale przygotowania do uczty kozłąt, pieczonych na rożnie, przeszkadzają mi zadać je natychmiast. Nie rozumiem, dlaczego Adelantado, mając tak niezrównane możliwości założenia miasta poza czasem, bierze na siebie taki kłopot, jak kościół z całym brzemieniem jego kanonów, zakazów, aspiracji i nieustępliwości, zwłaszcza że sam nie jest człowiekiem gorącej wiary i najchętniej słucha mszy odprawianych na znak dziękczynienia za przewyżnione niebezpieczeństwa. Ale nie mam teraz sposobności o nic pytać. Pozwalam się unieść radości przybycia do kresu podróży. Pomagam przy pieczeniu mięsa, idę po drzewo, z zainteresowaniem słucham pieśni tubylców, tłumię okrzyk przy popijaniu jakiejś fermentującej miazgi, która ma smak ziemi i żywicy i którą wszyscy piją z kubków podawanych z ust do ust. Później, kiedy wszyscy się rozejdą, kiedy Indianie zasną w swoich chatkach, a córki założyciela wrócą do swego gineceum, posłucham przy ogniu historii wędrówek. „A więc, moi państwo – mówi Adelantado wrzucając polano do ognia – na imię mi Pablo, a moje nazwisko jest równie pospolite, i jeśli imię Adelantado nasuwa wam na myśl jakieś wielkie czyny, powiem od razu, że to tylko przydomek, który mi nadali górnicy, bo zawsze wysuwałem się naprzód, dalej niż inni, kiedy trzeba było przewozić piasek z rzeki moim wagonikiem...” Pod godłem kaduceusza dwudziestoletni chłopak, z pierśią rozrywaną przez buntowniczy kaszel, spogląda na ulice przez szklane słoje, wypełnione zabarwionym płynem w aptece dla starców. Jest to prowincja jutrzni i różańców, cukierków ślazowych i ciastek wypiekanych przez zakonnice. Proboszcz nosi tu jeszcze wysoki kapelusz z podwiniętym rondem i jest stróż nocny, który wykrzykuje godzinę i pozdrawia Matkę Najświętszą w mgliste noce. Dalej

rozciągają się Ziemie Konia, przez wiele dni podróży, potem drogi wspinają się w górę i wiodą do miasta o wysokich domach, gdzie miodny człowiek poszukujący pracy znalazł tylko mroki podziemia, kopalnie węgla i kloaki. Zwycięzony i chory zgadza się pracować w aptece w zamian za lekarstwa i dach nad głową. Wyuczono go sztuki macerowania i powierza mu się recepty na leczenie domowymi środkami, na bazie ziaren strychnos, korzenia goryczki albo gorzkiej soli. W godzinach sjęsty, kiedy nikt nie przechodzi ulicą w cieniu daszka nad oknami, chłopak znajduje się sam w laboratorium, obrócony plecami do ulicy; wtedy jego ręce usypiają na tłuczku mózdzierza, a oczy poprzez słoje i flaszki obserwują powolny bieg szerokiej rzeki płynącej z krainy złota. Czasem ze statków tak starych, jak gdyby pochodziły z innej epoki, wysiadają na przystani ludzie o ciężkim chodzie, opukując końcem laski spróchniałe deski pomostu, jakby po przybyciu do portu podejrzewali jeszcze pułapki i trzęsienie ziemi. Są malaryczni górnicy, zbieracze kauczuku, zdrapujący swoją egzemę, trędowaci z porzuconych misji. Przychodzą do apteki, jeden po chininę, inny po maść rtęciową, jeszcze inny po siarkę, i mówią o ziemiach, gdzie dotknęły ich te plagi cielesne, rozsuwając przed oczyma przechodnia zasłony nieznanego świata. Przychodzą zwyciężeni i przybici, ale przychodzą i tacy, co wyrwali ziemi olśniewającą gemmę i przez tydzień będą się raczyć kobietami i muzyką. Przychodzą także ci, co nic nie znaleźli, z oczyma błyszczącymi gorączką i nadzieją znalezienia skarbu. Ci nie szukają odpoczynku, nie pytają o kobiety. Zamykają się na klucz w swoich pokojach w oberży, aby zbadać próbki we flaszkach, i ledwie wygoją jakąś ranę czy pozbędą się wysypki, odjeżdżają w nocy, kiedy wszyscy jeszcze śpią, nie zdradzając nikomu, dokąd jadą. Młody chłopak nie zazdrościł innym chłopcom w jego wieku, którzy we wszystkie poniedziałki roku, wysłuchawszy ostatniej mszy w kościele ze spróchniałą amboną, odjeżdżają odświętnie wystrojeni do dalekiego miasta. Pośród swych flaszek i recept słucha wszystkiego, co mówią o nowych złożach, zna nazwiska tych, co zamawiają perfumy z kwiatu pomarańczowego do kąpieli dla swoich Indianek, powtarza dziwne nazwy rzek, nie znanych podręcznikom geografii, urzeczony perkusyjnym dźwiękiem Cataniapo czy Cunucumuma, ślęcząc nad mapami w niestrudzonej kontemplacji stref zabarwionych na zielono, oznaczających ziemię jeszcze nie zbadane, gdzie nie figuruje ani jedna nazwa miasta. I któregoś dnia o świcie wychodzi przez okno swego laboratorium, idzie na przystań, skąd odpływają górnicy, i proponuje lekarstwa w zamian za miejsce na statku. Przez dziesięć lat dzieli trudy, rozczarowania, urazy, uwieńczony mniej lub bardziej szczęśliwymi rezultatami upór poszukiwaczy. Nigdy nie faworyzowany przez fortunę, wędruje coraz dalej, coraz bardziej samotny, przyzwyczajony rozmawiać z własnym cieniem. Któregoś ranka przybywa do świata Wielkich Meset. Wędruje piechotą przez dziewięćdziesiąt dni, zagubiony wśród gór bez nazwy, odżywiający się larwami, mrówkami, szarańczą, jak Indianie w miesiącach głodu. Gdy dociera do tej doliny, rana pełna robaków zżera mu nogę do kości. Leczą go ziołami Indianie tutejsi – szczep osiadły, o kulturze podobnej do tej, którą napotkaliśmy w pierwszej wsi, gdzie znalazłem poszukiwane instrumenty. Przed nim widzieli tylko jednego białego człowieka i myślą, że jesteśmy ostatnimi okazami ginącej rasy, pracowitej, lecz słabej, licznej w dawnych czasach, ale obecnie już ginącej. Długa rekonwalescencja pozwala mu zbliżyć się do ludzi, którzy go otaczają we wspólnie przeżytych niedolach i pracy. Znajduje trochę złota u stóp tej skały, którą widzimy teraz powleczone srebrenym blaskiem księżyca. Wymienia je na pieniądze po powrocie do

Puerto Anunciacion i przywozi stamtąd nasiona, najpotrzebniejsze narzędzia rolnicze i stolarskie. Z następnej podróży przywozi w głębi łodzi parę wieprzy ze spętanymi nogami. Potem brzemioną skórę i odłączonego od matki cielaka, dla którego Indianie, jak Adam, muszą wymyślić nazwę, bo nigdy nie widzieli podobnego zwierzęcia. Powoli Adelantado zaczyna interesować się tym życiem, które rozwija się pomyślnie. Kiedy kąpie się u stóp kaskady po południu, Indianki z brzegu obrzucają go kamkami i zwirem na znak sympatii. Któregoś dnia pojmuje żonę i wielka radość zapanowuje we wsi u podnóża skał. Wówczas przychodzi mu na myśl, że jeśli nadal będzie się pojawiał w Puerto Anunciacion z bryłami złota w kieszeni, górnicy podążą jego śladem i zawładną tą nieznaną doliną, siejąc w niej niezgodę i chciwość. Aby zmylić podejrzenia, sprzedaje wypchane ptaki, orchidee, żółwie jaja. Pewnego dnia spostrzega, że założył miasto. Odczuwa prawdopodobnie to samo zdziwienie, jakie ja przeżyłem zrozumiawszy, że słowo „założyć” daje się odmieniać, jeśli chodzi o miasto. Ponieważ wszystkie miasta w ten sposób powstały, należy przypuszczać, że w przyszłości Santa Mónica de los Venados doczeka się także mostów z arkadami i pomników. Adelantado nakreśla obwód Placu Głównego. Buduje Dom Rządowy. Spisuje akt konstytucyjny i zakopuje go pod kamieniem na widocznym miejscu. Wyznacza teren na cmentarz, aby nawet śmierć objęta była pewnym porządkiem. Teraz już wie, gdzie jest złoto. Ale złoto już go nie nęci. Zrezygnował z poszukiwania Manoi, bo znalazł coś więcej. Interesuje go teraz ziemia i sprawowanie na niej własnych rządów. Nie pretenduje bynajmniej do porównań z Rajem Ziemskim dawnych kartografów. Są tu przeróżne choroby, plagi, jadowite płazy, owady, dzikie zwierzęta, pożerające wyhodowane z trudem bydło. Są dni powodzi i dni głodu, i dni niemocy, bezsilności wobec gangreny toczącej zakażoną rękę czy nogę. Ale człowiek na skutek wielowiekowego atawizmu przyzwyczajony jest do znoszenia takich nieszczęść. A gdy upada, dzieje się to w pierwotnej walce, przewidzianej przez najbardziej autentyczne prawa gry w egzystencję. Złoto – mówi Adelantado – jest dla tych, którzy wracają tam. I to „tam” przybiera w jego ustach ton pogardy, jak gdyby zajęcia i zainteresowania stamtąd były właściwe istotom niższego rzędu. Nie ulega wątpliwości, że przyroda, która nas tu otacza, jest nieubłagana i straszna mimo swego uroku. Ale ci, co wśród niej żyją, uważają, że jest mniej zła, łatwiejsza do współżycia niż strachy i wstrząsy, zimne okrucieństwo i wciąż nowe groźby świata stamtąd. Tutaj plagi, cierpienia i niebezpieczeństwa naturalne przyjmowane są z góry jako część panującego Porządku, mającego swoje rygory. Fakt stworzenia nie jest rozrywką ani przyjemnością i wszyscy akceptują go instynktownie, obejmując rolę wyznaczoną każdemu w tej rozległej tragedii. Ale to jest tragedia ujęta w ramy jedności czasu, akcji i miejsca, tragedia, gdzie sama śmierć działa poprzez wysłanników o znanym obliczu, przybranych w szatę trucizny, łuski, ognia czy miazmatu, przy wtórze piorunów i grzmotów, którymi nadal posługują się w dniach gniewu bogowie od najdawniejszych czasów rezydujący wśród nas. Przy świetle słońca lub w ciepłe ogniska ludzie, którzy tu wypełniają swoje przeznaczenie, zadowolają się rzeczami najprostszymi: cieszą się z pogodnej jasności poranka, z obfitego połowu, z deszczu, który spadł po długiej suszy, i wyrażają swą radość w zbiorowych wybuchach wesołości, w śpiewie i dźwięku bębnow, które towarzyszą zdarzeniom tak prostym jak choćby nasze przybycie. Tak musiało wyglądać życie w mieście Henocha – myślę i znów przypomina mi się pytanie, jakie zadałem sobie zaraz po wylądowaniu. Właśnie w tym momencie wychodzimy z Domu Rządowego,

by odetchnąć powietrzem nocy. Adelantado pokazuje mi wówczas na ścianie urwiska znaki wryte tak wysoko, że nieznani rzemieślnicy musieliby dla dokonania tego dzieła posłużyć się rusztowaniem, co było niemożliwe w ich stadium cywilizacji. W blasku księżyca widać rysunki przedstawiające skorpiona, węża, ptaka, pośród innych znaków, które nic mi nie mówią i może oznaczają figury astralne. Nieoczekiwane wyjaśnienie przychodzi nagle jako odpowiedź na moje wątpliwości: któregoś dnia po jego powrocie z podróży – tłumaczył założyciel – Marcos, jego syn, wówczas dorastający chłopak, zaskoczył go opowiadaniem historii potopu na ziemi. Podczas jego nieobecności Indianie powiedzieli chłopcu, że te petroglify, oglądane w tej chwili przez nas, zostały wryte w epoce ogromnego przypływu wód – kiedy rzeka podeszła aż do tego miejsca – przez człowieka, który ocalał w wielkim czółnie po parze zwierząt z każdego gatunku. Potem padał deszcz przez pewien czas, który mógł trwać czterdzieści dni i czterdzieści nocy, a po upływie tego czasu, żeby się przekonać, czy wody opadły, człowiek wysłał szczura, a ten wrócił z kolbą kukurydzy w łapach. Adelantado, który historię Noego uważał za bajkę, nie chciał jej uczyć swych dzieci, ale widząc, że ją znają z jedynym wariantem w postaci szczura zamiast gołębia i kłosa kukurydzy na miejsce gałązki oliwnej, powierzył tajemnicę założonego miasta bratu Pedro, który jego zdaniem zasługiwał na zaufanie, gdyż nie bał się podróżować po niezbadanych okolicach, a prócz tego umiał leczyć z niektórych chorób i rozróżniać zioła. „Jeśli i tak mają słyszeć te same bajki, niechże się ich uczą tak samo jak ja”. Myśląc o wszystkich odmianach Noego w tylu religiach, mówię, że ten Noe indiański ze swym kłosem kukurydzy wydaje mi się bardziej dostosowany do rzeczywistości tego kraju niż gołąb z gałązką oliwną, gdyż nikt nigdy nie widział oliwki w tych lasach. Ale mnich przerywa mi szorstko, napastliwym tonem pytając, czy zapomniałem o fakcie Odkupienia. „Ktoś umarł za tych, którzy się tu narodzili, i trzeba im zanieść tę nowinę”. I wiążąc lianą dwie gałązki w kształt krzyża, wtyka je niemal z furją w miejscu, gdzie jutro zacznie się budować okrągły szałas, który będzie pierwszą świątynią w mieście Henocha. „A prócz tego przyjechał tu zasiać cebulę” – wyznaje mi Adelantado tonem usprawiedliwienia.

XXVI

27 czerwca

Świta nad Wielkimi Mesetami. Mgły nocne ociągają się jeszcze leniwie wśród Kształtów, rozpościerając swe welony coraz cieńsze i jaśniejsze, podczas gdy światło odbija się na stokach różowego granitu i spływa do poziomu szerokich warstw cienia. U podnóża ścian, zielonych, szarych i czarnych, których szczyty zdają się roztopiać we mgle, paprocie otrząsają z siebie leciutką emalię szronu. Pochylony nad rozpadliną, w której ledwie mogłoby się skryć dziecko, obserwuję życie porostów, mchów, srebrzystych pigmentów rdzy roślinnej, które w maleńkiej skali tworzą świat równie skomplikowany jak świat puszczy w dole. Na kilkucentymetrowej warstewce wilgoci mieści się tyleż co i tam gatunków roślin walczących między sobą o przestrzeń, która tam powinna wystarczać jednemu drzewu. Ten plankton ziemi jest jak gdyby patyną i gęstnieje u stóp spadającej z bardzo wysoka kaskady, która wyżłobiła w skale basen. Tutaj kąpiemy się nago, Rosario i ja, w szumiącej wodzie, która tryska z wierchołków purpurowych już od słońca, by spłynąć biało-zielonym strumieniem i rozlać się po łożyskach brązowych od korzeni. Nie ma żadnej ostentacji, żadnych prób naśladowania scen z rajy, w tej czystej rozkoszy, tak dalekiej od niespokojnej zmysłowości naszych nocy; uwalniamy się od niej tutaj z jakąś psotną przewrotnością, zdziwieni, jak przyjemnie jest czuć wiatr i słońce na tych przestrzeniach ciała, których ludzie stamtąd do końca życia nie wystawią na powietrze. Słońce opala mi na brązowo pas skóry, który u pływaków w moim kraju pozostaje biały, choćby się kąpali w najśnieźniejszych morzach. To samo słońce wchodzi pomiędzy moje nogi, ogrzewa mi jądra, wspina się wzdłuż stosu pacierzowego, załamuje się na klatce piersiowej, brązem powleka pachy, kroplami potu zrasza kark, ogarnia mnie, obejmuje całego w posiadanie i czuję, jak pod jego żarem twardnieją moje przewody nasienne i znowu jestem cały napięciem i drzeniem, głuchym pulsowaniem najtajniejszych głębin istoty w nienasyconym pragnieniu integracji. Potem znowu kąpiel w wodzie basenu, gdzie na dnie rozlewają się lodowate źródła, których szuka moja twarz, podczas gdy ręce przesypują piasek gruby i szorstki jak opiłki z marmuru. Później nadejdą Indianie i będą kąpać się zupełnie nago, przykrywając dłońmi seks. W południe przyjdzie kolej brata Pedro, który nawet nie troszczy się o to, by zasłonić siwe włosy zarastające genitalia, wychudzony, kościsty, jak święty Jan głoszący słowo Boże na pustyni. Dzisiaj powziąłem wielką decyzję niepowracania już nigdy tam. Postaram się wyuczyć nieskomplikowanych rzemiosł uprawianych w Santa Mónica de los Venados, których już teraz uczą się Indianie pracujący przy budowie kościoła. Wymknę się przeznaczeniu Syzyfa narzuconemu mi przez świat, skąd przychodzę, ucieknę od niepotrzebnych profesji, od losu wiewiórki kręcącej się w kółko w pułapce, w którą wpadła, od czasu wymierzanego zegarem, od prac ciemności. Poniedziałki przestaną być dla mnie dniem popielcowym i

nie będzie powodu pamiętać, że poniedziałek jest poniedziałkiem, a kamień, który toczyłem, przejdzie w ręce tego, kto zechce wyczerpywać swe siły dźwiganiem bezużytecznego ciężaru. Wolę chwycić za piłę czy motykę niż nadal upodlać sztukę dostosowując ją do potrzeb reklamy. Mówię o tym Rosario, która przyjmuje moją propozycję z radosną uległością, z jaką zawsze będzie się podporządkowywała woli tego, którego uznała za swego mężczyznę. „Twoja kobieta” nie rozumie, że ta decyzja jest dla mnie o wiele donioślejsza, niż się wydaje, ponieważ oznacza odrzucenie wszystkiego, co zostało tam. Dla niej, która urodziła się na krańcach puszczy i której siostry są konkubinami górników, fakt, że ktoś woli swobodną przestrzeń odludzia niż ciasnotę i zgiełk wielkomiejski, jest czymś zupełnie normalnym. Poza tym, nie sądzę, żeby intelektualnie musiała przystosować się do mnie tak, jak ja do niej. W jej oczach nie różni się tak bardzo od innych mężczyzn, których kiedykolwiek miała. Ja, żeby ją pokochać – bo myślę, że kocham ją teraz prawdziwie i głęboko – musiałem ustalić nową skalę wartości dla motywów decydujących o przywiązaniu mężczyzny, wychowanego w moim środowisku, do kobiety, która jest prawdziwą kobietą i niczym więcej. Zostaję więc tutaj z całą świadomością tego, co robię. A gdy powtarzam sobie, że zostaję, że moim światłem będą odtąd tylko promienie słońca i blask ognia, że każdego ranka będę zanurzał moje ciało w wodzie tej kaskady i że kobieta piękna i na wskroś uczciwa będzie zawsze przy mnie, w zasięgu mego pożądania, ogarnia mnie nieznana radość. Rozciągnięty leniwie na kamieniach, podczas gdy Rosario z obnażonymi piersiami myje włosy w kaskadzie, sięgam po starą „Odyseję” Greka i otworzywszy ją napotykam na fragment, który każe mi się uśmiechnąć: tam, gdzie jest mowa o ludziach, których Ulisses posyła do kraju Lotofagów i którzy skosztowawszy tamtejszych słodkich owoców zapominają o własnej ojczyźnie. „Musiałem wyprowadzić ich siłą, wśród łąk – opowiada Heros – i przykuć ich do ławek na statku”. Zawsze drażniło mnie w tym cudownym opowiadaniu okrucieństwo człowieka, który odrywa swoich towarzyszy od znalezionej szczęścia, nie ofiarowując im innej rekompensaty prócz posłuszeństwa, jakie ich wobec niego obowiązuje. Widzę w tym micie jak gdyby oddźwięk irytacji, jaką budzi w społeczeństwie postępowanie tych, którzy w miłości, w korzystaniu z jakiegoś przywileju fizycznego, w jakimś niespodziewanym darze natury znajdują sposób uchylenia się od brzydoty, zakazów i kontroli, jakie obowiązują innych. Obracam się na rozpalonym głazie i spostrzegam kilku Indian, którzy otaczają Mareosa, najstarszego syna Adelantado, zajęci wyplataniem koszyków. Mówię sobie, że moja teoria na temat początków muzyki była niedorzeczna. Widzę teraz, jak daremne są spekulacje tych ludzi, którzy usiłują badać początki pewnych sztuk lub pewnych instytucji, nie znając człowieka przedhistorycznego, naszego współczesnego, w jego życiu codziennym, w praktykach religijnych lub leczniczych. Bardzo pomysłowa była moja koncepcja zbratania magicznych celów pierwotnej plastyki-rysunek zwierzęcia, który daje człowiekowi władzę nad tym zwierzęciem – z pierwszym ustaleniem rytmu muzycznego mającego naśladować galop, kłus czy wolny krok zwierząt. Ale kilka dni temu asystowałem przy narodzinach muzyki. Mogłem sięgnąć wzrokiem poza tren, którym Ajschylos wskrzesza cesarza Persów, poza odę, dzięki której synowie Autolika tamują czarną krew płynącą z ran Ulissesa, a nawet poza śpiew, który musiał bronić faraona Unasa przed ugryzieniem węża w jego pozagrobowej podróży. To, co widziałem, potwierdza niewątpliwie tezę tych, którzy twierdzą, że początki muzyki związane są z magią. Ale ci doszli do tego

rozumowania za pośrednictwem książek i traktatów psychologicznych, budując śmiało hipotezy na temat przetrwania w tragedii antycznej praktyk czarnoksięskich pochodzących z dawniejszych czasów. Ja natomiast – widziałem, jak słowo podąża w kierunku śpiewu, nie dochodząc doń nigdy, widziałem, jak powtórzenie tej samej sylaby wytwarza rytm zdecydowany; widziałem – w grze głosu prawdziwego i głosu udanego, zmuszającej kapłana do alternacji dwóch wysokości tonu – jak z praktyki pozamuzycznej może powstać temat muzyczny. Myślę o głupstwach, jakie pletli ci, co utrzymywali, że człowiek przedhistoryczny znalazł muzykę, usiłując naśladować piękno świergotu ptaków, jak gdyby ptasie trele miały sens muzyczno-estetyczny dla kogoś, kto słyszy je nieustannie w lesie, w koncercie najróżniejszych innych hałasów, pomruków, szelestów, ucieczek, krzyków, odgłosu spadających gałęzi, plusku wody, interpretując je jako pewnego rodzaju kodeks dźwiękowy, którego znajomość jest podstawową częścią jego rzemiosła. Myślę o innych błędnych teoriach i zaczynam marzyć, wyobrażając sobie, jaki rwetes podniosą moje obserwacje w pewnych kołach muzycznych, kurczowo czepiających się tez książkowych. Warto by też było zebrać pewne pieśni Indian tutejszych, bardzo piękne w swej elementarności, z jej niezwykłymi gamami, które dementują inny, rozpowszechniony pogląd, jakoby Indianie umieli śpiewać tylko przy zastosowaniu gam pentatonicznych. Ale nagle ogarnia mnie złość na samego siebie za te rozmyślenia. Postanowiłem zostać tutaj i muszę odrzucić raz na zawsze różne spekulacje typu intelektualnego. Żeby się z nich otrząsnąć, nakładam skąpy przyrodziewek, jakiego używam tutaj, i idę przyłączyć się do grupy tych, którzy już kończą budowę kościoła. Jest to okrągła, przestronna chata z dachem spiczastym jak w szałasach Indian, z liści palmowych ułożonych na stropie z gałęzi, z drewnianym krzyżem na szczycie. Brat Pedro uparł się, żeby okna były gotyckie o załamany łuku, a powtarzane kilkakrotnie spotkanie dwóch krzywych linii na ścianie z sitowia zlepionego gliną staje się w tych odległych stronach zapowiedzią chorału gregoriańskiego. Zawieszamy wydrążony pień na dzwonnicy, gdyż w braku dzwonów będzie zwoływał wiernych na mszę bęben aztecki mego projektu. Myśl o sfabrykowaniu tego instrumentu nasunął mi bęben-pałka rytmiczna, który jest w mojej chacie, i muszę wyznać, że zbadaniu jego zasady dźwięku towarzyszyła pewna bolesna próba. Kiedy dwa dni temu rozwiązałem liany owijające paczkę, maty ochronne, nasiąknięte wilgocią, zeszywniały i rozwinęły się nagle, tak że dzban żałobny, piszczałki i obręcze z grzechotkami potoczyły się na ziemię. Znienacka otoczyły mnie przedmioty-wierzyciele i na próżno postawiłem je w kącie niby ukarane dzieci, żeby zapomnieć o ich oskarżającej obecności. Przybyłem do tych lasów, zrzuciłem przygniatające mnie ciężary i pojąłem żonę za pieniądze, które jestem winien tym instrumentom nie należącym do mnie. Moja ucieczka angażuje mego mocodawcę, gdyż konserwator z pewnością weźmie na siebie odpowiedzialność za moje uchybienie, zwracając powierzone mi pieniądze za cenę zastawu w lombardzie, a może lichwiarskich pożyczek. Byłbym szczęśliwy, gdyby u wezglowia mego hamaka nie było tych przedmiotów muzealnych oczekujących na swoją fiszkę i swoją gablotkę. Powinienem usunąć stamtąd te instrumenty, połamać może i zakopać szczątki pod skałą. Nie mogę tego zrobić, bo moje sumienie wróciło na swoje opuszczone miejsce, a że tak długo trzymałem je z dala od siebie, wróciło pełne nieufności i zwątpień. Rosario dmucha w jedną z trzcin rytualnego dzbana i rozbrzmiewa głuchy ryk jakby zwierzęcia, które wpadło w mroki głębokiej jamy. Odsuwam ją gestem tak szorstkim, że oddala się

dotknięta, nie rozumiejąc. By ją rozchmurzyć, mówię jej o przyczynie mego zmartwienia. Natychmiast znajdzie najprostsze rozwiązanie: wyślę te instrumenty do Puerto Anunciacion za kilka miesięcy, kiedy Adelantado uda się w swoją zwykłą podróż, żeby przywieźć najpotrzebniejsze lekarstwa i postarać się o naprawę niektórych zniszczonych narzędzi. Tam jedna z jej sióstr zajmie się przewiezieniem ich rzeką do najbliższego miasta, gdzie znajduje się urząd pocztowy. Sumienie przestaje mnie dręczyć, bo w dniu, kiedy paczka będzie wysłana, opłacę cenę kluczy, które otworzyły mi świat więzienia.

XXVII

Wdrapałem się na wzgórze z petroglifami razem z bratem Pedro i teraz odpoczywamy na twardej ziemi pośród czarnych głazów, ustawionych wszystkimi bokami pod wiatr lub przewróconych niby gruzy i szczątki jakiegoś zburzonego gmachu na tle roślin, które zdają się wycięte z szarego filcu. Jest coś dalekiego, księżycowego, nie przeznaczonego dla człowieka na tej trasie wiodącej do chmur, przeciętej potokiem lodowatej wody, która nie jest wodą źródlaną, lecz pochodzi z mgieł. Odczuwam jakiś niejasny lęk intruza, żeby nie powiedzieć świętokradcy, że moja obecność zakłóca teratologię świata minerałów, którego dumna bezpłodność, dzieło tysiącletniej erozji, obnaża szkielet górski, jak gdyby zrobiony z żył siarkowych, lawy, zwietrzałych wapieni, skał ogniowych. Są tu warstwy żwiru, które przywodzą na myśl mozaiki bizantyńskie, wyrwane ze ścian, zebrane na łopaty i rozrzucone tu i ówdzie, niby deszcz kwarcu, złota i kornalin. Żeby tu dotrzeć, przebyliśmy w ciągu dwóch dni – drogami, gdzie coraz mniej było płazów, a coraz więcej kwiatów i kwitnących drzew – Ziemi Ptaka. Od wschodu do zachodu słońca eskortowały nas papugi, olśniewające barwami ary i mniejsze różowe papużki, tukan o poważnym spojrzeniu, pyszniący się swoim żółtozielonym gorsem, z dziobem źle przytwierdzonym do głowy, ptak teologiczny, który krzyknął nam: „Bóg cię widzi”, w godzinie zmierzchu, kiedy złe myśli najchętniej dręczą człowieka. Widzieliśmy kolibry podobniejsze do owadów niż do ptaków, nieruchome w swym zawrotnym, fosforyzującym zawieszeniu, ponad skąpym cieniem *pauxis* powleczonych mrokami nocy; podnosząc wzrok poznajemy dźwięczny trud czarno ubranych dzięciołów, hałaśliwy rozgardiasz świergocącej i gwizdzącej ptasiej gawiedzi, płochliwej i zastraszonej, na wysokim dachu puszczy, ponad kłótniami lub zebraniem towarzyskimi papużek i wielu innych różnobarwnych ptaków, które z braku znanej nazwy, jak mi tłumaczy brat Pedro, myśliwi ochrzcili mianem „słoneczników Indii”. Tak jak inne ludy nazaczyły swoją cywilizację godłem konia lub byka, Indianin ze swym ptasim profilem wybrał znak ptaka. Bóg latający, bóg-ptak, wąż upierzony są ośrodkiem jego mitologii i wszystko, co dla niego jest piękne, przebiera się w pióra. Z piór były niegdyś tiary cesarzy Tenochtitlan, tak jak z piór są dzisiaj ozdoby fletów i pionków do gry, strojów odświętnych lub rytualnych, jakie tu poznałem. Zdumiony rewelacją, że żyję teraz na Ziemiach Ptaka, wypowiadam jakąś banalną uwagę przypuszczając, że trudno musi być w kosmogoniach tych ludzi znaleźć jakiś mit pokrewny naszym. Brat Pedro pyta mnie, czy czytałem książkę zwaną Popol-Vuh, której nie znam nawet tytułu. „W tym świętym tekście dawnych *quitchés* – twierdzi mnich – zawarty już jest z tragicznym jasnowidztwem mit robota – co więcej, myślę, że to jedyna kosmogonia, która przeczuła grozę maszyny i tragedię «Ucznia Czarnoksiężnika»,.. I zadziwiając mnie uczonym językiem, którym musiał się posługiwać, zanim odrzucił go w puszczy, opowiada mi pierwszy rozdział Stworzenia, o tym, jak przedmioty i narzędzia wymyślone przez

człowieka i używane z pomocą ognia buntują się przeciw swemu władcy i przynoszą mu śmierć; dzbanki, garnki, talerze, żarna do mielenia, nawet domy wśród straszliwej apokalipsy, szczekania wściekłych zbuntowanych psów wyniszczają plemię ludzkie. Mówi mi o tym jeszcze, kiedy podnoszę oczy i widzę siebie u podnóża szarej ściany skalnej, gdzie widać głęboko wyłobione rysunki przypisywane demiurgowi, zwycięzcy potopu, który na nowo zaludnił świat, według legendy, która dotarła do uszu najstarszych mieszkańców puszczy. Jesteśmy tu na górze Ararat tego rozległego świata. Jesteśmy tam, dokąd przybiła Arka i uderzyła głucho o skałę, w dniu, kiedy wody zaczęły opadać i powrócił szczur z kolbą kukurydzy w łapach. Jesteśmy w miejscu, gdzie demiurg rzucił za siebie kamienie, jak Deukalion, by dać życie nowemu pokoleniu ludzi. Lecz ani Deukalion, ani Noe, ani Unapishtin, ani chińscy czy egipscy bracia Noego nie zostawili swoich podpisów wyrytych na wieki w miejscu wylądowania. Tutaj natomiast widzimy olbrzymie rysunki owadów, węży, stworzeń, powietrza, wody i ziemi, wyobrażenia księżyców, słońc i gwiazd wyłobione przez kogoś dłutem cyklopa w czasie procesu, którego nie potrafimy sobie wytłumaczyć. Nawet dziś nie byłoby można wznieść w tym miejscu gigantycznego rusztowania, które pozwoliłoby armii kamieniarzy wspiąć się na wysokość, skąd mogliby swoimi narzędziami zaatakować skalną ścianę i zostawić znaki tak trwałe jak te... Teraz brat Pedro prowadzi mnie na drugi koniec pasa znaków i pokazuje z tamtej strony góry rodzaj krateru o niedostępnych krawędziach, gdzie na dnie wyrastają przerażające rośliny. Są tu jak gdyby *gramínea* błotniaste, których pędy mają chorobliwą okrągłość ramion i czulek. Olbrzymie liście niby otwarte dłonie zdają się należeć do flory podwodnej, ze swoim zrębem madreporowym i gloniastym, z kwiatami bulwiastymi niby latarnie w piórach, ptaki zawieszane na strunie, kiście larw, nabiegłe krwią słupki, które rozsiewają się przez pęknięcie, nie znając dobrodziejstwa łądygi. Wszystko to na dnie krateru miesza się ze sobą, gmatwa i płacze w szerokim ruchu obejmowania we władzę spółkowania, w którym jest coś z kazirodztwa, coś z potwornej orgii, ostatecznego pomieszania form. „To są rośliny, które uciekły od człowieka na początku – mówi mi mnich. – Rośliny te zbuntowały się, nie chcąc dostarczać mu pożywienia, przepłynęły przez rzeki, wędrowały przez kordyliery i pustynie w ciągu tysięcy lat, aby ukryć się tutaj w ostatnich dolinach Prehistorii”. Z niemym zdumieniem przyglądam się temu, co gdzie indziej jest skamieliną zastygłą w kraterze albo drzemiącą w złożach węgla, tutaj natomiast żyje nadal w jakiejś wiośnie bez daty, która poprzedza erę ludzką, której rytm nie jest być może rytmem roku słonecznego, wyrzucającego z siebie ziarna, które kiełkują w ciągu kilku godzin, lub przeciwnie, trzeba im pół wieku, by wyrosły i okryły się liśćmi. „To jest roślinność szatańska otaczająca Raj Ziemi przed Grzechem”. Pochylony nad diabelskim kotłem odczuwam zawrót głowy, jaki wywołuje spojrzenie w przepaść, i wiem, że gdybym dał się zafascynować temu, co tu widzę, światu przed narodzeniem, który istniał, kiedy nie było jeszcze patrzących nań oczu, rzuciłbym się na dno kotliny w ten straszliwy gąszcz liści, które znikną z planety pewnego dnia, nie stworzone na nowo przez Słowo, i są może dziełem bogów dawniejszych niż nasi, bogów poddanych próbie, niezdolnych stwarzać, nieznanych, bo nigdy im nie dano imienia, bo nigdy nie przybrały kształtu w ustach człowieka... Brat Pedro wrywa mnie z ekstazy lekkim uderzeniem kija w ramię. Cienie naturalnych obelisków kurczą się coraz bardziej, w miarę jak przybliży się południe. Musimy zacząć schodzić, nim zaskoczy nas zmierzch na tym szczycie, nim

opadną w dół chmury i zabłądzimy wśród zimnych mgieł. Zanim przejdziemy znowu przed znakami demiurga, dochodzimy do skraju szczeliny, skąd zacznie się nasza droga w dół. Brat Pedro zatrzymuje się, oddycha głęboko i patrzy na horyzont drzew, skąd wyłania się w ciemnoszarych zwałach kordyliera o popękanych grzbietach, niby czyjaś przykra obecność, ponura i wroga wśród oszałamiającego piękna krańców doliny. Mnich podnosi swój sękaty kij: „Tam mieszkają jedyni okrutni Indianie, jacy są w tych stronach. Żaden misjonarz stamtąd nie powrócił”. Zdaje się, że w tym miejscu pozwoliłem sobie na jakiś żart na temat bezużyteczności zapuszczania się w tak niewdzięczne okolice. W odpowiedzi dwoje szarych oczu, niewypowiedzianie smutnych, spojrzało na mnie w jakiś dziwny sposób, z taką przenikliwością, a jednocześnie z taką rezygnacją, że uczułem się zmieszany, zadając sobie pytanie, czy nie sprawiłem im jakiejś przykrości, choć nie mogłem *znaleźć* jej przyczyn. Dotychczas widzę jeszcze pomarszczoną twarz kapucyna, jego długą, potarganą brodę, jego uszy pełne włosów, jego skronie o błękitnych żyłach, jak coś, co przestało do niego należeć i być częścią jego osoby: jego osobą były w tej chwili te stare oczy, nieco zaczerwienione przez chroniczne zapalenie spojówek i patrzące tak, jakby były zrobione z matowej emalii, jednocześnie od wewnątrz i na zewnątrz samych siebie.

XXVIII

Za deską ustawioną na dwóch rozwidlonych kołkach, z ręką na zeszycie szkolnym z wydrukowaną nalepką: „Zeszyt do... Ucznia kl...”, prawie nagi z powodu upału, który ostatnio zaczął nam coraz bardziej dokuczać, Adelantado dyktuje Prawo w obecności brata Pedro, wodza Indian i Mareosa reprezentującego sprawy Rolnictwa. Jastrząb siedzi obok swego pana, z kością, którą sobie położył między łapami. Chodzi o podjęcie pewnych uchwał na korzyść gminy i opracowanie ich na piśmie. Sprawdziwszy, że w czasie jego nieobecności polowano na rude kozy, Adelantado wydaje absolutny zakaz zabijania samic i młodych w okresach, kiedy nie wchodzi w grę siła wyższa w postaci głodu, a i wówczas uchylenie zakazu będzie przedmiotem uchwały doraźnej, poddanej ocenie obecnych. Rozporządzenie to jest uzasadnione, gdyż emigracja pewnych trzód, nierozważne polowanie i napaści dzikich zwierząt zmniejszyły znacznie rezerwy rudych koźląt w okolicy. Po złożonej przez wszystkich przysiędze podporządkowania się i nakazania innym szacunku dla Prawa zostaje ono wpisane w Księgę Protokołów Zarządu Miasta. Następnie przechodzi się do rozpatrzenia problemu robót publicznych w związku ze zbliżającą się porą deszczową. Marcos informuje, że plantacje jarzyn, założone w ostatnich dniach pod kierownictwem brata Pedro, mają jego zdaniem niewłaściwe położenie, którego skutkiem będzie skanalizowanie wód pobliskiego rozlewiska i prawdopodobnie zatopienie spichrza z ziarnem. Adelantado rzuca zakonnikowi surowe spojrzenie, żądające wyjaśnień. Brat Pedro odpowiada, że dokonana praca była próbą założenia hodowli cebuli, co wymaga gleby niezbyt wilgotnej i wolnej od niebezpieczeństwa gromadzenia się wody stojącej, tego zaś nie można było osiągnąć inaczej niż przez założenie plantacji w tym właśnie kierunku. Niebezpieczeństwa, wskazanego przez kierownika hodowli jarzyn, da się uniknąć przez wzniesienie pomiędzy plantacjami a spichrzem nasypu ziemi wysokości trzech piędzi. Wszyscy jednomyślnie uznają tę pracę za wskazaną i rozpoczęcie robót naznaczone zostaje już na dzień jutrzejszy: cała ludność Santa Mónica de los Venados zostaje zmobilizowana w tym celu, gdyż niebo zaciąga się chmurami i upał staje się coraz bardziej dokuczliwy; w południe trudno oddychać wśród ciężkich oparów, a w dodatku dała się zauważyć inwazja much przylatujących nie wiadomo skąd. Brat Pedro przypomina jednak, że budowa kościoła nie jest jeszcze ukończona i także powinna być przedmiotem uchwały nadzwyczajnej. Adelantado odpowiada tonem ucinającym dyskusję, że sprawa przechowania ziarna jest potrzebą pilniejszą niż odmawianie litanii, i kończy roztrząsanie problemów figurujących na porządku dziennym dysponendą w sprawie ścięcia i transportu pni drzewnych do zbudowania palisady, jak również wyznaczenia straży wypatrującej przepływu ławic pewnych ryb, które w tym roku płyną w górę rzeki przed zwykłym terminem. Wynikiem dzisiejszego posiedzenia było kilka wniosków dotyczących niezwłocznego przystąpienia do pewnych prac oraz jedna ustawa, której

pogwałcenie będzie karalne, według oświadczeń Adelantada. Ten ostatni punkt tak mnie niepokoi, że pytam małego człowieczka, czy wypełnił już ohydny obowiązek ustanowienia kar w swoim państwie. Jak dotąd – odpowiada – winnego karze się tylko tym, że przez pewien czas nikt się do niego nie odzywa i daje mu się odczuć powszechną dezaprobatę, ale kiedy ludność miasta wzrośnie, trzeba będzie stosować kary surowsze. Znowu jestem zdumiony doniosłością problemów w tych rejonach, równie nieznanymi jak zaznaczone białą plamą *Terrae Incognitae* dawnych kartografów, gdzie ludzie stamtąd widzą tylko jaszczury, wampiry, jadowite węże i tańce indiańskie. Podczas wycieczek, jakie dotychczas zrobiłem w tym dziewiczym świecie, widziałem bardzo mało węży, jedną żmiję koralówkę, jednego węża aksamitnego i może jednego grzechotnika; jeśli chodzi o dzikie bestie, to tylko słyszałem ich wycie, mimo że nieraz obrzucałem kamieniami chytrego kajmana, który przybiera wygląd zgniłego pnia w zdradliwym spokoju zastygłej wody. Moja historia uboga jest w niebezpieczeństwa, którym musiałem stawiać czoło, nie licząc burzy sprzed kilku dni. Za to wszędzie napotykam podniety typu intelektualnego, tematy do refleksji, formy sztuki, poezji, mity bardziej kształcające, jeśli chodzi o zrozumienie człowieka, niż setki książek napisanych przez ludzi, którzy chwalać się znajomością Człowieka. Adelantado nie tylko założył miasto, ale nie podejrzewając tego nawet, stwarza co dzień jakąś „polis”, która w końcu oprze się na kodeksie spisany w „Zeszytach do... Ucznia kl...”. Przyjdzie moment, że będzie musiał surowo ukarać tego, kto zabije zwierzę objęte ochroną, i wiem dobrze, że wtedy ten mały człowieczek, który mówi spokojnie i nigdy nie podnosi głosu, nie zawaha się skazać winnego na wygnanie z gminy i głodową śmierć w puszczy, jeśli nie wymyśli jakiejś kary wstrząsającej i o charakterze widowiskowym jak ta, którą wybrały narody skazujące ojcobójcę na wrzucenie do rzeki, związanego, w skórzanym worku ze żmiją i psem. Pytam go, co by zrobił, gdyby zjawił się w Santa Mónica jakiś poszukiwacz złota z tych, co zarażają swoją gorączką cały kraj. „Kazałbym mu się stąd oddalić jeszcze tego samego dnia” – odpowiada. „To nie jest miejsce dla takich” – potwierdza Marcos z nagłym akcentem urazy w głosie. Dowiaduję się, że Metys wybrał się kiedyś tam już dawno temu, wbrew woli ojca, ale dwa lata maltretowania, krzywd i upokorzeń znoszonych od tych ludzi, do których chciał się zbliżyć z całą życzliwością, kazały mu wrócić tutaj, z nienawiścią do wszystkiego, co widział w tamtym świecie. Bez żadnych wyjaśnień pokazuje mi na nogach ślady kajdan, które mu nałożono na jakimś posterunku granicznym. Ojciec i syn milczą teraz, ale odgaduję za ich milczeniem, że obaj akceptują bez oporu twardą konieczność podyktowaną przez Rację Stanu. Poszukiwacz złota, który by się upierał przy powrocie do Doliny Meset, nie powróci nigdy ze swojej drugiej podróży, gdyż „zabłądzi w lesie”, jak będą przypuszczali ci, co interesują się jego losem. To dodaje jeszcze jedną wątpliwość do tych, które mnie niepokoją bez ustanku. Bo po kilku dniach absolutnego lenistwa myśli i wyobcowania z wszystkiego, co nie było czystym doznaniem fizycznym, jak opalanie się na słońcu, miłość z Rosario, lekcje rybołówstwa, przyzwyczajanie się do smaków oszałamiająco nowych dla mego podniebienia, mózg mój zaczął działać jak po koniecznym wypoczynku w rytmie niespokojnym i niecierpliwym. Są dni, kiedy chciałbym być przewodnikiem, geologiem, etnografem, botanikiem, historykiem, żeby wszystko zrozumieć, wszystko zauważyć, wszystko wyjaśnić w miarę możliwości. Pewnego wieczora odkryłem ze zdumieniem, że Indianie tutejsi zachowali wspomnienie pewnej niejasnej epepei, którą brat

Pedro rekonstruuje we fragmentach. Jest to historia wędrówki pewnego plemienia karaibskiego, które wyruszyło na północ, niszcząc wszystko po drodze i znacząc cudownymi zdarzeniami swój zwycięski marsz. Mowa tam jest o górach unoszonych przez niezmiernych bohaterów, o rzekach, których bieg odwrócono, o przedziwnych walkach, w których interweniowały gwiazdy. Cudowna jednolitość mitów znajduje potwierdzenie w tych opowieściach o porwaniach księżniczek, o wynalazkach, podstępach wojennych, niezapomnianych pojedynkach, przymierzach ze zwierzętami. Wódz Indian pełni rolę barda wieczorami, kiedy odurza się rytualnie proszkiem zażywany przez wydmuchane kości ptaków, i z jego opowiadań brat Pedro zbiera strzępki eposu rycerskiego, sagi i poematu, który pod postacią dawniejszą niż jego wersja pisana żyje w pamięci Notablów Puszczy. Ale nie powinienem myśleć za dużo. Nie jestem tu po, żeby myśleć. Trudy codzienne, twarde życie bez wygod, prymitywne odżywianie składające się głównie z manioku, ryb i kassawy sprawiły, że schudłem, ciało stało się bardziej elastyczne, jego mięśnie dopasowały się do jego budowy; znikł niepotrzebny tłuszcz, który na sobie dźwigałem, skóra biała i obwisła, nieuzasadnione lęki i niepokoje, złe przeczucia, palpacje splotu słonecznego. Czuję się swobodny, lekki, na właściwym miejscu. Kiedym zbliżam się do Rosario, ogarnia mnie napięcie, które bardziej niż apelem żądzy jest nieprzepartą pierwotną potrzebą: napięciem łuku, który po wyrzuceniu strzały odzyskuje spokój pierwotnej formy. „Twoja kobieta” jest blisko. Przybiega na moje wezwanie. Nie jestem tu po, by myśleć. Nie powinienem myśleć, przede wszystkim czuć i widzieć. A gdy widzenie zmienia się w patrzenie, zapalają się osobliwe światła i wszystko zaczyna przemawiać swoim własnym głosem. W ten sposób odkryłem w ciągu ułamka sekundy, że istnieje Taniec Drzew. Nie wszystkie znają sekret tańczenia na wietrze. Ale te, które mają tę zdolność, organizują korowody liści, płąsy gałęzi i pędów wokół własnego, drżącego pnia. W tańcu tym powstaje rytm wznoszący się i niespokojny, z przyływem i odpływem fal, z pauzami, z oddychaniem, załamaniem, które są radością i wirem w cudownej muzyce zieleni. Nie ma nic piękniejszego niż taniec kępy bambusów na łagodnym wietrze. Żadna choreografia ludzka nie zna eurytmii gałęzi rysującej się na niebie. Czasami stawiam sobie pytanie, czy najwyższe formy wzruszenia estetycznego nie polegają po prostu na dogłębnym zrozumieniu tego, co zostało stworzone. Któregoś dnia może ludzie odkryją alfabet w cętkach wapieni, w brunatnych aksamitach ćmy i wtedy dowiemy się ze zdumieniem, że każda nakrapiana muszla zawsze była poematem.

XXIX

Deszcz pada bez przerwy od dwóch dni. Najpierw było słycać długą uwerturę grzmotów, które zdawały się toczyć nisko, tuż nad ziemią, pośród meset, wpełzać do szczelin, rozbrzmiewać w grotach, a potem nagle zaczęła z nieba spływać woda. Ponieważ palmowe dachówki rozeschły się, przez pierwszą noc przenosimy hamaki z miejsca na miejsce, w próżnym poszukiwaniu skrawka przestrzeni, gdzie nie lałoby się nam na głowę. Potem błotnisty strumień zaczyna płynąć po podłodze i aby ocalić moje instrumenty, muszę je zawiesić na belkach podtrzymujących dach. Świt zastaje nas oszołomionych, przemoczonych, otoczonych błotem. Ogień nie chce się palić i chatę wypełnia ostry dym wyciskający łzy z oczu. Pół kościoła zawaliło się z powodu deszczu na nie stwardniałe jeszcze klepisko i brat Pedro w sutannie zakasanej do pasa, z przepaską na biodrach, próbuje z pomocą kilku Indian podeprzeć co się da. W zabójczym humorze miażdży obelgami Adelantada za to, że mu nie pomógł dokończyć pracy, wydając rozporządzenie nadzwyczajne. Leje wciąż bez przerwy aż do zmierzchu. I znów zapada noc. Nie mogę się nawet na pocieszenie przytulić do Rosario, która dziś „nie może”; w takich okolicznościach staje się ponura i niechętna, jak gdyby każdy gest czułości budził w niej odrazę. Trudno mi zasnąć wśród nieustannego i wszechobecnego szumu wody, która cieknie wszędzie, tłumiąc wszelkie odgłosy prócz odgłosu deszczu, jak gdyby już nadszedł okres czterdziestu ciężkich nocy. Wreszcie usypiam i po jakimś czasie – do świtu na pewno jeszcze daleko – budzę się z dziwnym uczuciem, że w moim umyśle dokonała się jakaś wielka praca, jakieś osiągnięcie dojrzałości i koordynacja elementów – bezkształtnych, niezharmonizowanych, rozproszonych i przez to pozbawionych sensu – które koordynując się nabierają precyzji. Pewne dzieło przyoblekło się w kształt w moim umyśle, istnieje przed moimi oczyma otwartymi lub zamkniętymi, dźwięczy w moich uszach, zadziwia mnie swoją logiką. Dzieło napisane we mnie samym, które będę mógł wydać na świat bez trudu, tekst czy partyturę, coś, co wszyscy będą mogli przeczytać, zrozumieć, czego będą mogli dotknąć. Dałem się kiedyś, dawno temu, wciągnąć przez ciekawość do palarni opium. Pamiętam, że już przy czwartej fajce ogarnęło mnie coś na kształt euforii intelektualnej, która nagle przyniosła rozwiązanie wszystkich problemów twórczych, dręczących mnie w owym czasie. Wszystko wydało mi się jasne, przemyślane, odmierzone, gotowe. Kiedy działanie narkotyku minie – myślałem – muszę tylko wziąć poliniowany papier i w ciągu kilku godzin bez wahań i bólu narodzi się spod mego pióra koncert, który podówczas projektowałem, nie mogąc się zdecydować co do typu techniki, jaką mam przyjąć. Ale nazajutrz, kiedy się przebudziłem z tego snu na jawie i naprawdę chciałem wziąć pióro, z rozpaczą przekonałem się, że nic z tego, co sobie wyobrażałem, postanawiałem, przemyślałem w obłokach dymu, nie miało najmniejszej wartości; były to tuzinkowe formułki, pomysły bez konsystencji, wynalazki pogmatwane, nierealne projekty przenoszenia wrażeń estetycznych

z płaszczyzny plastycznej na dźwiękową, wysublimowane przez szmer kropel spływających z kuleczki nabitej na igłę i topniejącej w ciepłe lampy. To, co się ze mną dzieje tej nocy w ciemnościach, wśród dobiegającego zewsząd szmeru kropel, jest bardzo podobne do tego, co wzbudziła we mnie wtedy tamta obłądna elukubracja, ale tym razem euforia karmi się świadomością, myśli same szukają porządku i jest już tam, w moim mózgu, ręka, która poprawia, rozgranicza, podkreśla. Nie muszę otrząsnąć się z odurzenia, by skonkretyzować moją myśl, muszę tylko czekać świtu, który przyniesie mi światło potrzebne do nakreślenia pierwszych szkiców *Trenu*. Bo taki tytuł „*Tren*” sam narzucił się mojej wyobraźni we śnie.

Nim wpadłem w potrzask ogłupiających zajęć, które oddaliły mnie od kompozycji (moje ówczesne lenistwo, moja słabość wobec wszelkiej podniety do przyjemności były w gruncie rzeczy tylko formami lęku człowieka, który boi się tworzyć, nie będąc pewien samego siebie), wiele rozmyślałem na temat pewnych nowych możliwości połączenia słowa z muzyką. By lepiej zgłębić ten problem, przestudiowałem oczywiście długą i piękną historię recytatywu w jego funkcjach liturgicznych i laickich. Ale to studium recytatywu, sposobów recytowania ze śpiewem i śpiewu mówionego, poszukiwania melodii w infleksjach języka, mieszania słowa z akompaniamentem, lub przeciwnie, uwalniania go od podpory harmoniczej; ale cały ten proces, który pasjonował tylu kompozytorów nowoczesnych po Mussorgskim i Debussy'm aż do rozpaczliwych, konwulsyjnych osiągnięć szkoły wiedeńskiej, nie był właściwe tym, co mnie interesowało. Szukałem raczej ekspresji muzycznej, która wyłoniłaby się z nagiego słowa, słowa wcześniejszego niż muzyka – nie ze słowa przekształconego w muzykę poprzez przesadną stylizację jej infleksji na sposób impresjonistyczny – i która przeszłaby od mowy do śpiewu prawie niepostrzeżenie, tak że poemat stałby się muzyką, znajdując swoją własną muzykę w skandowaniu i prozodii, jak się to prawdopodobnie stało z cudowną sekwencją gregoriańską: „*Dies Irae, Dies Illa*”, której muzyka zdaje się zrodzona z akcentów naturalnych łaciny. Wyimaginałem sobie pewien rodzaj kantaty, w której osoba spełniająca funkcje koryfeusza wysunęłaby się naprzód ku publiczności i w zupełnym milczeniu orkiestry, po geście nakazującym publiczności uwagę, zaczęła recytować poemat bardzo prosty, złożony ze słów najprostszych jak mężczyzna, kobieta, dom, woda, chmura, drzewo i inne, które ze względu na swoją zasadniczą wymowę nie potrzebowały żadnego przymiotnika. Byłoby to coś w rodzaju słowa – genezy. I z wolna samo powtórzenie słów, ich akcenty dałybyby szczególną intonację pewnym następstwom, które należałoby przywołać w regularnych interwałach jak refren. I w ten sposób utrwaliłaby się melodia, mająca – tak bym właściwie chciał – linearną prostotę, skoncentrowany w niewielu nutach rysunek hymnu ambrożyńskiego „*Aeterne rerum conditor*”, który dla mnie reprezentuje stan muzyki najbliższy słowom. Gdy już język przekształciłby się w melodię, dołączyłoby się kilka instrumentów orkiestry, dyskretnie, w formie dźwięcznej punktacji, by rozgraniczyć i ująć w ramy normalne okresy recytatywne i wibrujące materiały, z jakich zrobiony jest każdy instrument, utrwaliłyby się w tych interwencjach: drzewo, blacha, struna, naciągnięta skóra bębna, jako propozycja możliwych mikstur. Skądinąd byłem w owej odległej epoce pod silnym wrażeniem pewnego tropu z *Composteli* „*Congaudeant catholici*”, w którym drugi głos nakładał się na *cantus firmus* po to, aby go ozdobić, dodać melizmów, światła i cieni, których nie można było powiązać bezpośrednio z tematem liturgicznym, jeśli

się chciało zachować jego czystość: coś w rodzaju oplatającej surową kolumnę girlandy, która nie ujmując nic z jej godności wprowadziłaby element ornamentacyjny, giętki i falisty. Widziałem kolejne wejścia głosów chóru do pierwszego śpiewu Koryfeusza według sposobu, w jaki się one układały – głos żeński, głos męski – w tropie z Composteli. To wprowadziło oczywiście szereg nowych akcentów, z których cech stałych rodziły się nowe rytmy, rytmy, które orkiestra przez swoje środki dźwiękowe urozmaicała i zabarwiała. Teraz zgodnie ze swym rozwojem element melizmatyczny przechodził do instrumentów w poszukiwaniu planów wariacji harmonicznego i kontrastów między czystymi barwami, podczas gdy chór, wreszcie jednorodny, mógł oddać się pewnego rodzaju inwencji polifonicznej przy wzrastającym bogactwie kontrapunktujących głosów. Zamierzałem osiągnąć w ten sposób współistnienie polifonii z harmonią, zestrojenie i zespolenie według ścisłych praw muzyki wewnątrz ody wokalne i symfonicznej, przy stałym wzroście intensywności ekspresyjnej, której ogólna koncepcja była przynajmniej dość sensowna. Prostota tej propozycji przygotowała słuchacza do odbioru pewnej równoczesności planów (która wydałaby mu się skomplikowana i niejasna, gdyby została mu podana od razu), pozwoliłaby mu, w bezspornej logice tego procesu, śledzić rozwój słowa – komórki we wszystkich jego implikacjach muzycznych. Trzeba byłoby wystrzegać się bezładu stylów wywołanego tą reinwencją muzyki, która na terenie instrumentalnym pociągałaby za sobą niebezpieczne pokusy. Zamierzałem przed tym się bronić, spekulując na dźwiękach naturalnych i przypomniałem sobie, w braku innych źródeł, zaskakujące dialogi pikuliny i kontrabas, oboju i puzonu, które odnalazłem w dziełach Alberica Magnard. Jeśli chodzi o harmonię, myślałem, że uzyskam jej jednolitość dzięki zręcznemu użyciu skal kościelnych, których niewyczerpane bogactwo zaczęli od niedawna wykorzystywać najinteligentniejsi pośród muzyków współczesnych... Rosario otwiera drzwi i światło dzienne zaskakuje mnie pogrążonego w tych prawdziwie rozkosznych rozmyśleniach. Jeszcze nie otrząsnąłem się ze zdumienia – Tren był we mnie, ale jego nasienie zostało przesadzone w inne miejsce i zaczęło kiełkować w mrokach Paleolitu, tam, na brzegu rzeki pełnej potworów, wtedy, gdy słuchałem wycia czarownika nad trupem szerniałym od jadu węża, o dwa kroki od cuchnącej jamy, gdzie więźniowie leżeli we własnym gnoju i urynie. Tego wieczora ludzie, których nie chciałem uznać za ludzi, dali mi wielką lekcję, ci sami, którzy kazali mi się pysznić własną wyższością, a sami z kolei uważali się za istoty wyższe od zaślinionych starców gryzących kości zostawione przez psa. W obliczu trenu autentycznej koncepcja Trenu narodziła się we mnie na nowo, ze swoją pozycją słowa – komórki, z formułkami swoich egzorcyzmów, które przetworzyły się w muzykę, gdy potrzebowały więcej niż jednej intonacji słownej, więcej niż jednej nuty, by osiągnąć swoją formę, formę, jakiej żądała w tym wypadku jej funkcja magiczna i która przez następstwa dwóch głosów, dwóch sposobów wydobywania dźwięku, była sama w sobie embrionem sonaty. Ja, muzyk obserwujący scenę, dodawałem resztę: odgadywałem niejasno to, co mówiło już o przyszłym rozwoju, i to, czego jeszcze brakowało. Uświadamiałem sobie muzykę słyszaną i jeszcze nie usłyszaną... Biegnę teraz w potokach deszczu do Adelantada, żeby go poprosić o jeden z tych kajetów, na których okładce napisane jest „Zeszyt do... Ucznia kl...”. Daje mi go niechętnie i zaczynam szkicować pomysły muzyczne na pięciolinii, którą kreślę używając niemal idealnie prostego ostrza maczety zamiast linijki.

XXX

Chciałem najpierw, wierny dawnym projektom mojej młodości, pracować nad „Prometeuszem Wyzwolonym” Shelleya, którego pierwszy akt daje już sam – podobnie jak trzeci akt „Drugiego Fausta” – cudowny temat do kantaty. Wyzwolenie skutego łańcuchami człowieka, które kojarzyłem w myśli z moim wyjazdem stamtąd, zawiera w sobie pewien sens zmartwychwstania, powrotu cieni, zgody z koncepcją pierwotną trenu, wspianiałej pieśni mającej wrócić życie zmarłemu. Pewne wiersze Shelleya, które przypominam sobie teraz, odpowiadałyby idealnie memu pragnieniu, by pracować nad tekstem złożonym ze słów prostych i bezpośrednich. *Ah me I Alas, pain, pain, pain ever, for ever. No change, no pause, no hope! Yet I endure.* (O, ja nieszczęśliwy! Ból, cierpienie, cierpienie na zawsze, na zawsze! Nigdy zmiany, ulgi, żadnej nadziei! A jednak przetrwam). A potem te chóry, gdzie jest mowa o górach, o źródłach, o burzach i żywiołach, które otaczają mnie teraz i które czuję. Ten głos ziemi, która jest zarazem Matką, gliną i macicą, jak matki bogów panujących jeszcze w puszczy. I te „psy piekielne” – *hounds of hell* – które wkraczają do dramatu i wyją tonem bardziej właściwym menadzie niż furii: *„Ah, I scent life! Let mi but look into his eyes* (Ach, czuję zapach życia! Niechaj spojrzę tylko w jego oczy). Ale nie. Absurdem jest podniecać tym wyobraźnię, skoro nie mam tekstu Shelleya i nie będę go miał nigdy tutaj, gdzie są tylko trzy książki: „Genowefa z Brabantu” Rosario, „Liber usualis” z tekstami liturgicznymi brata Pedro i „Odyseja” Yannesa. Kartkując „Genowefę z Brabantu”, odkrywam ze zdumieniem, że treść opowiadania, gdyby się ją ogołociło z nieznośnego stylu, nie jest wcale gorsza od tematu doskonałych oper i przypomina dość blisko „Peleasa”. Jeśli chodzi o prozę chrześcijańską, to oddaliłaby ona mnie od idei Trenu i nadałaby całej kantacie styl wersetowo – biblijny. Pozostaje mi więc tylko „Odyseja”, której tekst jest po hiszpańsku. Nigdy nie myślałem o komponowaniu muzyki do poematu napisanego w języku, który sam przez się byłby wieczną przeszkodą w wykonywaniu dzieła chóralnego w każdym większym środowisku artystycznym. Ale nagle drażni mnie to nieświadome wyznanie potrzeby, by mnie „wykonano”. Moja abnegacja nigdy nie będzie szczera, dopóki się będę przyłapywał na takich ubocznych myślach, jestem poetą na bezludnej wyspie Rainera Marii i jako taki powinienem tworzyć z głębokiej potrzeby. Zresztą, jaki język był naprawdę moim? Od ojca nauczyłem się niemieckiego. Z Ruth mówiłem po angielsku, językiem moich studiów szkolnych, z Mouche często po francusku. Hiszpańskim – z mego „Zarysu gramatyki”: „To, Fabiuszu, niestety...” – z Rosario. Ale ten ostatni język był także językiem „Żywotów Świętych” oprawnych w fioletowy aksamit i czytanych tak często przez moją matkę: święta Róża z Limy, Rosario. Widzę jak gdyby pomyślny znak w tej zbieżności. Biorę więc nie wahając się dłużej „Odyseję” Yannesa. Jej retoryka zaczyna mnie zniechęcać, gdyż nie będę wykorzystywał inwokacji w rodzaju: „Synu Chronosa, ojciec mój i władco” lub „Syn

Laertesa od bogów się wywodzący, Ulisses tysiąca forteli”. Nic bardziej sprzecznego z rodzajem tekstu, jakiego mi trzeba. Czytam raz i drugi niektóre fragmenty, niecierpliwie pragnąc zabrać się do pisania. Zatrzymuję się kilkakrotnie na epizodzie z Polifemem, ale w końcu wydaje mi się zbyt dynamiczny i przeładowany perypetiami. Wychodzę z domu zirytowany, spaceruję po deszczu ku wielkiemu zgorszeniu Rosario. Ledwie odpowiadam na jej pytania i moja nagła nerwowość budzi w niej niepokój. Nagle przestaje mnie pytać, gdyż przyznaje, że mężczyzna ma swoje „niedobre dni” i nie potrzebuje zdawać sprawy z tego, co każe mu marszczyć czoło. Żeby mnie nie kępować, siada w kącie za mną i zaczyna wyciągać kleszcze z uszu Jastrzębia końcem bambusowego pędu. Wkrótce wraca mi dobry humor: rozwiązanie było proste. Wystarczyło odciążyć trochę tekst Homera, by znaleźć pożądaną prostotę. Nagle znajduję w epizodzie wywoływania zmarłych ton tragiczny, elementarny, a zarazem precyzyjny: „Ofiaruję ku czci zmarłych trzy libacje: libację z mleka i miodu, libację z wina, libację z wody źródlanej. Rozsypuję mąkę i przyrzekam po moim powrocie na Itakę złożyć im w ofierze najlepszą z moich jałówek w ogniu ołtarza – dać Terezjaszowi czarnego barana, najlepszego z moich trzód. Zarżnąłem bydłeta, rozlałem ich krew i widzę, jak zjawiają się cienie tych, którzy śpią snem śmierci”. W miarę jak tekst nabiera pożądanej konstytucji, zarysowuje się koncepcja mowy muzycznej. Przejście od słowa do muzyki dokona się, gdy głos Koryfeusza złagodnieje ledwie dostrzegalnie w strofice, która mówi o dziewicach w żałobie i wojownikach poległych od ciosów włóczni. Element melizmatyczny, który muszę dołączyć do pierwszego głosu, będzie wprowadzony przez skargę Elpenora płaczącego, że nie ma „swego grobu na ziemi, u skraju dróg”. W samym poemacie mówi się o długim jęku, który zinterpretuję w wokalizie jako preludium do błagania: „Nie opuszczaj mnie bez łez i pogrzebu, spal wraz ze mną wszystką moją broń i grobowiec mój wznies u brzegu morza, by wszyscy wiedzieli o moim nieszczęściu. Połóż na moich zwłokach wiosło, którym wiosłowałem wśród was”. Wejście Anticlei wniesie dźwięk kontraltu do konstrukcji wokalnej, która coraz wyraźniej zarysowuje się w mojej myśli, i wejdzie on jako pewien rodzaj falso bordowe do dyszkantu Ulissesa i Elpenora. Szeroko rozwarty akord orkiestry o charakterze nuty pedałowej oznajmi obecność Terezjasza. Ale tu się zatrzymuję. Potrzeba pisania nut jest tak kategoryczna, że zaczynam pracować nad tym, co już zanotowałem w myśli, i widzę, jak zmartwychwstają pod moim ołówkiem znaki muzyczne, na tak długi czas zapomniane. Gdy kończę pierwszą stronicę, zatrzymuję się olśniony niezgrabnymi pięcioliniami, nakreślonymi nierówno, raczej zbieżnymi niż równoległymi, które służą nutom wstępu homofonicznego, mającego w swym układzie wokalnym coś z inwokacji i psalmu, coś z muzyki zupełnie innej niż ta, jaką dotychczas napisałem. W niczym nie przypominało to zręcznego zapisu nieszczęsnego preludium do „Prometeusza skowanego”, bardzo w guście dnia, kiedy, jak tylu innych ludzi, próbowałem odnaleźć zdrowie i spontaniczność sztuki rzemieślniczej – utwór rozpoczęty we czwartek, gdyż miał być odśpiewany na uroczystości niedzielnej – przyjmując jej formułki, jej recepty kontrapunktowe, jej retorykę, ale nie odzyskując jej ducha. To nie dysonanse, nie nuty źle rozmieszczone na liniach, nie szorstkość instrumentów, umyślnie wprowadzonych w najbardziej niewdzięczne i odporne rejestry, miały zapewnić trwałość sztuki wtórnej, fabrykowanej na zimno, w której tylko martwy legat formy i przepisów rozwoju był zaktualizowany w partyturach, gdzie zbyt często i zbyt celowo zapomniano o istotnej substancji epizodów wolnych o

wzniosłym natchnieniu arii, by przejść do akrobacji, pośpiechu i wyścigów szybkich allegro. Jakaś niezdarność ruchu nękała przez całe lata twórców „Concerti Grossi”, gdzie pochody ósemek i szesnastek – jak gdyby nie istniały półnuty i całe nuty – wytracone ze swych ram przez niewłaściwe, synkopowane akcenty, sprzeczne z samym oddechem muzyki, urozmaicały przebieg ricercare, którego ubóstwo myśli kryło się za najgorzej brzmiącym kontrapunktem, jaki tylko można było wymyślić. I ja, jak tylu innych, uległem hasłom „nawrotu do porządku”, potrzeby czystości, geometrii, aseptyki, tłumiąc w sobie wszelki śpiew, który mógłby się wznieść. Teraz, z dala od sal koncertowych, od manifestów, od nieopisanej nudy polemik na temat sztuki, wynajduję muzykę z łatwością, która dziwi mnie samego, jak gdyby pomysły sypiać się z mózgu, napępniały mi ręce, tłocząc się i popychając nawzajem, by wyjść jak najprędzej spod ołówka. Wiem, że nie trzeba ufać temu, co się tworzy bez bólu. Ale przyjdzie moment skreśleń, wymazywań, krytyki. Wśród deszczu, który pada bez przerwy, piszę z radosną niecierpliwością, jakby w potężnym przypływie energii, i upraszczam często moje pismo do stenografii, którą ja sam tylko potrafię odcyfrować. Gdy zasnę tej nocy, pierwsze zarysy Trenu wypełniają już cały „Zeszyt do... Ucznia kl...”.

XXXI

Przed chwilą spotkała mnie przykra niespodzianka. Adelantado, którego prosiłem o drugi zeszyt, spytał mnie, czy je zjadam. Wy tłumaczyłem mu, dlaczego trzeba mi więcej papieru. „Daję ci ostatni” – powiedział z przekąsem, tłumacząc następnie, że te kajety potrzebne mu są do zapisywania protokołów i układów, do notowania różnych pożytecznych rzeczy i że na pewno nie można ich marnować na takie rzeczy jak muzyka. Żeby mnie ułagodzić, proponuje mi gitarę swego syna Mareosa. Jak widzę, nie istnieje dla niego żaden związek między faktem komponowania i potrzebą posiadania. Zna tylko muzykę harfiarzy, ludzi grających na lutniach i innych instrumentach szarpanych, uwieczniających tradycje muzykantów Średniowiecza, którzy przybyli na pierwszych karawelach. Ci nie potrzebowali partytur i nie wiedzieli nawet, co to jest poliniowany papier. Rozdrażniony idę się poskarżyć bratu Pedro. Ale kapucyn całkowicie zgadza się z Adelantadem i dodaje jeszcze, że tamten zapomina o rejestrach chrztu i zgonów, które trzeba będzie wkrótce założyć, nie mówiąc już o rejestrach małżeństw. I oto nagle odprowadza mnie na bok i pyta, czy zamierzam przez całe życie tkwić w konkubinacie. Jestem tak zaskoczony, że ledwie bąkam coś w odpowiedzi na to dziwaczne pytanie. Brat Pedro wygłasza więc tyradę przeciwko ludziom, którzy uważają się za wykształconych i rozumnych, a zaczynają od utrudniania jego pracy misjonarskiej przez dawanie złego przykładu Indianom. Twierdzi, że moim obowiązkiem jest ożenić się z Rosario, gdyż związki uświęcone i legalne powinny być podstawą porządku, jaki należy zaprowadzić w Santa Mónica de los Venados. Odzyskując nagle pewność siebie, mówię ironicznie, że życie układało się tu bardzo dobrze bez jego apostolskiej pracy. Wszystkie żyły w twarzy mnicha zdają się nabrzmiwać jednocześnie. Krzyczy gwałtownie, jakby go znieważono, że nie zniesie żadnych zastrzeżeń co do słuszności swej misji, cytuje zdanie Chrystusa o owieczkach z innej trzody, które trzeba zgromadzić, by usłyszały jego głos. Zdziwiony uniesieniem mnicha, który uderza swoją laską w ziemię, wzruszam ramionami i odwracam wzrok, zachowując w sobie to, co chciałbym powiedzieć: „Oto, do czego służy kościół”. Już zaczynają się ukazywać pęta, ukryte dotychczas pod samarytańską opończą. Dwoje ludzi nie może leżeć obok siebie i cieszyć się sobą nawzajem, żeby palce o czarnych paznokciach nie nakreśliły nad nimi znaku krzyża. Trzeba będzie pokropić wodą maty, na których się ściskamy, którejś niedzieli, kiedy zgodzimy się być figurami budującego obrazka. Ten ślubny oleodruk wydaje mi się tak komiczny, że wybucham śmiechem i wychodzę z kościoła, gdzie szczeliny w murach zatkano prowizorycznie wielkimi liśćmi malangi, o które głucho dudni deszcz. Wracam do naszej chaty i muszę wyznać sam przed sobą, że moje drwiny, mój wyzywający śmiech, były niczym innym, tylko reakcją człowieka, który w nader pięknie brzmiących zasadach wolności szuka sposobu ukrycia żenującej prawdy: jestem już żonaty. To by miało niewielkie znaczenie, gdybym nie kochał Rosario

prawdziwie. Bigamia w takiej odległości od mego kraju i jego trybunałów byłaby przestępstwem nie do udowodnienia. Mógłbym się zgodzić na odegranie przykładowej komedii, jakiej żąda mnich, i wszyscy byliby zadowoleni. Ale skończyły się czasy oszukiwania. Przez to samo, że znów poczułem się człowiekiem, zabroniłem sobie kłamstwa; ponieważ nade wszystko cenię lojalność Rosario we wszystkim, co mnie dotyczy, oburza mnie sama myśl, że mógłbym ją oszukać, tym bardziej w sferze, do której instynktownie tyle wagi przywiązuje kobieta zmuszona do poszukiwania ogniska, gdzie mogłaby schronić swoją zawsze możliwą brzemienność. Nie mógłbym spokojnie patrzeć na to, jak Rosario chowa za stanik, może z radością wystrojonej w niedzielę dziewczynki, akt spisany na kartce zeszytu i ogłaszający nas „mężem i żoną przed Bogiem”. Sumienie mego sumienia zabrania mi teraz takich świństw. Poza tym obawiam się taktyki, jaką prawdopodobnie zastosuje mnich: nieugięty w swoim projekcie Pedro de Henestrosa będzie wpływał na „twoją kobietę”, żeby to ona podjęła inicjatywę. Stane przed alternatywą wyznania prawdy lub skłamania. Prawda, jeśli ją powiem, postawi mnie w trudnej sytuacji wobec misjonarza, zafałszuje jasną i prostą harmonię mego życia z Rosario. Kłamstwo, jeśli się na nie zgodzę, naruszy w rzeczy ważnej prawość mego postępowania, którą ustaliłem jako niezłomną regułę w moim nowym życiu. By uciec od dręczącego niepokoju tej myśli, usiłuję się skupić w pracy nad moją partyturą i wreszcie udaje mi się to po mozolnym wysiłku. Jestem w niesłychanie trudnym momencie pojawiania się Antikleja, który każe przejść głosowi Ulissea na poziom zwykłego dyszkantu, poniżej melizmatycznej skargi Elpenora, wprowadzając pierwszy epizod liryczny kantaty – epizod, którego treść przejdzie do orkiestry po wejściu Terezjasza i posłuży jako pożywka dla pierwszego rozwoju instrumentalnego polifonii ustalonej wśród głosów. Pod koniec dnia, mimo że piszę możliwie jak najciaśniej, widzę, że zapełniłem już trzecią część drugiego zeszytu. Jest rzeczą oczywistą, że powinienem jak najprędzej znaleźć sposób rozwiązania tego problemu. Musi być w lesie, tak bogatym w naturalne tkaniny, jakiś materiał, jakieś dziwne juty, palmy, fibrowe torebki, na których można będzie pisać. Ale wciąż pada. Wszystko jest mokre w Dolinie Płaskowyżów. Jeszcze bardziej ścieśniam moje znaki, z chytrą kopistą, by wykorzystać każdy milimetr papieru; ale ta małostkowa troska, skąpstwo sprzeczne z hojnością natchnienia, hamuje mi mowę, wiąże moją myśl w drobnych kategoriach, gdy powinienem widzieć ją w rozmiarach ogromnych. Czuję się związany, pomniejszony, śmieszny, i w końcu porzucam moją pracę na chwilę przed zmierzchem, głęboko zniechęcony. Nigdy nie myślałem, że wyobraźnia może się rozbić o rafę tak głupią, jak brak papieru. Widząc moje przygnębienie Rosario pyta, do kogo piszę te listy, skoro nie ma tu poczty. To pomieszanie pojęć, obrazu listu, który musi i nie może być wysłany, przypomina mi nagle daremność wszystkiego, co robię od wczoraj. Partytura, która nie będzie wykonana, do niczego nie służy. Dzieło sztuki przeznaczone jest dla innych, szczególnie muzyka, która ma możliwość dotarcia do najszerszych audytoriów. Po to, by zacząć naprawdę komponować, czekałem na moment mojej ostatecznej ucieczki od miejsc, gdzie któreś z moich dzieł mogłoby zostać wykonane. To niedorzeczne, absurdalne i śmieszne. A jednak nie mogę sobie obiecać, złożyć po cichu przysięgi, że Tren zostanie tu przerwany, że nie wyjdzie poza jedną trzecią drugiego zeszytu. Wiem, że jutro o świcie siła, która mnie opętała, każe mi wziąć ołówek i naszkicować scenę pojawienia się Terezjasza, stronicę, którą już słyszę wraz z jej bogatym dźwiękiem organów: trzy oboje, trzy klarnety,

fagot, dwie waltornie i puzon. Mało mnie obchodzi, że Trenu nigdy nikt nie odegra. Muszę pisać i będę pisał, cokolwiek z tego wyniknie, choćby tylko po to, by sobie dowieść, że nie jestem pusty, tak zupełnie pusty, jak o tym chciałem któregoś dnia w tym roku przekonać konserwatora. Nieco uspokojony kładę się w moim hamaku. Znowu myślę o mnichu i o jego żądaniu. „Twoja kobieta” jest za moimi plecami. Uprażyła właśnie kilka kaczanów kukurydzy na ogniu, którego długo nie mogła rozpaść z powodu wilgoci. Z tego miejsca, gdzie jest, nie może widzieć mojej twarzy w cieniu i nie dostrzeże jej wyrazu, gdy będę mówił.. Decyduję się więc zapytać ją niepewnym głosem, czy uważa za pożyteczne lub pożądane, żebyśmy się pobrali. Gdy oczekuję, że pochwyti skwapliwie tę okazję zrobienia ze mnie bohatera niedzielnego obrazka do użytku katechumenów, ze zdumieniem słyszę, że nie życzy sobie małżeństwa. Moje zdziwienie zmienia się nagle w zazdrość i rozczarowanie. Dotknięty podchodzę do Rosario, by zażądać od niej wyjaśnień. Ale ona zbija mnie z tropu argumentami, których z pewnością używają jej siostry, tak jak przedtem używała jej matka, i które prawdopodobnie stanowią przyczynę ukrytej dumy tych kobiet nie obawiających się niczego: według niej małżeństwo, więź prawna, odbiera kobiecie wszelkie sposoby obrony, gdyby chciała bronić się przeciw mężczyźnie. Orężem kobiety wobec jej nielojalnego towarzysza jest możliwość odejścia w każdej chwili, opuszczenia go bez obawy, że może przeciw niej użyć jakiegoś prawa. Legalna małżonka jest dla Rosario kobietą, którą można sprowadzić przez policję, jeśli opuszcza dom, gdzie z winy męża zapanowało cierpienie lub zgubne skutki pijaństwa. Wyjść za mąż to dostać się pod jarzmo praw ustanowionych przez mężczyzn, a nie przez kobiety. W wolnym związku natomiast – twierdzi Rosario sentencjonalnie – „mężczyzna wie, że od jego postępowania zależy to, czy ma kogoś, kto się nim zajmuje i dostarcza mu rozkoszy”. Wyznaję, że chłopska logika tego punktu widzenia odbiera mi wszelką możliwość repliki. Jasne jest, że „twoja kobieta” obraca się w świecie pojęć, obyczajów i zasad, który nie jest moim światem. A jednak czuję się upokorzony, poniżony w przykry sposób, gdy teraz to ja chciałbym ją zmusić do małżeństwa, to ja chciałbym figurować na pobożnym obrazku ślubnym w momencie, gdy słucham brata Pedro wypowiadającego rytualną formułkę ślubną wobec zgromadzonych Indian. Ale jest dokument podpisany i zalegalizowany tam, bardzo daleko, i odbiera mi wszelką siłę moralną. Tam, na papierze, którego tak mi brak tutaj... W tej chwili okrzyk przestrochu, jaki wydziera się z piersi Rosario, każe mi odwrócić głowę. Zjawia, która ukazała się w obramowania okienka, to trąd, wielki trąd starożytności, klasyczny i zapomniany przez tyle narodów, trąd Lewityku; straszliwi jego nosiciele żyją jeszcze w głębi tych lasów. Pod spiczastą czapką widać resztkę, szczątek twarzy, strzęp ciała trzymający się jeszcze wokół czarnej jamy wydrążonej w ciemnościach gardła, blisko dwojga oczu bez wyrazu, wyglądających jakby je zrobiono z zastygłych łez i gotowych zaraz się rozpląnąć w rozkładzie istoty, do której należą i która z tchawicy wydobywa coś na kształt charkotu, wskazując kukurydzą spopieliałą ręką. Nie wiem, co zrobić w obliczu tego widma, tego trupa, który gestykuje tu, w pobliżu, poruszając strzępkami palców, i zmusza oniemiałą ze strachu Rosario do klęczenia na ziemi. „Odejdź, Nicasio” – słyszę nagle głos Mareosa, który zbliża się bez gniewu. „Odejdź, Nicasio, idź precz” – i popycha go łagodnie rozdwojoną gałęzią, by go odpędzić od okna. Potem wchodzi do naszej chaty ze śmiechem, bierze kaczan kukurydzy i rzuca go nieszczęśnikowi, który wkłada go do sakwy i oddala się w stronę góry, wlokąc się raczej niż

stapając. Wiem teraz, że widziałem Nicasia, poszukiwacza złota, którego Adelantado zastał tu po przybyciu już bardzo chorego i który żyje w jaskini dość daleko stąd, w oczekiwaniu śmierci, zbyt długo o nim zapominającej. Do miasta ma wstęp wzbroniony. Ale od tak dawna nie ośmielił się tu zbliżyć, że nie zastosowano wobec niego żadnej specjalnej sankcji. Przejęty grozą na myśl, że trędowaty może tu wrócić, zapraszam syna Adelantada, by podzielił z nami wieczorny posiłek. Biegnie wkrótce po deszczu, żeby przynieść swoją starą, czterostrunną gitarę – tę samą, która rozbrzmiewała na pokładzie karaweli – i w rytmie, ożywiającym krew w żyłach Murzynów, na melodię romancy zaczyna śpiewać:

*Jestem synem króla Mulata
I Mulatki królowej,
A ta, co przy mnie zasiądzie,
Także królową czarnych będzie.*

XXXII

Dowiedziawszy się, że próbuję pisać na włóknistych liściach palm, na korze, na skórze koźlęcia zdobiącej jeden kąt w naszej chacie, Adelantado zlitował się i dał mi jeszcze jeden zeszyt, podkreślając, że daje mi ostatni. Pod koniec zimy zamierza pojechać na kilka dni do Puerto Anunciación i wtedy mi przywiezie zeszytów, ile tylko zechcę. Ale musi jeszcze upłynąć przeszło osiem tygodni deszczu i trzeba będzie przed wyjazdem ukończyć budowę kościoła, poreperować wszystkie szkody, jakie wyrządzi wilgoć, i przygotować wszystko do okresu siewów. Pracuję więc dalej, wiedząc dobrze, że gdy zapełnię sześćdziesiąt cztery strony zeszytu, dzieło niewiele posunie się naprzód. Prawie boję się teraz odnaleźć początkowy rozmach dni i wykorzystując często gumę do ołówka, to jest robiąc coś, co nie zwiększa zużycia papieru, spędzam dni na poprawianiu i szlifowaniu pierwszych szkiców. Nie mówiłem więcej z Rosario na temat małżeństwa, ale jej odmowa z tamtego wieczora, prawdę mówiąc, rani mnie głęboko. Dni wydają się nieskończenie długie. Za dużo deszczu. Brak słońca, które ukazuje się w południe niby zatarty dysk poza chmurami zmieniającymi się w ciągu kilku godzin z szarych w białe, tłumy w jakiś sposób tę przyrodę, która potrzebuje słońca na to, by jej barwy mogły śpiewać, a cienie poruszać się po ziemi. Rzeki są brudne, na powierzchni unoszą się pnie drzew, obrusy zgniłych liści, śmiecie puszczy, zdechłe zwierzęta. Pływające połamane gałęzie tworzą groble, którą nagle przerywa wyrwane z korzeniami drzewo spadające z wysokości kaskady, powleczone grubym pokładem błota. Wszystko pachnie wodą, wszędzie słychać wodę i ręce wszędzie napotykają wodę. Każda moja wyprawa w poszukiwaniu czegoś, na czym mógłbym pisać, kończy się wpadnięciem po kolana w błoto, w jakąś dziurę nie dość dokładnie przykrytą przez zdradliwą trawę. Wszystko, co żyje wilgocią, rośnie i raduje się; nigdy nie były tak zielone i gęste liście malangi; nigdy nie mnożyły się tak grzyby, nie rozrastały mchy; nigdy głośniej nie śpiewały ropuchy, nigdy nie prosperowało tak robactwo zrodzone w gnijącym drewnie. Na skałach płaskowyży rysują się wielkie, czarne zacieki. Każda szczelina, każda fałda, każde zagłębienie w kamieniu jest łożyskiem strumienia. Tak jak gdyby te mesety wykorzystywały gigantyczną pracę skierowania wód na ziemię położone niżej, wydzielając każdemu rejonowi rację deszczu. Nie można podnieść deski, która spadła na ziemię, by nie znaleźć pod nią szarych pluskw uciekających w popłochu. Ptaki znikły z pejzażu, a wczoraj Jastrząb tropił węża boa w zalanej części ogrodu warzywnego. Mężczyźni i kobiety spędzają cały ten okres – konieczny kryzys w przyrodzie – zamknięci w swoich chatach, tkając, plotąc sznury, nudząc się potężnie. Ale odcierpienie pory deszczów jest jeszcze jedną z reguł gry, tak jak zgoda na ból porodu i na to, że trzeba uciąć lewą rękę nożem trzymanym w prawej, jeśli zagłębił w niej swoje zęby jadowity wąż. To jest potrzebne do życia, a życie wymaga wielu rzeczy, które nie są przyjemne. Nadeszły dni rozkwitu zgnilizny, próchnicy, fermentacji martwych liści,

zgodnie z tym prawem, według którego wszystko, co ma zostać spłodzone, poczyną się w sąsiedztwie gnojowiska, tak jak narządy płciowe służą też do wydzielania uryny i cokolwiek się rodzi, przyjdzie na świat w powłoce śluzu, wybroczyn z krwi, tak jak z nawozu rodzi się czystość szparaga i zieleń mięty. Któregoś wieczora myśleliśmy, że deszcz się skończył. Nastąpiło coś na kształt zawieszenia broni, w którym ucichło dudnienie kropel uderzających o dach – cała dolina zdawała się oddychać głęboko. Dał się słyszeć daleki szum rzek i gęsta mgła, biała i zimna, opanowała przestrzeń między dotykalnymi przedmiotami. Rosario i ja złączyliśmy się w długim, gorącym uścisku. Gdy po wyczerpaniu rozkoszy odzyskałem świadomość, deszcz rozpadał się na nowo. „W porze deszczowej kobiety łatwo zachodzą w ciążę” – powiedziała mi Rosario do ucha. Położyłem rękę na jej brzuchu gestem błogosławiącym. Po raz pierwszy mam ochotę pogłaskać dziecko zrodzone ze mnie, zważyć je na dłoniach, wiedzieć, jak będzie zginało kolana na moim ręku i ssało palce... Przyłapuję się na tych rozmyślaniach z podniesionym w górę ołówkiem, który zatrzymał się wśród dialogu waltorni z rożkiem angielskim, gdy nagle wrzawa każe mi wyjść na próg domu. Coś się stało w osadzie Indian, gdyż wszyscy krzyczą i gestykują wokół chaty wodza. Rosario otulona w chustkę wybiega w deszcz. To, co się tam stało, jest potworne; przed chwilą znad rzeki wróciła ośmioletnia dziewczynka zalana krwią po kolana. Gdy spośród jej łkań i grozy udało się coś zrozumieć, dowiedziano się, że Nicasio, trędowaty, próbował ją zgwałcić rozzierając rękoma pochwę. Brat Pedro tamuje krwotok przy pomocy szarpia, podczas gdy mężczyźni, uzbrojeni w pałki, przygotowują oblławę w okolicach. „Mówiłem, że ten trędowaty nam tu zawadza” – przypomina Adelantado mnichowi, jakby w tych słowach krył się od dawna przeżuwany wyrzut. Kapucyn nie odpowiada i pewny swego długoletniego doświadczenia, jeśli chodzi o lekarstwa leśne, zakłada dziewczynce tampon z pajęczyn, nacierając pochwę maścią ręciovą. Nie potrafię wyrazić oburzenia i wstrętu, jaki budzi we mnie ten gwałt, tak jakbym ja i wszyscy inni mężczyźni byli jednakowo odpowiedzialni za ten ohydny zamach przez sam fakt, że wzięcie kobiety, choćby za jej zgodą, stawia samca w pozycji agresywnej. Zaciskałem jeszcze pięści z furją, kiedy Marcos wsunął mi strzelbę pod pachę; była to jedna z tych starych fuzji indiańskich o dwóch bardzo długich lufach, ze znakiem rusznikarzy z Demerara, które można jeszcze znaleźć w tych dalekich rejonach jako świadectwo techniki pierwszej broni palnej. Kładąc palec na ustach, żeby słowami nie zwrócić uwagi brata Pedro, młody człowiek daje mi znak, by iść za nim. Owinąwszy fuzję w płachtę poszliśmy w kierunku rzeki. Wzburzone, błotniste wody niosły zwłoki młodego kozłęcia tak wydęte, że biały brzuch wyglądał jak brzuch foki. Doszliśmy do miejsca gwałtu – trawa była zgnieciona i poplamiona krwią. Widać było głębokie ślady kroków w błocie. Marcos, pochylony, zaczął iść po śladach. Długo szliśmy. Gdy zaczęło się ściemniać, znaleźliśmy się u stóp skały z petroglifami, nie spotkawszy trędowatego. Postanowiliśmy wracać, gdy Marcos wskazał mi przejście świeżo wydeptane w mokrych zaroślach. Uszliśmy jeszcze kawałek i nagle Metys zatrzymał się. Nicasio klęczał na środku polany, patrząc na nas swymi strasznymi oczyma. „Celuj w głowę” – powiedział Marcos. Podniosłem fuzję i ustawiłem celownik na poziomie jamy w twarzy nędznika. Ale palec nie zdecydował się pociągnąć za cyngiel. Z gardła Nicasia wydobywał się jakiś niezrozumiały bełkot, w którym można było rozróżnić dźwięk: „Onjejon, onjejon, onjejon”. Opuściłem broń: zbrodniarz zażądał spowiedzi przed śmiercią. Zwróciłem się w stronę Metysa. „Strzelaj

– powiedział niecierpliwie. – Lepiej, żeby ksiądz się do tego nie mieszał”. Wycelowałem znowu. Ale naprzeciw mnie było dwoje oczu, oczu bez powiek, prawie bez życia, patrzących ciągle. Zgasić je było sprawą ruchu mego palca. Zgasić dwoje oczu. Oczy człowieka. Oczywiście to, co tam było, było ohydne, winne najohydniejszego gwałtu, coś, co poszarpało ciało dziecka, zarażając je może swą chorobą. Trzeba było to zniszczyć, usunąć, zostawić na łup ptakom drapieżnym. Ale jakaś siła we mnie odmawiała tego, jak gdyby od chwili, gdy nacisnę spust, coś miało się zmienić na zawsze. Są czyny, które wznoszą mury, wykopują przepaść, kładą kres egzystencji. I bałem się tej epoki, która się dla mnie zaczęła od tej sekundy, gdy stanę się Egzekutorem. Marcos rozdrażniony wrywa mi fuzję z rąk. „Równają miasto z ziemią z wysokości nieba, ale boją się zrobić tego! Czy nie byłeś na wojnie?” Fuzja miała kulę w lewej lufie i ładunek ołowiu w prawej. Dały się słyszeć dwa strzały, jeden nastąpił po drugim z taką szybkością, że prawie się połączyły. Potem odgłos detonacji odbijał się od skały do skały, od doliny po dolinę... Echo wibrowało jeszcze w powietrzu, gdy zmusiłem się do spojrzenia. Nicasio wciąż klęczał w tym samym miejscu, ale jego twarz zacierała się, znikła, traciła wszelką formę ludzką. Była to czerwona plama rozdzielająca się na strzępy, osuwająca się powoli na piersi, bez pośpiechu, niby topniejący воск. Wreszcie krew przestała ciec i tors opadł na mokrą trawę. Nagle deszcz zaczął padać mocniej i zapadła noc. Teraz Marcos niósł strzelbę.

XXXIII

Coś jakby przeciągły grzmot rozbrzmiewa w dolinie od strony północy i przelatuje nad naszymi głowami. Siadam w moim hamaku tak gwałtownie, że prawie go odwracam. W huku samolotu, który krąży i powraca, ludzie z epoki neolitu uciekają z przerażeniem. Adelantado wyszedł na próg Domu Rządowego, za nim Marcos. Obaj spoglądają w górę, zdumieni, podczas gdy brat Pedro krzyczy do Indianek, które wyją z przerażenia w swoich chatach, że to jest „rzecz białych”, niegroźna dla ludzi. Samolot znajduje się może o sto pięćdziesiąt metrów od ziemi, pod ciężkim pułapem chmur gotowych na nowo rozedrzeć się deszczem. Ale to nie sto pięćdziesiąt metrów dzieli maszynę od wodza Indian, który na nią patrzy nieufnie, ściskając ręką napięty łuk, to sto pięćdziesiąt tysięcy lat. Pierwszy raz na tych dalekich ziemiach huczy motor spalinowy, pierwszy raz powietrze rozdziera śmigło i te dwie rzeczy okrągłe i równoległe przymocowane tam, gdzie ptak ma łapy, przynoszą nam ni mniej, ni więcej tylko wynalazek koła. Samolot jednakże jak gdyby wahał się w locie. Sposstrzegam, że pilot nas obserwuje, jakby czegoś szukał lub czekał na sygnał. Biegnę więc na środek placu powiewając chusteczką Rosario. Moja radość jest tak zaraźliwa, że Indianie zaczynają się także tłoczyć już bez lęku, wrzeszcząc i podskakując, i brat Pedro musi odpędzać ich laską, żeby zrobić miejsce. Samolot oddala się w kierunku rzeki, zniża się jeszcze bardziej i nagle krótki wiraż przybliży go ku nam, leci jakby kołysząc się na skrzydłach, coraz niżej. Potem następuje kontakt z ziemią, niebezpieczne toczenie się w stronę kurtyny drzew i szczęśliwie wykonany wiraż, który hamuje to, co jeszcze pozostało z rozpędu. Dwaj mężczyźni wysiadają z samolotu, dwaj ludzie, którzy wołają mnie po nazwisku. Moje zdumienie wzrasta jeszcze na wiadomość, że od przeszło tygodnia szuka mnie kilka samolotów. Ktoś – nie umięją powiedzieć kto – powiedział im tam, że jestem zgubiony w puszczy, może więziony przez krwiożerczych Indian. Powstała cała powieść wokół mojej osoby, zawierająca nawet podstępne przypuszczenia, jakoby był torturowany. Powtarza się ze mną wypadek Fawceta; legendy na mój temat, publikowane w prasie, wskrzeszają historię Livingstone'a. Wielki dziennik ofiarował wielką nagrodę temu, kto pierwszy mnie wyzwoli. Piloci kierowali się według danych dostarczonych przez konserwatora muzeum; ten wskazał im powierzchnię, gdzie byli rozproszeni Indianie, u których miałem szukać instrumentów. I już zamierzali wycofać się z gry, gdy właśnie tego ranka musieli zboczyć z kierunku, w jakim lecieli dotychczas, żeby uniknąć burzy. Przelatując nad Wielkimi Mesetami, zdziwili się widząc skupienie chat tam, gdzie spodziewali się zobaczyć ziemię nie dotkniętą stopą człowieka; gdy ujrzeli mnie powiewającego chusteczką, pomyśleli, że jestem właśnie tym, którego szukają. Zdumiała mnie wiadomość, że to miasto Henocha, nawet bez kuźni, gdzie ja być może odgrywam rolę Jubala, znajduje się o trzy godziny lotu od stolicy w linii prostej. To znaczy, że pięćdziesiąt osiem stuleci, dzielących księgę Genesis od roku

bieżącego, ludzie stamtąd potrafią przebyć w ciągu stu osiemdziesięciu minut; że w ciągu tego czasu można powrócić do epoki, którą pewni ludzie utożsamiają z terażniejszością – jakby życie tutaj nie było także terażniejszością – lecąc nad tymi miastami, które dziś jeszcze należą do Średniowiecza, do Konkwisty, do Kolonii lub Romantyzmu. Wynoszą teraz z samolotu paczkę owiniętą w nieprzemakalne płótno: mieli mi to zrzucić na spadochronie, w razie gdyby mnie znaleziono na terenie niemożliwym do lądowania; rozdają lekarstwa, bandaże, konserwy, noże Marcosowi i kapucynowi. Pilot bierze wielką manierkę z aluminium, odkorkowuje i daje mi się napić. Od wieczora burzy na rzece nie wypilem ani kropli alkoholu. Teraz pośród wszechobecnej wilgoci, która nas otula, ten alkohol odurza mnie, nie odbierając jasności umysłu, budzi we mnie na nowo szereg zapomnianych apetytów. Chciałbym się jeszcze napić i dlatego z zawistną niecierpliwością patrzę na Adelantada i jego syna, którzy połykają część mojej wódki, a prócz tego tysiące ponętnych smaków lechce moje podniebienie. A więc tęsknota za herbatą i winem, chlebem i pomarańczą, octem i lodami. Czuję także na nowo w ustach smak papierosa, który pachnie tak, jak te papierosy z jasnego tytoniu, które paliłem jako młody chłopak, po kryjomu przed ojcem, po drodze do konserwatorium. Można by jeszcze powiedzieć, że wewnątrz mnie zaczyna żyć jeszcze ktoś inny, kto także jest mną, nie mogąc się dostosować do swego własnego obrazu. On i ja przesłaniamy się wzajemnie w jakiś niewygodny sposób, niby złote odbitki litograficzne, na których człowiek żółty i człowiek czerwony nie mogą się z sobą pogodzić, niby przedmioty oglądane zdrowymi oczyma poprzez okulary dla krótkowidza. Ten palący płyn, który przelewa się przez moje gardło, zbija mnie z tropu i osłabia. Czuję się zdecydowanie nieswojo. Dokładnie w tej sekundzie tracę odwagę przytłoczony masą skał i chmur, które znów ciemnieją, i drzew, które w deszczu stały się gęstsze i bardziej nieprzeniknione. Jak gdyby wokół mnie zasunęły się firanki. Niektóre elementy krajobrazu stają mi się obce, te płaszczyzny zmieniają perspektywę, tamta ścieżka przestaje do mnie przemawiać, huk wodospadów przybiera na sile i ogłusza. Pośród tego nieskończonego szumu wody słyszę głos pilota niby coś odrębnego od języka, jakim się posługuje: jest to coś, co musiało przyjść, zdarzenie wyraźne w słowach, nieodwołalne wezwanie, które musiało mnie dosięgnąć, gdziekolwiek bym się znajdował. Pilot mówi mi, żebym zabrał swoje rzeczy i odleciał z nimi natychmiast, bo znowu grozi deszcz i czekają tylko, aż opadnie mgła ze szczytu mesety, żeby puścić motor w ruch. Robię gest przeczący. Ale w tej samej chwili rozbrzmiewa we mnie radosnym i potężnym dźwiękiem pierwszy akord Trenu. Dramat braku papieru do pisania odżywa na nowo. Potem przychodzi myśl o książce, potrzeba kilku książek. Wkrótce pragnienie, by pracować nad „Prometeuszem Wyzwolonym”. *Ah, me! Alas, pain, pain ever, for ever* – stanie się nie do odparcia. Za mną pilot znowu zabiera głos. To, co mówi, wciąż to samo, przypomina mi inne wiersze poematu: *I heard a sound of voices; not the voice which I gave forth* (Słyszę głosy; nie ten głos, który ja wydałem). Język pilotów, który przez tyle lat był moim, odbiera miejsce w moim umyśle językowi pierwotnemu, mowie mojej matki i Rosario. Ledwie potrafię myśleć po hiszpańsku, choć się do tego przyzwyczaiłem na nowo, gdy słyszę słowa budzące we mnie zamieszanie. Mimo wszystko nie chcę odjechać. Ale przyznaję, że brak mi tu rzeczy, które można streścić w dwóch słowach: papieru i atramentu. Potrafię się obejść bez wszystkiego, do czego niegdyś najbardziej byłem przyzwyczajony: odrzuciłem niby niepotrzebny balast przedmioty, smaki, tkaniny i upodobania;

przyjąłem najwyższą symplifikację hamaka, mycia się piaskiem, przyjemności gryzienia kukurydzy uprażonej w popiele. Ale nie mogę się obejść bez papieru i atramentu: bez rzeczy wyrażonych lub do wyrażenia przy pomocy papieru i atramentu. Są one o trzy godziny drogi stąd, i są jeszcze książki i zeszyty, i ryzy papieru, i kałamarze, butelki, cysterny atramentu. O trzy godziny stąd... Patrzę na Rosario, jej twarz ma wyraz chłodny i nieobecny, nie wyraża ani niezadowolenia, ani przykrości, ani niepokoju. Zauważyła z pewnością moje wahanie, gdyż jej oczy, unikając moich, mają spojrzenie twarde, wyniosłe, spojrzenie kogoś, kto chce wszystkim pokazać, że nie obchodzi go nic, cokolwiek może się stać. Nadbiega Marcos z moją starą walizką, zapleśniałą i porośłą grzybami. Znowu potrząsam przecząco głową, ale moja ręka wyciąga się, by wziąć zeszyty do... ucznia kl..., które tam wkładają. Głos pilota, który musi bardzo pragnąć zaofiarowanej nagrody, brzmi energicznie i przynagla mnie. Marcos przynosi teraz do samolotu instrumenty muzyczne, które powinny się znaleźć w posiadaniu konserwatora. Mówię mu nie, a potem tak, myśląc, że pałeczka rytmiczna, obręcze z grzechotkami i żałobna amfora wysłane w opakowaniu ze słomy uwolnią mnie od wyrzutów, które jeszcze mąciły mój sen, moje noce w chacie. Wypijam wódkę, która jeszcze została w aluminiowej manierce. I nagle podejmuję decyzję: pojedę, żeby kupić kilka przedmiotów, których potrzebuję, by prowadzić tutaj życie równie wypełnione jak inni. Wszyscy spełniają tu swoje przeznaczenie, posługując się rękoma lub idąc za swym powołaniem. Myśliwy poluje, mnich uczy katechizmu, Adelantado rządzi. Ja też muszę mieć swoje rzemiosło, moje prawdziwe rzemiosło, poza tymi, których wymaga tutaj wspólny wysiłek. Wkrótce powrócę na zawsze, po wysłaniu instrumentów konserwatorowi i nawiązaniu kontaktu z Ruth, żeby jej lojalnie przedstawić moją sytuację i zażądać szybkiego rozwodu. Rozumiem teraz, że moje przystosowanie się to tego życia było zbyt nagłe, moja przeszłość wymagała dopełnienia ostatniego obowiązku, zerwania legalnej więzi przykuwającej mnie jeszcze do świata stamtąd. Ruth nie była złą żoną, ale raczej ofiarą fiaska swego powołania. Przymknij oczy na wszystkie moje przewinienia, gdy zrozumie bezużyteczność sprzeciwiania się rozwodowi lub zażąda rzeczy niemożliwych od człowieka, który zna drogi ucieczki. A za trzy lub cztery tygodnie będę z powrotem w Santa Mónica ze wszystkimi narzędziami potrzebnymi do pracy na kilka lat. Jeśli chodzi o dokonane dzieło, Adelantado zawiezie je do Puerto Anunciación, gdy będzie miał okazję tam pojechać, i wyśle pocztą rzeczną; dyrygenci orkiestry i zaprzyjaźnieni muzycy, dla których będzie przeznaczone, rozpatrzą je i odegrają lub nie. W tym punkcie czułem się wyzwolony od wszelkiej próżności, a jednocześnie zdolny wyrażać pomysły, wynajdować formy, zdolny uwolnić muzykę mojej epoki od wielu błędów. Nie wbijając się w dumę z tego, co wiem, nie szukając próżnych oklasków, nie powinienem jednak przemilczać tego, co wiem. Może gdzieś jakiś młody autor czeka na moje przesłanie, by odnaleźć w sobie za pośrednictwem mego głosu drogę ku wybawieniu. Żadne dzieło nie jest całkowicie dokonane, jeśli nie przyjrzał mu się ktoś inny. Ale wystarczy ocena jednego człowieka, by dzieło stało się prawdziwą rzeczą, stworzoną przez sam fakt, że jakiś Adam nadał mu imię.

Pilot kładzie mi rękę na ramieniu gestem nakazującym. Rosario wydaje się obca wszystkiemu. Tłumaczę jej więc w krótkich słowach, co postanowiłem. Nie odpowiada i wrzusza ramionami z wyrazem niechęci i pogardy. Wręczam jej więc jako gwarancję szkice mego Trenu. Mówię, że te kajety są dla mnie po niej rzeczą najważniejszą. „Możesz je zabrać” – mówi nie patrząc na mnie, tonem pełnym

urazy. Całuję ją, ale wymyka się szybkim ruchem i odchodzi nie odwracając głowy, jak zwierzę, które nie chce, by je głaskano. Wołam ją, mówię do niej. Ale już uruchomiono silnik samolotu. Indianie podnoszą radosny wrzask. Z kabiny pilot daje mi ostatni znak. I metalowe drzwiczki zatrząskują się za mną. Motor huczy tak, że nie można zebrać myśli. Samolot toczy się aż do końca placu, zakreca półkolem i pogrąża się w drgającym bezruchu, który zdaje się zagłębiać koła w błotnistej ziemi. Wierzchołki drzew już są pod nami, przelatujemy nad Mesetą z petroglifami, zawracamy nad Santa Mónica de los Venados, której główny plac znów wypełnili mieszkańcy. Widzę, jak brat Pedro wymachuje laską, Adelantado z rękoma na biodrach patrzy w niebo, tuż przy nim Marcos powiewa swoim słomkowym kapeluszem. Sama na ścieżce prowadzącej do naszej chaty, Rosario idzie, nie podnosząc oczu; wzdrygam się widząc, że jej czarne włosy, opadające po obu stronach głowy, włosy, których zapach nieco zwierzęcy przypominam sobie z rozkoszą, mają w sobie coś z żałobnego welonu wdowy. Dalej, nad miejscem gdzie padł Nicasio, krąży stado sępów. Pod nami widok przesłania gruba chmura i wzbijamy się wyżej w kierunku opalizującej mgiełki, która odgradza nas od reszty świata. Mówią mi, że będziemy długo lecieć bez widzialności. Kładę się na deskach samolotu i zasypiam, trochę odurzony alkoholem i wysokością, na jaką się wzbijamy.

*A to, co wy nabywacie umieraniem,
jest końcem umierania, to, co
nabywacie narodzinami, jest
początkiem umierania, a to, co
nabywacie życiem, jest śmiercią
za życia.*

Quevedo „Sny”

Rozdział szósty

XXXIV

18 lipca

Przebyliśmy miękką warstwę chmur, w której poprzez wygięte arkady, masywne obeliski, kolosy z obliczem z dymu odbija się jeszcze jasność dnia, by odnaleźć w dole zmierzch miasta, gdzie światła zaczynają się zapalać. Ten i ów zabawia się wskazywaniem miejsca, gdzie jest położony stadion, park, główna ulica, wśród tylu świetlistych zarysów, przesuwając palcem po szybie. Podczas gdy tamci cieszą się z powrotu, ja przybliżam się z lękiem do tego świata, który porzuciłem półtora miesiąca temu, według rachuby używanych powszechnie kalendarzy, podczas gdy w rzeczywistości przeżyłem w niewiarygodnym rozszerzeniu czasu sześć zdumiewających i ogromnych tygodni, nie objętych chronologią tego kraju. Moja żona porzuciła teatr, by odegrać nową rolę, rolę wiernej małżonki. Ta właśnie straszliwa nowina każe mi przelatywać w tej chwili nad dymami przedmieść, których miałem nadzieję nigdy już więcej nie oglądać, zamiast przygotowywać powrót do Santa Mónica de los Venados, gdzie „twoja kobieta” czeka na mnie ze szkicami Trenu, które teraz można rozwinąć na kilometrach papieru. Ta odwrotność kierunku jest tym bardziej gwałtowna, że wszyscy ludzie, którzy mnie otaczają i dla których byłem wielką atrakcją w czasie podróży, zdają mi się zazdrościć: wszyscy pokazywali mi wycinki z gazet, fotografię Ruth w naszym domu, w otoczeniu dziennikarzy lub stojącej niby uosobienie skargi przed gablotami Muzeum Organograficznego, czy też oglądającej z dramatycznym wyrazem twarzy mapę w mieszkaniu konserwatora. Któregoś wieczora na scenie ogarnęło ją jakieś przecucie. Wybuchnęła łkaniem w środku repliki i wychodząc z teatru zaraz po swoim dialogu z Boothem, poszła prosto do redakcji wielkiego dziennika i oświadczyła, że od mego wyjazdu nie ma ode mnie żadnych wiadomości, że powinienem wrócić na początku miesiąca i że mój nauczyciel, który odwiedził ją tego popołudnia, był naprawdę niespokojny. Wkrótce wyobraźnia reporterów rozgorzała. Przypomniano badaczy, podróżników i uczonych uwieczonych przez krwawe plemiona Indian, Fawceta oczywiście w

pierwszym rzędzie, i Ruth u szczytu emocji zażądała, by dziennik przeprowadził kampanię o moje wyzwolenie, ofiarowując nagrodę temu, kto mnie odnajdzie na wielkiej zielonej plamie niezbadanych terenów, wskazanej przez konserwatora jako strefę geograficzną, dokąd wysłano mnie z misją. Nazajutrz Ruth stała się patetyczną osobistością dnia i moje zniknięcie, o którym wczoraj jeszcze nikt nie wiedział, przybrało rozmiary na skalę narodową. Opublikowano wszystkie moje fotografie nie wyłączając zdjęcia od pierwszej komunii – tej pierwszej komunii, niechętnie zaakceptowanej przez mego ojca – przed kościołem Jesus del Monte i fotografii przedstawiającej mnie w mundurze na ruinach Monte Cassino lub przed willą Wahnfried, z czarnymi żołnierzami. Konserwator wytłumaczył prasie wśród wielkich pochwał moją teorię – dziś wydaje mi się tak niedorzeczna – mimetyzmu magiczno – rytmicznego, podczas gdy moja żona polerowała piękny i budujący obrazek naszego pożycia małżeńskiego. Ale w tym wszystkim jeszcze jedna rzecz drażni mnie do najwyższego stopnia: dziennik, który tak hojnie wynagrodził lotników za moje wyzwolenie, bardzo zainteresowany w tym, by zyskać sympatię ludzi dobrze myślących, upierał się, by mnie przedstawić czytelnikom jako osobistość przykładową. We wszystkich artykułach na mój temat zbyt wyraźnie przebija jeden niezmienny lejtmotyw: jestem męczennikiem badań naukowych, powracającym na łono swej zachwycającej żony; cnota małżeńska istnieje więc także w świecie teatru i sztuki; talent nie jest usprawiedliwieniem dla naruszenia reguł społeczeństwa; spójrzcie na Małą Kronikę Anny Magdaleny Bach, wspomnijcie spokojne ognisko domowe Mendelssohna etc. Gdy dowiaduję się o tym wszystkim, co zrobiono, by mnie wyciągnąć z puszczy, ogarnia mnie zarazem wstyd i wściekłość. Kraj wydał na mnie olbrzymie sumy, które wystarczyłyby na zapewnienie kilku rodzinom beztrioskiej egzystencji do końca ich dni. W moim wypadku, podobnie jak w wypadku Fawceta, uderzała mnie absurdalność społeczeństwa, które wytrzymuje widok niektórych przedmieść – jak tych, nad którymi przelatujemy w tej chwili, z całą ich nędzą – ale rozczuła się i cierpi na myśl, że jakiś badacz, etnograf czy myśliwy mógł zbłądzić w puszczy lub wpaść w ręce barbarzyńców, wypełniając zadanie wybrane z własnej woli i pociągające za sobą dobrowolnie przyjęte ryzyko, tak jak walka z bykiem pociąga za sobą ryzyko przebiccia rogami. Miliony ludzi potrafiły na chwilę zapomnieć o wojnach zagrażających światu, żeby wyczekiwać w napięciu wiadomości o mnie. A ci, którzy teraz gotowi są mnie oklaskiwać, nie wiedzą, że będą oklaskiwać oszusta. Bo wszystko w tym powrocie jest oszustwem. Byłem właśnie w barze hotelowym, gdzie czuwaliśmy niegdyś nad zabitym kapelmistrzem, kiedy z drugiego końca półkuli dobiegł mnie głos Ruth po drucie telefonicznym. Płakała i śmiała się, otoczona prawdopodobnie przez tylu ludzi, że ledwie słyszałem, co do mnie mówi. Nastąpiły żarliwe zapewnienia o miłości i oświadczenie, że porzuciła teatr, żeby zawsze być ze mną, i że wsiądzie w pierwszy samolot, by połączyć się ze mną. Prerażony tym projektem, który sprowadziłby ją na moje terytorium, do samego przedsionka mojej ucieczki, gdzie sprawa rozwodu napotkałaby na trudności i znacznie się przedłużyła na mocy praw hiszpańskich wymagających pozwolenia Trybunału Świętej Roty, krzyknąłem jej, żeby została w domu i że to ja sam wsiądem w samolot jeszcze tego wieczora. Wśród bezładnych głosów pożegnania usłyszałem, jak mi się wydawało, coś o tym, że chce być matką. Ale później przypominając sobie to, co dało się zrozumieć z tej naszej rozmowy, doznałem nagle wstrząsu, zadając sobie pytanie, czy powiedziała, że chce czy też ma

zostać matką. To drugie przypuszczenie było na nieszczęście możliwe, gdyż ostatni raz spełniłem swój obowiązek małżeński, zgodnie z naszym ustalonym rytuałem niedzielnym, niecałe sześć tygodni temu. Na chwilę przed tym telefonem przyjąłem ogromną sumę zaofiarowaną mi przez dziennik prowadzący kampanię o moje wyzwolenie za wyłączne prawa do moich publikacji, moich niezliczonych kłamstw – gdyż to, co będę sprzedawał teraz, to pięćdziesiąt kolumn kłamstw. Nie mogę przecież pisać o tym, co było najcudowniejsze w mojej podróży, bo to by oznaczało tyle samo, co narazić Santa Mónica de los Venados i Dolinę Meset na najgorsze odwiedziny. Szczęściem piloci, którzy mnie znaleźli, wspomnieli coś o misji w swoich raportach, przyzwyczajeni nazywać „misją” każde odległe od świata miejsce, gdzie jakiś zakonnik zatknął krzyż. A że misje nie budzą zbyt wielkiego zaciekawienia publiczności, mogę przemilczeć wiele rzeczy. To, co sprzedam, będzie więc chałturą, którą ułożyłem sobie przez drogę: pojmany przez plemię raczej nieufne niż okrutne, zdołałem uciec i przebyłem sam setki kilometrów w puszczy. Wreszcie zbłąkany i wyczerpany napotkałem „misję”, gdzie mnie znaleziono. W walizce mam słynną powieść pewnego pisarza z Południowej Ameryki, w której wymienione są nazwy zwierząt i drzew, legendy tubylców, opisy różnych dawnych zdarzeń i wszystko, czego trzeba, by nadać moim reportażom pozory prawdziwości. Podejmę honorarium za moją prozę i rozporządzając sumą, która może zapewnić Ruth trzy lata spokojnego życia, rozpocznę starania o rozwód z mniejszymi wyrzutami sumienia. Nie ulega bowiem wątpliwości, że moja sprawa skomplikowała się znacznie z moralnego punktu widzenia wobec ewentualności tej ciąży, która tłumaczyłaby nagłą decyzję porzucenia teatru i zbliżenia się do mnie. Czuję, że będę musiał walczyć z najgorszą ze wszystkich tyranii – z tą, którą ten, kto kocha, stosuje zwykle wobec tego, kto nie chce być kochany, używając straszliwej broni tkliwości i uległości, która rozbraja gniew i tłumi słowa pogardy. Nie ma gorszego przeciwnika w walce takiej jak ta, którą muszę stoczyć, niż ten, kto przyjmuje na siebie wszystkie winy i przeprasza, zanim mu wskażą drzwi.

Ledwie zszedłem po stopniach samolotu, usta Ruth wybiegają na spotkanie moich i ciało jej szuka mego ciała wśród niespodziewanej intymności, jaką stwarzają otwarte płaszcze, spotykające się po obu naszych bokach. Rozpoznaję dotyk jej piersi i brzucha pod okrywającą je lekką tkaniną, po czym następuje wybuch łez na moim ramieniu. Oślepia mnie tysiąc reflektorów błyszczących niby rozbite lustra w półmroku lotniska. Ale oto już nadbiega konserwator i ściska mnie wylewnie, potem delegacja uniwersytecka z rektorem i dziekanami fakultetu na czele; kilku wysokich funkcjonariuszy rządu i władz miejskich, dyrektor dziennika i – czy to nie Eks-ti-ejcz wraz z malarzem ceramiki i tancerką? – wreszcie personel mego studia synchronizacji i dyrektor przedsiębiorstwa, i przedstawiciel wydziału propagandy, jak zwykle o tej porze zupełnie pijany. Wśród ogłuszającego zgiełku i zamieszania widzę wiele zapomnianych już twarzy jakby przybyłych z bardzo daleka: twarze ludzi, którzy przez całe lata żyją w pobliżu nas z przyczyny wspólnie wykonywanych zajęć lub przymusowych spotkań na terenie pracy, a jednak, gdy się przestanie ich widywać, natychmiast znikają razem ze swymi nazwiskami i dźwiękiem słów, jakie mówili. Pod eskortą tego orszaku widm udaję się na przyjęcie do ratusza. Obserwuję teraz Ruth pod osłoną pajęczyn w galerii obrazów i mam wrażenie, że odgrywa najlepszą rolę swego życia; kreśląc i zacierając nie kończącą się arabeskę, powoli staje się centralnym punktem uroczystości,

ośrodkiem zainteresowania, i odbierając wszelką inicjatywę pozostałym kobietom, zaczyna sprawować funkcję pani domu z gracją i ruchliwością tancerki. Jest wszędzie, prześlizguje się za kolumnami, znika, by ukazać się po chwili w innym miejscu, wszechobecna, nieuchwytna, przybiera odpowiedni gest i wyraz twarzy, gdy śledzi ją fotograf, uśmierza czyjąś migrenę pastylką, która szczęśliwym trafem znalazła się w jej torebce, wraca do mnie z jakimś smakołykiem czy kieliszkiem w ręku, przez sekundę patrzy mi w oczy ze wzruszeniem, ocierając się o mnie intymnym gestem, o którym każdy myśli, że tylko on jeden go dostrzegł, odchodzi, przychodzi rzucając dowcipne słówko tam, gdzie ktoś cytuje Szekspira, udziela krótkiego wywiadu prasie twierdząc, że będzie mi towarzyszyła, gdy następnym razem wyruszę do puszczy, prostuje się, smukła, przed operatorem kroniki filmowej; jej gra jest tak zróżnicowana w odcieniach, tak wciągająca – w chwili, gdy zdaje się oddawać, nie przestając zachowywać dystansu i pozwala się podziwiać z bliska, nieustannie otaczając mnie swymi staraniami i używając tysiąca genialnych sztuczek, by ukazać się wszystkim oczom jako uosobienie szczęścia w pożyciu małżeńskim – że bierze ochota ją oklaskiwać. Ruth na tym przyjęciu promienieje radością małżonki, która ma przeżyć – tym razem bez bólu defloracji – drugą noc poślubną; jest Genowefą z Brabantu, która wróciła na zamek, jest Penelopą słuchającą, jak Ulisses mówi o łożu małżeńskim, Gryzeldą uszlachetnioną przez wiarę i oczekiwanie. Wreszcie, gdy czuje, że jej zasoby są już na wyczerpaniu, że powtórzenie może przyćmić blask Gwiazdy, zaczyna mówić tak przekonywająco o moim zmęczeniu, o mojej potrzebie odpoczynku i odprężenia po tylu ciężkich przejściach, że pozwalają nam odejść wśród porozumiewawczych mrugań mężczyzn, którzy patrzą na moją żonę schodzącą po monumentalnych schodach i uczeponą mego ramienia, w sukni pięknie modelującej jej figurę. Wychodząc z ratusza mam wrażenie, że teraz trzeba tylko spuścić kurtynę i pogasić światła. Czuję się obcy temu wszystkiemu. Pozostałem bardzo daleko stąd. Gdy dyrektor mojej instytucji powiedział mi przed chwilą: „Niech pan weźmie jeszcze kilka dni urlopu” – spojrzałem na niego zdziwiony, niemal oburzony, że ośmiela się jeszcze rościć jakieś pretensje do władzy nad moim czasem. A teraz odnajduję na nowo to, co było niegdyś moim domem, tak jakbym wchodził do cudzego domu. Żaden z przedmiotów nie ma dla mnie tego samego znaczenia co przedtem, nie chcę wcale odzyskać tego czy owego. Wśród książek na półkach mojej biblioteki są setki takich, które dla mnie umarły. Cała literatura, niegdyś dla mnie najinteligentniejsza i najsubtelniejsza, jaką wydała nasza epoka, wali się w gruzy, z całym arsenałem swych fałszywych cudów. Dziwny zapach tego mieszkania każe mi wrócić do życia, którego nie chcę przeżyć po raz drugi. Wchodząc Ruth pochyliła się, by podnieść wycinek z gazety, który ktoś – zapewne ktoś z sąsiadów – wsunął przez szparę u dołu drzwi. Zdaje się, że lektura wywołuje w niej wstrząsające zdumienie. Już się cieszę z tego odwrócenia uwagi, które opóźni wylewy czułości i da mi czas na przemyślenie tego, co mam powiedzieć, gdy moja żona gwałtownie zaciska pięści i podchodzi do mnie z oczyma płonącymi gniewem. Podaje mi gazetę i wzdrygam się na widok fotografii Mouche w rozmowie z pewnym reporterem znanym z pogoni za skandalem. Tytuł artykułu o milę pachnący blagą – mówi o rewelacjach w związku z moją podróżą. Autor cytuje swoją rozmowę z moją dawną kochanką. Mouche ze zdumiewającym tupetem podawała się za moją współpracowniczkę w czasie tej podróży. Według jej oświadczeń, podczas gdy ja zajmowałem się instrumentami z punktu widzenia organograficznego, ona je badała pod kątem astrologicznym – gdyż,

jak wiadomo, wiele ludów starożytności łączyło swoje gamy z pewnym układem planetarnym. Z przerażającą brawurą, popełniając błędy, które rozśmieszyłyby każdego specjalistę, Mouche opowiada o „tańcu deszczu” Indian Zuni, z jego quasi elementarną symfonią w siedmiu ruchach, cytuje hinduskie ragas i Pitagorasa, z przykładami, których dostarczył jej prawdopodobnie życzliwy Eks-ti-ejcz. Zręczna jest mimo wszystko, gdyż tym popisem fałszywej erudycji próbuje usprawiedliwić w oczach publiczności swoją obecność przy mnie w czasie podróży, ukrywając właściwy charakter naszych stosunków. Przedstawia siebie jako osobę studiującą nauki astrologiczne, która wykorzystuje misję powierzoną jednemu z jej znajomych, by zapoznać się z pojęciami kosmograficznymi pierwotnych Indian. Kończy swoją opowieść oświadczeniem, że dobrowolnie wycofała się z tego przedsięwzięcia, gdy padła ofiarą malarii, powracając czółnem doktora Montsalvatje. Nie mówi nic więcej w przekonaniu, że to wystarczy, by zainteresowani zrozumieli to, co powinni zrozumieć: w rzeczywistości mści się za moją ucieczkę z Rosario i za piękną rolę, jaką opinia publiczna obdarzyła moją żonę w tym wielkim oszustwie. A to, czego nie mówi Mouche, między wierszami pozwala wyczytać złośliwy reporter: Ruth wciągnęła cały naród w sprawę uwolnienia człowieka, który w rzeczywistości pojechał do puszczy ze swoją kochanką. Dwuznaczny aspekt tej historii w oczywisty sposób ukazywało milczenie osoby, która w tym z całą perfidią wybranym momencie wyłaniała się z cienia. Nagle wzniosły teatr małżeński mojej żony okrywał się śmiesznością. Patrzyła na mnie w tej chwili z furją, której nie były w stanie oddać żadne słowa. Jej twarz wyglądała jak gipsowa maska tragiczna, a usta zastygłe w sardonicznym grymasie ukazywały zbyt wystające zęby – defekt, który bardzo starannie ukrywała. Zaciśnięte ręce zanurzyła we włosach, jakby szukając czegoś do zniszczenia lub rozbicia. Zrozumiałem, że muszę uprzedzić wybuch furii, która nie może się już powstrzymać, i przyspieszyłem go wygarniając wszystko, co zamierzałem powiedzieć dopiero za kilka dni, gdy wesprze mnie podła, lecz niewątpliwa siła pieniądza. Oskarżyłem jej teatr, jej powołanie, które przełożyła nad wszystko, mówiłem o separacji ciał, o absurdzie pożycia małżeńskiego ograniczonego do kopulacji siódmego dnia. I ulegając jakiejś mściwej potrzebie dodania dotkliwych szczegółów do moich rewelacji, powiedziałem jej, jak pewnego dnia jej ciało stało mi się obce, jak jej osoba zmieniła się dla mnie z czasem w symbol obowiązku, spełnianego z lenistwa, dla uniknięcia wstrząsów, jakie na pewien czas wywołałoby na pozór nieuzasadnione zerwanie. Potem mówiłem o Mouche, o naszych pierwszych spotkaniach w jej pracowni ozdobionej konfiguracjami gwiazd, gdzie znalazłem przynajmniej coś z młodzieńczego nieładu i beztroski, pewien jak gdyby bezwstyd, wesoły i nieco zwierzęcy, nieodłączny, według mnie, od miłości fizycznej. Ruth bezsilnie wyciągnięta na dywanie, dysząc ciężko, ze wzburzoną twarzą, w której zarysowały się na zielono wszystkie żyły, mogła tylko od czasu do czasu wtrącić, z jakimś charczącym jękiem, jak ktoś, kto chce, żeby jak najprędzej skończyła się bolesna operacja: „No, mów dalej, dalej...” Ale ja już zacząłem jej opowiadać o moim zerwaniu z Mouche, o obrzydzeniu, jakie zaczęły budzić we mnie jej kłamstwa i dwuznaczna moralność, o mojej pogardzie dla całego fałszu jej życia, dla jej zawodu, który polegał na nabieraniu głupców, dla jej przyjaciół ogłupianych przez fałszywe teorie innych, którzy także dali się nabrać, o całej tej pogardzie, jaka mnie ogarnęła, odkąd zacząłem patrzeć na wszystko nowymi oczyma, jak gdybym wrócił, odzyskawszy wzrok, z długiej podróży po krańcach prawdy. Ruth osunęła się na klęczki, żeby mnie lepiej

słuchać. I natychmiast dostrzegłem w jej spojrzeniu niebezpieczeństwo zbyt skwapliwego współczucia, szlachetnej pobłażliwości, której absolutnie nie chciałem przyjąć. Jej twarz łagodził stopniowo wyraz ludzkiego zrozumienia na widok ukaranej słabości, za chwilę poda rękę upadłemu nieszczęśnikowi i nastąpi przebaczenie łzawe i wspaniałomyślne. Przez otwarte drzwi widziałem jej łóżko zbyt równo zasłane, powleczone najlepszą pościelą, kwiaty na stoliku nocnym, moje pantofle postawione obok jej pantofli w przewidywaniu miłostnego zbliżenia, które niechybnie miało nastąpić po wytwornej kolacji, przygotowanej już z pewnością, z białym winem, zawczasu wstawionym do lodu. Przebaczenie było tak blisko, że uznałem moment za odpowiedni, by zadać cios ostateczny, i wydobyłem z cienia tajemnicę Rosario, przedstawiając tę nieprzewidzianą osobę dramatu, ku zdumieniu Ruth, jako coś dalekiego, niezwykłego, niezrozumiałego dla ludzi stąd, gdyż jej zrozumienie wymagało posiadania pewnych kluczy. Odmalowałem istotę, której nie są w stanie objąć nasze prawa i nie sposób do niej dotrzeć zwykłymi drogami; ukazałem labirynt tajemnic uosobionych w jej postaci i powierzonych mi w części, po pewnych próbach, które trzeba przemilczeć, tak jak przemilcza się tajemnicę zakonu rycerskiego. Pośród dramatu, rozgrywającego się na tle tak dobrze znanej mi dekoracji, bawiłem się złośliwie widokiem wzrastającego oszołomienia mojej żony, przybierając Rosario w magiczny czar Kundry i roztaczając wokół niej obraz jakiegoś Ziemskiego Raju, gdzie boa wytropiony któregoś ranka przez Jastrzębia pełnił rolę biblijnego węża. Dając się ponieść wyobraźni, mówiłem głosem tak pewnym i mocnym, że Ruth, widząc zagrażające jej realne niebezpieczeństwo, usiadła naprzeciw mnie, słuchając w najwyższym napięciu. Nagle rzuciłem słowo „rozwód”, a że zdawała się nie rozumieć, powtórzyłem je parę razy bez gniewu, stanowczym tonem kogoś, kto ogłasza swoją nieodwołalną decyzję. Wtedy wstała i ujrzałem przed sobą wielką tragiczkę. Nie mógłbym sobie przypomnieć, co do mnie mówiła przez te pół godziny, kiedy nasz pokój był jej sceną. Największe wrażenie zrobiły na mnie gesty jej szczupłych ramion wznoszących się od nieruchomego tułowia do gipsowej twarzy z patetyczną dokładnością, dodając mocy słowom. Podejrzewam teraz, że wszystkie dramatyczne zahamowania Ruth, jej przykucie na całe lata do jednej roli, stale tłumiona chęć szarpania się na scenie, przeżywania bólu i furii Medei, znalazły nagle ujście w tym monologu dochodzącym do paroksyzmu. Ale nagle jej ramiona opadły, głos przybrał tony uroczyste i moja małżonka zamieniła się w Prawo. Zaczęła przemawiać językiem trybunałów, adwokatów i sędziów. Twarda i zimna, znieruchomiała w oskarżycielskiej pozie, sztywna w czarnych jedwabkach, które przestały modelować jej ciało, uprzedziła, że ma sposoby utrzymania mnie przy sobie przez długi czas, że będzie prowadziła rozwód najdłuższymi, najbardziej powikłanymi drogami, że zastosuje przeciwko mnie najperfidniejsze kruczki prawne, najbardziej zagmatwane paragrafy, żeby utrudnić mój powrót do tej, dla której znalazła już ironiczne określenie „twoja Atala”. Wyglądała jak majestatyczny posąg, odarty z kobiecości, stojąc na zielonym dywanie niby nieprzejednana władza, wcielenie Sprawiedliwości. Spytałem ją wreszcie, czy to prawda, że jest w ciąży. W tym momencie Temida ustąpiła miejsca matce: objęła własny brzuch zrozpaczonym gestem, pochylając się nad życiem, które poczyniło się w jej łonie, jak gdyby chciała go bronić przed moją nikczemnością, i zaczęła płakać bezsilnie, prawie jak dziecko, nie patrząc na mnie, tak zboleła, że łkania najgęstszej rozpacz wyrażały się zaledwie w cichych jękach. Potem, jakby uspokojona, utkwiała wzrok w

ścianie, jakby patrzyła na coś dalekiego, podniosła się z wielkim wysiłkiem i wyszła do swego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Wyczerpany przeżytym kryzysem nerwowym, spragniony powietrza, zszedłem po schodach na ulicę.

XXXV

(Później)

Ponieważ przyzwyczałem się chodzić zgodnie z rytmem mojego oddechu, dziwi mnie odkrycie, że inni ludzie kroczą w tym czy innym kierunku, mijają się na szerokim trotuarze według rytmu obcego ich organicznej woli. Jeśli przybierają to tempo, a nie inne, to dlatego, że mają przed sobą określony cel: dojść do rogu ulicy w chwili, gdy zapala się zielone światło, które pozwoli im przejść na drugą stronę. Czasem tłum wyłaniający się hałaśliwie ze stacji kolejki podziemnej w regularnych odstępach czasu, ze stałością bijącego pulsu, zdaje się przerywać ogólny rytm ulicy pośpiechem jeszcze większym niż ten, jaki panuje zazwyczaj; wkrótce jednak normalnie szybkie tempo ustala się na nowo między dwoma semaforami. Ponieważ nie mam siły dostosować się do tego ruchu kolektywnego, posuwam się bardzo wolno, przy samych oknach wystawowych, gdyż istnieje wzdłuż magazynów coś na kształt strefy pobłażliwości dla staruszków, inwalidów i ludzi, którzy nie muszą się spieszyć. Odkrywam wówczas w wąskich osłoniętych przestrzeniach, rozciągających się między dwiema witrynami czy dwoma domami nie dość silnie przylegającymi do siebie, istoty, które tu odpoczywają, oszołomione ruchem, niby ustawione pionowo mumie. W jednej takiej niszy stoi kobieta z woskowożółtą twarzą, w zaawansowanej ciąży; w łoży z czerwonych cegieł Murzyn otulony w podarty płaszcz wypróbowuje przed chwilą zakupione organki; w jakiejś galerii pies drży z zimna pomiędzy nogami pijaka, który zasnął na stojąco. Przechodzę obok kościoła w pachnącym kadzidłem półmroku, dźwięk organów zachęca mnie do wejścia. Liturgiczne melodie wznoszą głębokie echo pod sklepieniem kruchty. Patrząc na zwrócone ku ołtarzowi twarze w żółtym blasku świec; nikt spośród tych, których religijny zapach zgromadził tu dla wysłuchania tego nocnego nabożeństwa, nie rozumie, co mówi ksiądz. Piękno tej prozy jest im obce. Teraz, gdy usunięto łacinę ze szkół jako przedmiot niepotrzebny, to, co widzę tutaj, jest przedstawieniem, coraz mniej rozumianym teatrem. Między ołtarzem a wiernymi co roku pogłębia się przepaść wypełniona słowami bez życia. Słysząc wznoszący się śpiew gregoriański: *Iustus ut palma florebit. Sicut cedrus Libani multiplicabitur. Plantatus in domo Domini. In atris domus Dei nostri.* Z niezrozumiałością tekstu łączy się dla obecnych niezrozumiałość muzyki, która przestała być muzyką dla większości ludzi: jest to śpiew, który się słyszy, ale się go nie słucha, tak samo jak słyszy się, nie słuchając, martwy język, który mu towarzyszy. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo mężczyźni i kobiety zgromadzeni tutaj obcy są temu, co im się mówi i śpiewa w nieznanym języku, i spostrzegam, że nieświadomość, z jaką asystują przy misterium, charakteryzuje wszystko, co robią. Tutaj, kiedy się zenią, wymieniają obrączki, płacą „zadatek”, dostają garściami ryżu w głowę, nie znając tysiącletniej symbolicznej wartości własnych gestów. Szukają ziarna bobu w placku upieczonym na Trzech Króli, przynoszą migdały podczas chrztu,

zdobią choinkę świeczkami i girlandami nie wiedząc, co znaczy ziarno bobu ani migdał, ani ubrane drzewko. Mają za punkt honoru zachowywać tradycje, których pochodzenie jest zapomniane, które z biegiem czasu ograniczają się do automatyzmu odruchu zbiorowego, do zbierania przedmiotów nieznanego użytku, pokrytych napisami, które przestały mówić od czterdziestu stuleci. Natomiast w świecie, do którego powrócę, nie robi się ani jednego gestu o nieznanym znaczeniu: posiłek na grobie, uświęcenie mieszkania, taniec masek, kąpiel traw, zadatek przymierza, zasłonięte lustro, perkusja wróżebna, procesje diabłów w Boże Ciało – to praktyki, których znaczenie odmierzone jest ze wszystkimi konsekwencjami. Podnoszę oczy na fryz zdobiący bibliotekę publiczną, która wznosi się na środku placu niby starożytna świątynia; spod tryglifów wyłania się głowa byka, którą musiał wyrysować jakiś pilny architekt, nie przypominając sobie prawdopodobnie, że ornament ten, wyłoniony z pomroki wieków, jest po prostu wyobrażeniem trofeum myśliwskiego, lepkiego jeszcze od zakrzepłej krwi, które ojciec rodziny zawieszał u wejścia swego domu. Zastaję po powrocie miasto w ruinach, bardziej realnych niż to, co zazwyczaj uważa się za ruiny. Wszędzie widzę chore kolumny i domy w agonii, ostatnie gzymsy wykonane w naszej epoce, ostatnie akanty Renesansu, usychające w porządkach, które porzuciła nowa architektura nie zastępując ich porządkami nowymi ani wielkim stylem. Piękne dzieło Palladia, genialne połączenie Borominiego straciły wszelkie znaczenie na tle fasad skleconych ze strzępów dawnych kultur, które wkrótce zdławi otaczający je cement. Z łona cementu wychodzą zmęczeni mężczyźni i kobiety, którzy jeszcze jeden dzień swoich czasów sprzedali żywiącym ich przedsiębiorstwom. Przeżyli jeszcze jeden dzień bez życia i muszą nabrać sił, by przeżyć jutro nowy dzień, którego także nie przeżyją, chyba że uciekną, jak ja niegdyś o tej godzinie, do rozgwaru dansingu i odurzenia alkoholem, by odnaleźć się o świcie w jeszcze większym opuszczeniu, w smutku, w jeszcze większym znużeniu. Przechodzę właśnie przez drzwi Venusbergu, tego lokalu z neonowym napisem z liter gotyckich, gdzie tyle razy Mouche i ja przychodziliśmy pić. Idę za tymi, którzy chcą się tu zabawić, i schodzę do podziemi, gdzie na murach wymalowano pustynne równiny, bez powietrza, usiane szkieletami, łukami w gruzach, rowerami bez rowerzystów, szczudłami, które podpierają coś na kształt kamiennego fallusa; na pierwszym planie figurują jakby przytłoczeni rozpaczą starcy, którzy zdają się nie widzieć bladej Gorgony z otwartym brzuchem, pożeranym przez zielone mrówki. Dalej metronom, klepsydra i ślimak spoczywają na gzymsie greckiej świątyni, której kolumnami są nogi kobiece w czarnych pończochach z czerwoną podwiązką w roli listewki. Podium dla orkiestry zrobione jest z drzewa, ze stiuku i płyt metalowych, w wydrążonych w nim małych iluminowanych grotach kryją się głowy z gipsu, koniki morskie, plansze anatomiczne i ruchoma ozdoba w kształcie dwóch woskowych piersi kobiecych, ustawionych na obracającej się płycie, których brodawki muska za każdym obrotem środkowy palec marmurowej ręki. W innej grotce, nieco większej, są powiększone fotografie Ludwika Bawarskiego, woźnicy Horniga i aktora Józefa Kainz w kostiumie Romea na tle panoramy zamków wagnerowskich lub rokoko-monachijskich, króla modnego dzięki pewnym pochwałom głupstwa, bardzo staroświeckim, ale którym Mouche jeszcze do niedawna dochowywała wierności na znak reakcji przeciwko wszystkiemu, co nazywała „esprit bourgeois”. Pułap naśladuje sklepienie jaskini pozieleniałej od grzybów i zacieków. Rozpoznawszy te ramy, obserwuję ludzi, którzy mnie otaczają. Na parkiecie

tanecznym gmatwanina splecionych ciał, które mieszają się w ciemnościach niby składniki jakiejś magmy, lawy poruszanej od wewnątrz w takt bluesa, ograniczonego wyłącznie do swoich walorów rytmicznych. Teraz gaszą światła i ciemność sprzyjająca ciasności pewnych uścisków bez celu, pewnych kontaktów rozpaczliwie utrudnionych przez lekkie bariery jedwabiu i wełny, dodaje nowego smutku temu zbiorowemu ruchowi, który ma w sobie coś z obrządku podziemnego, z tańca mającego na celu ubijanie ziemi, mimo że nie ma ziemi do ubijania... Znowu jestem na ulicy i marzę dla tych ludzi o pomnikach, które wyobrażałyby byki pokrywane swoje krowy na cokółach uszlachetnionych krowim nawozem na środku placów publicznych. Zatrzymuję się przed witryną galerii obrazów, gdzie wystawione są martwe bóstwa, pozbawione sensu, gdyż nie ma tu ich czcicieli; w ich twarzach enigmatycznych i strasznych wielu malarzy szuka sekretu zagubionej wymowy – z tą samą tęsknotą instynktownych energii, która wielu kompozytorom mego pokolenia kazała w nadużyciu instrumentów perkusji szukać żywiołowej siły rytmów pierwotnych. Przez dwadzieścia lat przeszło znużona kultura usiłowała odmłodzić się i znaleźć nowe soki żywotne w namiętnościach, które nic nie zawdzięczały rozumowi. Ale teraz śmieszne wydawały mi się wysiłki tych, którzy potrząsali bronią masek Bandiagara, afrykańskich *ibeyos*, fetyszów najeżonych gwoździami, przeciwko cytadelom Rozprawy o Metodzie, nie znając rzeczywistego znaczenia przedmiotów, które trzymali w ręku. Szukali barbarzyństwa w rzeczach, które nigdy nie były barbarzyńskie, gdy spełniały swoją rytualną funkcję we właściwym klimacie – rzeczy, które właśnie tego, który je określił jako barbarzyńskie, stawiały na terenie logiki kartezjańskiej, skrajnie przeciwnym poszukiwanej prawdzie. Chcieli odnowić muzykę Zachodu naśladowując rytmy, które nigdy nie pełniły funkcji muzycznej dla ich pierwotnych twórców. Te refleksje skłaniały mnie do wniosku, że puszcza ze swymi zdecydowanymi ludźmi, swymi przypadkowymi spotkaniami, ze swoim czasem, który jeszcze nie upłynął, nauczyła mnie o wiele więcej, jeśli chodzi o samą istotę mojej sztuki, o głęboki sens pewnych tekstów, o nieznaną wielkość pewnych kryteriów, niż lektura tylu książek, które leżały umarłe na zawsze w mojej bibliotece. Obcując z Adelantadem zrozumiałem, że największym dziełem zaproponowanym człowiekowi jest wykuć sobie przeznaczenie. Bo tutaj, w tłumie, który mnie otacza i biegnie, bezczelny i służalczy zarazem, widzę wiele twarzy i mało przeznaczeń. To dlatego, że za tymi twarzami każde głębokie pragnienie, każdy bunt, każdy impuls, stłumiony jest zawsze przez strach. Boją się wymówki, godziny, wiadomości, kolektywu, który pomnaża serwituty, boją się własnego ciała, interpelacji, wyciągniętego wskazującego palca opinii publicznej, boją się łona, które przyjmuje nasienie, boją się owoców i wody, dat i praw, i zakazów, boją się błędu i zamkniętej koperty, i wszystkiego, co się może zdarzyć. Ta ulica zwróciła mnie światu Apokalipsy, gdzie każdy zdaje się czekać otwarcia Szóstej Pieczęci – momentu, w którym księżyc przybierze kolor krwi, gwiazdy będą spadać jak dojrzałe figi, a wyspy ruszą ze swoich miejsc. Wszystko zwiastuje ten moment: okładki broszur w oknach wystawowych, tytuły ogłaszane przez megafony, litery przebiegające po gzymsach, zdania rzucane w przestrzeń. Jak gdyby czas tego labiryntu i innych labiryntów podobnych był już zważony, policzony, podzielony. Przychodzi mi na myśl w tej chwili, przynosząc z sobą ulgę, wspomnienie tawerny w Puerto Anunciación, gdzie puszcza wyszła naprzeciw mnie w osobie Adelantada. Czuję znowu w ustach smak mocnej wódki z orzechów laskowych, z cytryną i solą, zdaje mi się, że za moim czołem rysują się litery

zdobne w cienie i girlandy, składając się w nazwę tawerny: „Wspomnienie Przyszłości”. Jestem tutaj tej nocy przejazdem, przypominając sobie Przyszłość – wielką krainę Utopii dozwolonej, Ikarów możliwych. Bo moja łódź przemieszała dla mnie pojęcie czasu przeszłego, terażniejszego i przyszłego. Nie może być terażniejszością to, co będzie dniem wczorajszym, zanim człowiek zdążył go przeżyć i przemyśleć; nie może być terażniejszością ta zimna geometria bez stylu, gdzie wszystko nuży się i starzeje w niewiele godzin po urodzeniu. Wierzę już tylko w terażniejszość czegoś nietkniętego, w przyszłość tego, co się rodzi zwrócone twarzą do światła Génesis. Nie zgadzam się na los Człowieka-Pszczoły, Człowieka-Nicości, ani na to, by rytm mego życia wymierzał młot dozorczy galerników.

XXXVI

20 października

Kiedy zwrócono mi przed trzema miesiącami rękopis mego reportażu, bez żadnego usprawiedliwienia, strach podciął mi nogi i zadrzałem na całym ciele. Wpadłem w potrzask z chwilą podania do wiadomości publicznej mego żądania rozwodu. Dziennik nie darował mi pieniędzy wydanych na moje uwolnienie ani śmieszności, jaką budująca komedia zmontowana wokół mojej osoby okryła go w oczach publiczności, która musi uważać mnie za godnego pogardy gwałciciela Prawa, Musiałem sprzedać swój reportaż za podłą cenę czwartorzędnemu dziennikowi, a pewne ważne wydarzenie międzynarodowe przyćmiło na szczęście aktualność mojej osoby. Wtedy rozpoczęła się walka z nową Ruth, czarno ubraną i z nie umalowanymi wargami, upierającą się przy odegraniu przed sędziami narodu wielkiej roli małżonki zranionej w swoich najgłębszych uczuciach. Jej ciąża okazała się fałszywym alarmem. Ale to zamiast uprościć moją sprawę, zagmatwało ją jeszcze bardziej, gdyż zręczny adwokat wykorzystał fakt, że moja żona była gotowa poświęcić swoją karierę teatralną na najdrobniejszy znak zapowiadający przyszłe macierzyństwo. Byłem więc niegodziwym mężem z Pisma Świętego, który zbudował domowe ognisko, nie żyjąc w nim, założył winnicę bez gospodarza. Teatr wystawiający ową sztukę z wojny secesyjnej, który tak wymęczył Ruth codziennym automatyzmem narzuconej pracy, stał się obecnie sanktuarium sztuki, wielką drogą kariery, której moja żona nie zawahała się porzucić, poświęcając sławę i rozgłos, aby oddać się w pełni wzniosłemu zadaniu stworzenia przykładowego ogniska domowego, które zniszczyła moja amoralność. Mam wszelkie szanse przegrać w tym imbroglu, które moja żona przeciąga w nieskończoność w nadziei, że czas stanie po jej stronie, każąc mi zapomnieć o mojej ucieczce i powrócić do dawnego życia. To ona w ostatecznym rachunku uzyskała najlepszą rolę w tej komedii i Mouche została usunięta z placu boju. Tak więc od trzech miesięcy każdego popołudnia skręcam na tych samych rogach ulicy, wchodzę z piętra na piętro, otwieram drzwi, czekam, wypyuję sekretarki, podpisuję to, co mi każą podpisać, i znowu odnajduję siebie na tych samych trotuarach zaczerwienionych od blasku neonowych reklam. Mój adwokat wita mnie coraz mniej uprzejmie, zmęczony moją niecierpliwością, a zarazem dostrzegając okiem eksperta, że coraz trudniej mi jest podołać pewnym kosztom, jakich wymaga sprawa rozwodowa. Prawda, że przeniosłem się z dużego hotelu do hoteliku studenckiego, a stamtąd do taniego pensjonatu na czternastej ulicy, gdzie chodniki pachną smażonym tłuszczem. Moje przedsiębiorstwo reklamowe również nie przebaczyło mi spóźnionego powrotu do pracy i przez ten czas Hugo, mój asystent, mianowany został szefem studia. Szukam na próżno pracy w tym mieście, gdzie na jedno miejsce jest stu kandydatów. Wyjadę stąd, rozwiedziony czy nie. Ale żeby dotrzeć do Puerto Anunciación, trzeba mi pieniędzy, pieniędzy, których ilość wzrasta, w miarę jak upływa czas; powierzają

mi tylko drobne instrumentacje, które wykonuję z niechęcią, wiedząc, że gdy mi zapłacą, po tygodniu znowu znajdę się bez grosza. Miasto nie wypuszcza mnie. Ulice oplatają mnie niby sznury więcierza, sieci zarzuconej z wysoka. Z każdym tygodniem przybliżam się do tych, którzy w nocy piorą swoją jedyną koszulę, chodzą po śniegu w dziurawych butach, chowają niedopałki papierosów i gotują w szafach. Do tego jeszcze nie doszedłem, ale palnik spirytusowy, aluminiowy rondel i paczka płatków owsianych stanowią część mego umeblowania zwiastując coś, o czym myślę ze zgrozą. Spędzam całe dnie w łóżku, usiłując zapomnieć o tym, co mi grozi, nad porywającą lekturą „Popol-Vuh” Inca Garcilaso, podróży Fray Servando de Castillejos. Czasem otwieram „Żywoty Świętych”, oprawne w fioletowy aksamit ze złotymi inicjałami mojej matki, i szukam stronic poświęconych świętej Róży, na które dzięki tajemniczemu przypadkowi padło moje spojrzenie w dzień wyjazdu Ruth – ten dzień, kiedy tyle dróg zmieniło kierunek, bez hałasu, na skutek dziwnego splotu zrządeń losu. I za każdym razem odczuwam coraz dotkliwszą gorycz, czytając czułą strofę, którą zdaje się wypełniać tyle bolesnych aluzji:

Gdzie jesteś, Panie mego serca

Któż Cię zatrzymał?

Spóźniasz się – i już południe

A ciebie nie ma...

Kiedy wspomnienie Rosario przeszywa moje ciało niby nieznośny ból, zaczynam spacerować bez końca, prawie zawsze po Central Parku, gdzie zapach drzew okrytych rdzą jesieni, uspionych we mgle, przynosi mi ulgę. Kora pni wilgotnych od deszczu przypomina, gdy je dotykam, mokre polana naszych ostatnich ognisk, ich ostry dym wyciskający łzy z oczu Rosario w pobliżu okna, przez które wychylała się ze śmiechem, by zaczerpnąć powietrza. Obserwuję taniec świerków szukając w ruchu igieł jakiejś pomyslniej wróżby. Nie mogę myśleć o niczym innym prócz mego powrotu tam, do tego stopnia, że widzę znaki wróżebne w pierwszych przedmiotach, na jakie co rano pada mój wzrok: pająk to zła wróżba, podobnie jak skóra węża w witrynie sklepowej, ale pies, który mnie zaczepia i pozwala się pogłaskać, to znak doskonały. Czytam horoskopy w prasie. Wszędzie szukam wróżby. Wczoraj w nocy śniło mi się, że jestem w więzieniu o murach tak wysokich jak nawy katedry, gdzie między kolumnami kołysały się sznury szubienic; były też masywne sklepienia unoszące się w dali, lekko zbaczające z linii prostej ku górze, niby przedmioty oglądane w dwóch lustrach ustawionych naprzeciw siebie. Były wreszcie pogrążone w półmroku podziemia, rozbrzmiewające głuchym galopem konia. Koloryt akwaforty, panujący w całym obrazie, skłonił mnie do refleksji, gdy otworzyłem oczy, że jakieś wspomnienie z muzeum uczyniło mnie więźniem „Invenzioni di Carceri” Piranesiego. Nie myślałem o tym więcej przez cały dzień. Ale teraz o zmierzchu wchodzę do księgarni, by przejrzeć jakiś traktat o interpretacji snów: „*W i ę z i e n i e-Egipt: Sytuacja utwierdza się. Nauki okultystyczne: w perspektywie miłość osoby, od której nie spodziewasz się lub nie chcesz żadnych uczuć. Psychoanaliza: wiąże się z okolicznościami, rzeczami i osobami, od których należy się uwolnić*”. Owiewa mnie znajomy zapach i

sylwetka kobiety ukazuje się obok mojej w lustrze. Mouche stoi przy mnie, rzuca ironiczne spojrzenie na moją książkę. Potem jej głos: „Jeśli ci chodzi o poradę, udziele jej po przyjacielskiej cenie”. Ulica jest blisko. Siedem, osiem, dziewięć kroków i znajdę się za drzwiami. Nie chcę do niej mówić, nie chcę jej słuchać. Nie chcę dyskutować. To ona jest winna wszystkiemu, co mnie w tej chwili dręczy. Ale jednocześnie ogarnia mnie znajoma słabość w udach i pachwinach, połączona z uczuciem gorąca w okolicy łydek. Nie jest to zdecydowana żądza ani podniecenie erotyczne, ale raczej jakieś wrażenie przyzwolenia mięśni, bezbronnych wobec pokusy, podobne do tej skłonności, która tak często w latach młodości ciągnęła moje ciało do burdelu, podczas gdy duch starał się temu przeszkodzić. Doznawałem wtedy uczucia jakiegoś rozdwojenia wewnętrznego, którego wspomnienie sprawiało mi wówczas niewypowiedzianą mękę. Podczas gdy przerażony duch próbował czepiać się Boga, pamięci o matce, ukazywał widmo chorób, odmawiał Ojciec Nasz, ruszałem powoli, lecz stanowczo w drogę ku pokojowi z łóżkiem przykrytym na dzień kapą z czerwonymi kokardami, wiedząc, że z chwilą gdy poczuję specyficzny zapach szminek rozrzuconych na marmurowym stoliku nocnym, moja wola ustąpi żądzy, a dusza pozostanie na zewnątrz w opuszczeniu i ciemnościach. Potem mój duch gniewał się na ciało i kłótnia trwała aż do nocy, kiedy konieczność wspólnego odpoczynku łączyła nas w modlitwie, przygotowując skruczę następnych dni, przeżywanych w oczekiwaniu plag, które ukarzą grzech rozpusty. Idąc obok Mouche wzdłuż muru kościoła św. Mikołaja zrozumiałem, że wróciły dawne młodzieńcze rozterki. Mówiła prędko, jakby chciała się ogłuszyć, twierdząc, że nie jest winna skandalowi w prasie, że padła ofiarą nadużycia zaufania ze strony dziennikarza etc. Nie straciła oczywiście swojej wrodzonej zdolności kłamania z jasnym spojrzeniem, patrząc prosto w oczy. Nie wyrzuciła mi mego zachowania podczas jej choroby, gdyż wspomniała mi przypisała je memu pragnieniu zdobycia instrumentów. Ponieważ rzeczywiście majaczyła w gorączce, kiedy pierwszy raz wziąłem Rosario w szalasię u Greków, nie przypuszczam, żeby nas naprawdę widziała. Ze smutkiem znosiłem jej towarzystwo tego wieczora, żeby móc z kimś porozmawiać, nie być sam w moim źle oświetlonym pokoju wśród zapachów margaryny, a że byłem mocno zdecydowany udaremnić jej uwodzicielskie zamiary, dałem się zaciągnąć do Venusbergu, gdzie miałem otwarty rachunek od dawna. W ten sposób nie będę musiał przyznawać się do mojej obecnej nędzy i zresztą postaram się pić umiarkowanie. Tak czy owak alkohol okazał się dostatecznie perfidny, żeby złamać moje postanowienie i wkrótce zaprowadził mnie do salonu porad astrologicznych, gdzie malowidła dekorujące ściany zostały już skończone. Mouche kilkakrotnie napełniła mój kieliszek i poprosiła o pozwolenie przebrania się w strój mniej krepujący, dając mi przez cały czas do zrozumienia, że byłbym głupcem, gdybym odmówił sobie przyjemności nie pociągającej za sobą żadnych konsekwencji. Uważała, że mój postępek w niczym mnie nie skompromituje, i poprowadziła wszystko tak zręcznie, że zgodziłem się na to, czego chciała, z łatwością, w której znaczną rolę odegrała kilkutygodniowa, niezwykle dla mnie abstynencja. Po kilku minutach doznałem znużenia i rozczarowania tych, co po rozstaniu, które mogło być definitywne, odnajdują ciało już bez żadnych niespodzianek, bo nic ich nie łączy z istotą zamieszkałą w tym ciele. Odnajdywałem je z niechęcią, smutny i zły na samego siebie, bardziej osamotniony niż przedtem. Pierwsza lepsza prostytutka, napotkana w barze i opłacona za swoje usługi, byłaby mi miłsza niż to. Przez otwarte drzwi widziałem

malowidła w salonie. „Ta podróż była wypisana na ścianie” – powiedziała Mouche w przeddzień naszego wyjazdu, dopatrując się wróżby w rysunkach Łuczniaka, Okrętu Argo i Warkocza Bereniki i przypisując oczywiście sobie znaczenie trzeciej z tych figur. Wróżebny sens tego wszystkiego, jeśli istniał, stał się dla mnie zdumiewająco jasny: Warkocz Bereniki to Rosario ze swym nietkniętym warkoczem, podczas gdy Ruth uosabiała Hydre zamykającą kompozycję i wznoszącą się groźnie za fortepianem, który można było uważać za narzędzie mego zawodu. Mouche wyczuła, że moje milczenie, mój brak zainteresowania dla odnalezienia świata nie są objawem sprzyjającym, i żeby odwrócić moje myśli, wzięła ze stolika numer leżącego tam czasopisma. Był to jakiś tygodnik religijny, który zaleciła jej zakonnica, Murzynka, siedząca obok niej w samolocie w czasie podróży powrotnej. Ponieważ chodziło o przerwanie bardzo złej passy, Mouche niepewna, czy Jehowa nie jest prawdziwym Bogiem, zgodziła się zaabonować to pismo. Otworzyła skromny biuletyn działalności misyjnej, drukowany na tanim papierze, i włożyła mi do rąk. „Zdaje się, że tu piszą o tym kapucynie, któregośmy poznali, i jest jego fotografia”. W grubej, czarnej ramce zobaczyłem fotografię brata Pedro de Henestrosa, zrobioną niewątpliwie dawno temu, bo twarz wydawała się jeszcze młoda mimo szpakowatej brody. Wstrząśnięty przeczytałem, że mnich udał się w celach misjonarskich na ziemie Dzikich Indian, które mi niegdyś pokazywał ze szczytu wzgórza z petroglifami. Od pewnego poszukiwacza złota, przybyłego ostatnio do Puerto Anunciación – stwierdził artykuł – dowiedziano się, że ciało brata Pedro de Henestrosa znaleziono okrutnie pokaleczone w czółnie, które mordercy zepchnęli na rzekę, by uniesione prądem zwłoki wróciły do kraju Białych na znak straszliwego ostrzeżenia. Ubrałem się pospiesznie, nie odpowiadając na pytania Mouche, i uciekłem z jej domu wiedząc, że nigdy już tu nie wrócę. Chodziłem aż do świtu pośród opuszczonych sklepów, milczących banków, przedsiębiorstw pogrzebowych i uśpionych szpitali. Kiedy się rozjaśniło, niezdolny odpocząć przepłynąłem promem na drugą stronę rzeki i dalej spacerowałem między sklepami i urzędami celnymi dzielnicy Hoboken. Myślę, że mordercy musieli rozebrać brata Pedro po przebiciu go strzałami, rozciąli krzemieniem jego chude żebra i wyrwali serce, zgodnie z odwieczną tradycją rytualną. Może go wykastrowali, odarli ze skóry, poćwiartowali na drobne kawałki, jak zabitego wołu. Mogę sobie wyobrazić najokrutniejsze możliwości, najbardziej krwawe i ohydne okaleczenia i tortury, jakim poddano jego stare ciało. Ale nie znajduję w tej śmierci owej przerażającej grozy, jaką budziła we mnie nieraz śmierć tych, którzy nie wiedzieli, za co umierają, i ginęli przywołując matkę lub próbując rękoma zakryć zniekształcenia twarzy, która nie miała już ani policzków, ani nosa. Brat Pedro de Henestrosa doznał najwyższej łaski, jakiej człowiek może udzielić sobie samemu, łaski wyjścia na spotkanie własnej śmierci, wyzwania jej, i mógł zginąć w walce uwiecznionej dla zwyciężonego zwycięstwem podobnym do tego, które odniósł święty Sebastian najeżony strzałami – to znaczy ostatecznym pogięciem śmierci.

XXXVII

Kiedy chłopak, który mnie prowadził, wskazał dom twierdząc, że tu się znajduje nowa oberża, zatrzymałem się z bolesnym zdumieniem: za tymi grubymi murami, pod tym dachem porośniętym trawą kołysaną przez wiatry czuwaliśmy pewnej nocy przy zwłokach ojca Rosario. Tam, w ogromnej kuchni zbliżyłem się pierwszy raz do „twojej kobiety”, z niejasną świadomością przyszłego znaczenia tego gestu. Teraz wychodzi naprzeciw nas niejaki don Melisio i jego żona, czarna karlica, bierze trzy walizki z rąk idących za mną tragarzy, stawia je jedną na drugiej na swojej głowie, jak gdyby nic nie ważyły książki i papiery, którymi wszystkie trzy są wypełnione tak, że omal nie pękną rzemienie, i przechodzi przez podwórze z oczyma wyłażącymi niemal z orbit. Pokoje wyglądały jak dawniej, tylko bez naiwnych starych oleodruków, które wisiały na ścianach. Te same rośliny rosną na podwórku, w kuchni stoi olbrzymi brzuchaty dzban, który nadawał głosom rezonans jak w katedrze. Obszerny salon naprzeciwko został natychmiast przekształcony w salę jadalną i sklep. W kątach leżą wielkie kłęбки sznurów; na kilku półkach stoją puszkę pełne prochu strzelniczego, balsamów i maści, lekarstwa we flaszkach niezwykłego dziś kształtu, jakby przeznaczone do leczenia chorób z innej epoki. Don Melisio tłumaczy mi, że odkupił ten dom od matki Rosario i że ta, ze wszystkimi niezamężnymi córkami pojechała do jednej ze swoich siostr, która mieszka po drugiej stronie Andów, o jedenaście czy dwanaście dni podróży. Jeszcze raz zdumiewa mnie naturalność, z jaką ludzie tutejsi traktują szeroki świat, podróżując przez całe tygodnie ze zwiniętym hamakiem na ramieniu, bez obaw człowieka cywilizowanego przed odległościami, które przy prymitywnych środkach lokomocji stają się ogromne. Poza tym rozbić namiot w innym miejscu, przejść od ujścia do źródeł rzeki, przenieść swój dom na drugi koniec równiny, na której przebycie potrzeba kilku dni – to wszystko jest częścią wrodzonego pojęcia wolności istot, dla których glob ziemski nie ma granic, zamków ani barier. Ziemia należy tu do tego, kto chce ją wziąć; ogniem i maczetą oczyszcza się brzeg rzeki, rozciąga się dach na czterech kółkach, i to już jest osada, która nosi nazwę tego, kto się ogłasza jej panem, tak jak dawni konkwistadorzy, odmawiając Ojczyznę Naszą i rzucając gałęzie na wiatr. Człowiek nie staje się przez to bogatszy. Ale w Puerto Anunciación kto nie uważa się za posiadacza sekretu żyły złota, uważa się za właściciela ziemskiego. Zapach kumaryny i wanilii, unoszący się w domu, wprawia mnie w dobry humor. Prócz tego ogień na kominie, gdzie pieczeń z tapira skwierczy na rożnie i pachnie już przyprawami nieznanego gatunku. I powrót do ognia żywego, do płomienia, który tańczy, do iskry, która skacze i w płonącej mądrości żaru znajduje rozbłyskującą starość pod pomarszczoną szarością popiołu. Proszę czarną karlicę, donie Casildę, o butelkę i szklanki, i stół mój jest otwarty dla wszystkich, którzy zechcą sobie przypomnieć, że byłem tu przed siedmiu miesiącami. Po chwili schodzą się współbiedacy, przynosząc mi nowiny z gór i dolin, Łowca Delfinów i Łowca Król Morskich, stolarz,

który tak doskonale odmierzał trumny na oko, i młody człowiek o powolnych ruchach, z profilem Indianina, zwany Simonem: znudziło mu się być szewcem w Santiago de los Aguinaldos i przyplłynął tu niedawno po najmniej spławnych rzekach, z czółnem pełnym towarów przeznaczonych na handel zamienny. W odpowiedzi na moje pierwsze pytania potwierdzają wiadomość o śmierci brata Pedro: jego zwłoki podziurawione strzałami, z otwartą klatką piersiową znalazł jeden z braci Yannesa. Jako straszliwe ostrzeżenie dla tych, którzy zamierzają naruszać ich domeny, dzicy Indianie włożyli okaleczone ciało do pirogi, którą Grek znalazł na brzegu rzeki, w miejscu, dokąd zapędził ją prąd, z unoszącą się nad łodzią chmurą sępów. „To już drugi, który tak umiera” – komentuje stolarz i dodaje, że niektórzy spośród tych brodatych mnichów te odważni i twardzi ludzie. Mówią mi, że Adelantado (najwidoczniej nie mam szczęścia!) był w Puerto Anunciación zaledwie dwa tygodnie temu. I powtarzają legendy krążące o jego bogactwie i o poszukiwaniach w puszczy. Simon mówi, że u źródeł nie zbadanych dotąd rzek ze zdumieniem znalazł ludzi, którzy budowali domy i siali zboże, nie szukając złota. Ktoś inny zna kogoś, kto założył trzy miasta i nazwał je: Santa Ines, Santa Clara i Santa Cecilia oddając je w ten sposób pod opiekę patronek swoich trzech najstarszych córek. Kiedy czarna karlica, doña Casilda, przynosi trzecią butelkę wódki z orzechów laskowych, Simon ofiaruje się zawieźć mnie swoim czółnem do miejsca, gdzie znalazłem instrumenty dla konserwatora. Żeby nie wyjawiać prawdziwego celu mojej podróży, mówię mu, że szukam jeszcze jednej kolekcji piszczałek i bębnów. Stamtąd pojedę dalej z wiosłarzami Indianami, którzy znają drogę. Młody człowiek nigdy nie żeglował w tych stronach, widywał tylko czasami z daleka pierwsze stoki Wielkich Płaskowyży. Ale podejmuję się wskazywać mu drogę poczynawszy od dawnej kopalni Greków. Po trzech godzinach wiosłowania w górę rzeki napotkamy równo ciągnący się jakby mur z pni drzewnych; między pniami jest wejście do kanału, który pozwala przebyć tę zaporę. Odnajdę wyryty na pniach znak wskazujący ów kanał pod sklepieniem drzew. Płynąc dalej, ciągle na Wschód, przy użyciu busoli, wypłyniemy na rzekę, gdzie złapała nas burza w pewien pamiętny dzień mego życia. Gdy już dostaniemy się do wsi, gdzie znalazłem instrumenty, postaram się w jakiś sposób uwolnić od mego towarzysza podróży i ruszyć w dalszą drogę z ludźmi z tamtej wsi. Pewny, że wyjadę nazajutrz, kładę się do łóżka z radosnym uczuciem ulgi. Pająki, tkające swoje koronkowe festony między belkami pułapu, nie są już dla mnie złą wróżbą. Kiedy już wszystko zdawało się stracone tam – i jakże bardzo stamtąd wydaje mi się teraz to wszystko – więzy legalne, które mnie zatrzymywały, zostały rozcięte, a wielki sukces mojej kompozycji, fałszywego koncertu romantycznego, napisanego dla filmu, otworzył mi drzwi labiryntu. Oto jestem wreszcie u progu kraju, który sobie wybrałem, ze wszystkim, czego mi potrzeba do pracy. Przez jakiś wyrzut sumienia i dla uczynienia zadość niejasnemu zabobonowi, który każe założyć najgorszą możliwość, po to, żeby ją zakląć i oddalić, usiłuję sobie wyobrazić, że któregoś dnia będę mieć dość tego wszystkiego, czego przychodzę tu szukać; myślę, że któraś z moich prac narzuci mi pragnienie powrotu tam, po to, żeby ją wydać. Ale w tej chwili, choć wiem, że udaję tylko zgodę na to, na co się naprawdę nie zgadzam, ogarnia mnie prawdziwy lęk przed tym wszystkim, co teraz widziałem, przecierpiałem, czego ciężar tak straszliwie odczułem. Strach kajdan, złej muzyki ze świadomością, że komponuję złą muzykę. Uciekam od prac niepotrzebnych, od ludzi, którzy mówią tylko po to, żeby mówić, od pustych zabaw, od gestów bez sensu, od Apokalipsy, która

kraży nad tym wszystkim. Odczuwam żywe i niecierpliwe pragnienie, by uczuć znowu ciepły wiatr muskający moje nagie ciało, zanurzyć się w zimnych strumieniach Wielkich Płaskowyży, płynąc na wznak pod wodą, by zobaczyć, jak żywy kryształ, który mnie otacza, przybiera barwę zieleni w blasku poranka. A przede wszystkim pragnę uczuć ciężar i ciepło Rosario na moim rozedrganym ciele. Gdy moje ręce przypominają sobie jej plecy, jej ramiona, jej łydki, słodczyce ukryte pod trójkątem twardych, krótkich włosów, drgania żądy stają się nagłe i bolesne. Uśmiecham się na myśl, że umknąłem Hydrze, że wsiadłem na Okręt Argo i że ta, której głowę zdobi warkocz Bereniki, czeka mnie u stóp skały z petroglifami, teraz, gdy pora deszczów jest skończona, zbierając zioła, które będą macerować się w kadziach i słojach na lekarstwa, zioła uszlachetnione jasnością księżycowych nocy lub szronami świtu. Wracam do niej bardziej niż przedtem świadom miłości, którą jej przynoszę, bo przeszedłem przez nowe Próby, bo wszędzie widziałem tylko komedię. A poza tym staje tu przede mną problem najdonioślejszy dla stosunków z Królestwem Tego Świata, jedyny problem, który nie znosi dylematu: chodzi o to, czy sam mogę dysponować moim czasem, czy też będą nim dysponować inni, robiąc ze mnie gwiazdę przewodnią lub ostatniego z galerników, w zależności od zapału, jaki włożę w to, żeby wyrzec się własnego życia i żeby im służyć. W Santa Mónica de los Venados te godziny, w których nie śpię, należą do mnie i wolno mi kierować moje kroki tam, gdzie chcę.

XXXVIII

9 grudnia

Słońce ukazało się właśnie nad wierzchołkami drzew, kiedy przybijamy do brzegu, w miejscu, gdzie była dawniej kopalnia Greków, dzisiaj już opuszczona. Siedem miesięcy zaledwie upłynęło, odkąd tu przebywałem, a puszcza pochłonęła już wszystko. Szopę, gdzie Rosario i ja kochaliśmy się po raz pierwszy, dosłownie rozsadziły wyrosłe wewnątrz rośliny, dach jest wypchnięty do góry, ściany popękane, a fibry, rysujące dawniej profil domostwa, zamieniły się w zgniłe liście. Prócz tego, ponieważ ostatni przybór rzeki był niezwykle obfity, ziemia jest zalana. Deszcze przedłużyły się poza normalną deszczową porę, wody nie opadły jeszcze do swego najniższego poziomu i przy brzegach widać pas mokrej ziemi zasłany śmieciami lasu, a nad nimi unoszą się chmary żółtych motyli tak gęsto zbite, że wystarczy uderzyć w jedną z tych chmar kijem, żeby go wyciągnąć cały zażółcony. Rozumiem teraz, skąd się biorą migracje takie jak ta, którą widziałem w Puerto Anunciación, kiedy niebo zasłonił nagle ogromny obłok skrzydeł. Woda nagle zaczyna się burzyć i ławica ryb, które skaczą, popychają się, uderzają o siebie, przechodzi pod naszą łodzią tak, że woda najeża się skrzelami barwy ołowiu, ogonami, które uderzają jeden o drugi z odgłosem przypominającym oklaski. Potem trójkątny klucz czapli przelatuje po niebie i jakby w odpowiedzi na rzucony rozkaz wszystkie ptaki z kniei rozpoczynają chóralny hałaśliwy koncert. Ta wszechobecność ptaka, który znak skrzydeł kładzie na wszystkich strachach nocy, przywodzi mi na myśl transcendencję i mnogość ról pełnionych przez Ptaka w mitologiach tego świata. Od Ptaka-Ducha Eskimosów, który pierwszy raz zaćwierkał na biegunie, na samym krańcu kontynentu, aż do głów latających z uszami zamiast skrzydeł na przestrzeniach Ziemi Ognistej, wszystkie wybrzeża widzimy zdobne w ptaki z drzewa, ptaki wyrysowane na kamieniu lub na ziemi – tak wielkie, że trzeba na nie patrzeć z wysokości gór – w olśniewającej defiladzie władców powietrza: Ptak-Grzmot, Orzeł-Rosa, Ptaki-Słońca, Kondory-Posłańcy, Papugi-Bolidy rzucone na wielką Orinoko, Ptak *zentzotl* i *quetzal*, a wszystkim prezyduje wielka trzoda węży pierzastych: Quetzalcoatl, Gucumatz i Cuculcan... Płyniemy dalej: kiedy duszne powietrze południa zwisa ciężko nad wodą żółtą i mętną, pokazują Simonowi po lewej stronie ścianę drzew zagradzających rzekę na bezkresnej przestrzeni. Przybliżamy się i płyniemy wolno wzdłuż niej, w poszukiwaniu znaku, który wskazuje przejście. Ze wzrokiem utkwionym w pnie szukam na wysokości piersi człowieka stojącego nad wodą nacięcia w kształcie trzech V, umieszczonych jedno nad drugim w linii pionowej, którą można by przedłużać w nieskończoność. Od czasu do czasu słyszę pytający głos Simona, który wiośluje powoli. Posuwamy się wciąż dalej. Ale patrzę z takim napięciem, tyle starania wkładam w to, żeby nie przestać patrzeć, żeby myśleć o tym, że patrzę, że po chwili moje oczy zmęczone są widokiem przesuwającego się przed nami

stale tego samego pnia. Mam wrażenie, że widziałem już znak, nie zdając sobie z tego sprawy, pytam sam siebie, czy nie uległem roztargnieniu przez kilka sekund, każę zawrócić i widzę tylko jasną plamę, zwykły promień słońca na korze pnia. Simon, wciąż jednakowo spokojny, stosuje się do moich wskazówek bez słowa. Czólno ociera się o pnie i czasami muszę je odpychać, opierając o któreś drzewo ostrze mojej maczety. Ale teraz poszukiwanie znaku na tym niekończącym się szeregu pni, zupełnie jednakowych, wywołuje we mnie jakiś zawrót głowy. Mimo to powtarzam sobie, że w tym trudzie nie ma nic absurdalnego: na żadnym z drzew nie było dotąd nic podobnego do trzech V. Ponieważ taki znak istnieje, a to, co zostało wyrzeźbione na korze, nigdy się nie zaciera, musimy to odnaleźć. Płyniemy jeszcze pół godziny. Ale oto wyłania się z puszczy ostroga czarnej skały o rysunku tak poszarpanym i charakterystycznym, że gdybym ją kiedyś widział, poznałbym ją teraz niechybnie. Jasne, musieliśmy minąć wejście do kanału. Mówię to Simonowi, który zawraca czólno, robiąc duże koło i zaczynamy płynąć na nowo – przebył już raz drogą. Wydaje mi się, że patrzy na mnie z ironią, i to drażni mnie tak samo, jak moja własna niecierpliwość. Mimo to odwracam się do niego plecami i dalej przyglądam się pniom. Jeśli minąłem znak nie zauważywszy go, teraz gdy płyniemy wzdłuż zielonej ściany po raz drugi, będę musiał go zauważyć. Wiosłując w odwrotnym kierunku, jesteśmy pogrążeni w cieniu, który coraz bardziej wydłuża się na wodzie. Moja udreka wzrasta na myśl, że noc zapadnie, nim znajdziemy, czego szukamy, i że jutro trzeba będzie tu wrócić znowu. Incydent sam przez się nie ma wielkiego znaczenia, ale wydaje mi się złą wróżbą. Dotychczas wszystko szło tak dobrze, że nie chcę uznać przeszkody tak niedorzecznej. Simon obserwuje mnie ciągle z ironicznym spokojem. Wskazuje mi wreszcie, żeby coś powiedzieć, drzewa identycznie podobne do innych i pyta, czy nie tam jest to przejście. „Bardzo możliwe” – odpowiadam wiedząc, że nie ma żadnego znaku. „Możliwe to nie jest słowo dla trybunałów” – dodaje mój towarzysz tonem sentencjonalnym i oto w tym momencie uderzam o burtę łodzi, która zaryła dziobem w kłęb lian. Simon wstaje, bierze swoją tykę i zagłębia w wodzie, usiłując oprzeć się o dno, żeby cofnąć czólno. W tej samej chwili, podczas tej sekundy kiedy tyka zanurzy się w płynny gąszcz lian, doznaję jakby olśnienia i rozumiem, dlaczego nie znaleźliśmy znaku i nie możemy go znaleźć: tyka, długości może trzech metrów, nie dosięga dna i mój towarzysz musi ścinać liany nożem. Gdy znów wypływamy na bystrą wodę i Simon spogląda na mnie, widzi moją twarz tak zmienioną, że pochyła się nade mną z niepokojem, w przekonaniu, że coś się stało. Przypomniałem sobie, że kiedy tu byłem z Adelantadem, wiosła dotykały dna przez cały czas, to znaczy, że rzeka wciąż jeszcze wezbrana, nie wróciła do dawnego poziomu, i znak, którego szukamy, jest pod wodą. Mówię Simonowi o moim odkryciu. Odpowiada mi ze śmiechem, że był tego pewien, ale mi nie mówił „przez szacunek”, a poza tym myślał, że biorę pod uwagę przybór wody. Pytam go, lękając się odpowiedzi i nadając pytaniu formę jak najdłuższą, czy przypuszcza, że wody wkrótce opadną dostatecznie, byśmy mogli zobaczyć znak tak, jak go widziałem ostatnim razem. „Dopiero w kwietniu albo w maju” – odpowiada stawiając mnie w obliczu rzeczywistości nieodwołalnej. Ciasna brama puszczy będzie więc dla mnie zamknięta aż do tego czasu. Zdaję sobie teraz sprawę, że po zwyczajnym wyjściu z próby nocnych strachów i próby burzy, poddany zostałem próbie decydującej: próbie powrotu. Ruth z drugiego końca świata wysłała do mnie mandatariuszy, którzy pewnego pięknego ranka spadli na mnie z nieba ze swymi oczyma z żółtego szkła i

mikrofonami zawieszonymi na szyi, by mi powiedzieć, że rzeczy, których potrzebuję do wyrażenia moich myśli, znajdują się w odległości trzech godzin lotu. I wzniosłem się pomiędzy chmury, ku wielkiemu zdumieniu ludzi neolitu, żeby poszukać zeszytów i papieru, nie podejrzewając, że w rzeczywistości zostałem porwany przez kobietę, uprzedzoną w jakiś tajemniczy sposób, że tylko najskrajniejsze środki dadzą jej ostatnią okazję sprowadzenia mnie na jej własny teren. W ciągu tych ostatnich dni czułem blisko przy sobie obecność Rosario. Czasami nocą zdawało mi się, że słyszę jej powolny, uśpiony oddech. Teraz przed zasłoniętym znakiem i zamkniętą bramą mam wrażenie, że obecność ta się oddaliła. Szukając palącej prawdy w słowach, których mój towarzysz słucha nie rozumiejąc, mówię sobie, że podróż po wyjątkowych drogach podejmuje się nieświadomie, nie wyczuwając cudu w chwili, gdy się go przeżywa, dociera się tak daleko poza wydeptane ścieżki, poza świat znany, że człowiek, dumny ze swego przywileju i odkrycia, czuje się zdolny do powtórzenia tego czynu; ilekroć zechce, rozporządzając drogą niedostępną dla innych. Któregoś dnia popełnia błąd nie do naprawienia i usiłuje przebyć drogę na nowo, w przekonaniu, że historia wyjątkowa może się powtórzyć; wraca więc, ale znajduje zmienione pejzaże, zatarte punkty zwrotne, a ci, którzy mogą go poinformować, nie mają już tych samych twarzy... Odgłos wiosła wrywa mnie z otępienia. Ciemności wypełniają las gęstymi chmurami komarów, które brzęczą pod drzewami. Nie słuchając mnie więcej, Simon skierował się na środek nurtu, by odnaleźć jak najprędzej dawną kopalnię Greków.

XXXIX

30 grudnia

Pracuję nad tekstem Shelleya kreśląc niektóre fragmenty, by mu nadać autentyczny charakter kantaty. Skróciłem długi lament Prometeusza na początku poematu i teraz staram się ująć w ramy scenę głosów – gdzie jest kilka strof nieregularnych – i dialog Tytana z Ziemią. Robię to wszystko tylko po to, żeby oszukać moją niecierpliwość, zapomnieć na chwilę o jednej myśli, jedynej przyczynie, która od trzech tygodni zatrzymuje mnie w Puerto Anunciación. Mówią mi, że wkrótce powróci przewodnik z Rio Negro: zna przejście, które mnie interesuje, albo w każdym razie inne drogi, mogące mnie doprowadzić do pożądanego miejsca. Ale tutaj każdy tak dalece jest panem swego czasu, że dwutygodniowe oczekiwanie nie budzi najmniejszej niecierpliwości. „Wróci... wróci...” – odpowiada mi karlica, doña Casilda, gdy rano przy śniadaniu pytam ją, czy nie ma wiadomości o przewodniku. Łudzę się nadzieją, że Adelantado zjawi się nieoczekiwanie w pilnej potrzebie ziarna albo lekarstw, i nie ruszam się z miasteczka odrzucając nęcące propozycje Simona, by spróbować dróg rzecznych na Północ. Dni mijają z powolnością, która uszczęśliwiłaby mnie w Santa Mónica de los Venados, ale tutaj, kiedy nie mogę skupić się na żadnej poważnej pracy, jest mi nieznośna. Poza tym dziełem, które w tej chwili mnie interesuje, jest Tren, a nuty ma u siebie Rosario. Mógłbym zacząć go komponować na nowo, ale to, co zrobiłem tam, dało mi tyle zadowolenia, jeśli chodzi o spontaniczność akcentu, że nie chcę wznawiać tego na zimno, z wyostrzonym zmysłem krytycznym, wśród wysiłków pamięci, a jednocześnie pochłonięty troską o dalszą podróż. Co dzień po południu chodzę do wodospadów i rozciągam się na kamieniach drżących od wzburzonej wody, która wdziera się do kanałów, do kotlin i lejów. Znajduję pewną ulgę w moim rozdrażnieniu, kiedy jestem sam wśród tego grzmiącego hałasu, odizolowany od świata przez rzeźby piany, która wrze i bulgoce zachowując przy tym swój kształt, tu się wzdyma, tam opada, zależnie od siły i wartkości prądu, nie tracąc zarysu, objętości i konsystencji, przeobrażających jej zawrotne i wieczyste zmiany w przedmiot świeży i żywy; można go pogłaskać jak grzbiet psa i dotknąć wargami niby okrągłości jabłka. Pod lasem nastąpiła zmiana odgłosów: wyspa Santa Prisca stapia się ze swym własnym odbiciem w rzece, w której głębinach zaciera się niebo. Na komendę psa, który szczeka wciąż na tą samą ostrą nutę, w urywanym rytmie, wszystkie psy w sąsiedztwie zaczynają wyć, jak gdyby intonowały coś w rodzaju kantyczki. Słucham jej z uwagą, wracając do miasteczka, gdyż zauważyłem, że czas jej trwania jest codziennie ten sam i że niezmiennie kończy się w ten sam sposób, dwoma szczęknięciami – nigdy więcej – tajemniczego psa-szamana, przywódcy sfory. Ponieważ tańce małp i pewnych ptaków zostały już odkryte, myślę, że jakieś systematyczne nagrania głosów zwierząt żyjących z człowiekiem pozwoliłyby wykryć w nich niejasne poczucie muzyki, dość pokrewne pieśni czarownika,

która tak mną wstrząsnęła pierwszego wieczora w puszczy. Od pięciu dni psy w Puerto Anunciación wyją w identyczny sposób, odpowiadając na dany rozkaz, i milkną na znak, którego nie mogę pomylić. Potem wracają do swoich domostw, kładą się pod stołkami, słuchają, co się mówi, i wylizują swoje miski, nie sprawiając nikomu kłopotu aż do okresu rui; wtedy bezsilni ludzie mogą tylko czekać z rezygnacją, aż sojusznicze zwierzęta skończą ze swymi obrządkami reprodukcji. Pograżony w tych refleksjach dochodzę już do pierwszej uliczki miasteczka; nagle dwie mocne ręce zasłaniają mi oczy i czyjeś kolano opiera się o moje plecy, przeginając mnie w tył tak gwałtownie, że wyrwa mi się okrzyk bólu. Żart był taki nieprzyjemny, że wykręcam się, żeby się wyrwać i uderzyć. Ale słyszę wybuch śmiechu o dobrze znanym dźwięku i mój gniew natychmiast zmienia się w radość. Yannes obejmuje mnie klepiąc po plecach; dotykam jego mokrej od potu koszuli. Chwytam go za ramię, jakby w obawie, żeby mi nie uciekł, i prowadzę do mojej oberży, gdzie doña Casilda podaje nam butelką wódki z orzechów. Udaję na początek żywe zainteresowanie dla jego wycieczek, by jak najprędzej odnaleźć ciepło jego przyjaźni i dotrzeć w ten sposób do jedyne punktu, który mnie interesuje. Yannes zna niewątpliwie kanał wśród drzew, był z nami, kiedyśmy nim płynęli, potrafi otworzyć Drzwi, nie potrzebując szukać potrójnego nacięcia. Jest też prawdopodobne, że woda opadła trochę przez te ostatnie tygodnie. Ale dostrzegam, że rysy Greka są lekko zmienione, jego oczy o spojrzeniu tak przenikliwym, tak pewnym, mają wyraz niespokojny i nieufny, nie opierają wzroku na niczym. Wydaje się nerwowy, zniecierpliwiony, trudno z nim utrzymać jakąś ciągłość rozmowy. Kiedy coś opowiada, mówi za szybko albo waha się, nie zatrzymując się długo na jednej myśli, jak dawniej. Nagle z miną konspiratora prosi, żebyśmy przeszli do mego pokoju. W pokoju zamyka drzwi na klucz, upewnia się, czy okna są dobrze zamknięte, i w świetle lampy pokazuje mi tubkę po lekarstwie zawierającą małe kryształki jakby przydymionego szkła. Po cichu tłumaczy mi, że ten kwarc to jakby straż przednia diamentów i w pobliżu nich zawsze znajduje się to, czego się szuka. Yannes zagłębił w pewnym miejscu swój oskard i znalazł cudowne złożo. „Diamenty czternastokaratowe – zwierza mi się przytłumionym głosem, – I muszą być nawet jeszcze większe”. Niewątpliwie marzy już o stukaratowej gemmie znalezionej niedawno, dla której stracili głowę wszyscy poszukiwacze El Dorado, rozproszeni po kontynencie, nie rezygnując ze znalezienia skarbu, który usiłował sobie przywłaszczyć Filip z Utrechtu. Odkrycie to nie daje Yannesowi spokoju. Wyjeżdża teraz do stolicy, żeby złożyć deklarację o kopalni, i dręczy go obsesyjny lęk, żeby ktoś inny w czasie jego nieobecności nie wpadł na ślad dalekiego złoża. Podobno były już wypadki niespodziewanych spotkań dwóch poszukiwaczy na tym samym terenie. Ale nic z tego wszystkiego mnie nie interesuje. Podnoszę głos, żeby obudzić jego uwagę, i mówię mu o jedynej rzeczy, która wypełnia moje myśli. „Dobrze, jak wrócę – odpowiada mi – jak tylko wrócę”. Błagam go, żeby odłożył swoją podróż, żebyśmy mogli popłynąć jeszcze tej nocy, przed świtem. Ale Grek oznajmia, że „Manati” jest już w porcie i jutro w południe ma podnieść kotwicę. Nie ma sposobu z nim rozmawiać. Myśli tylko o swoich diamentach, a kiedy milknie, to tylko ze strachu, żeby don Melisio albo karlica go nie posłyszeli. Zniechęcony, przygotowuję się na nowe opóźnienie: poczekam na jego powrót, z którym nie będzie zwlekał, przynaglony żądłem chciwości. Chcąc się upewnić, że po mnie przyjedzie, proponuję mu pomoc w uruchomieniu kopalni. Uroczyście ściska mi rękę, nazywa mnie bratem i prowadzi do tawerny, gdzie

poznałem Adelantada. Zamawia jeszcze jedną butelkę wódki z orzeszków i aby mnie bardziej zainteresować swoim odkryciem, udaje zwierzenia na temat miejsca, gdzie znalazł kwarc zwiastujący skarby. W ten sposób dowiaduję się o czymś, czego bym nigdy nie podejrzewał: znalazł te złoża, wracając z Santa Mónica de los Venados, gdyż przypadkiem odkrył to nieznanne miasto i spędził tam dwa dni. „Głupi ludzie – mówi mi. – Durnie. Mają złoto pod nosem i nie szukają. Chciałem pracować, powiedzieli, że mnie zastrzelą”. Chwytam Greka za oba ramiona i krzyczę, żeby mi mówił o Rosario, żeby mi powiedział, jak się czuje, jak wygląda, co robi. „Żona Mareosa – odpowiada mi Grek. – Adelantado zadowolony, że będzie miała dziecko”. Jestem jak ogłuszony. Skóra mi cierpnie, jakby zimnymi szpilkami nakłuwana od wewnątrz. Z trudem sięgam ręką po butelkę, której szkło jakby mnie parzyło. Powoli napełniam szklankę i wlewam alkohol do gardła, które go nie potrafi przełknąć, gdyż w tej chwili rozrywa je atak kaszlu. Gdy odzyskuję oddech, przeglądam się w upstrzonym przez muchy lustrze zawieszonym w głębi sali i widzę siedzące bezwładnie przy stole ciało, które wydaje się puste. Nie jestem pewien, czy by potrafiło się ruszyć, gdyby mu kazano. Ale istota, która jęczy w głębi mnie, poszarpana, zboląta, udręczona, protestuje jakimś bełkotem. Nie wiem, co mówię do Greka. Słyszę głos mego drugiego ja, który mówi mu o prawach do „twojej kobiety”, tłumaczy, że moje spóźnienie spowodowały przyczyny zewnętrzne, próbuje się usprawiedliwić, prosi o apelację, jakby się znalazł przed trybunałem, który ma go zniszczyć. Oderwany przez chwilę od swoich diamentów przez złamany, błagający głos, który próbuje cofnąć czas, przekreślić fakty dokonane, Grek patrzy na mnie z uśmiechem, który wkrótce zamienia się w litość. „Ona nie Penelopa. Kobieta młoda, silna, piękna potrzebuje męża. Ona nie Penelopa. Tutaj kobieta potrzebuje mężczyzny, taka natura”. Prawda, miazdząca prawda ukazuje się dopiero teraz: ludzie z tych dalekich krajów nigdy nie wierzyli we mnie. Byłem istotą zapożyczoną. Nawet Rosario musiała na mnie patrzeć jak na kogoś, kto tu przybył w odwiedzinach, niezdolny zamieszkać na czas nieokreślony w Dolinie Zatrzymanego Czasu. Pamiętam, jakie dziwne spojrzenia mi rzucała, widząc mnie pochłoniętego gorączkową pisaniną przez całe dni, tam, gdzie pisanie nie odpowiadało żadnej konieczności. Nowe światy muszą być przeżyte, zanim będą wytłumaczone. Ci, którzy żyją tutaj, nie robią tego na skutek jakiegoś przekonania intelektualnego: po prostu wierzą, że życie znośne jest to, a nie inne. Wolą tę teraźniejszość od tej, którą żyją twórcy Apokalipsy. Człowiek, który wysiła się, by zrozumieć za dużo, który cierpi męki nawrócenia, który potrafi żywić myśl o wyrzeczeniu się poprzez przyjęcie obyczajów tych, co wykuwają swoje przeznaczenie na tej pierwotnej ziemi w walce wypowiedzianej górom i drzewom, jest człowiekiem nieodpornym, łatwym do zranienia, gdyż pewne moce świata, które zostawił za sobą, w dalszym ciągu wywierają na niego wpływ. Odbyłem podróż przez stulecia, przeszedłem poprzez ciała i epoki ciał, nie wiedząc o tym, że znalazłem ukrytą przed wzrokiem innych najszerszą bramę. Ale codzienne obcowanie z cudem, zakładanie miast, wolność, z jakiej się korzysta pośród Wynalazców Rzemiosł w mieście Henocha – to rzeczywistości zbyt wielkie dla mojej skromnej osobowości polifonisty, zawsze gotowego wykorzystać czas wolny na to, aby szukać na nowo swego zwycięstwa nad śmiercią w układzie neumów. Próbowałem rozprostować przeznaczenie spacone przez moją własną słabość i wyszła ze mnie pieśń – urwana teraz – która zwróciła mnie starej drodze, z ciałem pełnym popiołów, niezdolnego stać się znowu tym, kim byłem. Yannes podaje mi bilet, żebym

popłynął z nim razem na „Manati”. Pożegluję więc znowu ku ciężarowi, który mnie czeka. Podnoszę zaczerwienione oczy na szyld z napisem „Wspomnienia Przyszłości”. Za dwa dni stulecie będzie miało o jeden rok więcej, ale ta wiadomość nie ma najmniejszego znaczenia dla ludzi, którzy mnie w tej chwili otaczają. Tutaj można nie wiedzieć, w jakim roku się żyje, i kłamią ci, co twierdzą, że człowiek nie może uciec od swojej epoki. Epoka kamienia podobnie jak średniowiecze dane nam są jeszcze w naszych czasach. Otwarte są cieniste przystanie romantyzmu razem z nieszczęśliwą miłością. Ale nic z tego nie zostało mi przeznaczone, gdyż jedyną rasą ludzką, która nie może oderwać się od dat, jest rasa twórców sztuki. Musi nie tylko wyjść poza przeszłość bezpośrednią, reprezentowaną przez dotykalne świadectwa, ale odgadnąć śpiew i formę tych, którzy przyjdą później stwarzając nowe świadectwa z pełną świadomością tego, co zostało zrealizowane aż do naszych czasów. Marcos i Rosario nie znają historii. Adelantado jest jej pierwszym rozdziałem i mogłem być zostać z nimi, gdyby moim rzemiosłem nie było komponowanie muzyki, rzemiosło rasy wygasającej. Teraz chodzi o to, czy nie ogłuszą mnie, czy nie odbiorą mi głosu uderzenia młotem jakiegoś dozorczy galerników, który gdzieś na mnie czeka. Dzisiaj skończyły się wakacje Syzyfa.

Ktoś za mną mówi, że woda na rzece ostatnio bardzo opada. Widać wiele zanurzonych dotychczas skał i głazów porośniętych algami, które umierają w zetknięciu ze światłem. Drzewa na brzegach zdają się wyższe teraz, gdy korzenie czują już bliskość słonecznego ciepła. Na pniu z łuszczącą się korą, brunatnym w jasnozielone plamy, zaczyna się już wynurzać nad powierzchnię przy spokojnej fali znak wyryty ostrzem noża o jakieś trzy cale nad poziomem wody.

Caracas, 6 stycznia 1953

Nota

Mimo że miejsce akcji pierwszych rozdziałów tej książki nie wymaga specjalnego określenia, mimo że stolica południowoamerykańska i miasta prowincjonalne występujące w dalszym ciągu są tylko prototypami nie umiejscowionymi dokładnie, gdyż mają cechy wspólne wielu krajom, autor uważa za konieczne stwierdzić dla uspokojenia usprawiedliwionej ciekawości niektórych czytelników, że począwszy od miasta Puerto Anunciación, tło odpowiada bardzo dokładnemu obrazowi okolic mało znanych i rzadko, a może nigdy nie fotografowanych.

Rzeka, która w pierwszej części mogła być każdą wielką rzeką Ameryki, staje się bardzo dokładnie rzeką Orinoko w jej górnym biegu. Miejsce, gdzie była kopalnia Greków, mogłoby się znajdować niedaleko spływu Vichada. Kanał z potrójnym nacięciem V, oznaczającym tajne wejście, istnieje rzeczywiście, razem ze swoim znakiem przy ujściu strumienia Guacharaca, położonym o dwie godziny drogi łodzią ponad Vichada: kanał ten prowadzi do wioski Indian Guahibos, położonej nad ukrytą zatoczką.

Burza wybucha w miejscu, którym może być Raudal del Muerto. Stolica Form to Mont Autana ze swoim profilem gotyckiej katedry. Począwszy od tego dnia pejzaże Górnej Orinoko i Autany ustępują miejsca pejzażowi Gran Sabana, opisanemu w różnych częściach rozdziału III i IV. Santa Mónica de los Venados może być tym, czym była Santa Elena del Uairen w pierwszych dniach swego istnienia, kiedy najłatwiejszym sposobem dostania się do miasta była siedmiodniowa wspinaczka górską przez wąwóz burzliwego potoku. Od tego czasu wiele podobnych osiedli nie umiejscowionych dokładnie w geografii powstało w rozmaitych częściach amerykańskiej puszczy. Niedawno dwaj słynni podróżnicy francuscy odkryli jedną z takich osad, o której istnieniu nikt nie wiedział, a która niezwykle przypomina Santa Mónica de los Venados, razem z jednym ze swoich mieszkańców, którego historia jest dokładną historią Mareosa.

Rozdział z opisem Mszy Konkwistadorów rozgrywa się w wiosce plemienia Piaroa, rzeczywiście istniejącej w pobliżu Autany. Indianie, opisani w dniu dwudziestym trzecim, to plemię Shirishana w Górnej Caura. Jeden z podróżników nagrał „Tren Czarodzieja” na płytę, która znajduje się w archiwach folkloru Wenezueli.

Adelantado, Montsalvatje, Marcos, brat Pedro – to postacie, które każdy podróżnik spotyka na olbrzymiej scenie puszczy. Wszyscy odpowiadają rzeczywistości, podobnie jak pewnego rodzaju mit Eldorado, żyjący do dziś jeszcze w kopalniach złota i drogocennych kamieni. Jeśli chodzi o Yannesa, górnika greckiego, który podróżował z tomem „Odysei” stanowiącym cały jego bagaż, wystarczy powiedzieć, że autor nie zmienił nawet jego imienia. Nie dodał tylko, że oprócz „Odysei” ulubioną

lekturą Greka była „Anabaza” Xenofonta.

A.C.